Ernst Wiechert

Proste życie

(Przekład: Tadeusz Ostojski)

Po raz trzeci Yen Hui spotkał Kung Fu Tse* i powiedział:

— Zajdę dalej.
Jakże to? — zapytał Kung Fu Tse.
— Wyzwoliłem się od wszystkiego — odparł Yen Hui.
— Wyzwoliłeś się od wszystkiego? —
zapytał Kung Fu Tse poruszony. — Co masz na myśli?
— Wyzwoliłem się od swojego ciała — odrzekł Yen Hui.
— Oddaliłem swoje myśli. Kiedy już stałem się wolny
cieleśnie i duchowo, zjednoczyłem się z tym co
wszechprzenikające. To jest tym,
co uważam za wyzwolenie się od wszystkiego.

(Przemówienia i przypowieści Czuang Tse)

* Konfucjusz

Rozdział 1

Niedługo po wielkiej wojnie, przedwiosennego dnia, pewien człowiek stał u zachodniego okna swojego domu i pogrążony w myślach uniósł oczy sponad starej, niepozornej książki, którą trzymał w dłoniach. Ogromne wieczorne niebo bezchmurne i gorejące dalekimi ogniami, wypełniało przez szerokie okno całe pomieszczenie czerwonym światłem.

Na ścianie zastawionej książkami jarzyły się barwne oprawy, w jednej z bocznych szaf niemal złowrogim blaskiem lśniła egzotyczna broń, krążownik zaś, strzelający wśród dymu i mgły na jednym z obrazów, wyglądał tak rozświetlony, jakby właśnie parł ku płomienistej otchłani jakiegoś zmierzchu bogów.

Owo urokliwe światło skupiało się jednak na wysklepionej powierzchni olbrzymiego globusa stojącego na czarnym postumencie, pośrodku, przed rzędami książek. Góry na nim zaznaczone były brunatnymi wypukłościami, doliny poprzeplatane siecią rzek barwiły się jak łąki, błękitne zaś morza połyskiwały teraz purpurowo w wieczornej zorzy.

Odwróciwszy się od światła, spojrzenia człowieka skierowały się ku opromienionej podobiźnie kuli ziemskiej, gdzie archipelagi wysp pławiły się niby perły w Oceanie Indyjskim, a szczyt Colombo zdawał się rzucać na toń spiczasty cień. Brzegi mórz odgraniczone były od stałego lądu jaskrawą cienką kreską, a za Himalajami, na żółtych tybetańskich krainach milczący zmierzch zdawał się już czekać na obce gwiazdozbiory.

Człowiek długo stał zatopiony w myślach, póki widok nie zmatowiał pod wpływem zielonkawego szarego cienia; brzegi rozmyły się, doliny pociemniały i wszystko przygasło, stając się bladą tarczą zbliżoną do kształtu odległego niebieskiego ciała, unoszącą się w pomieszczeniu.

Teraz, w narastającej ciszy wieczoru, ponad zmierzchem i ogrodami przedmieść niósł się szum dalekiej stolicy i trwał niby odgłos oddalonego przyboju, wzmagający się, to znów niezauważenie cichnący. Na tle jasnozielonego przybladłego nieba czarno i nieruchomo sterczały pnie sosen, nad daleką ulicą szybko, jedna po drugiej, rozjaśniały się białe latarnie. Ten zaś, który długo spędzał życie na morzu, mógł teraz, na wpół przymknąwszy oczy, łatwo wyobrazić sobie, że oto stoi na mostku

lub za oknem kajuty, w uszach ma cichy szum statku, a w dali przesuwają się bezgłośnie światła lądu, pozostają w tyle i gasną, chowając się za krzywizną Ziemi; przed dziobem zaś wypiętrza się niezmierzona biorąca wszystko w posiadanie przestrzeń.

W ostatnich blaskach światła człowiek jeszcze raz uniósł książkę ku oczom, tak jakby chciał się upewnić, czy przeczytany wcześniej fragment wciąż jeszcze się tam znajduje, czy nie został zatarty przez zapadający nad światem zmrok. Potem znów ją opuścił i przytulając skroń do okiennej zasłony, wyjrzał na zewnątrz. Jego twarz, jaśniejąca ponad ciemnym surdutem, przyjęła ostatek wieczornej zorzy. Poniżej czoła i w bruzdach biegnących od nasady nosa ku ustom skupiły się cienie, tak że jego twarz zdawała się być podobna do Ziemi, pomniejszonej i wychudzonej, unoszącej się przed szeregiem książek, której doliny zamroczyły się cieniem, kontury zaś tak się zatarły, że tam, gdzie znajdował się jakiś obiekt, pozostał tylko nieokreślony nikły poblask.

Kiedy nagle otworzyły się drzwi i światło z korytarza niemal z okrucieństwem wdarło się do cichego pomieszczenia, człowiek odczekał chwilę, nim zwrócił twarz ku kobiecie stojącej w ościeży. Zanim jednak ją dostrzegł, do jego świadomości wtargnęły wpierw nieliczne, oświetlone teraz przedmioty znajdujące się we wnętrzu: na ścianie obraz z krążownikiem, obecnie jakby w świetle reflektora ciągle strzelającym salwy z pancernych wież, smukły regał na książki, ostro odcinający się trakt czerwonego chodnika i wąski skraj globusa, świecący jak sierp.

Dopiero potem zobaczył kobietę, która w wieczorowej sukni stała na progu i wyciągała rękę do włącznika światła.

— Zostaw! — powiedział ostro.

Powstrzymała gest, nie opuszczając ręki i nawet gdyby nie stała w świetle, wiedziałby, że uśmiecha się nie bez powściąganej drwiny.

— Znowu się marzy? — zapytała.

— Czytało się — odparł. Podszedł do biurka i ostrożnie położył książkę na pustym blacie. — Psalm "Jako słowa niszczeją lata nasze", które go od czasu konfirmacji nigdy nie czytałem. Nad tym rozmyślałem.

— Bohaterowie i myśliciele — powiedziała swoim niskim głosem — oto co nam zostało z wojny...

Rzucił uwagę, że istniały epoki, które byłyby dumne z takiego posiadania.

Tak, ale właśnie epoka... Jednakże teraz, po tamtych straszliwych latach nie chce się walczyć ani rozmyślać, tylko żyć, nic, tylko żyć. Również i zwierzęta czegoś pragną, właśnie jedynie tego. Owszem, i przede wszystkim to jest w nich piękne i zdrowe. Nie czytują psalmów ani nie wpatrują się w wieczorny zmrok.

Patrząc na oświetlony skraj globusa, odrzekł, że czasami rozumie tych całkiem prymitywnych ludzi, których nachodzi ochota, by uderzyć swoją żonę. Roześmiała się wesoło i beztrosko, a ruch jej ręki spowodował, że z żyrandola pod sufitem bez uprzedzenia chlusnęło białe światło.

— Muszę zobaczyć mężczyznę, którego właśnie naszła taka ochota — powiedziała.

— Nie mówiłem o sobie — rzekł i spojrzał na nią z głębi pokoju.

W ciągu owych ponurych lat postać jej stała się smuklejsza, rysy ostrzejsze, oczy bardziej błyszczące. Tylko dziecinne usta pozostały takie same i mimo połyskującej szminki, której właśnie użyła, były małe, ze smutno opadłymi kącikami. Nigdy też nie wiedział, czy byłyby w stanie zadrżeć ze złości czy płaczu.

Jego myśli cofnęły się do czasu pierwszej ich miłości i pojął, ile też im samym zabrała wojna.

— Odejdź — powiedział łagodnie. — To nie prowadzi do niczego...

Jej połyskująca pierścionkami dłoń osunęła się po czerwonej storze okalającej drzwi.

— Miało doprowadzić do tego, żebyś się w porę przebrał — orzekła. Przyjdą za pół godziny i wiesz, że zapowiedział się również admirał. To może mieć znaczenie dla ciebie... On jest bardzo wpływowy.

Przeszedł przez pokój, aż do progu, i zgasił światło. Następnie ujął ją delikatnie za ramiona, odwrócił i lekko popchnął na korytarz. Jej chłodne ciało było mu niemal tak obce jak ciało kogoś zmarłego.

— Posadź swojego Nelsona na moim globusie — powiedział — a potem uklęknij przed nim i módl się do niego i do jego wpływów.

Czuję wstręt do tych wszystkich upiorów, rozumiesz? Ten, kto przegrał rozgrywkę, powinien to uznać, tak jak ja uznaję, nie zaś twierdzić, zapewniać i zaklinać się, że gra była oszukańcza.

— Ach, Thomas — powiedziała i uśmiechnęła się przez ramię — jakim też jesteś niewyobrażalnym błaznem...

Zamknął drzwi, ale pokój nie był już taki sam. Uliczna latarnia rzucała doń swoje niespokojne światło, cień globusa czarnym kolis-kiem kładł się na ścianie zastawionej książkami.

— Taka to jest ta mroczna Ziemia — mruknął. — Oni jednak rozświetlają ją swoim zarozumialstwem... Ten, kto przegrał bitwę, powinien milczeć, a przecież my wszyscy przegraliśmy coś więcej niż bitwę.

Z odległego pokoju usłyszał pobrzękiwanie kieliszków i sztućców. Poszedł ostrożnie do korytarza, wziął płaszcz i kapelusz. Cicho otworzył drzwi do dziecięcego pokoju. Na skraju łóżka siedziała pielęgniarka i usiłowała wyciągnąć spod kołdry mały drewniany okręcik, jednak drobne dłonie chłopca trzymały go mocno za drugi koniec.

Obie twarze zwróciły się doń: zaczerwieniona twarz pielęgniarki i zacięta dziecka. Zatrzymał się i milcząc, spoglądał na syna. Tak, to była jego twarz. Jeszcze raz powielona z nieskończonej liczby możliwości, nieco odmieniona, o czole masywniejszym, zawziętych ustach, a jednak powielona. Jego twarz, a nie inna. Jedyna przyszłość ocalona z wojny.

— Co się dzieje, Joachimie? — zapytał z powagą.

Pielęgniarka otworzyła usta, ale zaraz położyła się na nich mała, opalona, podrapana dłoń.

— Siostra Beate mówi — zawołał jasny głos — że nie śpi się z okrętem wojennym, a ja powiedziałem, że syn kapitana może spać nawet z dziesięcioma takimi okrętami. Powiedz jej, ojcze, że to prawda.

Thomas podszedł do łóżka i wyjął niezgrabną zabawkę. Opierające się dłonie puściły ją posłusznie. Uniósł ją do oczu, tak jak poprzednio książkę.

— Syn kapitana, Joachimie, może spać w wojennym okręcie albo pod wojennym okrętem, ale z okrętem wojennym spać mogą tylko małe dziewczynki uważające go za lalkę. Chłopiec stawia swój okręt na szafce, tam gdzie spotka go poranne słońce, a gdy się zbudzi, on będzie tam stał i wzywał go do służby. Czyż nieprawda?

Spostrzegł, że skóra na dziecięcym czole marszczy się pod wpływem wysiłku, by zrozumieć każde słowo i odwrócił się ku szafce, żeby ukryć wzruszenie. W czasie wojny dzieci widywało się rzadko.

— Jesteś, tato, najmądrzejszym człowiekiem na ziemi — powiedział Joachim z przekonaniem i głębokim westchnieniem.

— Niezupełnie, Joachimie, ale przynajmniej nie najgłupszym... Lecz teraz będzie się spać, prawda?

— *All right*, ojcze. Uszczelnić luki i spać... Tak się to mówi?

— Tak. Tak się mówi.

— A dokąd teraz idziesz, ojcze? Nie zostaniesz, kiedy przyjdzie admirał?

— Nie. Widziałem w życiu wielu admirałów. Teraz muszę iść czegoś poszukać.

— Co chcesz znaleźć?

— Zobaczysz później. O tym, czego się szukało, wypada mówić dopiero, gdy się znajdzie. Modliłeś się?

— Tak, panie kapitanie - oznajmiła pielęgniarka i podciągnęła kołdrę. Myślami był znów gdzie indziej.

— Potem, siostro, może pani odmówić z nim psalm zawierający werset: Jako słowa niszczeją lata nasze". To dobra modlitwa... Dopiero dziś ją odnalazłem.

Jej zapatrzone w niego oczy z wolna napełniły się łzami, on zaś stał już przy drzwiach i skinął dłonią.

— Czy pani wie, siostro Beato, że jest takie epitafium z pani imieniem? — zapytał. — Proszę posłuchać: "Tu spoczywa ta/ która miała zwać się Beate/ wolała jednak taką być/ niźli nosić to imię". To nawet coś z Lessinga. Znalazłem niedawno... "Wolała jednak taką być, niźli nosić to imię...", ale teraz życzę dobrej nocy. Spijcie spokojnie.

Uśmiechnął się melancholijnie i cicho zamknął za sobą drzwi.

Na dworze postał chwilę pod sosnami rosnącymi w ogrodzie i patrzył na pierwsze gwiazdy. Nadal był na morzu i ponad horyzontem szukał przewodnich konstelacji. Nieszczęściem było to, że zaraz po wybuchu wojny ona przeniosła się do tego miasta — nienawidziła portu od samego początku. Nigdy nie lubiła morza ani silnych wiatrów, ani surowości życia uwikłanego w służbowe ograniczenia. Lubiła jego mundur i swoje marzenia o tym, że jeszcze za młodych lat on zostanie dowódcą floty.

Teraz szedł ulicą do metra. Nie, to nie było sprawiedliwe... Była miłość, ale wolna od życiowych prób i cierpienia. Taka była. Wszyscy oni traktowali życie jak owoce dorodnego drzewa. Zasadził je w ich sadzie dobry Bóg, oni zrywali i jedli. Biada temu, kto odważyłby się mówić, że nie zasłużyli na to! A przecież nie zasłużył nikt spośród nich. Już sam rezultat — to jak teraz wygląda ich życie — dowiódł tego, a i sposób, w jaki to przyjęli. Bez godności, a ktoś, kto nie ma godności, jest nic nie wart.

Pomyślał, że trzeba stąd odejść, jak z miasta ogarniętego zarazą. Ona nie odejdzie, aleja muszę. Nie chcę być jednym z "niepokonanych bohaterów". Wiem, na Boga, jak jestem pokonany. Bardziej niż przypuszczają... Tylko to dziecko... to dziecko...

Stał już w chłodnym tunelu i patrzył na trzymany w dłoni bilet. W poprzek brunatnej kartki wydrukowana była niesamowita cena... Skąd ona bierze te wszystkie pieniądze? Na dom, służącą, pielęgniarkę? "Gra na giełdzie nie jest godna oficera". Czyż nie tak się mówiło? Ona zaś pewnie grywa dniem i nocą. Gośćmi jej bywają nie tylko admirałowie. Godzina po godzinie spadali z piedestałów dawni bogowie. Zaś on sam był z pewnością niewyobrażalnym błaznem. A dlaczego czeka teraz na jakiś pociąg? Na owo dudniące monstrum z jaskrawym światłem, zużytym powietrzem, ze zniszczonymi twarzami wpatrzonymi prosto w pustkę? Czemu niemal co wieczór czeka, by bez sensu jeździć po tym mieście, którego nienawidził?

Całymi godzinami, wzdłuż i wszerz? Miejską koleją, autobusem, tramwajem? Przez dzielnice nędzy i obok pałaców (bardziej jednak nędznych niż tamte), przenosząc spojrzenie z twarzy na twarz jakby w poszukiwaniu czegoś przerażająco zagubionego? Czyżby nie mógł już znieść samotności? Może czynił tak, żeby właśnie wśród wyklętych i zagubionych być samotnym i pozbawionym nadziei? Inni kupowali swoje narkotyki, można je było dostać na ciemnych rogach ulic i w mrocznych pasażach. On jednak jeździł i jeździł, wysiadał i znów jechał dalej, odurzony bardziej niż tamci, ale wciąż mając w sercu lodowaty lęk, od którego nie mógł uciec; i nie potrafił znaleźć tego, czego szukał: jakiejś twarzy, zrozumienia, spokoju... Sam nie wiedział.

— Teraz i to się skończy — powiedział głośno. Niekiedy rozmawiał sam z sobą.

Nie spojrzał na oświetloną tablicę i nie wiedział, dokąd wiezie go pociąg. I nie chciał wiedzieć. Siedział w kącie, schludny, wyprostowany i błądził wzrokiem od twarzy do twarzy. Niektóre były mu znane od dawna: twarz człowieka o drewnianej nodze, sprzedającego sznurowadła; stał on potem koło wielkiego kościoła; jadącej na swój występ aktorki, z której twarzy można było odczytać, że tego wieczoru będzie swoją rolę grała po raz setny albo dwusetny; twarz fabrycznej dziewczyny z czerwoną kokardą, i leciwego jegomościa, całego rozdygotanego, poza monoklem połyskującym jakby w trupim oczodole.

Drzwi otwarły się i znów się zatrzasnęły, niby pułapki zamykające się za uwięzionymi. Potem zawył silnik i podziemne lampy zaczęły przesuwać się jak

poprzerywana taśma. Następnie pociąg wyjechał na powierzchnię i spośród zwietrzałych ścian domów wyskoczyły ulice i okna, a strzępek jakiejś świetlnej reklamy wystrzelił ponad dachy, jakby w ucieczce. Potem znów zadudniły ściany tunelu, przez na wpół otwarte okna napłynęło piwniczne powietrze, w szybach odbiły się blade twarze, na podobieństwo nadpływających i odpływających za szklaną ścianą martwych ryb niesionych niewidzialnym prądem.

Niekiedy Thomas zauważał marynarski mundur, zamieniony zużyciem w cywilne ubranie i przypatrywał mu się na wpół zamkniętymi oczami. W twarzy tego, który go nosił, dostrzegał osamotnienie wyłaniające się spod wyrazu buntowniczego triumfu, tęsknotę za tym, by znaleźć się wśród wielu takich twarzy, w zbiorowisku dającym azyl, gdzie można się schronie i ukryć w anonimowości.

Wysiedli już ci, którzy udawali się do swoich zajęć, i ci, którzy chcieli zapełnić pustkę godzin; ów mężczyzna z drewnianą nogą i aktorka, i jegomość z monoklem. Pociąg pędził na północ, zjawiły się nowe twarze, znękane, zniszczone, spustoszone. Było to tak, jak gdyby ów pociąg pochłaniał żniwo ostatnich lat, zeschnięte i spiesznie związane snopy; matki zapatrzone przed siebie, tak jakby patrzyły na groby, na osiadłe, rozpadające się krzyże; dzieci będące gośćmi w godzinie wykradzionej nienawiści i występkowi; obcy, którzy kreślili nieczytelne znaki na brudnych kartkach; kaleki, wiele kalek, krwawych świadków wielkiej ofiary, patrzących nienawistnie na tych zdrowych, a którym mówiono, że są bohaterami. Zdarzało im się, że ze spojrzeń tamtych, zdrowych, odczytują, iż są uważani za błaznów, za uciążliwą masę, którą trzeba wlec za sobą na drodze ku nowemu celowi.

Thomas zamknął oczy. Był zdrowy, prosty, dobrze przyodziany. Czuł się jak człowiek w trupiarni, mogący wstać i wyjść, podczas gdy ci inni, przepełnieni nienawiścią, wiją się na swoich legowiskach i usiłują go zatrzymać swoimi na wpół zgniłymi kończynami. Wszyscy powinni umrzeć, byle nie umarł żaden z nich. Nikt nie powinien być bogaty, a ten kto był zdrowy, okazywał się grabieżcą.

— Czy ma pan rendez-vous? — zapytał siedzący naprzeciw mężczyzna. Cienka skóra na jego wykrzywionej twarzy była napięta niby na drucianej konstrukcji, a Thomas pomyślał, że gdy zastuka w nią palec śmierci, zadźwięczy pewnie wysokimi tonami. Pytanie było jednak złośliwe i drwiące, przepełnione nienawiścią przegranego.

— Tak, z aniołem — powiedział szybko Thomas.

W spojrzeniu tamtego uwidoczniło się zmieszanie, szybko przebiegł wzrokiem po oknach, nad którymi widniały ujęte w dziecinne wersy ostrzeżenia przed wypadkiem. Potem powoli odwrócił się z powrotem.

— Nie ma już aniołów — powiedział, a w jego głosie zabrzmiało znużenie i beznadziejność.

Włączyły się hamulce i Thomas wstał.

— A jednak — odezwał się, przechodząc — anioły jeszcze istnieją^ tylko nie noszą już oręża.

— Był przysypany... — zamruczał jakiś głos, kiedy Thomas już wysiadał.

Skręcił w boczną ulicę, która niby niekończąca się sztolnia zdawała się biec ku dalekiej pustyni. Nad dachami wisiał zielonkawy księżyc, niepewny jak wszystkie światła tego miasta. Wśród ścian rozlegały się kroki ludzi i można było dosłuchać się takich, którzy mieli jeszcze drewniane podeszwy. Światła za oknami były mdłe, a gdy rozwierała się brama wiodąca na podwórze, wionęło stamtąd stęchlizną jak z cmentarza, na którym więdną wieńce. W dali chrypiały gramofony, jakby wytłumione mokrymi płachtami, a już zupełnie daleko i wysoko, ponad niewidocznymi dachami, obracało się dookoła osi porozrywane kolisko rozbłyskujące to zielono, to znów czerwono. Wyglądało jak zniekształcony sygnał dochodzący z nieskończoności.

Thomas szedł ulicą, trzymając ręce w kieszeniach, kapelusz zsunął do tyłu. Przeszedł tę ulicę, potem następną i jeszcze jedną. Place jaśniały i pozostawały za nim, mijał ogrody za rozsypującymi się murami, wstęgę szyn, autobus, który niby ognisty smok zniknął w jakiejś jaskini. Lubił tak iść. Nie znajdował w tym radości, był jak statek gnany wiatrem. Zmarnotrawiono pięć lat. Wojna była próbą, której nie sprostał. Nie sprostało jej wielu, ale to żadna pociecha. Teraz chciał zacząć od nowa i to odróżniało go od tych wielu. Nie wiedział jeszcze, gdzie miałby zacząć, ale miał nadzieję, że wkrótce się dowie. Może tutaj, a jeśli nie tu, to w jakimś odmiennym miejscu.

Wiedział, że inni studiują lub pracują w banku czy fabryce, tego jednak nie chciał, bo nie byłby to nowy początek. Wyrzucili go za burtę, kiedy sięgnął po flagę. Zamknęło się nad nim morze i tylko cudem ocalał. Anioł spojrzał nań i odszedł, ale on go jeszcze spotka. Może za kolejnym narożnikiem, tam gdzie ponad trotuarem błyszczy biały szyld. Może koło globusa stojącego przed jego książkami, a może dopiero w obliczu śmierci. Jednak spotka go. Patrząc na matowe gwiazdy, zauważył,

że idzie ku wschodowi, świadczył też o tym wygląd miasta. Tutaj wojna rządziła bardziej srogo niż w innych dzielnicach. Domy były jakby nadżarte przez trąd, okna oślepłe, twarze ludzi zniszczone, a ci, którzy wymykali się z bram na ulice, mieli ziemiste czoła i cichy krok, jak na opustoszałych bitewnych polach. Zagadywały go dziewczyny i towarzyszyły mu przez chwilę, jemu zaś zdawało się, że patrząc w ich oczy, widzi otchłań. Złym albo ordynarnym słowem częstowano go rzadko, ale ono też brzmiało tak, jakby dochodziło spoza zatrzaśniętych drzwi. Nie bał się, bo niczego nie posiadał. Był tak samotny jak i ci odtrąceni, żyjący w suterenach i oficynach, to zaś, co uznawali za jego stan posiadania, miało dla niego taką wartość, jaką oni przypisywali powietrzu, którym oddychali.

Nie chciał poddawać ich próbie ani ich nawracać. Pragnął tylko poznać świat, którego nie znał. Wiedział wszystko, co mówiono, o czym myślano i czego pożądano w jego domu, za ciemnymi zasłonami. Od tego nie przybędzie mu ani chleba, ani wina. Tego, co jest tu, jednak nie znał, a chciał poznać wszystko, całą Ziemię, taką jak tamta, kulista i milcząca, która unosiła się przed jego regałem z książkami. Bitwy i walka nie mogą przecież stanowić wszystkiego. Gdzieś tam, na Ziemi, wloką się zerwane lejce owego wozu i trzeba iść tak długo, póki człowieka nie omiotą i będzie można podjąć próbę uchwycenia ich części. Trzeba było próbować znaleźć sens, nie wszystkiego, nie rozwiązania, nie tego, co ostateczne, ale cząstki sensu, cienia zamysłu, a potem należałoby jeszcze raz zacząć w imię boże.

Droga wiodła przez wiadukt rozpięty wysoko i szeroko nad torowiskiem. Na wschodzie, wśród nocy, dogasały stopniowo światła; widział pociągi dalekobieżne wpadające pędem w głuchą ciemność zalegającą już nad polami i lasami. Ku zachodowi zaś białe, czerwone i zielone światła semaforów zbiegały się niby u wejścia do portu. Po dłoniach, które oparł na zimnym żelazie poręczy przeciągał łagodny powiew i wszystko znów było takie jak u obcych brzegów z na wpół przygaszonymi latarniami, gdzie sterowało się według mylących świetlnych nabieżników, a pod gwiazdami nieba czaiła się milcząca, lecz czujna śmierć.

Potem usiadł na górnym piętrze autobusu. Świetlne reklamy stały się liczniejsze, dziwaczniejsze i bardziej migotliwe, ulice ożywiły się, przed marmurowymi portalami portierzy stali niby królowie, a ponad głowami tłumu wznosiły się barwne ręce trzymające gazety. Ochrypłe głosy krzyczały o plonie dnia, o giełdowych kursach, morderstwach, strajkach i rewolucjach.

Thomas wysiadł i dał się ponieść masie, która wchłonęła go niby nurt kroplę. Przy płotach ogródków, przed domami, kulili się kalecy, a ich monotonne wierszyki wbijały się w ciżbę jak tępe noże. Brzęczały pieniądze, a większość dłoni tych, którzy je dawali, cofała się szybko, tak jakby okupili się skamieniałemu obliczu wojny, ciągle jeszcze spoglądającemu znad dachów. Z zalanych światłem sieni od czasu do czasu wyłaniały się szerokie kapelusze Armii Zbawienia; twarze spozierające spod nich wyglądały spokojnie i obojętnie, tak jakby zaraz na progu starły z siebie drwinę lub współczucie, z jakim spotkały się tam wewnątrz. Thomas uśmiechnął się na moment, kiedy naszła go myśl, jakie też miny mieliby, gdyby zjawił się w domu jako oficer tego zbawczego wojska, Armii Zbawienia. Thomas, boży porucznik. Bóg oddalił się, ale zjawili się prorocy. Wyszli z wszystkich piwnicznych lochów, wznosili z trybun nagie, zniszczone ręce, w parlamentach obwoływali królestwo miłości, wydzierali gwiazdom mądrość i los, ale anioł, który był nosicielem przeznaczenia i znał je, odszedł.

Policjant w białych rękawiczkach zatrzymał ruch na skrzyżowaniu. Ktoś zawołał Thomasa, podszedł więc niechętnie do stojącego samochodu. Był tam kolega z ostatniego okrętu; teraz przesunął się na bok, żeby zrobić mu miejsce. Thomas jednak pokręcił głową. Nie, bar to nie dla niego, woli zostać na świeżym powietrzu. Co porabia? O... nic... czeka. Tamten uśmiechnął się.

— Powinieneś przyjść do mojego banku — powiedział. — Tam, mówię ci, robi się pieniądze, a wszystko wygląda tak jak jakaś nocna bitwa. Nigdy nie wiesz, jak na tym wyjdziesz, ale jak wyjdziesz, to z korzyścią. Czy mam ci, Thomas, dać kilka pewnych typów? To przyniesie więcej niż całoroczna pensja.

Thomas podziękował i za to. Nie chciał. Droga zwolniła się i samochód powoli ruszył.

— Trzymaj się, Thomas! Do następnego razu...

Przez chwilę patrzył na odjeżdżające auto, potem skręcił w uliczkę prowadzącą do metra. Nagle zapragnął popatrzeć na rzekę, mroczną wodę, w której odbijają się maszty, a w górze świecą gwiazdy. Nie, sukces nie mógł być tym, co ostateczne. Także i gracze osiągają sukces, ale życie ich nie trafia do książek, z których dzieci uczą się, jak należy żyć. Tamten był dobrym oficerem i dobrym kolegą, kiedy jednak zdejmuje się mundur, należy być kimś znaczniejszym, bo życie stawia większe wymagania niż okręt wojenny. Znowu poczuł niepewność i przez chwilę myślał, że dobre mogłoby być wypisywanie adresów albo roznoszenie paczek, cokolwiek bądź, co poruszałoby krew w palcach. Dla młodych dłoni nie istnieją lata świętowania.

Zatrzymał się przed kwiaciarnią i przyglądał się wazonom z cieplarnianym bzem. "Gdybym wówczas strzelił — pomyślał — zatłukliby mnie i byłoby wszystko w porządku... Spóźniłem się o sekundę, nie, o pół sekundy... Przegapiłem rozstrzygnięcie i to jest właśnie powodem, dla którego nie przychodzi anioł.

W metrze siedział naprzeciw niego stary człowiek wpatrujący się w kartkę papieru pokrytą kołami i znakami. Włosy opadały mu na kołnierz surduta, stopy tkwiły w dziwacznych, wielokrotnie łatanych butach. "Jakże urozmaicone i pełne cierpliwości są te czasy — pomyślał Thomas. — Czy i ja nie powinienem mieć swojego miejsca i celu? Należy jednak poczekać, aż drgnie igła kompasu...".

Tamten człowiek rozejrzał się z westchnieniem i wpatrzył się w Tho-masa. Miał dobre oczy, trochę wodnistobrunatne, trochę zdziwione oraz badawcze. Thomas myślał, że tak mogłaby patrzeć krowa, dojona poza kolejnością. Porównanie to przestało mu się jednak zaraz podobać i zarzucił sobie, iż w taki sposób ocenia człowieka.

Mężczyzna uniósł wskazujący palec prawej dłoni i szeptem powiedział:

— Koziorożec, nieprawdaż? Od dwudziestego trzeciego grudnia do dwudziestego trzeciego stycznia, prawda?

Wobec tej niekonwencjonalnej i poufałej zaczepki Thomas zapomniał o swoich dobrych manierach.

— Nie — odparł szorstko i zmienił miejsce.

Astrolog wysiadł na najbliższym przystanku, a kiedy otwierał drzwi, pochylił się i przysłaniając dłonią usta, szepnął do Thomasa:

— U Koziorożca bardzo zagrożone są kolana... A więc odtąd nieustannie zwracać uwagę na kolana, mój panie! — uśmiechnął się przyjaźnie, jeszcze raz ostrzegawczo uniósł palec i zniknął.

Ulica łagodnie opadała ku rzece, a kiedy Thomas zstępował po schodach do obwałowania, pomyślał o kolanach i też się uśmiechnął. Potem ruszył powoli wzdłuż nurtu. Woda płynęła ciemna i leniwa. Trwały na niej migotliwe gwiazdozbiory. U nabrzeży cumowały barki, lśniły deski ich pokładów, a lampy burtowe przebłyskiwały wśród olinowania i masztów. Od czasu do czasu szczekały stróżujące psy; zrazu jeden, następnie wszystkie, wzdłuż brzegu. Potem znów było słychać tylko wodę i łagodny wiatr przeciągający wśród gałęzi brzóz.

— To musiałaby być woda — powiedział Thomas — ale spokojniejsza niż morze... Nie chciałbym już słuchać żadnego przyboju...

Potem długo siedział na jednym z nabrzeżnych pachołków, palił, a następnie ścisnął kolanami bezczynne splecione dłonie. Powietrze było ciepłe, pachniało olszyną i trzcinami. W dali, niemal bezgłośnie, niby piękne sznury pereł, sunęły przez noc rozjarzone wstęgi pociągów. Niebo było jasne jak haftowany jedwab; w pewnej chwili wydało mu się, że słyszy ciągnące w oddali dzikie gęsi. Zapomniał więc o wszystkim, o ostatnich godzinach, o trudnych latach. Siedział niby rolnik na granicznym kamieniu i nasłuchiwał, jak budzi się ziemia. Bez względu na to, ile zniszczyła pożoga, to mu jednak pozostało: możność spokojnego trzymania stóp na chłodnej ziemi i przyglądania się obrotom gwiazd. Również Joachim, tak szybko jak to tylko możliwe, powinien nauczyć się tego, zanim nie zepsują go swoją wątpliwą wiedzą. Podniósł się dopiero wówczas, kiedy zaczął marznąć. Wciąż jeszcze świeciły latarnie, a nad wodę uniosła się leniwie rzadka mgła. Pobliskie miasto wyglądało, jakby było tylko gościem nad tą rzeką. Podczas powrotnej jazdy nikt go nie zagadnął, a potem, żeby nie zastać gości, okrężną drogą ruszył w stronę domu. Jednak we wszystkich oknach było światło. Zawrócił więc. Na pobliskiej kościelnej wieży wybiła północ. Przysłuchiwał się, jak coraz cichszą falą gaśnie ostatni dźwięk. Potem coś mu się przypomniało, przeszedł więc szybko kilka ulic dzielących go od kościoła. Wśród jasnej nocy wznosiła się ku górze ciemna wieża, a w oknie plebani stojącej w głębi dużego ogrodu jaśniały jeszcze dwa okna.

Thomas przekroczył niskie ogrodzenie i ruszył w stronę światła. Okna znajdowały się niemal na przyziemiu, a kiedy żwir zazgrzytał pod jego butami, w krąg blasku wszedł mężczyzna. Był przyodziany ciemno. Thomas pomyślał sobie, że nigdy jeszcze nie widział tak rosłego i zwalistego człowieka. Nie był jeszcze w tym kościele.

— Już późno, panie pastorze — powiedział —jednak chętnie bym z panem porozmawiał.

Duchowny pochylił się w milczeniu, by przyjrzeć się oświetlonej twarzy. Potem cofnął się bez słowa, a Thomas usłyszał, jak ów zstępuje po nielicznych stopniach, by otworzyć wejściowe drzwi.

— Proszę wejść po cichu — powiedział tamten — bo wszyscy już śpią.

Duże pomieszczenie było zapełnione wyłącznie książkami. Między oknami wisiał na szarym krzyżu naturalnej wielkości wiejski Chrystus. Thomas usiadł nieco

zmieszany, bo przestraszyły go rozmiary figury. Pastor zdawał się tego nie zauważać i patrzył nań ze spokojem.

— Niektórzy przychodzą o tej porze — powiedział. — Nie muszą się usprawiedliwiać. Ja zaś przynajmniej wiem, że idzie im o sprawy poważne.

Teraz zaczął mu się przyglądać Thomas. Ojciec pastora mógł był jeszcze chodzić za pługiem, ale zapewne w owym chodzeniu była dociekliwość, która ześrodkowała się w jego synu. Na jego czole i ustach gościło zatroskanie i udręka, nad siwymi gładkimi włosami mogła się jednak unosić aureola, taka jak nad rzeźbą na ścianie. Twarz była skupiona. Jednak szare oczy spoglądały przyjaźnie, stare i wiele wiedzące oczy, pod których wejrzeniem Thomas poczuł się młody i nierozumny. Zanim rozpoczął, westchnął.

— Nie uczęszczam do kościoła, panie pastorze — powiedział tonem usprawiedliwienia.

Tamten tylko uniósł dłoń.

— Zechciejmy mówić o sprawach ważnych — przerwał.

— Biblii też dawno już nie czytałem — ciągnął Thomas. — Od czasu konfirmacji. Służba była ciężka i nie zawsze czysta... Dzisiaj wśród książek znalazłem psałterz, zapewne bardzo stare wydanie, drukowane dużymi czcionkami... Przypadł mi w czasie wojny jako część spadku. Wertowałem go i znalazłem psalm dziewięćdziesiąty. Przypomniałem sobie, od nowa, przynajmniej większą część, jednak jeden wers nie był mi znany. Kiedy czyta się, będąc dzieckiem, można coś przeoczyć, zresztą dzieci on nie dotyczy. Czytamy tam: "Jako słowa niszczeją lata nasze". Zrazu zacząłem go czytać tak jak wszystkie pozostałe, ale zaraz wróciłem do niego i przeczytałem jeszcze raz. A potem nie czytałem już dalej... To było tak jak maszt, który jeśli na kogoś runie, nie pozwala mu się podźwignąć.

Pastor kiwnął głową. Podparł ją prawą dłonią i bez ruchu przypatrywał się Thomasowi.

— Tak — odezwał się — pan oczywiście uznaje za przypadek, że właśnie tamto pan przeczytał. Ja sam, kiedy mi się to zdarzy, a zdarza mi się często, postrzegam to oczywiście inaczej. Wiem, że ów werset czekał, aż nadejdzie jego pora. Rozumie pan? To nie jest tak, że człowiek żyje sobie, a werset sobie i drogi ich, być może, czasem się spotykają. Tak to jest mianowicie, oczywiście tylko według mnie, że werset czeka na swojego człowieka, człowiek zaś na swój werset. Kiedy się to stanie, kiedy nadejdzie

jakiś konkretny fragment życiowej drogi, jakiś upadek albo wzlot, a chociażby jakaś niepewność czy powikłanie, wówczas zjawia się ów werset. W pewnym sensie to on otwiera księgę, on sam się objawia, staje na człowieczej drodze. Wtedy nie można go obejść ani wyminąć. Jest jak oręż, który poraża. Bierze nas w posiadanie... Czyż nie jest tak?

— Tak — odpowiedział cicho Thomas — bierze nas w posiadanie... Tak to jest.

— Teraz powinienem panu rzec, co ma pan z tym począć, prawda?

Ten werset dręczy pana, jest niby łagodny, tępy ból, jest wciąż obecny. Czyta pan coś innego lub idzie pan na wielogodzinny spacer, we dnie albo lepiej w nocy. Czy też myśli pan o bitwie jutlandzkiej* lub o ostatecznym końcu. On jednak zawsze podąża za panem, nie znajduje się już na zewnątrz, w księdze, która została w pańskim domu, gdy go pan opuszczał. On jest już w panu, w pańskiej krwi, głęboko.

I już nie jest pan panem siebie.

— Tak — powiedział Thomas — tak to jest.

— Powinien pan postrzegać to w ten sposób — kontynuował pastor — a raczej byłoby słuszne, gdyby pan to w taki sposób postrzegał, że oto werset spełnił swoją powinność, zbudził się niejako ze swojej martwoty, powstał z martwych dla pana. A teraz pyta, czy zechce pan zrobić to, co do pana należy. Nie chcę nazywać tego "zmartwychwstaniem", gdyż słowo to jest nazbyt wielkie i jednoznaczne. Pytanie brzmi, czy zechce pan ów werset ponownie pogrzebać, zdławić go, przysypać... Tak, powiedziałem "zdławić"! Wtedy będzie się on jeszcze przez pewien czas poruszał, niby owo dziecko u Tołstoja, wie pan?

Nocą, gdy zbudzi się pan ze snu, albo w jakimś towarzyskim kręgu, a może wówczas, gdy będzie się pan przyglądał swojemu synkowi. Poruszy się, będzie jednak milczał, będzie cichy, tak jak poprzednio. Zastukano, pan zaś nie otworzył. Poszczuł go pan psami, a on umarł. Jest dla pana martwy na wieki i nieodwracalnie. To jedna droga. Druga będzie tak samo oczywista, jeśli spełni pan swoją powinność, prawda? Jeśli zaprzestanie pan żyć tak, by lata niszczały jak słowa.

Gdy spełni pan to, werset zamilknie. To znaczy, że przestanie ostrzegać, że ucichnie zawarty w nim zarzut, jego oskarżenie! Nie będzie już dotyczył pana, bo pan go wyzwolił. W baśniach smok przeobraża się w księżniczkę. Tak samo jest w życiu, że

* Bitwa jutlandzka, największa morska bitwa I wojny światowej, rozegrała się 31 maja i 1 czerwca 1916 roku. Niemcy nazywali ją "Skagerrak", bitwą na Skagerraku (przyp. tłum.).

właśnie człowiek przestaje być czymś takim. Że staje się inny, nie zamienia się w świętego ani w jakiegoś proroka, lecz jest po prostu odmieniony. Czyż nie tak?

— Tak — potwierdził Thomas — lecz ponieważ nie można, ja myślę, stać się po prostu... pobożnym albo też uwierzyć, czy jak to się też nazywa...

— Pobożnym? Wierzyć? — Pastor pochylił się do przodu i spojrzał nań zdumiony. — Jak pan do tego doszedł? Należy pracować, pracować! Rozumie pan? Nic, tylko pracować! Tak to się nazywa.

— Ale pan, jako pastor...

Zwalisty mężczyzna wstał i podszedł do olbrzymiej figury Chrystusa. Był tak samo wielki jak owa rzeźba; stali naprzeciwko siebie i z tej samej wysokości patrzyli sobie w oczy.

— On, tutaj — powiedział cicho pastor, odwracając się nieco — przebaczy mi, że tak rzadko wymieniani jego imię. Że oto mówię wciąż o jednym, o tym, czego nam dzisiaj brakuje, o pracy. Również w kościele, właśnie w kościele. Przez cztery lata nadużywaliśmy jego imienia, a teraz powinniśmy przez cztery lata o nim milczeć. Zabiliśmy go i wszyscy powinniśmy pracować, ciężko, postękując, oblewając się potem. I nic, tylko pracować. Później zobaczymy, czy staniemy się godni wypowiedzieć jego umiłowane imię.

— Ale jak pracować, panie pastorze? Jaka to ma być praca? Ja sam, ja...

Pastor uniósł dłoń. Stał odwrócony plecami do okna, tak jakby sam właśnie wyszedł z mroku nocy, niby rolnik, któremu jego zagony nie pozwalają usnąć.

— W tej parafii — odezwał się — mieszkają ministrowie, jak i zamiatacze ulic. Jedni i drudzy nie chodzą do kościoła, ale jedni i drudzy pracują, a praca każdego z nich jawi mi się po równi warta. Jedną mogę dostrzec, gdy wyjdę z domu, drugiej nie mogę zobaczyć, a najwyżej wyobrazić ją sobie albo przeczytać o niej w gazecie. Wierzę również, iż zamiatacz ulic bardziej jest uszczęśliwiony swoją pracą niźli minister. Ma swój odcinek, swoją miotłę i taczkę. Ma granice, poza które się nie przedostanie. Tego tamten drugi nie ma. Końskie jabłka można też łatwiej usunąć niż intrygi i polityczną wrogość, czy co pan jeszcze zechce. Poza tym zamiatacz ulic może zawsze jeszcze mieć nadzieję, że zostanie ministrem, podczas gdy tamten nie ma już żadnej gwiazdki, którą mógłby zdjąć z nieba. Wszystko to jest jednak tym samym, zupełnie tym samym. Nie powinien pan pytać, "jaka praca". Proszę spojrzeć na mój stół! Widzi pan te listy? Tuziny, setki listów pisanych krwią, mówię wyraźnie: pisanych krwią! Pan nie

wie, jak Bóg nas pokarał? Straszliwie i niemiłosiernie uderzył? Ach... — uniósł ręce i załamał je nad posiwiałymi włosami, a jego twarz była przez chwilę bardziej udręczona niż tamta, owej szarej rzeźby na ścianie.

Zaraz jednak opuścił dłonie i uśmiechnął się, jakby chciał przepraszać.

— To tylko czasem tak — powiedział — i wnet przemija... Panu zaś przypatruję się już od dawna, niemal od pięciu lat, panie von Orla. W tej parafii nic się nie ukryje. Ani to, gdy idzie pan ze swoim chłopaczkiem, ani kiedy wychodzi pan sam, na długo, jakże często samotnie. Kiedy myślałem o panu, zawsze znajdowałem pocieszenie: "On przecież napotka swojego anioła — myślałem. — Ten kto wiele chodzi, kiedyś przecież go spotka". Nie poszedłem do pana, jak to teraz w modzie. Gdy kościoły są puste, pastorzy chodzą do domów, by rozdawać karty wstępu. Nie, nie. Również i chłopi nie czekają, żeby do nich przyjść. Pan też nie chce "bożego słowa", jak się to nazywa. Pan chce tylko potwierdzenia, że pańskie życie nie jest dobre. I pomyślał pan sobie, że może wie o tym pastor, skoro i około północy jeszcze czuwa.

— Byłem już koło mojego domu — rzekł Thomas — i zawróciłem dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, że wszystkie okna są rozjarzone, a na dole czekają pojazdy.

— Tak, oni żyją niby Belsazar i jego słudzy... Zawsze tak się działo w takich czasach... Nie powinno się narzekać, tylko wciąż tam być, zawsze być... — skłonił głowę na oparcie krzesła i zaniknął oczy. Rysy jego twarzy zamarły w wyrazie przerażającego znużenia.

Thomas cicho wstał.

— Dziękuję panu, panie pastorze — powiedział.

— Wtenczas powinno się dziękować, panie von Orla, kiedy już o świtaniu nie będzie się odczuwało żalu. A i wówczas najczęściej jest to zbędne. Nam to bowiem nie przysługuje, rozumie pan? Należy się to nielicznym, ja zaś nie jestem jednym z tych niewielu.

Odprowadził go do ogrodowej bramy, zamknął ją za nim i jeszcze popatrzył na gwiazdy.— Dzisiaj byłem u pewnego mordercy — rzekł, prawie już odchodząc. — Tak, nie powinien się pan przerażać, bo takie są moje obowiązki... Jutro jego egzekucja. Posiedziałem u niego godzinę i modliłem się.

Sam, bo on nie chciał się modlić. Nie chciał też wypowiedzieć żadnego słowa. Pomyślałem jednak, że może będzie dlań dobre to, iż znajduje się tam ktoś drugi, nie tylko owe okropne ściany. Kiedy odchodziłem, przyszedł po mnie strażnik, a ja jeszcze

raz popatrzyłem na skuloną postać tamtego, on wyprostował się i powiedział: "To prawdziwe błogosławieństwo, że na tamtym świecie nie będzie żadnych pastorów!". Powiedział to nawet przyjaźnie... Ale, panie von Orla, ile też nasz stan musiał nagrzeszyć, żeby można było rzec coś takiego?

o

Rozumie pan? Nie jest to też jedyny grzeszny stan, proszę mi wierzyć. Nikt z nas nie wie, na ile ponosi winę za to wszystko co się dzieje. Wszystko. Słyszy pan? Tak, wszystko...

Następnie ruszył w stronę jaśniejących okien, a Thomas zauważył, że masywne barki odchodzącego przygarbiły się.

"Potem powinien pójść do niego Joachim", pomyślał, idąc wolno ulicą. "Kiedy już zacznę pracować, a z pewnością nie będzie to tutaj, powinien od czasu do czasu zachodzić do niego, posiedzieć w tamtym dużym pokoju, przyglądać się, jak jego twarz żyje wśród wszystkich umarłych, którzy nas otaczają".

Gdy wszedł po schodach, siostra Beate stała już w drzwiach mieszkania.

— Wielmożna pani jest chora — szepnęła zmieszana — nie wiem, co jej dolega.

Wszedł, nie zdejmując płaszcza. Spiesznym spojrzeniem omiótł duże pomieszczenie, stoły zastawione szkłem i popielniczkami, fałdy na dywanach, pomięte poduszki na kanapach i fotelach. Po czystym powietrzu nocy zastały papierosowy dym przyprawił go o mdłości.

— Proszę otworzyć okno, siostro — powiedział cicho. Potem podszedł do kominka, na którym jeszcze gorzał płomień.

Jego żona kuliła się w jednym z głębokich foteli. Podkurczyła nogi, głowę odrzuciła na oparcie. Jej twarz była blada i znużona, zmarszczone czoło pokrywały drobne krople potu. Kiedy wyciągnął dłoń, by położyć ją na jej włosach, otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Wzrok miała zmętniały i prawie nieprzytomny, uśmiech przypominał zniekształconą maskę.

— Thomas — wyszeptała z trudem. Była pijana.

Powstrzymał dłoń wpół drogi i nieruchomo wpatrywał się w jej twarz. Czuł, że jego ciało tężeje, a usta cierpną od smaku goryczy. "Za to wszystko co się dzieje, tak, za to wszystko...", przebiegło mu przez myśl.

Zanieśli ją do sypialni, Thomas posłał pielęgniarkę po szklankę podgrzanego mleka. Stanął w nogach łóżka i czekał, aż wróci.

— To lekkie zatrucie — stwierdził. — Po tym zrobi się jej lepiej, rozumie pani? Gdyby się pogorszyło, proszę mnie zawołać! — Patrzył prosząco w jej oczy, aż zrozumiała.

— Sama już wszystko zrobię, panie kapitanie — odparła.

W swoim pokoju usiadł na wąskiej kanapie i podparł dłońmi głowę. Wiedział, że nie ma dla niego nadziei. Poplon wojny był tak samo niemiłosierny jak i jej krwawe czasy. Jeszcze przed dziesięcioma laty uwierzyłby, że musi zatonąć wraz z okrętem. Teraz już w to nie wierzył. Jego ojciec nie uwierzył w to nigdy. "Jeśli mężczyzna pozwala kobiecie wciągnąć się w toń, Thomas, przestaje być mężczyzną!". Stali nad zwłokami furmana, który utopił się, bo oszukała go żona. Thomas nosił jeszcze mundur kadeta, ale ojciec wziął go ze sobą, żeby mu tamto pokazać. Widział ojca, jak stał z obiema dłońmi wspartymi na lasce i ponad zmarłym wpatrywał się w zielone pola. Białe obłoki wlokły mroczne cienie ponad świeżą runią, w oddali słychać było klepanie kosy. "Przypomnisz to sobie, Thomas — mówił ojciec — kiedy przyjdzie czas, w którym nasze życie nie będzie należało ani do nas, ani do kobiet, do nikogo z nas...".

Teraz przypomniał sobie. To, że ojciec umarł tak wcześnie, nie było dobre. Z gościnnego pokoju przyniósł sobie poduszkę i kołdrę. Zanim zgasił światło, jeszcze raz podszedł do globusa. Przyłożył palec do szczytów Himalajów i pchnął lekko w bok. Wielka kula, cicho szumiąc, zaczęła obracać się na swoim łożysku... Góry, doliny i morza z cichym odgłosem przesuwały się przed jego oczami. Wyłaniały się i znowu ginęły; barwne plamy, sieć linii, światła, brzasku i mroku, a on stał pochylony, nieco zadziwiony, i jakby stojąc na jakiejś obcej gwieździe, przyglądał się, jak w dali przesuwają się poprzez lodowatą przestrzeń kosmosu stare ojczyste strony, a wszystkie wypełniające się tam losy jawią się obco niby baśń z dawno minionych dni.

Potem obroty spowolniały i zamarły.

Przed jego oczami rozpościerała się ojczysta część Ziemi, a na jej wizerunku nie było widać pożarów i spustoszeń ostatnich lat. Lądy i morza spoczywały w spokoju, błękitne i wąskie rzeki rozciągały się na nierównej powierzchni; a obraz miasta, w którym żył, tkwił jako małe ciemne kółko między wodą i lasem. Ku wschodowi rozciągały się wielkie puste równiny, coraz bardziej puste im dalej biegły za nimi jego spojrzenia, aż po pokaleczoną granicę państwa. Tam, gdzie nagromadziły się błękit i zieleń, wzrok jego zatrzymał się jeszcze raz, zanim bezkres nie schował się za krzywizną kuli.

Rozdział 2

Thomas jechał całą noc i pół dnia, aż wysiadł na małej stacyjce. Z wagonu bagażowego odebrał rower, za budynkiem dworca zajrzał do mapy, umocował plecak i drogą obsadzoną brzozami ruszył ku błękitnym i wielkim lasom, które zamykały świat od południa. Chociaż kraina była niepodobna do jego marchijskiej ojczyzny, wydawało mu się, że nocą przejeżdżał ponad obcymi ogromnymi rzekami. Tego, co teraz ujrzał, nie mógł porównać z żadną z okolic, które przemierzył w życiu.

Kiedy tak jechał, niemal bezgłośnie, przy bocznym wietrze, przeszkadzającym lub pomagającym zależnie od skrętów szosy, próbował dociec, dlaczego w tych stronach jego oddech staje się lżejszy, mimo że na pierwszy rzut oka pejzaże zaprezentowały mu się jako surowe, a nawet posępne. Zauważył, że powietrze było tu ostrzejsze, że rozwój roślinności, a co za tym idzie i wygląd pól, jest opóźniony w stosunku do jego rodzinnych stron, że zabudowania i wsie są biedniejsze i trochę chaotycznie rozlokowane w otaczającej je przestrzeni. Drogi i ścieżki wydały mu się z kolei bardziej bezludne, narzędzia prostsze i bardziej zużyte, a do tego wszelkie wymagania skromniejsze, tak jakby bardziej niż w innych okręgach Rzeszy panowała tu sama ziemia, niechętna i zamknięta przed ludzkimi wymaganiami, tak jakby człowiek zdany był tutaj na własne siły i swoją wewnętrzną wartość, pozbawiony bezkrytycznego oparcia w liczebności, która gdzie indziej — zwłaszcza w miastach — tak łatwo i tak fatalnie stawała się jego udziałem.

Przede wszystkim jednak bardziej rozległe i ogromne ponad zwykłą miarę wydało mu się niebo. Po jego sklepieniu ciągnęły stada obłoków, lecz nawet one były bez trudu uładzone w niezmiernej przestrzeni, a ich ociężałe cienie nie zderzały się ze sobą na wciąż jeszcze brunatnych polach. Na pagórkach, wśród łanów, stały pojedyncze drzewa bez ograniczeń rozprzestrzeniające swoje konary albo pochylone w jedną stronę przez ciągle wiejące wiatry, a że niemal wszystko to rosło pod pustką nieba, bez żadnej osłony, wizerunek pól nosił wyraz zgrzebnej dumy, tak jakby istniały one wciąż tak samo jak na początku Stworzenia i nie przechodziło po nich nic poza wiatrem czy deszczem albo chłodnym słońcem.

Również pokrzykiwanie ptactwa wydawało mu się dźwięczniejsze i bardziej niepohamowane, nigdzie też, jak stwierdził, nie widywał tak wiele drapieżnych

ptaków, które obserwując otoczenie, zawisały nad polami lub krążąc, wznosiły się ku słońcu. Widok ich wiązał się jednak coraz bardziej z wizerunkiem wielkich lasów, ku którym jechał, jawiących mu się jako właściwa ostoja tego wszystkiego, co igrając lub poszukując zdobyczy, poruszało się pod niebem.

Nawet jeśli nie doszedł jeszcze do upragnionej jasności myślenia, a źródło poczucia wolności pozostawało wciąż utajone, uznał jednak z radością, że oto całym jestestwem zwrócony jest ku przyszłości, że dąży do tego, by wchłonąć w siebie to nadchodzące nowe, a wszystkie myśli, nad którymi łamał sobie głowę w ostatnich dniach, a nawet podczas nocnej podróży, rozwiały się za nim niby mgła.

Tymczasem oblicze lasu ukazywało mu się coraz większe, bliższe oraz wyraźniejsze i wydawało się, że dopiero tam ukryte jest to, co składa się na istotę tej okolicy, a jeszcze i to, na czego poszukiwanie wyruszył. Już z daleka można było rozpoznać, że milcząca powaga tego miejsca nie jest jednak pozbawiona określonej radości kształtów, ba, nawet więcej, że przez nieobecność wiosek, pól i kęp zarośli wszystko zbiega się w jedno zespolone zjawisko, rozmiarami dające się porównać z morzem albo wysokimi górami, i to nie tylko ze względu na wymiary, ale właśnie z powodu swojej masy i wywoływania wrażenia ustronności.

Teraz dostrzegał już strzelistość szarych bardzo wysokich pni stojących zwarcie jeden obok drugiego, bez ozdobnego podporządkowania obowiązującym liniom, a ponad nimi łagodnie sfałdowany rąbek koron, wyoblonych na kształt najstarszych gór. Zbliżając się, dostrzegał wprawdzie coraz bardziej poszczególne detale, jak choćby świerkowe młodniki, podobne z oddali do lasu rosnącego w kotlinie, jakiś grabowy gaj albo stok porośnięty młodymi brzózkami, wśród których tkwiły ciemne jałowce, ale zaraz zwierała się szara ściana i znów się rozstępowała, by wpuścić drogę, ogarnąć ją i niejako natychmiast wchłonąć.

Thomas zsiadł z roweru i z wysokiej skarpy jeszcze raz popatrzył za siebie. Usiadł na pniaku, wokół kwitły już błękitne gwiazdki przylaszczek, powoli nabił krótką fajkę, a kiedy dym popłynął z lekkim wiaterkiem ku drzewom rosnącym za nim, jeszcze raz pełniej wchłonął w siebie okolicę, przez którą przejechał, wprawdzie z większym spokojem, gdyż droga biegła tylko nieco pod górę, ale teraz wszystko to, co przedtem wyłaniało się skrawek po skrawku, tworzyło całość.

Do jego świadomości przenikała kojąca i uszczęśliwiająca pustka wielkiej przestrzeni, rozciągające się daleko i zanikające rozedrganie konturów, ubóstwo osiedli, spokój przestworu i nieskończona rozpiętość horyzontu. Próbował wyobrazić

sobie, jak też przeobrażałby się ten obraz pod wpływem zmian pór roku, jak on sam by to znosił albo stawał się przez owe przemiany niepewny, czy zachowałaby się pamięć pierwszego wrażenia, gdyby z wędrowca stał się mieszkańcem, a zamiast widza uczestnikiem. Lecz i z tego punktu widzenia rozciągający się przed nim obraz napełniony był tą samą mocą i spokojem, a gdy odwróciwszy się na swoim siedzisku, przeniknął wzrokiem przez mnogość drzew w głąb lasu, gdzie słońce rzucało wąskie smugi światła na mech i jagodniki, gdzie rozjaśnione czerwienią pnie coraz bardziej pogrążały się w błękitnawym mroku, a stukanie dzięcioła nie rozbijało ciszy, lecz pogłębiało ją, uwierzył, że będąc w szczytowym punkcie swojego tak bardzo obfitującego w cięgi życia, jeszcze raz dostrzega znajdujący się w zasięgu ręki spokój i szczęście dzieciństwa, że należy ufnie doń powrócić, by wraz ze spokojem tej krainy odzyskać to wszystko, co wówczas jawiło się radosne, łatwe i niezmienne. I chociaż wiedział, że człowiekowi nie jest dana możliwość takiego powrotu, że każdy okres życia powinien osiągać własny spokój, oddał się chętnie, na chwilę, owemu marzycielskiemu spojrzeniu wstecz, nawet jeśli był świadomy tego, że już następne dni przyniosą swoje wyzwania.

Jeszcze raz zatrzymał się na tamtym dniu, kiedy z jednego z lesistych pagórków pierwszy raz popatrzył na rozciągające się po prawej i po lewej stronie drogi wielkie wodne obszary, na których, podczas owego wieczoru, kiedy to obracał globus, spoczął jego wzrok. Rzeczywisty ich obraz był inny, ale z jeszcze większą mocą niż wówczas wróciło wrażenie, że stoi nie tylko u granicy państwa. To, co rozciągało się wśród lasów, błękitne, a na zatokach pokrytych jeszcze szarym lodem obrzeżone spłachciami brązowych trzcin, rozbrzmiewające żałosnym nawoływaniem perkozów, wydało mu się, po owych rozpłomienionych, a potem mrocznych latach krainą, która oparła się wszystkim tamtym zdarzeniom, tak jakby była pokryta lodowymi górami, teraz zaś wyłoniła się na światło dnia w swej nieskalanej i surowej czystości. Wydawała mu się niepodobna do innych krain Rzeszy, nie była kartą, na której pisała ręka człowieka, kreśliła, wymazywała i pisała od nowa, ale czymś nienaruszonym, na czym mógł się zdarzyć początek, a nie jakaś powtórka, poprawka, sprostowanie, lecz właśnie początek, pierwsza bruzda, ponad którą będą zbierać się wszystkie podniebne ptaki i przypatrywać temu, co dokona się po raz pierwszy za sprawą ręki człowieka.

Pomyślał o swoim dziecku, że będzie musiało wzrastać tam, pod opieką wprawdzie, ale wśród widoków rozkładu i odurzenia, że musiał zostawić je tam na

kilka lat. Ale kiedyś stanie z nim tutaj albo w podobnym miejscu, żeby pokazać, dlaczego trzeba żyć wszędzie na ziemi, wszędzie tam, gdzie jeszcze trudzą się ludzie.

Dopiero o zmroku dotarł do leśnej przydrożnej gospody, którą wskazywała jego mapa. W całym swoim życiu nie widział z bliska takiej biedy i takiego upadku, a jednak wydało mu się to dobrym i korzystnym preludium do podróży, która przecież, miał nadzieję, nie powinna pozostać tylko podróżą. A że swój pokój zastał wysprzątany, a do tego z widokiem na młodniki, ze wszystkiego był zadowolony i tylko poprosił, żeby wolno mu było posiedzieć w kuchni podczas przygotowywania jadła na ogniu. Po niejakich oporach zgodzono się na to.

Przy kuchennym piecu krzątała się milcząco kobieta, a dwoje siedzących na ławie dzieci, mniej więcej w wieku Joachima, przyglądało się gościowi, podczas gdy mąż stał za stołem, odwrócony plecami do okna, i dopiero po wyrażeniu zgody podjął pracę nad niewielką siecią, w której z pomocą drewnianej kleszczki zaciągał nowe oczka. Ubrany był jak ludzie, których Thomas widział po drodze. Nosił wysokie buty i szary, sztywno utkany przyodziewek; nawet w ciepłym pomieszczeniu nie zdjął z szyi chustki, której oba końce zwisały znad kołnierza. Twarze owych ludzi wydały się Thomasowi apatyczne, znużone i niejako uformowane przez ową wielką nizinę, która za lasami i jeziorami rozciągała się aż po Azję.

Na pierwsze, nieporadne pytanie gospodarza Thomas odpowiedział, że tak, że był na morzu, że pływał całe życie jako sternik na wielkim parowcu. Jednak już z tym skończył, a w miastach mu się nie podobało, bo tam wiatr, zamiast słonych i spienionych morskich fal, gna przed sobą tylko kurz i strzępki papieru. Postanowił więc rozejrzeć się po tej krainie, czy też nie znalazłaby się jakaś rybacka dzierżawa, która dzięki ciężkiej pracy mogłaby zapewnić mu utrzymanie, a choćby tylko samo jedzenie, bo drukowany pieniądz coraz szybciej staje się zdatny tylko na podpałkę.

To jest chyba możliwe, powiedział powoli mężczyzna, a nawet jeśli nie wie o niczym takim w okolicy, tym bardziej że wszystko jest tu już w czyichś rękach, może mu podać kilka nazwisk ludzi znad jezior, gdzie powinien popytać, a i znaleźć radę. W okolicy panuje znaczny niepokój, nie tylko ze strachu przed Polakami, lecz i tu u nich, jak wszędzie, zdarza się tak, że młodzi ludzie wymawiają służbę i to nie tylko dlatego, że jest tu im nazbyt odludnie, ale i z tej przyczyny, że myślą, iż praca zostanie zniesiona, a przynajmniej nałożona na tych, którzy według ich mniemania nie pracowali nigdy. Również i w tym ich obejściu zostali sami, bo parobek i służąca podążyli do stolicy prowincji, gdzie chyba rozsiedli się już na złotym tronie.

Zastanawiające jest tylko to, w jaki też sposób przy ciężkiej pracy na morzu zachował tak delikatne dłonie. Mimo najlepszych chęci, w które on nie wątpi, niełatwo mu chyba będzie podjąć tak uciążliwe zajęcie.

Wysłuchawszy, Thomas uspokoił go. Zapisał w notesie nazwiska, jakie tamten wymienił, w końcu zaś poprosił, żeby wolno mu było jeść z nimi w kuchni, gdzie jest ciepło, przez co też oszczędzi im fatygi; chciałby od początku przyzwyczajać się do tego świata, który przecież pragnie sobie urządzić.

Podczas posiłku, przed którym kobieta odmówiła modlitwę, zauważył, że należą oni do pewnej licznej w okolicy wspólnoty religijnej, która po trosze obserwuje bieg współczesnych zdarzeń, zaś inni uważają, iż wkrótce dopełni się wizja świętego Jana. Thomas nie zgadzał się z tym, uważał, że naród niemiecki i z tych czasów zamętu znów się podźwignie i opowiedział o swojej wizycie u pastora, który naprowadził go na tę drogę i od którego nauczył się, iż niebezpieczne jest pochopne osądzanie całych klas, stanów czy grup zawodowych, gdyż przecież spośród tej zbiorowości zna się tylko poszczególnych ludzi.

Potem rozmowa zeszła na jego podróże i wojenne bitwy morskie, następnie zwróciła się ku losom i obyczajom tych okolic. Palili krótkie fajki, kobieta trzymała w dłoniach swoją robótkę na drutach, dzieci bez tchnienia przysłuchiwały się jego opowieściom, tak jakby to Sindbad Żeglarz wyłonił się nagle ze znanych im sosnowych borów, żeby wnieść blask w ich życie.

Thomas życzył im dobrej nocy i ze świecą w dłoni ruszył po wąskich schodach do swojej sypialni. Był pełen dobrych nadziei, tak jakby od przeszłości i wszystkiego, do czego przywykł, dzieliły go już całe dziesięciolecia.

Kraina wchłaniała go coraz bardziej. Dzień po dniu jeździł brzegami jezior, od wioski do wioski, często przedłużając pobyt tam, gdzie jak mu się zdawało, coś go zatrzymuje. W tej porze zrównania dnia z nocą pogoda była zmienna, spadały burze i deszcze, a pewnego wieczoru, między szarymi pniami przeleciał nawet białymi smugami śnieg. Potem jednak przewagę uzyskało słońce, wysuszyło drogi i ścieżki, stopniał lód na zatokach, a ponad młodą runią, wysoko w błękicie, zawisły rozśpiewane skowronki. I znowu towarzyszyły mu wielkie lasy, na przemian liściaste i iglaste, niebieszczące się, rozjaśniające i ciemniejące wraz z biegiem słońca, a wraz z nimi czyste powietrze, które oddech czyniło lekkim i przywoływało pamięć beztroskich lat, kiedy przesiadywał wysoko ponad żaglami i morzem na bocianim gnieździe masztu.

Rada człowieka z leśnej gospody okazała się użyteczna, niektóre propozycje uznał za dobre, a nawet kuszące, ale powstrzymywał się przed wyrażeniem zgody, bo wciąż zdawało mu się, że brakuje tego, co ostatecznie decydujące, owego raptownego przyzwolenia serca. To wydawało mu się ważniejsze niż rozsądek i chłodna kalkulacja; wierzył, że kiedyś ono nastąpi.

I tak dziesiątego dnia, przed południem, dotarł szeroką drogą do kamienia milowego, przy którym ścieżka skręcała do leśniczówki i gdzie las poprzetykany brzozowymi zagajnikami i starymi dębami wydał mu się piękniejszy od wszystkich, które dotąd przemierzał. Opuścił więc szeroką drogę, myśląc sobie, że przecież znajdzie nocleg, jeśli nie w leśniczówce, to choćby w jakiejś szopie albo w stogu siana, które tu i ówdzie spotykał na polach między lasami. Powietrze stało się łagodniejsze, przez las przeciągał południowy wiatr niosący ciężką woń wawrzynków kwitnących na osłonecznionych stokach.

Gdy Thomas dotarł do zagrody, przed bramę wyszedł leśniczy. Był wysokim, przygarbionym mężczyzną, w kapeluszu, i o włosach przyprószonych na skroniach siwizną. Spojrzenie jego jasnoniebieskich oczu przenikało Thomasa na wskroś, tak jakby patrzył nie na niego, ale na kogoś za nim, kto niepostrzeżenie stanął na jego śladach. Tho-masowi wydał się on tak samotny wśród milczącego obejścia, że pomyślał, iż nie powinien był go zagadywać i przedstawiać prośbę. Stał w milczeniu, z dłońmi na kierownicy roweru, lewą stopę wsparłszy na pedale, jakby był gotowy natychmiast zawrócić, gdyby tamten dał mu do zrozumienia, że tego sobie życzy.

Wbrew oczekiwaniom leśniczy podszedł jednak do niego, w geście pozdrowienia uniósł dłoń do kapelusza i z miejsca, cichym głosem zapytał, czy aby nie jest on marynarzem. Kiedy Thomas nieco zaskoczony potwierdził, tamten delikatnie ujął go pod ramię i poprosił, by przeszedł się z nim kawałek, a potem, gdy już ogarnął ich las, rzekł, że nie powinien się dziwić, bo każdy trudny zawód ma swoje znamię, nawet jeśli jest nim specyficzny blask oczu i ostrość linii biegnących od nasady nosa do ust. Poza tym on zna się trochę na ludziach morza, bo marynarzem był jego syn; cieszy się więc, widząc tu, w lesie, kogoś kto prawdopodobnie "tam" był.

Thomas odparł, iż rzeczywiście był "tam".

Leśniczy dodał, że właśnie tak sobie pomyślał, a więc gość nie powinien zawracać spod jego domu, bo będzie przyjęty serdecznie. Najpierw jednak powinien towarzyszyć mu na ciągi słonek, bo chciałby na razie pobyć z nim sam na sam. Żona

jest nieco dziwna, może nawet bardzo dziwna, tak jak to bywa po wojnie — zostało wiele dziwnych ludzi, bo nie zechciała ich śmierć opita młodą krwią.

Thomas milczał przez chwilę, osobliwie poruszony sposobem bycia tego mężczyzny, mówiącego tak, jakby przeszedł długą chorobę, cicho i spiesznie, jak gdyby nie wiedząc na pewno, czy otaczają go zwidy wywołane gorączką, czy też już z całą ufnością może mówić, zwracając się do twarzy ze swoich snów, teraz istniejącej już na jawie. Potem Thomas wyjaśnił, kim jest, a więc wciąż jeszcze sternikiem na wielkich parowcach. Powiedział też, dlaczego rozgląda się po tej okolicy. Dodał, że właściwie chciał jechać główną drogą do miasta, ale coś podświadomego spowodowało, że dotarł do leśniczówki. Być może stało się tak, gdyż las wydał mu się tu piękny i swojski, ale możliwe, że zmęczył go południowy wiatr.

Stary człowiek skinął głową z taką pewnością, jakby wiedział lepiej i zauważył, że będą stanowili dla siebie dobre sąsiedztwo. Tego był pewny, całkowicie pewny, nie wątpił, że tutaj właśnie przybysz osiągnął swój cel. O tym jednak porozmawiają później, teraz zaś staną na swoich stanowiskach obserwacyjnych. Tymczasem doszli do skraju niskich młodników i ruszyli ścieżką porośniętą trawą, a w końcu zatrzymali się wśród kilku krzewów jałowca, nad bagienkiem, w którego wodnych oczkach odbijało się wieczorne niebo. Leśniczy przysiadł na swoim zamocowanym do laski krzesełku, Thomas zaś na grubym pniu, który wchłonął słońce całego dnia. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie oglądał lasu tak wielkiego i dziewiczego, że aż mógłby budzić lęk, gdyby nie ustokrotniony śpiew drozdów i obcy dźwięk przelatujących wysoko ptaków ciągnących z wiatrem ponad lasem. Jego myśli wciąż wracały do tamtych słów o sąsiedztwie i od czasu do czasu niezbyt natarczywie przyglądał się mężczyźnie siedzącemu nieco przed nim, który wprawdzie trzymał na kolanach strzelbę, ale jego oczy i uszy zdawały się być dalekie od wszelkich polowań, były zwrócone ku wieczornym obłokom, które wąskie, wydłużone, oblamowane czerwienią płynęły nad północnym horyzontem niby eskadra opuszczająca w milczeniu miejsce parady.

Gdy w końcu jeden po drugim umilkły drozdy, z poczerniałego starodrzewu rosnącego na drugim brzegu zaczął dobiegać od czasu do czasu tylko jeden fletowy ton. Thomas przypominając sobie młodzieńcze lata, pomyślał, że już pora nastroić wszystkie zmysły na polowanie i czekać na głos słonek, który mimo swojej łagodności tak podniecająco zapada w serce myśliwego. Chciał po cichu wstać, ale leśniczy właśnie zaczął mówić, a jego głos pozwolił odgadnąć, że myśli tego człowieka nie przez cały czas krążyły wokół łowów.

Ostrożnie zapytał, czy przybysz nie uczestniczył w bitwie jutlandzkiej, a kiedy Thomas potwierdził, kontynuował: czy może na jednym z pancerników. Choćby na "Seydlitzu".

Na nim akurat nie, ale na jednym z bliźniaczych okrętów, odparł Thomas i zaczął rozumieć, o czym będzie musiał mówić i na jakie pytania odpowiadać. W tym momencie rozległy się pierwsze nawoływania słonek zbliżających się od zalesień ku bagienku. Były coraz bliższe i coraz wyraźniejsze, aż w końcu z wieczornego zmierzchu, dokładnie ponad nimi, wyłonił się cicho chybotliwy kształt, głową z długim dziobem zwracającą się czujnie na wszystkie strony; rozległ się też łagodny, jakby z głębi krtani dobywający się dźwięk... i zaraz wszystko się skończyło, bo już znalazł się za nimi i zniknął.

Thomas zerwał się i wyciągnął rękę w stronę siedzącego przed nim mężczyzny, ale zaraz zawstydzony opuścił ją, gdyż ujrzał z boku jego twarz zwróconą ku zdarzeniu bardzo odległemu od ptaka, który się pojawił, zdarzeniu, które jakby rysowało się na wieczornym niebie.

— Widział pan... ten ogień? — zapytał cichym głosem.

— Tak.

— Z przedniej działowej wieży?

— Tak, wszyscy widzieli.

— Wysoki słup ognia?

— Wyższy niż maszty... Ale nikt tam nie cierpiał, nie odczuł bólu, nikt. To musiało być jak uderzenie pioruna: zauważa się, że trafił, gdy już jest po wszystkim.

— Pan tak mówi, tak też pisali, ale przy tym nie było nikogo, komu ogień opaliłby tylko włosy i brwi, kto mógłby potem opowiedzieć...

Teraz Thomas położył dłoń na pochylonych barkach leśniczego.

— Nie należy o tym rozmyślać — rzekł. — Jak moglibyśmy żyć, zachowywać się dzielnie, przestrzegać ładu, gdybyśmy ciągle to mieli w pamięci?

— Tak, tak... Ja też jej tak mówię, bo z tego powodu stała się dziwna... Ale... on tak bał się ognia, rozumie pan? Gdy był dzieckiem, przydarzyła się mu wstrząsająca historia... Napaliliśmy w chlebowym piecu. Żar został wyjęty, potem chleby. Piekarnik stał w ogrodzie, samotny, na uboczu, tak jak we wszystkich leśniczówkach. Wówczas on tam przybiegł, za psami goniącymi kota, tak dla zabawy. Kot wskoczył do środka, a on roześmiał się i zatrzasnął drzwiczki, nie wiedząc, jak było tam jeszcze strasznie

gorąco. W tej samej chwili ja ustrzeliłem dużego jastrzębia przy ogrodowym płocie, więc on zapomniał o wszystkim, o kocie, piekarniku, psach. Zawsze żył tylko bieżącą chwilą...

Przypomniał sobie dopiero po kilku dniach. Usłyszeliśmy, jak krzyczał.

Tak okropnie, że słyszę to do dziś. Wówczas znalazł kota... A potem sam... w podobny sposób... Woda jest chłodna i głęboka, myślę, że można tam na dnie spać, tam gdzie kołyszą się nieznane rośliny..., ale zostać spalonym w taki sposób, zwęglonym... Ktoś stworzony na boże podobieństwo tak zniweczony, sprofanowany...

Nie odjął dłoni od oczu, wciąż patrzył prosto przed siebie, tam gdzie wieczorna gwiazda łagodnie promieniała nad lasem.

— Nie — odezwał się Thomas zdecydowanym tonem — bo w tym wypadku mówiono panu i napisano nieprawdę. Przyprowadziliśmy postrzelany okręt do portu, a gdy otwierano wieżę, byli przy tym niektórzy z moich przyjaciół... Nic nie zostało tam sprofanowane, tam byli... A gdy ich wynoszono, rozsypali się w proch i pył... Mówię panu prawdę, a pan musi mi uwierzyć!

— Proch i pył — wyszeptał stary człowiek — to lepiej, o wiele lepiej... To tak jak zarządził w Biblii Bóg... Proch i pył, a więc dobrze i nie będę już przeżywał rozterek...

Siedział dalej, póki nad nimi nie zaczął bezgłośnie krążyć puszczyk. Potem ruszyli z powrotem mroczną ścieżką.

— On nazywał się Gruber — powiedział leśniczy. — Valentin Gruber... Ale nie znał go pan? No nie, przecież okręty były takie wielkie...

Żadne z nas nie wie, dlaczego zechciał iść na morze, nie było tam nikogo z naszej rodziny... Zaczarowało go jezioro leżące w pobliżu domu, nie las, tylko jezioro. Sam się pan przekona, że ono rzuca na ludzi czar. On miał na imię Valentin, gdyż jestem katolikiem i został ochrzczony oraz wychowany w mojej wierze. Żona zawsze powtarza, że mamy niewłaściwego Boga i stąd to wszystko wynikło... Niech jej pan o niczym nie mówi ani nie dziwi się niczemu. Ten kto cierpi, usprawiedliwiony jest ze wszystkiego, prawda?

— Tak — odrzekł cicho Thomas.

Stół był już nakryty, kobieta zaś stała przy oknie i wyglądała na dwór. Odwróciła się dopiero wówczas, gdy Gruber oznajmił, że przyszedł gość.

— Serdecznie witamy! — powiedziała, wyciągając rękę. Dłoń była zimna i niemal zdrewniała, głos brzmiał jak pozytywka. Potem opuściła dłoń i przeszła obok Thomasa, żeby przynieść trzecie nakrycie.

Nie spojrzała na niego. Twarz jej nie była przygnębiona czy też skamieniała, ale zgaszona. Była oślepiona, ogłuszona i wydrążona bólem, została z niej tylko skóra, krucha i martwa jak odrzucony kokon larwy.

Kiedy podeszli do stołu, a kobieta złożyła dłonie do modlitwy, Gruber zrobił taki gest, jakby chciał ją powstrzymać, ale w końcu tylko spuścił wzrok. Kobieta popatrzyła na stojący pośrodku stołu koszyk z chlebem, usta jej zaczęły poruszać się, jakby były napędzane jakimś ukrytym mechanizmem. Modliła się:

Ukochany Boże, bądź naszym gościem i spójrz, co nawyprawiałeś. Niech ci smakują wszyscy zmarli, wszyscy poganie i wszyscy pobożni, wszystko też, coś utopii i spalił weź radośnie w swoją dłoń! Amen.

Potem usiadła. Jej znoszona czarna, jedwabna suknia szeleściła przy każdym ruchu, a kiedy podnosiła do ust kolejny kęs, wyglądało to tak, jakby obce, nie do niej należące dłonie karmiły jakiegoś nieruchomego, martwego bożka. Nie mówiła ani słowa, nie spoglądała też na Thomasa. Chyba nie wiedziała, że przy stole siedzi ktoś obcy. O tym zapomniała od dawna. Możliwe, że zwidywało się jej dziecko biegnące z wiosłami przez las, na brzeg jeziora albo widziała ognisty słup buchający z działowych wież, a może widziała postać Boga, ze skamieniałymi rękami, pożerającego swoje trupy. Wykroczyła już poza wszystko co ludzkie i Thomasowi wydało się, że od jej sukni wieje chłodem, jak od grobowego sklepienia. Przeszedł go dreszcz i umilkł.

Po jedzeniu uprzątnęła stół i już nie wróciła.

— Tak to teraz jest — powiedział Gruber, gdy zapalili swoje fajki.

— Siedem lat, mój drogi panie… siedem lat… Inni piliby albo przeklinali, aleja nie mogę. On był przecież moim synem, prawda? A więc i ja jestem winny, prawda? Proszę pana, kiedy tak nieraz idę lasem, mówię do siebie, głośno, długo, żeby przekonać się, czy jeszcze potrafię. Również się uśmiecham, bo przecież tego człowiek nie chce się oduczyć. I rozmawiam z nim, tak jak kiedyś, gdy chodziliśmy razem po lesie. Zawsze był wesoły i często śmieliśmy się. Robię to dlatego, żeby on nie umarł, rozumie pan? On w tym domu wciąż leży na marach, lecz ja tego nie chcę. Zabrała go wojna, a kiedy powiedział mi pan tamto, o prochu i pyle, pragnę na nowo odzyskać pogodę… Dobrze się stało, że przyszedł pan tutaj…

Gdyby to on ich tutaj zobaczył, pomyślał Thomas, przypominając sobie tamtego zwalistego mężczyznę, pastora z miasta, stojącego pod drewnianym krzyżem, lecz i on nie mógłby pomóc... Siedem lat, a ja się uskarżałem...

Poczuł, że niemalże kocha tego starego człowieka, który zapragnął znowu być pogodnym. Włosy opadające mu na czoło były jeszcze czarne, a tylko skronie miał siwe. Już wiedział, dlaczego syn poszedł na morze: zawiniły tu oczy. On musi mieć takie same oczy, oczy, dla których rzeczy były zbyt bliskie i które chciały rozeznać, co kryje się za owymi rzeczami. Sądził, że człowiek uczy się tego na morzu, jedynym żywiole nie mającym pierwszego planu, ale nauczył się tylko tego, że śmierć ma swój dom we wszystkich żywiołach.

— I... nie ma dla niej żadnego ratunku? — zapytał Thomas. Tamten potrząsnął głową.

— Duchowni i lekarze sięgają po środki, które, wie pan, przestały dla niej istnieć — odrzekł leśniczy. — Bóg, obowiązek, dobre chęci i tak dalej. Rozejrzał się ostrożnie. — Jestem prostym człowiekiem — ciągnął po cichu — ale o tym wiem. Są matki i dzieci, którym nie przecięto pępowiny, rozumie pan. Tak było i tutaj. Zawsze stanowili jedność, nigdy nie byli dwojgiem. Kiedy stało się tamto, ona wiedziała.

Przyszła do mnie na podwórze, blada jak trup, i wskazała ręką na las.

"Teraz go oderwali — powiedziała. — Krew ze mnie uchodzi...". No i było tak, że wypłynęła z niej krew... Mój drogi panie, to trzeba zostawić tak, jak jest, ale teraz dobrze się stało, że zostanie pan tutaj i będę mógł posiedzieć czasem u pana... Jak się pan nazywa, drogi panie?

Gdy się pochylił i z uśmiechem spojrzał w oczy Thomasa, twarz rozjaśniła mu się wewnętrznym blaskiem.

— Orla — powiedział Thomas. — Thomas Orla... To nazwisko z Marchii. Czemu pan jednak wciąż sądzi, że zostanę tutaj?

— Jest pan przysłany, drogi panie Orla, tak to muszę określić. Przysłany jako Anioł Pański. Widzi pan, przez te wszystkie lata wątpiłem czasami w Boga. Tak, robiłem to. Ale nigdy nie wątpiłem w świętych.

Od dziecka przebywałem wśród nich, bo w naszej wierze jest się bliżej nich niźli Boga. On znajduje się daleko, przerażająco daleko. Oni jednak są blisko, są przy nas, bo cierpieli tak jak my, a nawet jeszcze bardziej... Wie pan, że Bóg nie cierpi? Teraz owi święci przysłali pana. Zobaczyli, że nie mogę już tak dłużej żyć, więc

przysłali pana i tamte słowa o prochu i pyle. Prawda? To jest jak nowe życie, boja w to uwierzyłem. W zamian znajdzie pan tutaj to, czego pan szuka; u ludzi istnieje związek między dobrym uczynkiem a słusznym wynagrodzeniem. Tutejsze jezioro można wydzierżawić albo tylko objąć stanowisko rybaka. Rybaka, a zarazem strażnika. To spokojne zajęcie, nawet jeśli generał jest dziwakiem... Wszyscy tu są dziwakami... Z tego rybaczenia można się utrzymać, a jeśli jest się prostym człowiekiem, wygodnie żyć. Na wyspie jest domek, naprzeciwko mnie, odległy o strzał z dubeltówki, kryty trzciną, z wielkim kuchennym piecem i szopą na sieci. I lasek tam jest, ładny las, młody, ze świerkami i brzozami, a wśród nich stoją stare dęby o uschniętych wierzchołkach, na których wieczorem zapadają czaple. I jest się samemu, rozumie pan? Człowiek jest zupełnie sam, a dookoła woda i las. Żeby tam do pana przybyć, trzeba łodzi...

— A generał? — zapytał Thomas. Zgasła mu fajka, słuchał tego wszystkiego jak jakiejś baśni. Ogarnął go czar emanujący z tamtego starego człowieka.

— No, do niego należy to wszystko, drogi panie. Zamek i majątek, i jezioro. Biedny człowiek, dwaj jego synowie polegli, a ja obu huśtałem na kolanach. Z nim jest tylko wnuczka, niby anioł w tym mrocznym domu. A pan dostanie to zajęcie, sam mu to powiem. Ten, który ma je teraz, to bolszewik, rozumie pan? Taki, który chce nazywać się "panem", a przecież jego matka kradła z mojego pola ziemniaki. Generała nazywa "krwiopijcą", chociaż każde dziecko wie, że pija on tylko czerwone wino. Tyle że w holu zamkowym stoją armaty, a przy nich dwóch umundurowanych służących. Bolszewicy mówią, że generał chce dokonać zamachu stanu, ale każdy wie, że armaty nie są nabite.

— Moglibyśmy teraz zobaczyć? — spytał Thomas i wstał. — Mam na myśli wyspę i całą resztę... Przecież świeci księżyc, a jutro może to wszystko zniknąć i okaże się, że pan śnił...

Stary człowiek roześmiał się.

— Tamten też był taki — powiedział. — Wszystko zaraz, natychmiast, żeby nie znikło następnego dnia. Nic nie zniknie, drogi panie.

Kiedy człowiek się zestarzeje, wie, że nic nie znika. Możemy jednak pójść... W blasku księżyca to miejsce zarzuci na pana sieci, nawet bardziej niż w dzień. Powietrze pocieplało i na zeschłe liście leżące pod dębami spadło z jakiejś zabłąkanej chmury kilka deszczowych kropli.

— Ktoś tam chodzi? — spytał cicho Thomas.

Nie, nie, to tylko deszcz, no i właśnie czary. Tutaj zawsze brzmi to tak, jakby ktoś chodził po nocy. Nikt jednak nie chodzi, las jest cichy i pusty. Nikt, poza zmarłymi obchodzącymi lądy i morza, a i tego się nie wie.

Księżyc zszedł nisko, stał gdzieś przed nimi, ale widzieli tylko jego poświatę. Niebo było łagodnie nim rozjaśnione, tak jakby światło dochodziło z jakiejś dalekiej bramy, czasem w lesie rozbłyskiwał pojedynczy promień padający przez przerwę wśród gałęzi na wilgotną korę. Hukały sowy, a od wody pokrzykiwał jakiś nieznany ptak. Brzmiało to tak, jakby ktoś pytał o drogę. Ścieżka zbiegała w dół, a potem ukazała się woda. Wyglądała jak pomalowana tafla, ujęta w ciemne, wielokrotnie spękane ramy. Rozciągała się daleko, a w najodleglejszej dali stawała się coraz bardziej szara i matowa, w końcu rozmywała się w czerni. Wąska dróżka księżycowego światła biegła aż do ich stóp. W górze, między ciemnymi bezładnie sunącymi chmurami świeciły gwiazdy. Nie poruszało się nic, nawet księżycowa smuga, a u brzegu, niby włócznie o rozżarzonych ostrzach, stały trzciny. I znów wydawało się, że ktoś chodzi po lesie i wodzie, przyczajony, bez tchu, to z lewej, to znów z prawej strony.

— Ona jest tam — powiedział cicho leśniczy.

W odległości strzału z dubeltówki Thomas dostrzegł wyspę. Była pogrążona w całkowitej czerni martwej tafli. Kontur wierzchołków drzew wyglądał jak płynna blada poświata, a uschnięte konary dębów odcinały się od księżyca niby reje masztów. W ich plątaninie siedziały ciemne, ociężałe ptaki.

— Łódź jest tutaj — oznajmił leśniczy, ale Thomas nie chciał płynąć. Wiedział, że jest to miejsce, w którym będzie żył, a może i umrze. Dostrzegały to jego oczy, a jeszcze więcej mówiło serce. Nie chciał jednak udać się tam jak zaczarowany. Szło o zbyt wiele. Miał czterdzieści pięć lat i potrzebował dnia, żeby obejrzeć wszystko. To wszystko będzie tam również o poranku i dobrze byłoby, gdyby padało i wiał silny wiatr, żeby wszystko wyglądało szaro i prawdziwie.

— Nie, lepiej jutro rano — odrzekł.

Postali jeszcze chwilę i patrzyli. Jeden z wielkich ptaków siedzących ponad wyspą wyprężył się i załopotał skrzydłami. Po wodzie przebiegło chrapliwe wołanie. Potem wszystko znów było takie samo jak poprzednio.

— To czaple — powiedział leśniczy. — Generał ich nie lubi, ale to szlachetne ptaki. Oprócz nich nie będzie pan miał na wyspie nikogo.

— Mam nadzieję, że będzie to dobre — stwierdził Thomas. Potem tą samą drogą ruszyli z powrotem.

Dom był ciemny i Thomas poszedł po schodach ze świecą.

— Obok był jego pokój — oznajmił Gruber. — Ona nie wpuszcza tam nikogo. Panuje tam cisza, ale nie powinien się pan lękać.

Thomas postał jeszcze w otwartym oknie. Nie, nie lękał się. Wszystko ułoży się dobrze, tak to widział. Wie, że czekało to na niego, bo w przeciwnym wypadku pojechałby dalej, szeroką drogą, do miasta. Trzeba się tylko poddać losowi.

Zostawił okno otwarte i po ciemku spojrzał na niski sufit. Tamten duży ptak... Jak rozpostarł swoje ciężkie skrzydła... A potem zapadł w sen... Światło księżyca padało na jego zamknięte oczy... Gwiazdy opisywały swój krąg... Wszystko było tam dobre i spokojne... Tam chciał osiąść i pracować... Nigdy nie był osamotniony... Okręty, ludzie, domy... Nie ma już żadnych ambicji i mniej jest w nim wiary... Jako słowa niszczeją... ale tam naradzi się z sobą, tak samotny jak ów wielki ptak.

Potem zasnął.

Rozdział 3

Obudził go szumiący po dachu deszcz i czyjeś kroki za cienką ścianą. Zauważył to tylko dlatego, że jedna z podłogowych desek poskrzypywała w regularnych odstępach czasu. Odgłos ten przypominał westchnienie, był taki, jaki wydają w lesie ocierające się o siebie drzewa. Za oknem jakby rozjaśniał się nikły brzask, ale to jeszcze musiała być noc. Przedmioty znajdujące się w pokoju nie pokazywały jeszcze swoich konturów. Podniósł się i nasłuchiwał. Kroki musiały być powolne i regularne, a gdy zaczął równiej oddychać, wydało mu się, że słyszy szelest jedwabnej sukni. A więc to kobieta znajdowała się w pokoju syna. Może ona tam sypia? Nie wiedział.

Szumiał deszcz, wiatr nie wiał, a las, nieporuszony, przyjmował spadające krople. Wokół domu trwał jednostajny niski ton, rozległy i kojący niby szum morza. Teraz jednak wmieszał się weń niski i całkiem cichy głos nucący przez zaciśnięte wargi jakąś melodię. Śpiewała kobieta, tak cicho, jak nuci się śpiącemu dziecku, a jednak melodia wyodrębniała się z monotonii deszczowego szumu, gdyż pięła się w górę i opadała w następstwie tonów uszeregowanych odmiennie niż padanie kropli. Było w niej ludzkie wzruszenie, będące nie tyle nawet skargą, co cichym marszem, zabłąkanym jak dziecko na wieczornej ulicy. Thomasowi wydawało się, że zna tę piosenkę, a nawet wiedział, że zna ją tak dobrze jak własne nazwisko, ale w półmroku bladego świtu i wobec nierzeczywistości wszystkich zdarzeń nie mógł jej sobie przypomnieć dokładnie. Sen i przedświt stały się czymś niewyraziście zatartym i gdy nasłuchiwał, skłaniał się do przeświadczenia, że i to wszystko należy do nowego życia. Tamta nucąca kobieta, deszcz; to, że smutku nie tai się tutaj w sobie, tak jak bywa w miastach; że chodzi się, nucąc, po nocy, nie bacząc, czy słyszy to jakiś człowiek, choćby i ktoś obcy, zbudzony tym ze snu.

Pieśń ucichła albo i zespoliła się z szumem deszczu i tylko wciąż rozlegał się skrzyp desek, brzmiący tak, jak gdyby dwie sosny w lesie ocierały się o siebie, drżąc w porannym powietrzu. W końcu było tak, jakby ktoś zaśmiał się cicho za ścianą, człowiek pozostający sam ze sobą, zupełnie samotny, któremu ten cichy dźwięk wyrwało z piersi jakieś wspomnienie.

Gdy się to działo, Thomas chyba już spał. Później, rano, nie zastał nikogo w izbie na dole, ale obok śniadania leżała karteczka od leśniczego, żeby zechciał

popłynąć na wyspę (łódź stoi przy brzegu) i tam, lub też wróciwszy do domu, czekał na niego. Pismo było wyraźne i proste, a Thomas znowu pomyślał o usłyszanej nocą pieśni. Pomyślał też, że byłoby dziwne, gdyby owa kobieta swoim pismem dopisała tamte słowa: "Siedem lat, drogi panie, siedem lat...".

Cichutko wyszedł z domu. Deszcz niemal już ustał, nad lasem sunęły jednak ławice ciemnych chmur. Z drzew nieustannie kapało na zeschnięte liście, za każdym podmuchem wiatru szumiało głośno i mżyło. Wciąż jeszcze było ciepło, ziemia pachniała ostrą goryczą.

Nad jeziorem przeciągały rzadkie opary, ponad szarą wodą ponuro wynosiła się wyspa. Teraz widać było dom, nie będący niczym więcej jak tylko dużą chatą, a właściwie był to ciężki, trzcinowy dach pokrywający niskie białe ściany. Z komina dobywał się dym, obok wypiętrzał się wysoki zalesiony pagórek, ocieniony dębami. Ich uschnięte wierzchołki rozmywały się we mgle. Thomas stał na brzegu i nasłuchiwał, czy z lasów lub sponad wody nie doleci do niego jakiś odgłos, ale tylko trzciniak odzywał się z wysokich trzcin, a w lesie skapywały z drzew krople. Stał długo i przyglądał się wyspie. Słyszał własne serce bijące spokojnymi uderzeniami i pomyślał, że najpierw będzie musiał postarać się o małą, lekką łódkę dla Joachima, gdy ten przyjedzie na wakacje. Cała reszta wydawała mu się uładzona i oczywista. Ławeczka była mokra, popłynął więc stojąc. Łódź miała płaskie dno i po każdym uderzeniu długiego wiosła dziób jej z cichym szumem unosił się nad wodą. Wpierw widział dno, jasny piasek, po którym przebiegały drobne, zastygłe ślady fal, potem woda stała się ciemna, niemal czarna. Z głębi unosiły się wiotkie zielone rośliny, na światło dnia wyskoczyła ciężka ryba, a srebrny jej blask mignął matowo przez szarość powietrza, po jeziorze przebiegły nikłe kręgi, sięgnęły aż po łódź i zagasły. Zdawało mu się, że zawsze tak pływał, że nigdy się to nie skończy; że okręty i morze były tylko snem, jakimś upiornym powiększeniem skali podczas niespokojnego snu, a teraz wszystko się porządkuje, staje się uładzona, skromną rzeczywistością.

Płaska dennica uderzyła łagodnie w piach brzegu i Thomas wysiadł. Nie oglądając się za siebie, ruszył pochyłym zboczem ku domowi i zastukał do szarych drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, wszedł.

W przyćmionym świetle dostrzegł tylko ogień w kuchennym piecu i wpatrującą się weń ciemną postać. Łokcie oparła na kolanach, brodę umościła w dłoniach. Ponieważ powitanie nie spotkało się z odpowiedzią, ominął siedzącego mężczyznę i przycupnął na stołku koło pieca. Teraz zobaczył wyzierającą spod siwej czupryny

twarz owego człowieka. Była ponura, ale nie zła. Nieruchomo wpatrywał się w ogień, którego odblask padał na poradlone czoło i niemal melancholijne oczy. Na pierś spływała siwa zaniedbana broda. Wokół rozchodziła się zatęchła woń dymu i ryb. Tutaj było jeszcze ciszej niż na wodzie i tylko ogień potrzaskiwał za na wpół otwartymi drzwiczkami pieca. Sączące się z okienka szare światło padało na ściemniałe bale, z których zrobione były ściany. Na kołkach wisiały sieci, w kącie stały wiosła.

— No? — odezwał się mężczyzna i przelotnie uniósł wzrok. Thomas odparł, że będzie jego następcą.

Tarnten stwierdził, że następca to dobra rzecz i przyjrzał mu się z boku. Lepszy jednak jest następca tronu, bo dziś trony się chwieją, ten zaś, na którym chce zasiąść przybysz, w szczególności. Jest chwiejny ponad miarę.

Thomas odparł, że wcale nie ma zamiaru rozsiadać się na tronie. A więc co?

A więc pracować. Jako sternik nie dostanie już pracy na statku, a w miastach jest dlań zbyt gwarno.

Mężczyzna wyjął fajkę z ust i długo się jej przyglądał.

— Co z ciebie za dziwny ptaszek? — powiedział zamyślony. — Jesteś przebierańcem, tak?

Nie jest przebierańcem, odparł z uśmiechem Thomas.

Tak, możliwe jest wszystko. Z prawa i z lewa. Gwaru nie musi się tu obawiać. Na wyspie nie zjawił się jeszcze żaden z bonzów, żeby przemówić do cierpiącego biedę proletariatu. A pracować? Tutaj, jeśli sprawi mu to przyjemność, może sobie popracować na tych krwiopijców. Dla niego samego to już żadna frajda.

Thomas odparł, że na morzu nikt nie pytał, dla kogo pracuje. Chcieli tylko pływać po morzu i samo to sprawiało im dostateczną radość. On zaś chce pracować tutaj, bo swoją radość znajdzie właśnie w tym.

— No tak — powiedział mężczyzna. — A byłeś już tam? — i wskazał kciukiem za siebie.

— Nie.

— Generał nie ma równego sobie, mówię ci to, ale jest głupi, strasznie głupi. To taki z czasów wojen krzyżowych, rozumiesz? Powtarza: moje jezioro, mój las, mój zamek! Nie można go nauczyć, że to tak samo należy do mnie, jak i do niego. Własność to kradzież, ale on nigdy o tym nie słyszał. Jednak szczerze mówiąc, między nami było wszystko w porządku… poza flagą.

— Jaką flagą?

— Rybak powoli rozpiął kurtkę, na której srebrzyły się rybie łuski i z kieszeni na piersi wyciągnął wielokrotnie złożoną, noszącą ślady zaprasek czerwoną płachtę. Rozpostarł ją na kolanach i wygładził ciężkimi dłońmi.

— Tę tutaj — rzekł. — Wywieszałem ją na domu, a oni przychodzili za każdym razem i zawsze ją zdejmowali. On i jego siepacze. W końcu wymówiłem pracę. Flaga musi być!

Podrapał głowę obiema dłońmi i wpatrzył się w chustę.

— Ale tutaj, na wyspie? — zapytał Thomas. — Czy musi tu być?

— Wszędzie — stwierdził ponuro mężczyzna. — Na wyspie i nad trumną…

— Ale co teraz?

— Teraz? Nie wiem. Przyjdzie przenieść się chyba do miasta i pomachać sterem wśród tamtejszej bandy, w prawo i w lewo. Brak mi chęci do pracy. Pracowałem sześćdziesiąt lat, za gówno, a teraz nie wolno mi wywiesić flagi, kiedy zechcę!

Splunął w ogień i pociągnął łyk z białej butelki. Thomas nie chciał pić. Podziękował.

— Tutaj, koleżko, nauczysz się, wszystkiego się nauczysz… — mruknął tamten ponuro.

Thomas wydobył z portfela paczuszkę cienką jak list, zawiniętą w bibułkę. Odwinął bibułkę i wyjął wystrzępiony po brzegach skrawek płótna, nie większy od dłoni. Był czarny, a tylko w jednym rogu, wzdłuż prostego ściegu, widniała, jakby przyczepiona, biała plama.

— Niech pan popatrzy — oznajmił. — To jest właśnie moja flaga.

Zarzucili mi ją na głowę, kiedy wyrzucali mnie za burtę, ale nie wypuściłem jej z dłoni i wydarłem ten kawałek. Gdy mnie wyłowiono, trzymałem ją w zaciśniętej garści, no i zachowałem ją sobie. Nie wygląda gorzej niż pańska, prawda? Tyle że jest mniejsza i bardziej niepozorna. Jej też nie mogę już wywieszać i to właśnie jest dla nas wspólne.

Uśmiechnął się, patrząc, jak blask ognia igra na płótnie.

— A przecież przebieraniec! — stwierdził rybak. Pochylił się jednak i popatrzył na resztkę flagi w dłoni Thomasa.

— To złe barwy — powiedział zatroskany. — Wielu musiało w nie wierzyć... Wszyscy byli daltonistami... Ruszali z okrzykiem hurrra! i skakali głową do dna... Głupi ten świat... Strasznie głupi...

— Pan też w mieście dojdzie głową do dna — rzekł Thomas. Mężczyzna przeciągnął pionowo dłonią przez powietrze.

— Wszystko jedno — powiedział. — Niejednego jednak pociągnę za sobą, a to tutaj będzie leżało na mojej trumnie!

Złożył z powrotem chustę i schował pod kurtkę.

— Gdy kończy się sześćdziesiątkę, człowiek przestaje się bać, koleżko... Zachowaj i tę swoją, spodobałeś mi się, choć jesteś prze-bierańcem. Ten, kto znosi, żeby walili go po łbie, jest w porządku. Inni tylko podwijają ogon pod siebie.

Powiedział, że chce mu wszystko tutaj pokazać, choć nie ma tu wiele do oglądania. W drzwiach jeszcze raz przystanął i popatrzył za siebie.

— Co za heca — stwierdził — zmiana flag! Nas obu też, prawda?

Potem ruszył naprzód wąską ścieżką wiodącą przez młodnik aż do dębów. O jeden z pni opierała się poszarzała drabina, po której ruszyli na górę. Tam, wśród olbrzymich konarów umocowana była niewielka platforma z prostym siedzeniem. W dole, przed sobą, widziało się wyspę, jezioro, lasy oraz daleką wioskę wśród łąk i zagonów ornej ziemi.

— To mostek kapitański — powiedział stary i wychylił się przez poręcz. — Stąd możesz obserwować, czy nachodzą. Czerwoni albo czarni, albo czarnobiało-czerwoni. To czyste pole ostrzału dla karabinu maszynowego, ale ja żadnego nie mam... A teraz uważaj! W tamtych dwóch zatokach rozstawione są żaki i sieci stawne. W czasie wschodniego wiatru tutaj, a zachodniego — tam. Przed burzą — gdziekolwiek. Przy wietrze z północy, lepiej zostać w domu i suszyć sieci.

Raczniki tam, wzdłuż brzegu! Na głębokości dwu, trzech metrów. Jak nie będziesz czegoś wiedział, nie trzeba pytać generała, tylko popłynąć tamtą strugą na drugie jezioro. Żyje tam starzec, który ma osiemdziesiąt albo i sto lat. Nazywa się Peter, a ludzie mówią na niego Petrus. Nie widziałem go jednak chodzącego po falach. On wszystko wie o rybach, rozmawia z nimi, wie, kiedy przypływają, a kiedy nie. Widzi przyszłość i żuje tytoń... A jak ty się właściwie nazywasz?

— Thomas.

— No to spotkają się apostołowie... A ja jestem Christoph, będę więc mógł przenosić was przez wodę... Stary, nawiasem mówiąc, wcale nie zechce, żebyś łowił dużo. On uważa, że miastowi ludzie powinni pozdychać z głodu. Jeśli coś przeskrobałeś i musisz być przebierańcem, tutaj będziesz miał dobre życie. Tu nikt nie przyjdzie, żeby przewąchiwać.

Nawet nadzorca rybacki się nie zjawi. Ze strachu przed tym staruchem... Tutaj nie zawsze jest tak jak teraz, koleżko. Przychodzą i ponure dni, kiedy nad kominem wyje śnieżyca. Wtedy rozmyślasz o wszystkim, co zrobiłeś źle i nie ma nikogo, kto wypaliłby z tobą fajkę, tylko lód trzaska na jeziorze, szczekają lisy, a czasem w zagajniku zawyje wilk. Wtedy to zaczniesz pić, koleżko, bo nam nie zostaje nic prócz wódki, rozumiesz? Ten, kto nie leżał w złotej kołysce, swoje sieci może stawiać, jak tylko zechce, przez sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt lat, a nie trafi w nie żadna ryba w złotej koronie. Czy wciągniesz tu czerwoną, czy też czarno-biało-czerwoną[*] flagę wszystko zostanie jak było... Uciszysz się, mówię ci, staniesz się taki cichy jak kamień leżący na dnie...

Przeciągnął dłonią przez pustą przestrzeń i zszedł po drabinie.

— A z sieciami wszystko się zgadza — oświadczył u drzwi domu.

— Ani za dużo, ani za mało. W zimie będziesz musiał uważać na myszy, żeby nie narobiły jakiejś szkody... Ruszę stąd dziś wieczorem, łódź stoi przy tamtym wysokim świerku.

Stał już w otwartych drzwiach, a Thomasowi zdawało się, że to duch tej wyspy, szary, zwietrzały i zgarbiony, że po dwudziestu latach on sam będzie też tak stał. Na czas jednego uderzenia serca otworzyły się na swoich bezdźwięcznych zawiasach skrzydła wrót do przyszłości i jak jakąś zjawę zobaczył samego siebie, stojącego na progu i odwracającego się jak tamten, ale mającego inną twarz, a potem wchodzącego i zasiadającego u ognia.

Blask płomieni przebiegał po globusie, po krainach, morzach, górach i rzekach. On zaś oparłszy głowę na dłoniach przygląda się temu, niczego nie chcąc, nie pragnąc. Za sobą ma wiele, mało ma przed sobą, jest samotnym człowiekiem, milczącym jak głaz na dnie.

— Ja ją złowię, Christoph — powiedział — tę rybę w złocistej koronie... Ja ją złowię!

---

[*] Barwy Cesarstwa Niemieckiego — przyp. tłum.

Tamten tylko skrzywił usta nad siwą brodą, machnął ręką i wszedł do środka.

Jakiś niewidzialny zegar uderzył dźwięcznie jedenaście razy, gdy Thomas stanął u zamkowych schodów. Zamek nie był niczym więcej jak dużym dworem o wysokim brunatnym dachu nad dwoma skrzydłami. Rozciągał się jednak szeroko i okazale nad jeziorną zatoką, a bluszcz pnący się aż do okien piętra sprawiał, że wyglądał staro i samotnie. Herb ponad masywnymi drzwiami był tak zwietrzały, że można było rozpoznać niewiele więcej poza opancerzoną pięścią dźwigającą coś, co mogło być tak samo łodygą lilii, jak i wojennym toporem.

Park zaraz za domostwem musiał przechodzić w las, za dziedzińcem sponad ciemnych pól zdających się sięgać aż do horyzontu, unosiła się właśnie rzadka mgła. Między dwiema przeciągającymi chmurami rozwarły się błękitne wrota i na zroszoną deszczem ziemię, jak też na czubek chorągwianego masztu wznoszącego się pośrodku dachu, padł błękitny blask. Potem Thomas wszedł po stopniach. Pociągnął za stare cięgło dzwonka i jakiś olbrzym w staroświeckim mundurze otworzył ciężkie drzwi. Thomas pomyślał, że mundur musi pochodzić z czasów Fryderyka Wielkiego; miał białe skórzane pasy i szamerowany surdut. Mężczyzna nie nosił jednak bermycy*. Włosy miał ostrzyżone krótko, wyglądał tak, jakby przed chwilą odwołano go od pługa, przy którym czuł się o wiele lepiej niż przy wykonywaniu obecnej funkcji.

— Pan generał prosi — powiedział ponuro i pomógł Thomasowi zdjąć płaszcz. Zabrzmiało to tak, jakby generał leżał na łożu śmierci.

Thomas jednym spojrzeniem ogarnął hol sięgający aż do piętra, zobaczył piękne szerokie schody z ciemnobrązowego drewna, łosie łopaty, poroża, ptaki, broń, portrety przodków, olbrzymi kominek, na którym żarzył się cały pień, a na ostatnim planie, po obu bokach podwoi, dwie stare armaty z metalicznie połyskującego stopu, ciemnymi wylotami skierowane ku wejściu. Obok nich nie stali jednak kanonierzy z płonącymi lontami, jak to opowiadał Christoph, gotowi do natychmiastowego otwarcia ognia do każdego, kto by zaraz u wejścia ujawnił niedostatki manier albo poglądów. Nie było też widać tego, czego Thomas raczej się nie spodziewał, a więc pułkowej orkiestry z buńczukową lirą i bombardonem*, tak więc poszedł z otuchą, choć nieco oszołomiony widokiem posępnej odświętności, obecnością olbrzymiego grenadiera czy tego, kim on tam jeszcze był, a teraz towarzyszył mu w drodze przez

* Wysoka futrzana czapka noszona zwłaszcza przez grenadierów armii napoleońskiej — przyp. red.
* Blaszany instrument dęty o niskim tonie — przyp. red.

wypełniony książkami pokój, aż do dębowych drzwi, w które zastukał wyraźnie, acz z powściągliwą oględnością.

— Wejść — zawołał nieco schrypnięty głos.

Olbrzym otworzył drzwi, przekroczył próg, a raczej ze zdumiewającą zręcznością go przeskoczył, trzasnął przy tym obcasami sznurowanych kamaszy i dźwięcznym głosem zameldował:

— Pan następca Christopha, panie generale!

Niski, barczysty mężczyzna w szarej czamarze uniósł głowę znad papierów leżących na biurku, powiedział do olbrzyma "barania głowa" i skinął na Thomasa, żeby podszedł bliżej. Wskazał krzesło stojące u boku biurka, poczekał, aż olbrzym opuści pokój i przyjrzał się Thomasowi. Jemu zaś zdawało się, że już jako dziecko oglądał tę twarz w wielotomowej "Historii podboju Cesarstwa Indyjskiego". Książka stała na samym dole regału ojca. Było to sześć tomów, ciemnobrązowych i opasłych, a w nich znajdowały się ilustracje, które lubił najbardziej. Utrzymane były w charakterze matowych akwareli, niezupełnie odpowiadających żarowi krajobrazów, zapełnionych dziwnymi ludźmi, zwierzętami i roślinami. Tam, wśród obwieszonych szlachetnymi kamieniami maharadżów oraz demonicznych świątyń, pomieszczone były również portrety zdobywców. Żołnierzy, kapitanów okrętów, królów handlu, o opalonych twarzach i siwych bujnych czuprynach, o surowych, a niekiedy okrutnych ustach i jasnoniebieskich oczach o dziecinnym wyrazie. Wizerunki mężczyzn, z których nie sposób było się dowiedzieć, czy pili krew z czerepów pozabijanych książąt tego kraju, czy też, powróciwszy znów na swoją zieloną i mglistą wyspę, pijali krzepkie wino, rozsiadłszy się przed wielkimi kominkami swoich zamków. Wino, które w dębowych beczkach odbywało podróż do Indii i z powrotem, żeby uzyskać żar i łagodność, po których lica stawały się brunatno-czerwone i wesołe. Wizerunki mężczyzn, których wyobrażał sobie w otoczeniu sfory psów i licznych wnuków, a którym, wszystkim bez wyjątku, nadał wspólne tajemnicze i niemal tropikalne miano nababów Nie wiedział, skąd pochodzi ta nazwa, lecz było w niej coś groźnego, a jednocześnie wesołego, uwidaczniającego się już w samym brzmieniu sylab. Była w tym obcość, urok, władczość i osamotnienie. Kiedyś wprawił nauczyciela w bezradne zdumienie, odpowiadając na pytanie, kim chciałby kiedyś zostać. Głośno i bez namysłu powiedział, że nababem!

Teraz niemal musiał ukryć uśmiech, gdy pomyślał, w jak niewielkim stopniu spełnił tę dziecinną obietnicę, odnoszącą się do zewnętrznej świetności, jak i

wewnętrznej samoświadomości oraz wszechmocnego stanowiska, że od sfory gończych psów i od gromady jasnowłosych wnucząt był tak samo odległy, jak ten, którego twarz była jakby znana mu z owych książek, a który pozostał daleko w tyle za prawzorcami noszącymi tamtą osobliwą nazwę. Być może poza tym, że w piwnicach swojego domu posiadał pokaźny, ale coraz bardziej zmniejszający się zapas wina, które w długie wieczory pijał przed dużym kominkiem, a które nadawało jego skórze kolor opalenizny, zdający się pochodzić od piekącego indyjskiego słońca.

Przez te wspomnienia z dzieciństwa Thomas poczuł się przeniesiony poza granice wieku i rangi, pomyślał więc z otuchą, że przetrzyma wszystkie dziwactwa, na które był przygotowany, a których początek już poznał.

— Nazywa się Orla? — zapytał schrypnięty głos, wyrzucający wyrazy tak, jakby wylatywały z lufy maszynowego karabinu.

— Tak jest, panie generale.

— Służył w wojsku?

— Tak jest, panie generale.

— Odznaczony?

— Tak jest, panie generale.

Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której generał kontynuował niejako przenikliwe przyglądanie się gościowi, co nie wynikało jednak z nieufności, ale z dawnego przyzwyczajenia w stosunku do stojących na baczność niezliczonych oddziałów wojska. Thomas był przeświadczony, że zwykł on też w taki sam sposób przypatrywać się komukolwiek, także i nowo narodzonemu w oborze cielęciu. Sam trwał w bezruchu, zachowując postawę nienaganną, nie uchylając się nawet na odległość oddechu przed błyskawicami rzucanymi przez niebieskie oczy.

— Gruber mówi — kontynuował schrypnięty głos — że on był sternikiem. W bitwie jutlandzkiej i podobnych, że jest podejrzliwy wobec wszystkiego, co pływa po morzu. Początek dało pohańbienie. Mam nadzieję, że zobaczę potwierdzenie reguły przez wyjątek. Tutaj potrzeba tego, co godne zaufania, w poglądach i w postawie... God... ne... za... u... fa... nia! Zrozumiano?

— Tak jest, panie generale.

— Dobrze... Poprzednik osioł. Parcelować majątki, światowy pokój, czerwony sztandar i takie tam. Nie łobuz, ale osioł. Paść na barykadzie. Czas chwały dla łobuzów

i osłów. Wyspa to reduta od strony wody. Zginąć z ręki wroga, jeśli zajdzie potrzeba, zrozumiano?

— Tak jest, panie generale.

Po tym zapewnieniu groźne oblicze odprężyło się i nastąpiła druga przerwa, kiedy Thomas usiłował przypomnieć sobie, który to z pruskich królów upodobał sobie taki sposób mówienia. Gdy już był pewny dalszego ciągu, w jego myśli znów zaczęła wtłaczać się wyspa i nagle, po wszystkich dniach, niespokojnych i przepełnionych obcymi widokami, ogarnęło go ciepłe, kojące uczucie bezpieczeństwa, szczęsne znużenie, z którego wynikło pragnienie zobaczenia odblasku ognia na pociemniałych balach i usłyszenia wiatru przeciągającego nad trzcinową strzechą.

Przedtem jednak jeszcze raz z namysłem rozważył słowa, żeby odpowiedzieć na nieco niezdecydowane pytania generała, dotyczące wykształcenia, podróży i stosunków rodzinnych; potem otrzymał służbowe polecenia dotyczące broni myśliwskiej, a w końcu podpisał podsuniętą mu umowę spisaną dużymi, starodawnymi literami według dawnego, pożółkłego wzoru.

Thomas przeczytał, co przyjmie jako prawa i obowiązki, a więc pieniężne wynagrodzenie i naturalia, dowiedział się, że przysługują mu ziemniaki i owoce na zimę, przy czym te ostatnie uznał za szczególnie godne uwagi. Iż co roku przypadnie mu "szara rybacka kurtka wraz z parą wodoodpornych butów, sięgających ponad kolana", że "o każdej porze zobowiązany jest do dochowania wierności swoim państwu", jak też oni przyrzekają "szanować go oraz wspierać w potrzebach ciała i duszy". Zdawało mu się więc, że umowa ta musi pochodzić z czasów oszczędnego w słowach króla, a także i to, że w tych dawnych zwrotach jest coś wzruszającego, coś więcej niż to, co zauważał w umowach zawieranych między gospodarzami domu i wynajmującymi; a gdy przed odłożeniem pióra popatrzył w oczy starca, zrozumiał, że jeszcze nigdy nikt nie podpisywał takiej umowy z lepszą wolą, a może i ze znaczniejszym uprawnieniem.

Ponad blatem stołu wyciągnęła się do niego silna, szeroka dłoń, a gdy zerwał się na nogi i ujął ją, odniósł wrażenie, że dla tego starego i dziwnego człowieka otoczonego jak zbroją aurą minionych czasów, mógłby chętnie "jeśli zaistnieje potrzeba" polec z nieprzyjacielskiej ręki.

— Dobra postawa! — rozległ się groźny głos. — Zaraz zauważyłem. Niech on się dobrze sprawuje.

Podeszli do szafy z bronią i generał wskazał mu małą strzelbę oraz dubeltówkę, mówiąc, że pośle mu je do leśniczówki.

— Odebrane tamtemu oshi — powiedział. — Siedział na dębie i czekał na krwiopijców. W stosunku do ubogich ludzi czasem przymknąć oko, wobec łajdaków zgiąć palec! Myślą, że nie ma własności. Zachować karność i porządek! Sam wyrósł wśród tego. Żołnierzem jest się też w rybackiej kurtce, zrozumiano?

— Tak jest, panie generale.

Uzgodnili, że Thomas obejmie obowiązki w ciągu czternastu dni, ale przed majem nie zacznie połowów ryb.

— Odwiedzę go kiedyś na wyspie — zakończył generał i jeszcze raz wyciągnął dłoń. —Tamto dookoła niej nie jest oceanem, ale to dobra woda. "Służę" to nie najgorsza dewiza.

Potem Thomas mógł już odejść. Fryderycjański olbrzym melancholijnie opierał się o wylot armatniej lufy, a Thomas nabrał podejrzenia, że i dłubie w nosie; pomógł mu jednak nałożyć płaszcz.

— Niewygodny? — spytał Thomas, wskazując na mundur.

— Nie, proszę pana, tylko w wiosce wołają za mną "kukła" i rzucają końskimi jabłkami. — Uśmiechnął się z zadumą i odprowadził gościa do drzwi.

— Kiedyś rzucano zupełnie czymś innym — powiedział Thomas i wskazał na bandolety[*].

— Tak jest, proszę pana, ale ja ich jeszcze dopadnę!

Gdy otworzył drzwi, a Thomas wychodził, po kamiennych schodach wstępowała ubrana na czarno dziewczynka. Miała chyba trzynaście lat, trzymała się prosto i ruchem głowy odrzucała do tyłu jasne włosy, które opadały swobodnie aż do szczupłych ramion. Młody chudy mężczyzna w okularach, również ubrany na czarno, kończył właśnie zdanie, z którego Thomas wywnioskował, że mowa była o pozycji germańskiej kobiety w starożytności.

Oboje przystanęli i przypatrywali się Thomasowi; młodzieniec był wyraźnie roztargniony i wciąż zajęty wywodem, dziewczynka spoglądała uważnie i bez skrępowania.

[*] Pasy podtrzymujące szablę lub ładownicę albo służące do przymocowywania krótkiego karabinka używanego przez jazdę — przyp. red.

Thomas z lekkim ukłonem chciał ustąpić miejsca, jednak zatrzymał się i zwracając do obojga, oznajmił, że nazywa się Thomas Orla i jest nowym rybakiem.

Podczas gdy młody człowiek odkłonił się zaskoczony i niezrozumiale wymamrotał nazwisko, dziecko, nie odrywając wzroku od nieznajomego, dygnęło w starodawny sposób i zapytało:

— Jak się nazywasz? Thomas powtórzył.

— Czy jest to nazwisko z książki z baśniami?

— Nie, to prawdziwe nazwisko.

Dziecko zastanawiając się, przesunęło dłonią po sznurze czarnych pereł noszonych na szyi.

— Ja nazywam się Marianne von Platen — rzekło. — U nas wszystkie dziewczynki nazywają się tak. A to mój nauczyciel, pan Bergengrün… Ale Orla jeszcze nigdy nie słyszałam… Czy będziesz łowił razem z Christophem?

— Nie, Christoph odchodzi. Będę żył sam na wyspie.

Dziecko powiedziało, że Christoph to biedny człowiek. Zawsze chciał być dla niej niedobry, ale zawsze zachowywał się przyjaźnie.

Thomas zapytał, czy nie lepiej właśnie tak niż na odwrót?

Oczywiście, ale najlepiej jest, gdy się chce być przyjaznym i takim się jest, odrzekła.

Stwierdził, że na pewno ma rację.

— Pan Bergengrün — kontynuowała Marianne — zawsze mówi, że ludzie są inni, niż wyglądają. Ale ja w to nie wierzę. Pan Bergengrün wciąż wygląda jak przestraszony krasnal i taki też jest, prawda panie Bergengrün?

Na jej ustach zarysował się delikatny uśmiech, ale zaraz lekko położyła prawą dłoń na ramieniu zmieszanego młodzieńca.

— To takie nasze żarty — powiedział tonem usprawiedliwienia — ale byłoby nam miło, gdybyśmy od czasu do czasu mogli przypłynąć na wyspę. Z Christophem bywało nieraz dziwnie…

Z tobą też, mój miły, pomyślał Thomas i powiedział, że będzie się cieszył, widując ich u siebie.

— I naprawdę będziesz łowił tam ryby? — spytało dziecko.

— Tak. Powiedziałem Christophowi, że złowię rybę w złotej koronie.

— Są takie.

— O tym mówią baśnie.

— A potem?

— Potem podaruję ją tobie.

Westchnęła głęboko, a Thomas zauważył jak sznur pereł poruszył się na delikatnej szyi. Po chwili z taką samą jak przedtem powagą ukłonił się i zszedł po stopniach. Dopiero gdy zaczął w lesie nabijać fajkę, uświadomił sobie, że oto się stało. Mało tego, przyrzekł, że jeśli zajdzie potrzeba, odda życie w obliczu wroga, a jeżeli zdobędzie złotą koronę, jej ją podaruje. Usiadł w słońcu, na kikucie pnia i zaczął się zastanawiać. W tych sprawach zawsze był skrupulatny i wiedział, ile człowiekowi potrzeba chleba, mięsa, tytoniu i odzieży. Wiedział też, czego nie będzie potrzebował, a także gdzie przebiega granica pomiędzy chcianą prostotą a wymuszonym ubóstwem. Okazało się, że emerytura będzie mogła bez potrąceń pozostać dla rodziny, nadto co miesiąc niewielka suma zostanie mu na parę książek albo na założenie ogrodu. Że jeśli tego zapragnie, to nawet do tak ponurego domu będzie miało dostęp piękno i radość. Więcej, bo nawet będzie mógł przyzwoicie przyjmować gości, ową poważną panienkę, która zapewne zstąpiła ze złocistych ram w holu, i jej biblijnego towarzysza, przemawiającego tak uroczyście, jakby z praprzodkami przewędrował pustynię.

W dali widział wszystko, tak jakby przesuwały się lata: widział dom, a przed nim sosny w ogrodzie, widział dudniące pociągi podziemnej kolei, rzekę ze światłami statków, twarze znane i obce. Pomyślał, jak też łatwo było oderwać się od tego wszystkiego, poza dzieckiem, i przestraszył się tego. To krucha tkanka rozpadająca się pod dotykiem dłoni. To nie mogło przecież być tylko tak, że rozstał się z tym wszystkim, kiedy odjeżdżali wtedy, w czasie pierwszych nocy wielkiej wojny, że zerwali nici łączące ich ze swoimi czasami, bowiem chcieli wrócić i wszyscy mieli taką nadzieję. Zapewne tak było, że wrócili z innym sposobem widzenia, przynajmniej on, zaś stary świat objawił się im osobliwie odmieniony, ludzie, poglądy, a nawet to, co najukochańsze na ziemi. Dawne szczęście nie było już szczęściem; został zwiędły bukiet, obchodziło się go dookoła i dostrzegało się, że nie brakuje mu wody ani słońca, a on jednak pozostaje zwiędły. To było to: zwiędły bukiet! Nie został wyrzucony, bo nie było wiadomo, gdzie rosną świeże kwiaty, jeszcze nieznane, zupełnie odmienne; ale też innym nie wydawał się wcale zwiędły, lecz promienny i mieniący się jak dawniej. Nie dostrzegali robactwa, on jednak to widział. Coś tam musiało być zafałszowane od samego początku, lecz nie potrafił nikomu tego wyjaśnić ani też nikt

nie umiał wyjaśnić jemu. Czuł, że utracił grunt pod stopami, że nie pozostało nic, czego mógłby się trzymać. Odejdzie więc i odtąd będzie się o nim mówiło jako o błaźnie. Ojciec zrozumiałby go, ale ojciec już nie żyje. Trzeba więc było zdecydować samemu. Kłaść się wieczorem z radosnym sercem — w tym kryła się być może cała tajemnica. Radosnym, gdy myślało się o minionym dniu, radosnym, gdy myślało się o nadchodzącym. I żadnych przeżyć, żadnych bohaterskich czynów, bez aureoli nad głową. Stawiać sieci i znów je wyciągać, utrzymywać porządek w domu i na wyspie, przeczytać kilka stronic, a wieczorem usiąść nad wodą i wpatrywać się w gwiazdy. Wypełniać umowę, którą się podpisało.

Kiedy ostatni raz był nocą radosny? Przypominał sobie rok po roku i dotarł do dzieciństwa. Ojciec, który życzył dobrej nocy, otwarte okno, przez które z podwórza majątku docierały ciche odgłosy, dym cygara z sąsiedniego pokoju, gdzie ojciec siedział jeszcze nad buchal-teryjnymi księgami albo czytał tom Fontany. Obrazy zacierające się coraz bardziej... Łan pszenicy w upalnym słońcu... Leśne jezioro ze starymi szczupakami... Koń, na którym jeździł zawsze z trochę trzepoczącym sercem... Podwórzowy zegar wysyłający swoje uderzenia ponad zamglone pola. Ostatnie zaś uderzenie rozbrzmiewało długo, fala po fali, coraz bardziej zamierając... Serce było radosne, i tak zasypiał, tak się też budził.

Później już nie. Ani jako kadet, ani też jako porucznik. Służba i obowiązek opinały pierś niby zbroja, a czasem zbroja ta sprawiała ból.... Żagle, bocianie gniazdo, a potem działa, nawigacja, liczby, kursy, obliczenia i twarze, które były szydercze albo uroczyste... A potem wojna, ludzkie życia i okręty powierzane jego dłoniom, a dłoń nie zawsze była silna, nie, nie zawsze... Serce nie było radosne, również wśród kolegów nie było. Był dziwakiem, cichym, nieśmiałym, skrytym... I wojna, gorzkie rzemiosło, pozbawione blasku zabijanie i niszczenie... A potem koniec, pustka dni i nocy, niby deska na bezmiarze oceanu, w górę... w dół... w górę... w dół... Jak słowa niszczejące.

To tutaj jest dobre, te wysokie, szare pnie, surowe jak maszty, korony z unoszącym się oparem deszczu, który już przeszedł, dzięcioł stukający pilnie za pagórkiem niby samotny gospodarz domu, jezioro przeświturające między drzewami, a nad jego połyskliwością pokrzykują ptaki; chmury wysokie w błękitnym przestworze, przez który ciągną klucze żurawi. Dobrze i cicho. Stare prawa, których słuchają stworzenia i które ogarniają i dzień, i noc. Również i tutaj wojna. Tutaj też cierpienia, ale wynikające z Prawa, a nie z samowoli.

I umowa włączająca go do tego świata, która zajęła mu godzinę, i szczere dłonie. Proste dzieło, w którym nie krzyżują się i nie przecinają koliska, dzieło nie potrzebujące niczego poza pilnością i dobrą wolą oraz posłuszeństwem wobec porządku rzeczy. Dzieło do wykonania również przez tych, którzy nosili dawny oręż, a ich umysł sięgał do tego, co proste, gdyż w powikłaniu epoki czuli się obco; dzieło dla tych, którzy pragnęli dachu nad głową, paleniska, pracy i radosnego serca.

Przypomniał sobie, że zawsze lubił mnichów, choć sam był innego wyznania. Tych z dawnych czasów, którzy las zamieniali w uprawną ziemię i przy blasku świec malowali na żółtych pergaminach duże litery; którzy sięgali po miecz, jeśli szło o ziemię albo o Boga, ale odkładali go, gdy ziemia i Bóg byli ocaleni. W dali szumiał im świat, lecz oni niczego odeń nie chcieli. Chcieli pługa i wizerunku Najświętszej Matki, i blasku świec na białej ścianie celi. Chcieli być niby kamień leżący na dnie, a dzieło ich rąk wciąż przemawia przez tysiąclecia. Życie nie zmarnotrawione, żadnego buntu, żadnej paplaniny. Wierni słudzy, śpiący pod kamiennymi płytami, ale Ojciec zebrał ich imiona i zachował je.

Gdy będzie starsza, pomyślał Thomas, dowie się, że złota korona jest niewidzialna, a może i Joachim będzie to wiedział. Że owa korona jest tym co najostateczniejsze w życiu, jego prawdziwym sensem, wyciągniętym siecią, w którą wplecione jest całe życie. Dobroć i mądrość, a nie pożądanie czegoś. Zawrzeć pokój, ostateczny pokój, za którym nie czai się żadna wojna. Może osiągnę to, że będę mógł im to pokazać, tylko jej i jemu… Dwoje ludzi to już dużo, ja sam jestem tym trzecim… Troje… Cóż to za wielka liczba, jakaż ogromna liczba dla ludzkiej dłoni…

Ciężko mu było zostawiać tam dziecko. Było to trudniejsze niż wszystko inne, są jednak drogi, którymi trzeba podążać bez dzieci, bez żony. Najpierw trzeba samemu stanąć pewnie, tak jak człowiek w cyrku, zanim nie dźwignie się na ramiona żony i dziecka. Joachima będzie miał u siebie parę razy w roku. Napełni go tym, co tymczasem sam zdobędzie. Podzieli się uczciwie. Dla siebie samego będzie chciał zachować tylko jakiś drobiazg. Przecież zstępuje już w dolinę, dziecko zaś będzie musiało kontynuować dzieło przez całe życie…

Leśniczy stał u płotu i machał do niego.

— Dobry rok, drogi panie. Siewy wzeszły pięknie, a na wyspie znów się ożywi. Mieszkało tam widmo, a teraz znów sprowadzi się człowiek. Dobry rok…

W milczeniu zjedli posiłek, a potem Thomas spędził na wodzie całe popołudnie. Opłynął brzegi, zatokę po zatoce, skraj trzcin po skraju. Obserwował dno, piasek i moczary, łodygi wodnych lilii i spróchniałe drzewne pnie, z których sterczały konary; wąską ścieżkę w wysokiej trawie i trop wydry miękko odciśnięty na ziemi. Opłynął leśny cypel i dotarł dalej, do rzeczki, za którą było drugie jezioro. A wszędzie las i łąka, olchowy gąszcz i pola, szara wioska na tle niebieskawej smugi sosnowego boru, kraina jedyna w swoim rodzaju, z wysokim niebem, pod którym z cichym odgłosem przeciągał wiatr.

Widział, jak odjeżdżał Christoph, zostawiwszy łódź przy wysokim świerku. Dźwigał na plecach wór z całym dobytkiem, i szary, zgarbiony zniknął w nadbrzeżnym lesie, człowiek po przegranej bitwie, zapewne z owiniętą wokół ciała flagą. Teraz na wyspie nie było nikogo. Słońce kryło się za korony dębów, nad lasem wypiętrzyły się granatowe burzowe chmury, z komina nie unosił się dym, wysoko nad szarym dachem krążył duży ptak, a potem zniknął w ciemnych obłokach.

Thomas przyprowadził pustą łódź i popłynął z powrotem do leśniczówki. Chcieli wspólnie obejrzeć dom, zobaczyć, co zechcą zmienić, gdy Thomas będzie nieobecny. Chciał wyjechać następnego ranka i wrócić po dwóch tygodniach. Na podwórzu nie było nikogo, ale z ogródka posłyszał znów cichy somnambuliczny śpiew. Nad świeżo skopaną ziemią stała kobieta, ubrana jak zwykle w czarną suknię. Na ramiona narzuciła chustę. Obsiewała nowe grządki. Niczego jednak nie miała w dłoni. Dłoń była pusta, wymowny był tylko gest. Piosenka snuła się monotonnie wśród ciszy, prosta i niemal wesoła jak piosenka dziecięca albo kołysanka towarzysząca dziecinnemu snu. Thomasowi wydawało się, że widzi, iż klęczy tam ten, którego w ciemnej pancernej wieży spalił ogień i zamienił w proch i pył, drobną postać chwytającą nasiona i niczego nie wiedzącą o zbliżających się żniwach owego czasu.

Powietrze było parne jak poprzedniego wieczoru, chmury zakryły słońce, a spoza ich rozjaśnionych rąbków padało na ziemię przytłumione światło. W świetle tym czarne ramię kobiety wykonywało swój powolny ruch, tam i z powrotem, wzdłuż rzędów grządek, w górę i w dół, jak ubogi dziecięcy młynek rozsiewający umarłe życie.

Thomas znów się wzdrygnął i cicho poszedł do domu.

— Tak, nadchodzi wiosenna burza — powiedział leśniczy. — Ona jest wtedy taka niespokojna i nie chce zostać w domu. Nie może patrzeć na te wielkie ognie nad lasem, a jednak stoi tam tak długo, dopóki się błyska. Oczy przysłania dłońmi. Ona, drogi panie, widzi chyba jego w tym ogniu…

W milczeniu przepłynęli jezioro i weszli do domu. Był pusty jak poprzednio i nie zauważało się, że opuścił go człowiek. Obejrzeli wszystko, a Thomas zapisał wymiary w swoim notatniku. Z miejsca wiedział, czego potrzebuje, potem podliczyli koszty. Miała być przełożona podłoga, w bocznym pomieszczeniu postawiony niewielki kuchenny piec, okno zaś miało być wyższe i czterokrotnie szersze. Cała reszta miała pozostać bez zmian. Leśniczy zobowiązał się dopilnowania, by wszystko było gotowe w ciągu dwóch tygodni.

— To pałac, drogi panie — powiedział z uśmiechem. Zimą między drzewami będę widział światło... Niech Bóg błogosławi pana osiedliny, drogi panie!

Thomas chciał jeszcze trochę pobyć na wyspie. Widział, jak łódź płynie z powrotem, zanurza się w mrok i niknie w nim. Nad jeziorem zgasła już jasność, za nadbrzeżnymi lasami rozświetlały się czerwonawo błyskawice.

Thomas obszedł wyspę dookoła, po piasku i brunatnej trawie, wzdłuż trzcin, których źdźbła cicho ocierały się o siebie, a potem zawrócił. Był samotny jak na oceanie. Serce biło mu tak, jak biło przed bitwą, lecz to, co rozciągało się przed nim, było piękniejsze niż bitwa. Na zachodniej stronie pagórka znalazł pod dębami miejsce, gdzie ku brzegowi schodziły wrzosy i młode świerczki. Można było siedzieć tam na pieńku i patrzeć w dal, na wodę. Było tam tak jak na kapitańskim mostku, a za nim wznosiły się maszty.

Pociemniało nad lasami, ognie rozbłyskiwały spoza chmur nad wodą ostrzej i bardziej czerwono. Nisko, po trzcinach, przeciągnął ciepły powiew, a gdy zamarł, Thomas usłyszał cichy spiżowy grzmot dochodzący zza ścian chmur. Nad wyspą i nad lasem od czasu do czasu przemykała blada poświata, niekiedy jednak błyskało już gniewnie i groźnie, niczym z długich luf nad osłoną pancerza. W niebo wytryskiwała jaskrawa smuga, a potem długo dudnił daleki grzmot i poruszał ziemię, na której siedział Thomas.

Wpatrywał się w to światło szeroko otwartymi oczami. Widział idące do ataku szare kadłuby, a między nimi wzburzone morze. Słyszał dzwonki, sygnały i rozwiewający się krzyk. Siedział jak we śnie, a przed jego oczami i uszami przeciągała summa minionego życia, próba wielu lat, determinacja młodych, rozdygotanych serc: bitwa.

Potem usłyszał szum skrzydeł wielkich ptaków i chrypliwy, nieokreślony krzyk. Wśród następnych błyskawic ujrzał je nad sobą. Miały wyciągnięte smukłe szyje;

uschnięte wierzchołki drzew kołysały się pod nimi. Cicho poszedł na brzeg, a potem wzdłuż niego, do łodzi. Spadło kilka kropel, ciepłych i ciężkich, on zaś stał jeszcze przez chwilę, zanim nie odpłynął. Uniósł ku nim twarz, oczy miał otwarte, a w nich odbijały się błyskawice.

Rozdział 4

Zegar znad podwórza majątku jest miarą i regulatorem dla nad-jeziornej okolicy. Podwórze leży powyżej wody, a wieżyczka na dachu stajni wznosi się nad nim wysoko. Kiedy powietrze jest spokojne lub gdy nad lasami przelatuje tylko lekki wiatr, wysoki dźwięk rozlega się wokół daleko, a ludzie prostują się po pracy albo po śnie, nasłuchują liczby uderzeń i tym mierzą sen albo dzienny trud. Kościół jest daleko, kolej jest daleko, tartak daleko. Jednak zamkowy dzwon znajduje się pośrodku i znało go już minione pokolenie. Jego wiek gubi się w okolicznej legendzie. Milczy on tylko wówczas, gdy w zamku ktoś sposobi się na śmierć; nie chcą, żeby bicie godziny przypadło na ostatnie tchnienie.

Pierwsi posłuszni zegarowi to lokaj w zamku, Thomas i rybołów. Obaj mężczyźni jako pierwsi ścierają z oczu sen, i nie zawsze bywają wtedy radośni. Są zupełnie rozbudzeni i zatroskani o całodzienną pracę. Thomas siedzi za szarym stołem, przed domem, wypił już kawę i pali pierwszą fajkę. Nad zatokami, jak rozpłomieniony dym, rozciągają się mgły. Na ich skraju Thomas może rozróżnić szare krechy drągów, między którymi leżą na dnie więcierze.

Rybołów przylatuje z wysoka, ponad lasem, cicho i spiesznie, prostym szlakiem. Przelatuje nad wyspą i zawraca dopiero nad zachodnim lasem. Jego pierś rozświetla się biało, kiedy pada na nią słońce. Ponad Zatoką Wydr zakreśla pierwszy krąg; tam woda jest nieruchoma, a blisko powierzchni stoją stare ryby. Potem składa skrzydła i uderza w dół. Podnoszą się pieniste bryzgi, a spośród nich, otrząsając pióra, wznosi się znów w górę, wyżej i wyżej, a w jego szponach tkwi ryba wyraźnie odcinająca się na białym porannym niebie. Wysoko nad wyspą rozlega się jego krzyk, zanim on sam nie zniknie w słońcu.

I znów brzmi dzwon nad jeziorem. Nawołuje kukułka, przez las, niby głos dziecięcej zabawki, przetacza się hup… hup… hup dudka. Podwórze majątku opuszczają zaprzęgi, po zroszonych leśnych ścieżkach idą dziewczyny do pracy przy uprawach; na nagich stopach mają buty, bo jedwabna pończocha nie znosi klęczenia na ziemi. Tu i tam sarknie któraś na niewolniczą pracę, ale jednak potem zabrzmi piosenka niosąca się po lśniących zadrzewieniach, gdyż życie jest silniejsze od

wszystkiego. Leśniczy podnosi spod niskiej sosenki strzęp tyka spałowanego przez kozła, a Thomas wraca na ląd z pierwszymi mokrymi sieciami.

Słońce wznosi się nad las, a we wschodniej facjatce pan Bergengrün usiłuje, na małym globusie, unaocznić obroty Ziemi. Marianne von Platen przygląda się temu poważnie i pyta, czy pan Orla nie wyciąga teraz z czarnej toni owej ryby w złotej koronie.

Generał siedzi w siodle, a jego żołnierz fryderycjański odziany w mundur idzie z powrotem ku wylotowi armatniej lufy. Bije dzwon, w błękitne niebo wznosi się stado białych gołębi, a na polu i w lesie opalone dłonie wyciągają korki z blaszanych konewek z zimną kawą. Końskie tułowia parują, poranny pot ludzi i zwierząt wysycha na ciepłym wietrze. Thomas rozwiesza mokre sieci. Nosi samą koszulę i krótkie spodnie, jego skóra jest brunatna, w ciemnych włosach błyszczą rybie łuski. Kobieta o przygaszonej twarzy chodzi tam i z powrotem po pokoju na poddaszu i bez słów nuci piosenkę w dziarskim marszowym rytmie. Gdy słońce pada na znoszony jedwab, połyskuje on zielonkawo na jej udręczonych ramionach.

Dzwon bije znowu, z kominów unosi się dym, również z tego nad szarym dachem na wyspie. Thomas gotuje rybną zupę; po pierwszych nieudanych próbach już się nie rozpadają niebieskawe liny. Wracają zaprzęgi, dziewczyny na uprawach leżą w cieniu, Gruber mówi do bladej żony, że już dawno jedzenie nie smakowało mu tak bardzo. Ona odwraca głowę, tak jakby mu się przysłuchiwała, ale spojrzenie jej oczu przebiega przez niego, daleko, prawdopodobnie aż na odległe ciemne morze, tam, gdzie teraz ku pamięci zmarłych rzucają wieńce i gdzie za statkami ciągnie się przenikliwy wrzask mew. Generał unosi pod światło swoje wino i pyta wnuczkę, czego też życzyłaby sobie na urodziny. Pan Bergengrün zauważa, że ostatnio dobrze się mówi o nowym wydaniu baśni braci Grimm, a dziecko potakuje skinieniem głowy. Melancholijny olbrzym stoi przy kredensie sztywny jak kołek, a na jego białym pasie siedzi kilka upartych much.

Zegarowy dzwon zakończył krąg swoich uderzeń i zaczyna od nowa, jedynym jasnym dźwiękiem. Rusza wskazówka, a za nią rusza praca, staje się powolniejsza, bardziej znużona i wreszcie kończy się. Rybołów był trzy razy. Thomas wraca po rozstawieniu sieci. Obok niego, na ławce, leży mała strzelba, lecz lufa jej jest jeszcze czysta. Przyniósł z leśniczówki pocztę, gazetę pełną awantur, niepokoju i wrzasku, pocztówkę od Joachima, że teraz z rachunków ma "bardzo dobry", a wychowawca

zapytał, czy z roweru nie zdejmie wnet czarno-biało-czerwonego proporczyka*. Poza tym, w nawiasie, dodał swoim dużym, prostym pismem, że to "negatywny donos", że do letnich wakacji zostały jeszcze tylko pięćdziesiąt dwa dni, na adresowej stronie napisał posłusznie: Dla pana Thomasa Orla.

Thomas słyszy niosące się nad jeziorem uderzenia dzwonu. Sześć jasnych dźwięków. Teraz zostaną jeszcze cztery długie godziny, które ma tylko dla siebie. O dziesiątej zgasi lampę. W domu okna i drzwi są otwarte na oścież, zatrzymuje się więc na progu i zagląda do środka, czy może Christoph nie stoi przed książkami i nie kręci głową. Bo teraz są tam książki, pięć szerokich i wysokich regałów wzdłuż ciemnej ściany z bali. Jest tu też globus, a mosiężna linia równika błyszczy w słońcu wpadającym przez okno. Przed drzwiczkami pieca stoją dwa ciężkie fotele, pod drugą ścianą wąskie polowe łóżko, szafa z bronią i maskami, a w rogu, przy oknie, ciężki szary stół z drewnianą ławą. Na ścianach nie ma nic poza opromienionym złotą ramą obrazem przedstawiającym strzelający krążownik.

Wszystko to jest jego, wyłącznie jego, wypełnione jego własnym życiem, wspomnieniami dni i nocy oddanych tym rzeczom; czytaniem, rozmyślaniem, zgłębianiem i istnieniem. Tak samo własne jak ubrania, które nosi, jak tchnienie wychodzące z jego ust. Uratowane po zatopieniu okrętu, podwójnie drogie i kosztowne, przeniesione własnoręcznie na wyspę, jakby z morskiego przyboju. Christoph musiał się bać zimowych zawiei i pojękiwań w kominie, mgły i ochrypłego nawoływania zimowej zwierzyny.

Miał tylko ogień, fajkę i gorzałkę. No i ów płomienny wizerunek przyszłości, która wciąż pozostawała przyszłością. Thomas miał jednak więcej. Miał pracę, którą lubi, miał dłonie stwardniałe od wioseł. Miał dzwon zegara mierzący pracę jego dnia oraz ławkę, z której przyglądał się, jak zachodzi słońce. Wie, że zachodzi tyko dla znużonych. Miał kulę ziemską sunącą w nieskończonej przestrzeni, gdy poruszy się ją dłonią. Miał też wszystko, co na tej kuli osiągnęło nieśmiertelność. Na wąskich półkach, przed pociemniałą od dymu ścianą, stały te wieczne — książki — i spoglądały na niego. Bliskie i znane, gdyż bywał gościem u nich wszystkich, im zaś było znane spojrzenie jego oczu, troskliwe ruchy, którymi odrzucał kartki, pochylenie czoła, gdy na nie patrzył. Posiadł ich wszechogarniającą przeszłość, a w tej przeszłości zawierała się cała przyszłość, czysta i przepełniona wiarą, wyzwolona z gniewu i zadufania,

* Barwy Cesarstwa Niemieckiego, w Republice Weimarskiej zastąpione kolorami: czarnymi, czerwonym i złotym - przyp. tłum.

zawierał się wielki spokój, o który starano się pod koniec życia, a do którego i on dążył, pokorny uczeń żywiący się ich tchnieniem.

Bije dzwon i wszyscy go słyszą, ci, którzy wiedzą, co to koniec całodziennej pracy. Thomas siedzi na pniu pod dębami i wie, dlaczego ludzie chwalili Boga. Już jako dziecko wiedział, jak piękny jest świat, że jest tak piękny, aż zapiera dech. Ostatnia czerwona poświata na jeziorze, uśpiony las, młode brzozowe liście na tle białego nieba i ich zapach, nieporównywalny z innymi. A teraz zaczynają hukać sowy i podnosi się mgła, zapalają się gwiazdy. Spokój nocy rozchodzi się niby kręgi fal wzniesionych ostatnim rzuconym kamieniem, biegnie dalej i dalej, a pośrodku siedzi on sam, bez ruchu, a krew jego szemrze i gra jak śniony zdrój.

Bije zegarowy dzwon. Światło lampy pada na stronice książki trzymanej w dłoni opromienionej czerwienią ognia na palenisku. Gdy unosi głowę, widzi przez otwarte okno dalekie migocące światło. To światło leśniczówki, i to już wszystko, co widzi. Tamten stary człowiek też siedzi przy oknie, pali i milczy. "Siedem lat, drogi panie". I tego już się nauczył. A w pokoju na poddaszu nuci kobieta. Podłoga trzeszczy, ale mężczyzna przy oknie już nie słyszy tego odgłosu. Myśli o swoich drzewach w lesie, o tym, że wiatr lekko nimi porusza. I o tym, że zyskał sąsiada, u którego przesiaduje czasami, o takiej porze, kiedy przytłoczy go dach i tamten cichy śpiew, który jest jak dziecięcy marsz pod gwiazdami.

Generał zaś unosi czerwone wino w stronę blasku płomienia na olbrzymim kominku i patrzy, jak mieni się ono czerwono w kielichu niby ciemna krew. Pochował dwóch synów. Wielkie domostwo stoi ciemne i martwe. Olbrzymi hol wypiętrza się niby kościół, połyskuje któraś ze złoconych ram, na postumentach, jak ciemne świątki, tkwią wypchane zwierzęta. Płomień liże drewno, przygasa i znów się rozpala. Tak wiele portretów i twarzy, śmiech i cichy śpiew. Konar, który krzywi się i rozpada. Oblicze pod złocistym hełmem, wpierw czerwone, potem szare, potem białe... Hełm rozlatuje się, czoło pęka, wizerunek zapada się w popiele... "Zachować godną postawę, gene-rale-majorze". Herbowa tarcza zostanie rozbita, ale pozostaną ci, którzy umarli. Umarli oraz królewska armia. Unosi kielich, a on mieni się czerwienią.

Dzwon bije i gasną światła, sen pada na powieki jak rosa. Jakaś czapla uderza skrzydłami i znów je składa. Thomas patrzy na wodę pełną gwiazd, które niby złote ryby stoją głęboko i nieruchomo. Przed progiem domu siedzi ropucha. W jej ciemnych bokach pulsuje oddech.

Zegar wydzwonił swoje uderzenia i Joachim von Orla zbudził się z pierwszego snu. W sennym majaczeniu dotarł do bitwy krążowników i dzwonek wezwał go do wieży dowodzenia. Wszędzie panuje ciemność, nie ma admirała, który mógłby powierzyć mu wielkie zadanie rozstrzygnięcia bitwy. Tylko na szafce, naprzeciwko, w bladym świetle dochodzącym od okna od ulicy, majaczy okręt z lipowego drewna. Ojciec powiedział, że jeśli jest się wzywanym na służbę, trzeba to docenić. Ojciec przebywa daleko, nad dużym jeziorem, gdzie panuje nad rybołowami, czaplami i rybami, a do czasu, kiedy on też zobaczy to wszystko, zostało tylko pięćdziesiąt dni. I może minie tysiąc dni, zanim wstąpi do kadetów, żeby zostać dowódcą floty i admirałem.

Ojciec za wcześnie przestał służyć, on jednak naprawi to wszystko... Ale wpierw, w przyszłym tygodniu odbędzie się wojenna gra, coś całkiem tajnego, a jutro będzie cytrynowa legumina, którą obiecała siostra Beate... Siostra jest dobra, a w dotyku taka jak biały baranek, którego matka podarowała mu na Gwiazdkę... Matki nigdy nie rozumieją, czego potrzeba chłopcom... Jeszcze raz wstrzymuje oddech, żeby posłuchać, czy siostra Beate śpi za otwartymi drzwiami, a kiedy porusza się ona cicho pod swoją kołdrą, Joachim kładzie się znów na boku i zamyka oczy... Ta, która wolała taką być, niż się nazywać... Takie to są dziwne sprawy, o których czasem mówi ojciec...

Dzwon zegara bije na wieży kościelnej za sosnami, terkoce budzik i Joachim jednym susem zrywa się z łóżka, oczy ma jeszcze nieprzytomne i ociężałe od snu. Lecz tylko kobiety odwracają się na drugi bok, oszukując godzinę i dzień. Szumi zimny prysznic, za wąskim oknem pogwizdują kosy. Siostra Beate chwieje się jeszcze ze znużenia, pryska więc zimną wodą na jej twarz.

Potem zjada jajko; obok talerza leży łacińska gramatyka. Jego jasne oczy są uważne i przebiegają tekst tam i z powrotem.

— Dzisiaj, siostro Beate, napiszę najlepsze wypracowanie — mówi.

A ona, jak zawsze, jest trochę oszołomiona jego dokładnością i pewnością siebie. Jego ojciec z pewnością nie wierzyłby, że napisze najlepsze wypracowanie.

— Ty wszystko wiesz dokładnie, Joachimie — wzdycha. Patrzy na nią z ukosa i uśmiecha się.

— Tak trzeba, jeśli chce się być kimś — mówi przemądrzale. — Oni tam w szkole bardzo chcieliby, żeby ci, którzy mają "von" przed nazwiskiem byli głupi i leniwi, ale jeśli idzie o moją osobę, jest to pomyłka, moi drodzy!

Siostra uśmiecha się i przez chwilę zwidują się jej roztargnione i smutne oczy kapitana.

— Tak, tak, Joachimie — mówi zamyślona — bądź pilny, żeby ojciec mógł się cieszyć.

Potem chłopiec jedzie cichą ulicą, ręce skrzyżowawszy na piersiach. Proporczyk przy kierownicy łopoce na wietrze.

Dzwony zegarów biją, mijają godziny. Rzeczywiście pisze on najlepsze wypracowanie, a podczas dużej przerwy załatwia ostatecznie sprawę z synem bankiera. Wprawdzie krwawi nos, a lewy policzek przecina długa rysa, ale tamten zostaje wyliczony po pierwszym podbródkowym haku i wali głową w ścianę korytarza, a potem zataczając się, wraca do klasy. Wstrętny chłopak. Jeździć autem, żreć ciastka, tego właśnie potrzeba ojczyźnie!

W klasie jest ulubieńcem, a jednocześnie trochę się go boją, bo w jego szarych oczach szybko zapala się płomień. Nigdy jednak nie potrafi ścierpieć nieprzyzwoitego zachowania czy poglądów. "Orla powiedział, że tak nie wolno", no i załatwione, kropka. Większości nauczycieli wydaje się trochę niesamowity, jest jak strzała zawsze spoczywająca na napiętej cięciwie. Dyrektor, major landwehry, kocha go bardziej niż własne dzieci.

— Były wieści od ojca, Joachimie?

— Tak jest, panie dyrektorze, łowi od rana do wieczora i ma wilczy apetyt!

Szare oczy błyszczą, podrapane dłonie mocno przylegają do bocznych szwów spodni.

— Tak jest dobrze! — mówi dyrektor i głaszcze go po jasnej czuprynie. Pokazuje ludziom co to praca. Wspaniały człowiek z twojego ojca.

Na koniec przypada lekcja gimnastyki i Joachim błyszczy jeszcze raz. Po linie wdrapuje się jak kot, a nauczyciel gimnastyki, zawsze w złym nastroju, patrzy na niego krzywym okiem.

— Nie przebij się przez sufit! — mówi. Joachim jest już jednak na dole.

— Wanty sięgają wyżej — zauważa obojętnie.

Gdy w południe wraca do domu, ćwierkają zięby. Na rogu ulicy przeraźliwie dzwoniąc rowerowym dzwonkiem, atakuje psa sąsiadów, potem rozpromieniony wbiega po stopniach. No, wreszcie może zobaczyć matkę. Nie lubi makijażu na jej twarzy i do pocałunku podstawia tylko policzek. Prawy. Kiedy jednak zasiadają do

stołu, ona chce dowiedzieć się wszystkiego; co przeżył i jacy są koledzy. Zna niemal wszystkich rodziców, bo przedmieście jest jak wioska. Chłopiec opowiada chętnie, bez zarozumialstwa, ale z poczuciem własnej wartości. Okazuje się, że w klasie jest kilku "morowych chłopaków", ale w kwestii szczegółów nie umywają się do niego. Również to, że bogactwo i marzycielstwo jawią mu się jako sprawy nieistotne, jeśli nawet nie godne wzgardy.

Pani von Orla, z głębokimi cieniami pod oczami, słucha go na wpół poważnie, na wpół z rozbawieniem. Kiedy jednak mówił o bogactwie, zauważyła, że nie powinien pochopnie tak nisko oceniać rzeczywistości spraw życia i władzy. Już i ojciec ma w stosunku do tego wątpliwe poglądy.

— Dyrektor powiedział, że ojciec to wspaniały człowiek.

— Tak, tak — mówi matka z uśmiechem — tyle że wartości istotne w życiu nie są określane przez dyrektorów szkół, ale raczej przez dyrektorów banków. A może mając dwadzieścia pięć lat, chciałbyś żyć jako rybak?

Przez chwilę zastanawia się i znów na jego wysokim czole ukazują się napięte zmarszczki. No nie, tego by nie chciał, odpowiada w końcu. To za mało, nawet jeśli na okres jednego lata może być piękne. Krążownik jest lepszy od łódki, eskadra lepsza od jednego krążownika. Ojciec zrezygnował z tego zbyt wcześnie i wie o tym najlepiej.

No tak, zauważyła pani von Orla na swój użytek, może nawet nie powinien był w ogóle zaczynać... Ale oto zjawia się cytrynowa legumina i Joachim już tego nie słyszy.

Tylko siostra Beate przez cały czas siedzi cicha i onieśmielona, a na koniec, zamiast łyżki, chce podać widelec do ryb. Jej duże oczy, tak łatwo roniące łzy, widzą twarz kapitana, który już będąc na schodach, jeszcze raz się odwrócił. "No i chłopiec, siostro, słyszy pani? Proszę dniem i nocą dawać baczenie na chłopca".

Bóg wie, że ona to robi, jednak nie powinno dochodzić do wielu zdarzeń, takich jak właśnie teraz, jeśli zaś idzie o inne, to jest już za późno. Wie, że w odniesieniu do wielu spraw dzieci są już ukształtowanymi ludźmi. Rodzice najczęściej nie chcą o tym wiedzieć, ale ona jednak wie. Nie na darmo żyje się przy obcych dzieciach. Teraz odlicza owe pięćdziesiąt dni, tak jak Joachim. Przynajmniej jeśli idzie o cytrynową leguminę, jest tak jak powinno być.

Gdy pani von Orla ponownie bierze talerz Joachima, koronka jej luźnego rękawa zahacza o fałdę obrusa i podciąga rękaw aż do łokcia.

— Czy to blizny, mamo? — pyta Joachim i głaszcze palcem zgięcie ręki.

Ona jednak gwałtownie odsuwa rękę na bok i obciąga rękaw. Nie, to ukłucia komarów, służąca będzie musiała osadzić w oknie sypialni ramę z drucianą siatką. Pobladła patrzy na siostrę Beate, ta jednak pochylona nad pustym szklanym talerzykiem przeciąga palcem po liniach szlifu.

Dzwonią kościelne dzwony, za każdym razem słychać następujące po sobie trzy smutne dźwięki. Siostra Beate opuszcza sztukę bielizny, którą naprawiała i zastanawia się, kto też w sąsiedztwie umarł. Tak wielu jednak umiera w tych czasach, nie tylko z powodu choroby, ale z nędzy, zwątpienia, a nawet z głodu. Czasy te z oszukańczą szybkością pożarły zasoby, a że banknoty noszą już dziesięciomiejscowe liczby, nadeszła pora żniwa. W takim samym stopniu dotyka ona starą arystokrację, jak i nowobogackich, z tym że tamci zwykli odchodzić ciszej niż ci drudzy. Kraj jest niczym chory las, w którym naznacza się drzewa, a dzwony dzwonią każdego dnia. Siostra Beate wzdycha i ukradkiem patrzy na dziecko.

Joachim siedzi nad swoimi zeszytami i książkami. Zmarszczył czoło i zatopił się w nich. W czasie pracy nie ma dlań zabawy ani marzeń, nie znosi, gdy mu się przeszkadza. Jego czoło wygląda jak czoło starego człowieka, a kiedy patrzy w stronę okna, nie dostrzega siedzącej tam siostry Beate, ale zapisaną na szybie zgłoskę lub liczby szeregujące się w tajemny sposób. Siostra nie ma z uczniem Joachimem żadnych trudności, czasem nawet lęka się takiej pilności i tak wczesnego uładzenia. Na jego półce stoi także mały globus i nieraz widzi chłopca stojącego przed nim; nie trzyma on jednak w dłoni książki czy tabeli, lecz gdy dotyka kuli, robi to szybkim ruchem, a obroty Ziemi zatrzymują się tam, gdzie on chce. Nigdy już nie słychać cichego terkotu, z którym wokół swojej osi obracała się barwna kula w pokoju kapitana, nie zatrzymywana jego dłonią, nigdy też nie zapomni jego wzroku, którym śledził tę barwną igraszkę, starych oczu, jeszcze raz zatrzymujących się na blasku mydlanej bańki. Potem, aż do zmierzchu, Joachim przebywa w lesie i na wodzie. We czterech mają łódź żaglową, a on jest jej kapitanem. Nie bawią się, w rzece nie nurza się żadna wyspa piratów. Pracują i uczą się, a z ospałych jachtów pływających dla rozrywki podąża za nimi niejedno zamyślone spojrzenie. Wieczorami buduje modele okrętów, uczy się kodu flagowego, tonażu i wyposażenia w uzbrojenie. Potem pracowicie i starannie powtarza z siostrą Beate półgodzinną lekcję angielskiego. Nie oddaje się zabawom, mało czyta, a kiedy już podciąga na ramiona kołdrę, zamykają mu się oczy.

Bije dzwon, a pastor stoi przed drewnianym Chrystusem i długo się weń wpatruje. Chciałby wiedzieć, czy umarli mają inne oblicza niż żywi, ale nie wie tego. Wzdycha krótko, patrzy przez otwarte okno na noc i myśli o wyspie pana von Orla, na której chciałby kiedyś zamknąć oczy, jeden jedyny raz zasnąć tak głęboko, żeby nie naszły go sny ani troski, jeden jedyny raz zasnąć tak jak umarli. Cóż jednak wie o śnie umarłych?

Bierze arkusz papieru i kreśli kilka słów do sternika Thomasa Orla. Ze był tu jego syn i przekazał pozdrowienia oraz załatwił wszystkie inne sprawy, że cieszy się wiadomością o tym, że Thomas pracuje. Jeśli idzie o jego syna, nie sądzi, by miał przychodzić doń często. On ma przed sobą morze i zbyt mało czasu dla mrocznych kościelnych naw, co zresztą jest całkiem normalne. Jemu samemu przypomniał się zaś werset z przypowieści Salomona, chce go więc na zakończenie przytoczyć: "Więcej wart jest cierpliwy niż bohater; a ten, kto opanowuje siebie samego więcej znaczy niż zdobywca miast. Losem potrząsa się w zanadrzu, lecz jego rozstrzygnięcie zależy od Pana". Może pan von Orla zechce przemyśleć to nad swoimi sieciami.

O tej samej godzinie, przed domem rodziny von Orla zatrzymuje się samochód — pani von Orla, zgodnie z wymogami czasu, posiada teraz taki lśniący i warczący pojazd — i gdy ona, naciągając rękawiczki, chce wyjść za próg, przez ogrodową furtkę wchodzi przyodziany granatowo mężczyzna, najpewniej jakiś marynarz, lecz bez odznak i wstążki z nazwą okrętu na czapce. Odsłonięta szyja jest opalona, czubki butów zakryte przez nogawki spodni, a czarne wstążki u czapki zwieszają się nisko na plecy. Twarz ma szeroką i wcale nie gniewną, choć wraz z tymi wstążkami całą postać owiewa jakieś nieokiełznanie i aura przygody. Idzie przez ogród jak przez port, z jakimś niedbałym, ale i czujnym pragnieniem i wygląda to tak, jakby już następnego dnia miał zasiąść na bomie kliwra, nad zielonym morzem, z dłonią zaciśniętą na linie i wielkimi mewami nad jasnoblond głową.

Zobaczywszy podchodzącą panią von Orla, trzaska obcasami i zrywa z głowy czapkę. Ona poznaje go dopiero wtedy, gdy jest bliżej i z uśmiechem podaje mu rękę.

Bez zmieszania odwzajemnia uśmiech.

— Halo, Bildermann, dawno niewidziany. Znowu robił pan jakąś rebelię?

— Koniec z rebeliami, pani kapitanowo — odpowiada — teraz się stempluje — i prawą dłonią, w której trzyma czapkę, uderza w otwartą lewą rękę.

— Ach tak — wzdycha ona — to ponure czasy, Bildermann, a kapitan jest nieobecny. Bóg wie, czy znów wróci... Słyszał pan już o tym?

Nie, nie słyszał. Twarz jego staje się z miejsca poważna i napięta.

— Tak, tak — mówi, gdy opowiedziała mu już najważniejsze o Tho-masie — fantastyczny człowiek z pana kapitana! Pierwszorzędny! Poszedł tam i łowi ryby. Powinno się go naśladować...

Pani von Orla zauważyła, że chyba niewielu miałoby na to chęć i uśmiechnęła się w szczególny sposób. W tym dziele chyba pozostanie samotny.

Marynarz zapatrzył się, ponad nią, w wieczór. Już się nie uśmiecha, znowu ma "morskie oczy".

— Tak, Bildermann — mówi w końcu pani von Orla i przeszukuje torebkę — jeśli chciałby pan napisać, tu jest adres, myślę jednak, że pan kapitan na razie chce być tam samotny. Ostatnio unikat trochę ludzi, wie pan?

To sztuka! — mówi marynarz i rozgląda się po ogrodzie. Nie, bardzo dziękuje, ale jeszcze nie umiera z głodu. Jak już do tego dojdzie, nie zamknie dłoni.

Odprowadza panią von Orla do samochodu, zamyka za nią drzwiczki i pyta, czy wolno mu będzie pójść na chwilę do młodego pana.

Tak, wolno, oczywiście, a siostra Beate powinna zaserwować mu co najmniej uczciwą kolację.

Godzinę później pani von Orla pyta admirała, czy kiedykolwiek ratowano mu życie. Nie, mnie nie, odpowiada, ale to się zdarzało często. Jeśli idzie o innych, było wiele okazji.

— Ci, którzy ratowali życie, są nieco uciążliwi — stwierdza w zamyśleniu pani von Orla. — Są jak owi cisi wyznawcy wiary, którzy nic nie mówią, ale są zawsze obecni... Których też nie można odprawić...

W tym samym czasie marynarz znów jest w drodze z zachodniego przedmieścia do ogródków działkowych na północy. Ręce zagłębił w kieszenie, w zębach trzyma krótką fajkę, wygląda na zamyślonego. Najpierw próbuje obliczyć, czy zużycie zelówek będzie kosztowało więcej, czy mniej niż opłata za przejazd podziemną kolejką. Potem liczy na palcach miesiące, które dzielą od jesiennych wichur, potem kilometry i dzienne przemarsze, potem zasiłek wypłacany stemplującym. W końcu wyjmuje fajkę z ust, spluwa pod nogi mężczyźnie noszącemu paradną pelisę, mówi "gówno!" i wskakuje na stopień przejeżdżającego autobusu, gdzie zostaje, póki w drzwiach nie

pokaże się konduktor. Następnie zeskakuje, kiwa mu dłonią i czeka na następną okazję do jazdy. Sam wie, kiedy kapitan będzie go potrzebował, myśli. Tylko on i nikt poza nim. Jeszcze nigdy nie zjawił się za wcześnie bądź za późno.

Dzwony zegarów biją w całym kraju, gwiazdy wschodzą i zachodzą. Po drogach wędrują bezdomni, a w mrocznej wodzie wędrują ryby. Jeszcze przed świtem zaczyna wołać kukułka. Miasta leżą na ciemnej ziemi niby jasne wyspy, białe wstęgi kolei przebiegają przez równiny i góry jak pajęcza sieć. Ale lasy, jeziora, mokradła oraz zielone zasiewy śpią. Unoszą się mgły, nad mgłami nawołują się przelotne ptaki. W drzewach krążą soki, z gwiazd opada rosa. "Losem potrząsa się w zanadrzu, lecz jego rozstrzygnięcie zależy od Pana".

Rozdział 5

Wyspa nie widziała wielu odwiedzających i zanim w ostatnich dniach czerwca nie przyjechał Joachim, tylko raz był tam generał, a kilka razy jego wnuczka z panem Bergengrünem.

Generał przypłynął pod wieczór lekką, smukłą łódką, siedział u steru, w prostym polowym płaszczu narzuconym na ramiona, a siwe włosy przykrył polową czapką. Wiosłował olbrzym. Nie nosił munduru, a od siły jego rąk woda pieniła się przed stewą[*] . Z daleka wyglądało to jak przeprawa Bluchera[*] przez Ren.

Thomas nie mógł podnieść wojennej bandery, ale stał na desce pełniącej funkcję mola, przytrzymał dziób łodzi i pomógł gościowi wysiąść.

— Wreszcie zobaczyć — powiedział generał i potoczył groźnym spojrzeniem. — On wygląda dobrze... Wszystko dobrze... Porządna gospodarka... — Podszedł do drągów, na których w ciągu dnia suszyły się sieci i zacząwszy od pierwszego rzędu, zlustrował pozostałe. Były rozwieszone jak pod sznur. — Wiedziałem — odezwał się generał i oparty na lasce rozejrzał się po wyspie niby po defiladowym polu.

— Wiedziałem... Stary żołnierz... Niezawodny... Przyjrzeć się, Johann!

Johann stał za swoim panem i nie bardzo wiedział, czemu miałby się przyglądać, tkwił więc jak kołek w płocie.

— Brać przykład — rzekł groźnie generał. Potem Thomas uśmiechając się, poprowadził go do domu.

Generał dostrzegł zaraz szerokie okno i stanął, przypatrując mu się.

— Gruber opowiadał — rzekł — ale nie płacić samemu... Przeczekać lato... Będę współuczestniczył...

Potem zamarł na progu. Kilkakrotnie stuknął laską u stóp w podłogę, jakby chcąc sprawdzić, czy wszystko to jest prawdziwe. W końcu odwrócił się powoli i popatrzył na Thomasa.

— Podał fałszywe nazwisko, Orla?

— Nie, panie generale.

---

[*] Wiązanie dziobu lub rufy, łączące burty statku o konstrukcji drewnianej — przyp. red.

[*] Gebhard Leberecht von Blücher (1742—1819), feldmarszałek pruski, naczelny wódz armii pruskiej od 1813 r.; przybycie armii pruskiej pod Waterloo przypieczętowało klęskę Napoleona — przyp. red.

Oczy uważnie przemykały po każdym rysie twarzy Thomasa. Potem generał rozejrzał się bezradnie.

— Nie zwodzić starego człowieka, czy nie tak, Orla? — Teraz mówił cicho i prosząco.

— Nie, panie generale — odrzekł poważnie Thomas. — Jest jeszcze niejedno, o czym chciałbym powiedzieć później. Czy pan generał zechce zadowolić się tym?

— On jest ścigany? — spytał gość.

— Nie, panie generale.

— Dobrze... Pozostaniemy zadowoleni... Nie zwodzić starego człowieka.

Skinął głową i wszedł do wnętrza, obejrzał obraz z krążownikiem i zaplótł dłonie na lasce. Potem długo stał przed globusem sięgającym mu do piersi. Ostrożnie przyłożył palec do błękitu jezior wyglądających na powierzchni jak drobne kropki i pchnął je w bok. Kraina niemal bezgłośnie zsunęła się za horyzont, spoza krzywizny wyłoniły się nowe kraje i morza.

— Zastanawiające — powiedział — cały świat...

Potem zatrzymał się przy książkach i zdziwiony popatrzył na tytuły, przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i znów stanął przed szafą z orężem i maskami, a w końcu zatrzymał się naprzeciw Thomasa.

— Panie następco Christopha... — odezwał się zamyślony — wypić butelkę wina.

Johann przyniósł butelkę i dwa kielichy, z otwartymi ustami rozejrzał się po odmienionym pomieszczeniu, dostał cygaro i zniknął na brzegu jeziora.

Siedzieli na ławce przed domem. Wino jarzyło się w zachodzącym słońcu, na szarej płycie stołu złociście lśniły drobniutkie kropelki żywicy. Hałasowały trzciniaki, jaskółki przynosiły źdźbła pod szary dach.

Generał, z płaszczem na ramionach, siedział na swoim miejscu wyprostowany, dłonie złożył na lasce i patrzył na wodę.

— Dużo straciłem, Orla — powiedział cicho. — Cesarza i Rzeszę, żonę i dwóch synów. Zostało jeszcze to: zachód słońca i własna ziemia.

Tylko się nie skarżyć. Zacząć od nowa. Wyrośnie nowe pokolenie...

— Już rośnie — rzekł Thomas. Tamten kiwnął głową.

— Nie gorzknieć, tak jak wielu. Tylko złorzeczą i oskarżają. Nikt nie jest bez grzechu. Nikt. Nie zawierać kompromisów. Zostać uczciwym. Dawać przykład... A dlaczego on tu przybył?

Thomas powoli obracał w palcach kielich.

— Najpierw był jeden psalm, panie generale, który przeczytałem.

Nie, nie najpierw, ale na końcu. Znalazłem werset, który zapewne czy tamy pobieżnie: "Jako słowa niszczeją lata nasze". Uderzył jak młot, w samo sedno mojego życia. Potem tego samego wieczoru byłem u naszego pastora. Postąpił tak, jakby Bóg i Chrystus, i Kościół byli dla niego niczym. Powiedział: "pracować, ciężko, postękując, oblani potem. I nic tylko pracować!". Taka była jego ewangelia i z tym mnie odesłał. Przez kilka lat nie chcę robić niczego, tylko to. Może i przez całe życie. Nawiedził mnie anioł i zażądał ode mnie tego, co najprostsze. Innych rzeczy nie umiałem dobrze, tego co robiłem poprzednio. To tu chcę umieć. Chcę zyskać radosne serce, panie generale.

Ów zamyślił się na długo.

— Dobry plan, Orla — odezwał się w końcu. — Ograniczać się, to początek mądrości. Atakowali, nacierali, żeby zasłużyć na laurowy wieniec, ale na czole najlepszy jest pot... Żadnego następcy... Synowie nie żyją... Tarcza będzie rozbita... Tylko ta wnuczka, dobra krew, uważać na nią, Orla, słyszy pan?

— Tak jest, panie generale.

— Będę często przysyłać. Bergengrün zbyt nabożny. Baranek w okularach. Ale tu: globus, książki, czyste powietrze. Płynąć, strzelać, uczyć łowić ryby. Jako słowa niszczeją...", to dobra mowa. Jestem wdzięczny, Orla, słyszy pan?

— Tak jest, panie generale.

Przyjrzeli się jeszcze, jak zachodzi słońce. Wieczorny wiatr poruszał trzciną, chłodny powiew dochodził i tutaj. Generał wstał, mocniej otulił się płaszczem.

— Wielu posłałem na śmierć, Orla — powiedział. — Jednakże z obowiązku! Przeklęty obowiązek i powinność... Siebie nie oszczędzałem... Tam wiedział każdy... W sztabie mieliśmy śpiewaka, lek-koducha pierwszej klasy, śpiewał piosenkę z refrenem "umieranie, to najpiękniejsza śmierć!". Taka jest chyba dla tych, których zabrała...

Rozkaz wykonany... gotowe!

Włożył do ust dwa palce i zagwizdał. Spod dębów odpowiedział Johann.

W tym samym tygodniu przybyła Marianne i jej nauczyciel. Przypłynęli od leśniczówki, a kurs trzymany przez Bergengrüna nie był najprostszy. Okazało się, że

generał nie opowiedział im o niczym, tylko doradził, żeby wzięła kawę i chleb, a Bergengrünowi udzielił urlopu na tak długo, jak długo zechce ją zatrzymać Orla.

Podczas gdy Bergengrün obchodził wyspę niby drugi Robinson, stawiając ostrożnie stopy, jakby gospodarz hodował tu węże, Thomas stanął u progu, zapraszając dziewczynkę do środka. Ta znieruchomiała, a słońce rzucało jej cień aż na piec.

— Bądź tu dobrym duchem, Marianne — powiedział poważnie Thomas.

Odwróciła głowę i z powagą przyjrzała mu się. Włosy jej przepełniało słońce, a delikatna twarzyczka wyzierała spod nich jak spod złotego kasku.

— Dawno już nie żyje twoja matka? — spytał cicho Thomas. Skinęła głową, nie spuszczając zeń wzroku.

— Od ośmiu lat — odparła. — Przewróciła się z koniem... A to wszystko jest twoje?

Tak, wszystko to stanowi jego własność, odpowiedział Thomas, ona zaś może zachowywać się tu tak, jakby to był jej własny dom.

Milcząc, podeszła — jak przedtem jej dziadek — do barwnej kuli ziemskiej i dotknęła jej. Gdy kula zaczęła się obracać wokół pochylonej osi, przestraszona cofnęła się o krok.

— Tak lekko to poszło — szepnęła.

Potem przyjrzała się szeregom książek i znów popatrzyła na Tho-masa. Czytuje to codziennie? Tak, każdego wieczoru. Dlaczego więc jest rybakiem, skoro ma tyle książek? Thomas odpowiedział, że książki to jego wieczorna modlitwa. Jeśli ona może modlić się tylko wówczas, gdy była grzeczna, on może czytać książki tylko wtenczas, kiedy w dzień solidnie popracuje. Na czytanie trzeba sobie zasłużyć.

— Nie modli się wieczorem? — Zapytała o to tak nieśmiało i cicho jak spod zasłony.

Zmieszany odpowiedział, że chyba już nie tak jak ona. Pomyślał też sobie, że to dziecko ma osobliwe spojrzenie. Zdawało mu się, że on sam patrzy na nią jak na zapieczętowany list.

Potem pokazał jej sąsiednie pomieszczenie z małą kuchenką i nielicznymi niezbędnymi naczyniami. No tak, musi gotować sam, bo jeziorne nimfy nie zaoferowały jeszcze swoich usług. A także zmywać, tak jest, bo woda to jego żywioł.

Jeszcze raz rozejrzała się milcząco jak po jakimś muzeum. Wróciwszy, przystanęła przy jego polowym łóżku i wyrównała koc. Nieśmiało popatrzyła na obraz z krążownikiem i zapytała, czy Thomas stał tam na górnym pomoście. Tak, oczywiście, że stał.

Powiedziała cicho, że pytała pana Bergengrüna, jak to jest z piątym przykazaniem, ale on nie wiedział.

— Nie wiedział, bo też tego nie wie nikt — odrzekł.

Potem wyszli na zewnątrz, a gdy przepuszczał ją przed sobą, skłoniła głowę tak jak wówczas na stopniach zamku. Był przekonany, że przedtem musiała już raz istnieć.

— Dlaczego powiedziałeś to o dobrym duchu? — zapytała, wyjmując rzeczy z kosza.

— Czasami go potrzebuję — odparł. — Będzie więc dobrze, jeśli wtedy pomyślę o tobie. Tam, gdzie przychodzisz, nikną wszystkie cienie... Jesteś prawie o rok młodsza od Joachima.

— A kto to Joachim?

— To mój syn, który za cztery tygodnie przyjedzie tu na wakacje.

— Jest taki jak ty?

— Nie wiem... Jest trochę głośniejszy i weselszy.

— Czy masz też żonę?

— Tak.

— I... ona nie przyjedzie?

— Nie. Teraz jeszcze nie.

Znowu poruszył się sznur pereł na jej szyi. Potem wypakowali koszyk i zawołali Bergengrüna.

Okazało się, że jest on kolekcjonerem, choć nie ma jeszcze żadnej metody. Kieszenie jego surduta pełne były muszelek, w kieszenie spodni nawkładał kamieni, a w obu dłoniach niósł huby o pięknych ornamentach, które rosły na pniach za pagórkiem.

— To ogród Edenu, panie Orla — powiedział zachwycony. — Nawet ptaki w gniazdach wcale się nie przestraszyły.

Przy schylaniu przekrzywiły mu się okulary, we włosach pełno było świerkowego igliwia i pajęczyn, wyglądał tak, jakby wrócił z wyprawy do źródeł Amazonki.

— Dopóki nie zabiją ich drapieżniki — powiedziała Marianne, oczyszczając chusteczką jego twarz i odzienie.

O nie, od kiedy odszedł Christoph, nie ma tu drapieżników. Ale czy Christoph był drapieżnikiem? — spytał Thomas z uśmiechem.

— To szyderca, panie Orla i niedowiarek! Gdyby nie to, że był tu na służbie, wbiłby mnie na pal. Szyderstwo to coś najgorszego na ziemi…

Thomas nadmienił, że może są i gorsze rzeczy, teraz jednak powinni napić się kawy. W domu gospodarza, który jest tak ubogi, że musieli przynieść ze sobą jedzenie.

— U gospodarza cudownie łagodnego — powiedziała Marianne.

— Potem będzie mógł pan, panie Bergengrün, wejść do domu, gdzie panuje jeszcze większy bałagan niż za czasów Christopha.

Po podwieczorku Thomas zapytał, czy nie zechciałaby z nim popływać. Tak, bo dziadek szczególnie jej to zalecił. Przyniosła z łodzi kostium. Thomas wziął małą strzelbę i poprosił pana Bergen-grüna, żeby zechciał przyjrzeć się wszystkiemu, wedle uznania. Potem poszli za pagórek, gdzie nie było pnączy.

Przebrali się za dębami i zeszli na brzeg. Trawa grzała ich stopy. Nad wodą Thomas oparł strzelbę o świerczek. Potem schwycili się za ręce i weszli na miękki piasek. Woda była nieruchoma, już po kilku krokach stała się zielonawa, a dno utonęło w czarniawym mroku. Thomas powiedział, że nie powinna się bać, bo on zawsze będzie blisko. Uśmiechnęła się trochę niepewnie, skinęła głową i z rozpostartymi ramionami rzuciła się przed siebie. Nie miała czepka i włosy ciągnęły się za nią jak jakiś nieznany kwiat. Wypłynęli kawałek. Pod nimi, rozpryskiwane uderzeniami rąk, leżało odbicie białych obłoków, wierzchnia warstwa wody była ciepła i tylko z głębiny, wzdłuż kończyn, napływał chłód. Czasami zdawało się, że małe rybki potrącają ich stopy. Gdy zawrócili, Thomas wciąż płynął u jej boku. Zdawało mu się, że wyspa wyżej niż zwykle wypiętrza się nad wodą. Brzeg wyglądał obco, był surowy i niedostępny, a przed trzciną wystrzelił migotliwy, niebieski ptak i z cichym wołaniem zniknął za drzewami.

— Zimorodek — powiedział Thomas. — Jeszcze nigdy go tu nie widziałem.

Zauważył, że dziewczynka oddycha szybciej i zapytał, czy jej nie pomóc.

Patrzyła prosto przed siebie i potrząsnęła głową. Ostatni kawałek przepłynęła całkiem wolno, a zanim dotknęła dna, zapytała, czy może do niego mówić "Thomas".

Tak, oczywiście, że może, a jemu będzie to przypominało dzisiejszy dzień.

— Nie będziemy mówili, że to zimorodek — powiedziała po chwili, przecedzając wodę między palcami. — Będziemy mówili, że to "ptak", dobrze?

Thomas zgodził się i z tym, przyglądając się jej w zamyśleniu. Potem, stojąc na płytszej wodzie, podtrzymywał jej ciało dłonią i pokazywał, czego jeszcze musi się nauczyć, żeby nabrać pewności i w wodzie czuć się tak jak na lądzie.

Później poleżeli na słońcu, ona wyciskała z włosów wodę, on opowiadał o innych wyspach, na których był, o rosnących tam palmach, o prześwitujących koralowych rafach i ciemnoskórych ludziach, żyjących jak dzieci. Oparła brodę na dłoniach i patrzyła na niego. Leżał na plecach, przesypywał piasek między palcami i przyglądał się ciągnącym w górze ponad nimi białym obłokom. Opowiadał powoli, jakby we śnie, jakby mówiąc do samego siebie, ale od czasu do czasu odwracał wzrok ku jej spojrzeniu, jakby chcąc zobaczyć, czy ona jeszcze jest.

— Tak, ziemia jest piękna — zakończył — tam, gdzie ludzie mają radosne serca.

Nie, dzisiaj nie będzie strzelała. Następnym razem. Dzisiaj i tak wszystkiego było trzy razy więcej niż u wujka z Orientu, a więc jest zmęczona.

Kto jest tym wujkiem z Orientu?

To pan Gruber, leśniczy, ten, który ma smutną żonę. Nazywa go tak, bo wygląda jak jeden z Trzech Mędrców ze Wschodu. Czy ich syn też był na tym okręcie?

Nie na tym, ale na podobnym i całkiem blisko. Tamta kobieta sądzi, że on kiedyś wróci. Nie musi wracać, bo zawsze jest przy niej!

— Czy umarli wciąż są obecni?

— Nie wciąż, ale czasami. Wówczas, jeśli bardzo się ich kochało.

— Mojej matki nie ma nigdy, ale ojciec przychodzi czasami, we śnie... Przed piersią trzyma wysoką tarczę, ma szary hełm... Kiwa na mnie, a potem znika, to jest tak, jakby się rozsypywał...

Niebieski ptak jeszcze raz mignął koło nich. Potem wstali i ubrali się. Cienie młodych dębowych liści poruszały się bezgłośnie na ciele dziecka.

— Dziękuję ci, Thomas — powiedziała, kiedy schodzili ścieżką wiodącą do domu. Odwrócił się i pogłaskał jej włosy. Urosła przez wiosnę i teraz sięga mu powyżej piersi.

Pana Bergengrüna znaleźli na podłodze przed książkowymi regałami. Leżał wyciągnięty na całą długość, skronie podparł kułakami, przed nim zaś leżała duża księga z barwnymi tablicami. Były na nich tropikalne motyle. Odsunął okulary na czoło, a oczy jego błyszczały, jakby odbijał się w nich wizerunek tamtych kolorowych owadów.

— Jakie to wszystko urocze — powiedział, patrząc na nich z dołu.

— To tak, jakby anioł dotknął tej wyspy.

Tak, ale teraz już muszą znów usiąść w łódce, no i może zjawi się anioł, żeby wiosłować, powiedziała Marianne.

Podniósł się z westchnieniem i wstawił książkę na miejsce, zsunął okulary i popatrzył na Thomasa.

— Kim pan jest? — zapytał.

— Thomasem Orla, sternikiem w stanie spoczynku.

— Nie wierzę w to — powiedział Bergengrün. — Nigdy w to nie uwierzę… możliwe, że jest pan Sindbadem Żeglarzem.

Dziecko popatrywało to na jednego, to znów na drugiego i uśmiechało się. W świetle zachodzącego słońca wydawało się, że w szarych tęczówkach oczu tkwią grudki złota.

Odtąd przypływali dwa razy w tygodniu, a czasami częściej. Była już łódka dla Joachima, smukły mały kiler, w którego przedniej ławce można było osadzić niewielki maszt z białym żaglem. Bergengrün szybko został zdymisjonowany, bo wciąż pociągał nie tę, którą trzeba linę i zawsze siadał na niewłaściwym miejscu. Zaakceptował to bez upiększania faktów i odtąd znów wylegiwał się na podłodze, nad rozłożonymi książkami z barwnymi ilustracjami.

Marianne opaliła się, zalśniły jej oczy. Wiosłowała, żeglowała i pływała. Strzelała do świerkowych szyszek i przesiadywała schylona nad morskimi mapami. Wyrzucała sieci za burtę niesionej wiatrem łodzi albo stojąc w kuchni, płukała naczynia.

— Kiedy w ostatnim czerwcowym tygodniu przyjedzie Joachim — powiedziała — nie będziesz już tego robił ze mną…

— Ale będzie robił Joachim — odrzekł Thomas. — Niejedno potrafi lepiej niż ja.

Uśmiechnęła się wyrozumiale i wychylona za burtę przesuwała dłonią po wodzie.

— Spodoba ci się — powiedział Thomas. — Większości ludzi podoba się bardziej niż ja.

Jeszcze raz podniosła oczy, a potem zapatrzyła się w dal, na wodę. Między jej brwiami ukazała się nieznana mu drobna zmarszczka.

— Może... — powiedziała zamyślona.

Przyjechał Joachim, a ona nie kryła, że spodobał się jej bardzo. Promieniowało od niego tak wiele radości i zdrowia, że wszystkich tym olśniewał. Było to tak, jakby przywiózł ze sobą nowe życie, wcale nie owo miejskie, ale życie pełne młodości, niczym niezakłóconej, ani przez rozmyślania, ani przez uczucia. Nawet Marianne, młodsza od niego, powiedziała w pierwszych dniach:

— On jest taki młody, Thomas!

— Tak, dziecko — odrzekł z uśmiechem — a myśmy trochę udawali starych ludzi, prawda?

Przywiózł go ze stacji jednokonną bryczką Grubera i wydawało się, jakby rozstali się wczoraj. Joachim nawiązał do ich ostatniej rozmowy, którą odbyli przed wyjazdem ojca. A teraz myśli jego kierowały się ku temu, co miało nadejść, ku wyspie, jezioru, codziennym zajęciom. Thomas zauważył, że Joachim niemal nie pytał o ludzi, lecz o czekające na niego rzeczy i sprawy. Zdawało się też, że wierzy, iż ojciec jest tu królem.

Thomas pozwolił mu opowiadać i pytał niewiele. Tylko raz cicho zapytał o matkę. O, jej wiedzie się prima, tyle że trochę pokasłuje, a przynajmniej tak twierdzi siostra Beate. On sam widuje matkę tylko w porze obiadu, bo rano ona śpi, a wieczorem jest nieobecna. A siostra Beate? No tak, ona przesyła serdeczne pozdrowienia. Oczywiście się popłakała, a zawsze to jest taka jak Baranek Boży.

— Powinieneś się cieszyć, że ją masz, Joachimie — powiedział poważnie Thomas. — Nie tak znów wiele wierności dzisiaj...

— Oczywiście, ojcze, zgadzamy się też pierwszorzędnie. A po angielsku mówi fantastycznie. — Był jednak trochę zdziwiony tamtym stwierdzeniem na temat wierności.

Z leśniczym przywitali się jak starzy przyjaciele. Kobieta stała u ogrodowego płotu i patrzyła na nich błędnym wzrokiem. Dłonie jej przesuwały się po czubkach sztachet. Joachim musiał podać jej rękę, ale zaraz się cofnął. Chłodne palce objęły jego dłoń, tak jakby nigdy nie miały jej wypuścić.

— Woda — szepnęła — ta woda…

— Ach, tak — rzekł Joachim, gdy ojciec opowiedział o wszystkim, ale będąc już w lesie, parę razy obejrzał się za siebie.

Potem stanęli na brzegu i o wszystkim zapomniał. Kilka razy krzyknął, jasnym ptasim głosem. Później bez reszty pogrążył się w nowym świecie.

Thomas zauważył z pewnym niepokojem, że przepełnia go nie tylko radość, ale i czujność. Zawsze zwracał uwagę na dziecko, jego skłonności i niechęci, jego opinie i oceny, jednak były chwile, bardzo wiele chwil, kiedy tylko cieszył się czystą i szczerą siłą młodego serca. Teraz towarzyszyła temu cicha obserwacja; było tak, jak gdyby trzymając dłoń na sterze, śledził ruchy igły kompasu, by natychmiast skorygować kurs. Uspokajał się tym, że byli długo rozdzieleni i muszą dostroić swoje kroki, jednak nie mógł nie zauważyć, że szczęście Joachima było przede wszystkim szczęściem przygody. Codzienna praca przy licznych sieciach, wcale nie lekka, wydawała mu się w swojej nowości zabawą, a cała ograniczoność codziennego życia, przygotowywanie posiłków, prostota naczyń, zmywanie talerzy i sprzątanie obu pomieszczeń, jawiło się jako kaprys dziwaka czy pech dwóch rozbitków, który wypada traktować z humorem. Sens nowych zajęć i nowego życia był zrazu niedostępny dla Joachima.

Na początku Thomas nie mówił o tym nic. Nigdy nie wychowywał z pomocą pouczeń, wiedział, że dziecko musi postrzegać wszystko dziecięcymi oczami, nie zaś oczami tego, który swoje życie musiał ocalić z wielkiej morskiej katastrofy. Cieszył się więc, że Marianne zjawiała się jak zwykle, a Joachim bez wahania przyjął ją do swego świata, gdy tylko wypróbował jej fizyczną sprawność podczas pełnych przygód wędrówek. Okazywał jej jednak opiekuńczość, z jaką traktuje się domowe zwierzęta.

Ładowali na żaglówkę prowiant, dziewczynka zajmowała swoje miejsce, w końcu z małą strzelbą przewieszoną przez ramię wsiadał Joachim, wcześniej badawczym spojrzeniem obrzuciwszy łódź. Chwytał za rumpel i gestem dłoni polecał Marianne postawienie żagla. Biała płaszczyzna wspinała się powoli i wypełniała wiatrem; dopóki znajdowali się za osłoną wyspy, łopotała kilka razy, a potem układała się gładko. Łódź pochylała się, przed stewą pokazywała się wąska biała fala, młodzi pasażerowie jeszcze raz machali dłonią, a następnie wpływali w swój własny świat.

Thomas ruszał zamyślony do swojej pracy, płynął na łowiska, wybierał sieć, a od czasu do czasu patrzył na wodę, tam, gdzie daleko lśniła smukła biel żagla rozjaśniona słońcem lub przygaszona cieniem. Zaczynało go ogarniać smutne

poczucie starości i osamotnienia, ale odrzucał je zdecydowanie od siebie, wszystkie zmysły zwracając ku swojemu zajęciu, a później popatrywał z okna, czy biała plamka znów jest widoczna na tle błękitnych, dalekich lasów.

Kiedy wracali, nie można było nie zauważyć, że oboje zrywają z drzewa swojej przygody nie te same owoce. To, co okazywał lub czego pozwalał domyślać się Joachim, było klarowne i zwrócone ku przyszłości; jakieś nowe żeglarskie doświadczenie, ocena wiatru i stanu pogody, nabycie umiejętności, poznanie, a więc nie wrażenia z przejażdżki, lecz z wyprawy.

O tym wszystkim Marianne zwykła milczeć i tylko pełna zamyślenia przypatrywała się opowiadającemu. Czasem uważne spojrzenie przenosiła od niego na Thomasa — choć i on słuchał wszystkiego w milczeniu — tak jakby chciała dociec, czy jest on rzeczywiście ojcem tamtego jasnowłosego zdobywcy świata. Od czasu do czasu dorzucała słowo, żeby zbytnio wygładzoną relację sprowadzić do wymiaru skromnej rzeczywistości, lecz na ogół zdawała się zgadzać z opowiadającym, a także coraz bardziej interesować się jego wersją niż wspólnymi przeżyciami.

Po upływie pierwszego tygodnia, wypełnionego zdarzeniami i doznaniami, zdarzało się, że od czasu do czasu odmawiała uczestnictwa w wyprawach Joachima, woląc w zamian zostać na wyspie. Joachim nie okazywał niczego poza cichym i chłodnym zdziwieniem, wyruszał w swoje rejsy wesoły jak zwykle, a Marianne, która najpierw nieco zagubiona zajmowała się tu i ówdzie jakąś pracą, szybko wracała do domu, siadała koło Thomasa i splatała z traw dziecinny wianuszek albo bez szczególnego zainteresowania wertowała jakąś książkę czy też z cichym śpiewem krążyła po domu, wprawiając przy tym w ruch, zgodnie z nawykiem, kulę ziemską lub przeciągając dłonią po grzbietach książek, zatrzymywała się przed wiszącym na ścianie obrazem. Zakładała z tyłu ręce i podnosiła w górę wzrok z czymś w rodzaju posępnego nabożeństwa kierowanego w stronę wydarzeń, które następowały jedno po drugim, w sposób żywiołowy i przemożny, a wciąż mieszczący się w tej samej utrwalonej regule.

Thomas wystrzegał się przeszkadzania jej w owej cichej przemianie, ale raz zapytał ją, tak mimochodem, czy nie zechciałaby pójść się kąpać albo porozglądać się za "ptakiem" i natychmiast dostrzegł, że twarz jej rozjaśniła się głębokim wzruszeniem. Odnosił się do niej z taką delikatnością i troską, jakby była księżniczką, która zstąpiła z pozłacanej ramy, a nie opalonym przez słońce dzieckiem, wzrosłym w męskim środowisku. Gdy po kąpieli położyli się na nadbrzeżnej trawie, gdzie niby

szklana ściana otaczała ich tylko monotonna pieśń koników polnych, Marianne odwróciwszy wzrok od niego i zapatrzywszy się w las, powiedziała:

— Jest dobrze, kiedy panuje taka cisza…

Thomas spojrzał na nią spod oka, na czyste rysy jej twarzy, na której mimo młodego wieku kładł się jednak delikatny cień; patrzył, jak cicho pulsuje delikatna tętnica za jej uchem, na przesiąknięte wodą włosy opadające na ramiona i nagle ogarnęła go troska o to, jak by też należało pokierować jej życiem, by ochronić je wśród mrocznego i przepełnionego namiętnościami świata. Ostrożnie ujął jej włosy nad karkiem, lekko odwrócił jej głowę, tak że zwróciła się do niego twarzą i odezwał się, jak zwykł do niej mówić:

— Najostateczniejszą ze wszystkiego, co człowiek może zdobyć w życiu, jest wola nieposiadania niczego, moje dziecko. — A po chwili dodał: — Dotyczy to też miłości…

Siedziała nieruchomo, a Thomasowi zdawało się, że widzi, jak słowa zapadają w nią, głębiej i głębiej, niby do studni, na której dnie panuje mrok, a wysoko nad nią złocista światłość dnia.

Potem, godząc się z tym, skinęła głową, a gdy wstali, delikatnie dotknęła palcami jego dłoni. Był to gest tak zwiewny jak dotknięcie skrzydła młodego ptaka.

Przy pożegnaniu Thomas obiecał, że następnego dnia przyprowadzi do zamku Joachima.

Przy okazji Thomas chciał pójść wpierw do rządcy i poprosić, żeby zabrano ryby z zapełnionych sadzów i sprowadzono do zamku kupca, tak jak to było w zwyczaju. Polecił więc Joachimowi, żeby poczekał na skraju parku, bo potrwa to tylko chwilę. Musiał jednak pójść do wielkiej stodoły, gdzie rządca wraz z kilkoma kobietami odpracowującymi szarwark* opróżniał obszerne sąsieki dla nowych zbiorów.

Tymczasem Joachim przyglądał się wielkiemu domostwu ze stromym dachem, rosnącym za nim starym dębom i krążącym nad parkiem myszołowom. Stał wyprężony, wyprostowany niby admirał przypatrujący się z kapitańskiego mostku, jak do stewy przybliża się nowy ląd.

Przeląkł się więc trochę, gdy jego pleców dotknął koniec laski i donośny głos spytał z tyłu, kim jest i co tu robi. Gdy odwrócił się, zobaczył stojącego za sobą starego

* Przymusowe świadczenie chłopskie w robociźnie — przyp. red.

mężczyznę w znoszonym myśliwskim stroju i ze strzelbą na ramieniu, noszącego zsunięty od czoła spłowiały kapelusz. Zaraz też rozpoznał znanego z ojcowskich opowiadań generała, a więc dziadka towarzyszki jeziornych wypraw, ściągnął więc z trzaskiem obcasy, dłonie przycisnął do szwów spodni i bez namysłu zawołał czystym głosem, że jest Joachimem von Orla, synem kapitana marynarki wojennej w stanie spoczynku, Thomasa von Orla i czeka tu na ojca, który poszedł z jakimś zamówieniem do rządcy.

Stary człowiek patrzył na niego jak na jakąś zjawę mówiącą nieznanym językiem, spojrzał też na wnuczkę, która zszedłszy po stopniach, zbliżyła się do nich i powiedział:

— Przysłuchiwać się, Marianne!

Potem polecił chłopcu, żeby powtórzył to, co powiedział.

Ten zaś trochę zmieszany ceregielami, jakie z nim robiono, a również uświadomiwszy sobie, że ojciec mógłby nie akceptować tamtego puszenia się, ociągał się przez chwilę, ale że zaraz naszła go nieodparta przekora, wygłosił tak samo wyraźnie i głośno to, czego się domagano — meldunek złożony przedtem generałowi.

— Słyszała, Marianne? — spytał generał. — Zachować dla siebie!

Być mniej gadatliwa niż ten młody człowiek! — Pogłaskał go jednak po jasnej czuprynie i zapytał: — Kim chce zostać?

— Dowódcą eskadry.

Generał skinął głową zamyślony i ruszył przez podwórze w stronę Thomasa, który właśnie wyszedł ze stodoły.

— Dopiero co dowiedziałem się, panie von Orla — rzekł. — Ten chłopiec szybko się wygadał, ale ma dobrą postawę...

Thomas pierwszy raz rozzłościł się na syna, ale szybko się opanował i poprosił generała, żeby z tego powodu nic się nie zmieniło, pod żadnym względem i żeby to, czego się dowiedział, zachował dla siebie. Dziecko poparło go.

— Zbłaźnił się, Orla — powiedział generał. — Trzeba mieć otwarte oczy... Dla dziecka pozostać przyjacielem... Czasem objąć tym starego człowieka, dobrze?

Thomas skłonił się. Teraz już musi iść do domu. Kupiec jest już w drodze. Pan generał niechaj zaś zechce być przeświadczony, że nic nie kryje się za tym, żadna "przebieranka", jak to przypuszczał Christoph...

Dzieci wciąż stały na zamkowych schodach, pomachał im więc ręką i poszedł przez park na brzeg. Dopiero gdy odwiązał łódź, dogoniła go Marianne. Była zdyszana, bo biegła.

— Wiem, że nie powinien był mówić — zawołała, nie witając się z nim. — Może pomyślał, że jeśli się dowiemy, staniesz się kimś znaczniejszym.

— Myślał, że to on będzie więcej znaczył. Kiedy się dowiecie — odrzekł poważnie Thomas. — Bo przez cały czas trochę się wstydził.

Skinęła głową jak dorosły człowiek.

— Czy teraz będzie inaczej, Thomas? — spytała cicho. Uśmiechnął się i schwycił ją za rękę.

— My oboje, Marianne, starzy ludzie, zawsze pozostaniemy tacy sami, prawda? Ty też, nawet gdy dostaniesz złotą koronę, czyż nie tak?

Szczupłymi palcami mocno ścisnęła jego dłoń i powoli ruszyła w stronę domu.

Joachim wrócił dopiero wieczorem, tak jak się umówili i gdy zwijał i wiązał żagiel, Thomas siedział na ławce przed domem. Był zmęczony, bo przy opróżnianiu sadzów praca była ciężka, ale cieszył się, widząc, jak szybkie i wprawne były wszystkie działania Joachima. Nie mógł zapomnieć o tym, że życie każdego dziecka żywi się z dwóch źródeł, ale co jednak wiedział o tym drugim?

Zaraz też Joachim usiadł obok niego i powiedział:

— To nie było w porządku, ojcze. Wybacz mi. Thomas, wpatrzony w ulatujący z fajki dym, przytaknął.

— Tu są dwie różne sprawy, Joachimie — zaczął spokojnie. — Ten, kto chce w przyszłości rozkazywać, musi nauczyć się posłuszeństwa.

A po drugie, tak to jest, że nie nazwisko zdobi człowieka, ale człowiek nazwisko. Myślałeś sobie, że to tutaj jest jakąś zabawą, ale to nie zabawa. Tu idzie o rzeczy bardzo poważne, rozumiesz?

Joachim przytaknął. Thomas, spojrzawszy z ukosa, znów dostrzegł zmarszczki na jego czole. Tak bardzo chciał zrozumieć.

— A Marianne? — spytał po chwili Thomas.

— Ach… ona była bardzo uprzejma — odrzekł cierpko Joachim.

— A więc nie tego oczekiwałeś, przyjacielu — roześmiał się Thomas.

Więcej już o tym nie rozmawiali.

Wakacje dobiegły końca bez zakłóceń. Było kilka znaczących zdarzeń, jak zorganizowane przez generała polowanie na kaczki, na które zaprosił ich obu, piknik w zamku, rakowa uczta przy ognisku pod dębami i nocny połów z pomocą dużego niewodu. Była kolacja z generałem i jego wnuczką, wydana w domku na wyspie na cześć Joachima. Potem zasiedli przy ognisku, goście w głębokich fotelach, a Marianne bladła ze szczęścia, gdy Thomas usługiwał jej jak dorosłej.

Potem jednak nastał koniec wakacji, Joachim w skupieniu spakował walizkę, mówił o feriach jesiennych, tak jakby były tuż za progiem, złożył w zamku pożegnalną wizytę i wreszcie dzielnie stanął obok Thomasa na małym peronie, tak jakby na peronach wzrastał i jakby dla przyszłego dowódcy eskadry nie istniało słowo rozpoczynające się na "w", a nazywające się "wzruszenie".

Jeszcze stojąc przy oknie, Thomas przekazywał mu życzenia, bardzo serdeczne życzenia, i dopiero gdy zabrzmiał gwizdek lokomotywy, rzekł, wystukując fajkę o ścianę wagonu:

— Nawiasem mówiąc, wczoraj wieczorem przeczytałem w Biblii coś, o czym, Joachimie, myślałem długo: "Więcej wart jest cierpliwy niż bohater; a ten, kto opanowuje siebie samego, więcej znaczy niż zdobywca miasta. Losem potrząsa się w zanadrzu, lecz jego rozstrzygnięcie zależy od Pana". To znaczące słowa i należy zastanowić się nad nimi... A teraz bądź zdrów, Joachimie, niech ci się wiedzie!

Pozwolił koniowi iść stępa i niewiele zobaczył z lasów, przez które jechał. Gdy od leśniczówki schodził do łodzi i zaczął odplątywać łańcuch, zauważył na jej ławce bukiet kwiatów, jakie można było zerwać w lesie: dzwonków, smółek i dzikich róż.

Nie było przy nich listu ani karteczki.

Rozdział 6

Kukułka już nie kukała. Dni stawały się krótsze, a kiedy Thomas wszedł po drabinie na dąb, dostrzegł w dali, gdzie leżała uboga wioska, żółte ścierniska, a nad nimi, od czasu do czasu, trójkątnego ptaka z długim, powiewającym ogonem, pierwszy latawiec zawieszony wysoko ponad sinym lasem. Rankami trawa na wyspie pokryta była pajęczynami, a rosa leżała tak obfita, że wyglądała jak szron. Ale wciąż jeszcze przetaczały się nad lasami burze, sieci zapełniały się co noc, a wokół szarego dachu co wieczór szalały nietoperze. Nocami ze sklepienia niebios spadały gwiazdy, pojedynczo i całymi stadami kreśląc swoje świetliste tory na ciemnym granacie i gasnąc tak nagle, jakby tam, w górze, rozpościerały się lodowate morza, w których bezgłośnie tonęły.

Upływ czasu Thomas uświadamiał sobie zwykle przy lampie, którą co wieczór musiał zapalać wcześniej, a także z tego powodu, że coraz bardziej odczuwał dobrodziejstwo ognia płonącego w piecu; książki zaś pozostawały dłużej w jego dłoniach. Zdawało mu się, że i dla niego nadeszła pora żniwa. Wprawdzie jego plon nie jest zbyt znaczący, ale jednak w zimę może wkroczyć z radosnym sercem. Nie sądził, by generał pragnął powrotu Christopha albo kogoś z jego poprzedników. Nie sądził też, by ktokolwiek gdzieś na świecie tak pragnął jego powrotu, by musiał opuścić wyspę i w innym miejscu lepiej oraz zaszczytniej wypełniać powinności. Był zdania, że łowienie ryb i pilnowanie ładu na jeziorze wcale nie jest czymś gorszym od prowadzenia bankowej księgowości albo produkowania kabli.

Zwiózł z leśnictwa drewno na zimę, brzozę i biały buk, popiłował je i ułożył w szopie na sieci. Ciało jego posłusznie dostosowywało się do wszystkich tych czynności, nabierał rutyny we wszystkim, czego wymagało codzienne życie, a kiedy podczas pracy myśli jego biegły do Joachima, do tamtego dziecka na zamku czy też daleko w przeszłość, do podróży i bitew, bezboleśnie wracały z powrotem do zapachu żywicy na dłoniach, do przypatrywania się wodzie i lasowi, do oświetlonego tajemniczym blaskiem ognia globusa, na którego niewielkiej powierzchni mieścił się świat jak nigdy przedtem posłuszny jego dłoniom i spojrzeniom.

Kiedy czytał o tym, co działo się ze społeczeństwem, o tym, co nierozsądne, bolesne, a nawet haniebne, widział twarz pastora i słyszał jego słowa o pracy.

Wówczas rozmyślał, że przy dokładniejszym poznaniu widać, iż człowiekowi dane jest niewiele więcej niźli to, by w swoim ciasnym, życiowym kręgu postępował sprawiedliwie, by wziął za rękę dwoje albo troje ludzi i ukazywał, jak należy postępować.

W tamtych dniach, kiedy nad wyspą przelatywały już nitki babiego lata, a jarzębiny zaczęły się rumienić, doszło do niespodziewanej wizyty. Zobaczył zbliżającą się wolno łódź należącą do Grubera. Siedział w niej ktoś mający widocznie dużo czasu, gdyż co chwila zbaczał z kursu, żeby popatrzeć, gdzie wynurzy się perkoz, który przed chwilą zniknął pod powierzchnią. Wkrótce rozpoznał gościa po smukłej, przygarbionej postaci, ciemnych, siwiejących już włosach i po jakby lunatycznych ruchach, na które sam zdawał się patrzeć z melancholijnym uśmiechem, ale nie potrafił zmienić lub też uznał, że zmienianie ich nie jest warte fatygi. Był to "młody hrabia". Starszy wprawdzie od Thomasa, ale ponieważ był ostatnim z sześciu synów, tak go nazywano w okolicy. Pozostali zginęli na froncie. W nazwie tej trwała pamięć minionych czasów, a może nieświadome życzenie, żeby śmierć zawsze albo choćby przez wiele dziesięcioleci trzymała się z dala od jego ścieżek. W czasie polowania na kaczki Thomas płynął z nim tą samą łodzią i chociaż nie rozmawiali wiele, chętnie przypatrywali się sobie i obaj pomyśleli, że byłoby dobrze posiedzieć kiedyś razem przy ogniu. Nazywał się Pernein i nosił pruskie imię Natango. Poza tym oraz poza faktem, że uśmiechał się uprzejmie i był bardzo dobrym strzelcem, niczego więcej Thomas o nim nie wiedział.

Ucieszył się i wstał, żeby dołożyć do ognia drew. Powietrze było szare i nieruchome, od zamku dobiegały odgłosy pracującej młocarni, podobne do postękiwania zwierzęcia.

Thomas zszedł na brzeg, żeby tam oczekiwać gościa. Tamten pomachał z daleka dłonią, a gdy wysiadł, podał Thomasowi rękę, mówiąc, że już dawniej chciał przyjechać, ale zawsze było za dużo słońca, on zaś chciał obejrzeć wyspę w takim świetle jak teraz. W powietrzu takim jak obecnie wszystkie rzeczy mają stonowane odcienie, a ich wizerunek jest łagodny i to lubi najbardziej.

Thomas odrzekł, że on sam musi zadowalać się każdym światłem i każdą pogodą, ale hrabia ma rację, bo czasami na świecie jest zbyt jasno.

— Prawda? — zapytał Pernein. — Zawsze chciałem spędzić parę lat na Spitsbergenie, a to dlatego, że tak długo panują tam ciemności. Rozpalają się tylko zorze polarne, a jest to oświetlenie wspaniałe i przepełnione śmiertelną ciszą. Widziałem to raz. Potem jednak wybuchła wojna światowa, a teraz wszędzie na ziemi

patrzą na człowieka spode łba, zostało więc tylko marzenie… Wszystko to są marzenia, prawda, drogi Orla? Także to tutaj: w pocie czoła i tak dalej… Wszystko to są marzenia, ale to, co najgorsze, nie śni się panu. Jego przepełnione melancholią spojrzenie ogarnęło dom, pagórek i linię brzegu, tak jakby sam tutaj wzrastał, a teraz znów wrócił i myślał o dalszej wędrówce, nie wiedząc, dokąd go zaprowadzi.

Był pierwszym, którego nie zdziwił widok wnętrza domku. A kiedy Thomas gotował kawę na małym piecu, on zatrzymał się przed globusem i patrzył na lądy i morza przesuwające się powoli a niepowstrzymanie.

— To piękne — powiedział, gdy Thomas wrócił. — To jedna z nielicznych zabawek dla ludzi o posiwiałych skroniach. Nie trzeba statku ani pociągu, ani też samolotu. Człowiek obraca świat, siedząc przed nim jak stwórca… Ale jednak, Orla, czy siódmego dnia też powiedziałby pan, że jest to dobre?

Tam… i tam… i tam? — Dotknął palcem kilku miejsc na kuli ziemskiej.

— Tam zabijają się w sposób postępowy, mordują siebie, kobiety i dzieci oraz zwierzęta, drzewa, a także kwiaty, a do tego mają piękne słowa i papier, na którym je drukują. Inni zaś stoją, czekając, co z tego wyniknie.

— Nigdy nie było inaczej, hrabio.

— Właśnie, właśnie! Tak to już jest, że nigdy nie było inaczej. Tam — wskazał na szeregi książek — było inaczej i zawsze będzie inaczej.

Albo u Schuberta i Chopina… Czy chętnie słucha pan muzyki? Tak? No to wnet musi pan zjawić się u mnie. Nuty to jedyne znaki, które człowiek napisał, nie grzesząc.

Siedzieli przy ogniu i palili.

— To aż dziwne — mówił hrabia — jak bardzo jest pan podobny do swojego ojca.

Thomas trzymał w dłoni smolną drzazgę, którą wyjął z pieca.

— Tak, od razu wiedziałem o tym, jeszcze zanim usłyszałem pańskie nazwisko — kontynuował hrabia. — Pan wie, że poległo pięciu moich braci i wojskowa kancelaria spytała matkę, czy może nie powinienem być odesłany do domu. Moja matka jest wielką panią, wie pan, i odpisała, że na przyszłość wyprasza sobie uprzejmie tego rodzaju pytania. Synów nie urodziła dla domu, ale dla państwa. Tak, wielka pani… Nie odesłali mnie więc do domu, ale do pułku, który miał trochę zajęć na zapleczu. Do pułku dragonów, a pański ojciec dowodził moim szwadronem. Tak,

teraz sam pan widzi, jak to jest z tą kulą ziemską... — Znowu popchnął ją palcem, żeby się obracała.

— Pan był więc tym, o którym pisał ojciec? Tamten roześmiał się.

— Tak, o mnie wszędzie napisano mnóstwo. To nie moja wina.

W czasie wojny byłem taki jak zawsze, a ludzie dziwili się temu. Pewnego razu przyjechał na wizytację generał i kiedy już stał przed końmi, odciągnięto mnie od mojego Schuberta. Był nieuprzejmy, ale powiedziałem, że wizytację można załatwić w ciągu pół godziny, a najwyżej godziny, zaś z Schubertem człowiek nie upora się i przez całe życie. Wówczas on stał się jeszcze bardziej nieuprzejmy, ale później pański ojciec dobrze mu wszystko wyperswadował. Myślę sobie, że on nieraz przymykał oko... Pański ojciec był dobrym człowiekiem, wszyscy go lubili, a to, co się działo, znosił z trudem... Potem słyszałem, że umarł zaraz po wojnie. Pan jest podobny do niego, nawet fajkę trzyma pan w podobny sposób...

Popatrzył na niego przyjaznymi i jak zawsze smętnymi oczami, tak jakby wszystko to było mało warte, zarówno mówienie, jak też i uznanie.

— A pan sam? — spytał Thomas.

— Och, ja sam... O tym można powiedzieć niewiele; zrezygnowałem z majoratu. Powiedziałem, żeby dali mi dom obok folwarku, jako dziedziczny i własny. To komiczny dom; zbudował go przed dwustu laty jeden z naszych starych kawalerów. My wszyscy żenimy się niechętnie. Położony jest bardzo pięknie, całkiem na uboczu, nad rzeką. Mieszkam z kilkoma lokajami, pokojówkami i ogrodnikami, a czasami przebywa tam moja matka. Majorat objął kuzyn, człowiek pracowity, mający liczne dzieci i wiele honorowych funkcji.

— A co pan robi?

— Och, niewiele. Trochę kolekcjonuję; sztychy i szkice, nieco rzeźb. Przede wszystkim jednak bóstwa z całego świata. To zdumiewająca dziedzina, wie pan? Goethe powiedział: "Jakim jest ktoś, takim jest jego Bóg". Jeśli to prawda i jeśli dotyczy również wizerunków, to człowiek jest naprawdę dziwacznym tworem. Tak, to bardzo dziwne. Bardzo też lubię rośliny, a szczególnie kwiaty. Trochę z tym eksperymentuję. Cały ten świat roślin to dziedzina pełna ciszy, cudownie uporządkowana, pełna symetrii i reguł, a ponadto przepełniona pięknem. W przeciwieństwie do nich zwierzęta to hałaśliwe monstra, no a człowiek! Najciekawszy jest chyba świat kamieni. Tak to jest, a poza tym wiele zajmuję się muzyką. Przed

wojną dużo podróżowałem, po całym świecie, ale teraz wyjeżdżam niechętnie. Tutaj jednak, jeśli pan pozwoli, z ochotą pojawię się od czasu do czasu, a jesienią przywiozę panu rośliny, żeby mógł je pan posadzić wokół domu. Dalie, ostróżki, werbenę, naparstnice i tak dalej. Powinny rosnąć całkiem dziko, a ludzie wtedy pomyślą, że mieszka tu czarodziej.

Thomas podziękował, ale chciał się dowiedzieć jeszcze więcej; czy hrabia jest również przekonany, że postąpił słusznie, decydując się na takie życie.

— Zapewne na myśli ma pan to, czy nie uważam się za darmozjada — powiedział hrabia. — Nie, tak nie myślę, naprawdę nie.

— Widzi pan — ciągnął dalej — wierzę, że takie stare rody mają prawo do spłodzenia w każdym pokoleniu takiego "rozrywkowego" dziecka. Rozumie pan? Zrobiły tak dużo, pracowały, rządziły, służyły, walczyły i przelewały krew, więc co pięćdziesiąt albo co sto lat jeden z nich ma prawo, by się bawić albo tylko przyglądać się. Wieść prawdziwy żywot kibica. Jeśli poległo pięciu, to czy nie sądzi pan, że temu szóstemu wolno trochę muzykować albo hodować kwiaty? Nawet w czasach wielkiej "wizytacji"? Ja uważam, że wolno, krew odpocznie, a trochę tego już się nam należy. Ze starymi Prusakami nie obchodzono się oględnie i w ogóle to cud, że jeszcze kilku z nas pozostało.

— Jednakże zastanawiam się — powiedział Thomas — czy kładąc się wieczorem do łóżka, zawsze ma pan radosne serce.

Tamten zgasił zapałkę.

— Miły Boże, Orla — rzekł — co też za komiczne rzeczy pan wygaduje! "Radosne serce"... Żebym to ja wiedział, co to takiego. No nie, to jest z pewnością jeden z Ibsenowskich "idealnych wymogów". Moi bracia na pewno to znali, choć czasem miewali też jakieś takie dziwne spojrzenie, ale ja? Nie, tego nie znam, nawet ze wspomnień. Mieć radosne serce... Miły Boże, cóż to za skarby miałyby istnieć...

— Co jednak miałoby wówczas pozostać dla serca? — upierał się Thomas.

— No tak, żyje się, oczywiście, z ciężkim sercem, Orla. Z głazem w piersi! Nie wiedział pan o tym? Wszystko to marzenia, mój drogi, nie tylko tamto: "W pocie czoła..." i cała reszta, nawet Schubert i Chopin. Wieczorem, kiedy skończy się obcowanie z książkami albo z muzyką, trzeba tylko popatrzeć przez okno na mgłę rozpościerającą się na dworze albo w górę, na gwiazdy, ponad którymi ma mieszkać

"Umiłowany Ojciec". Wówczas już wie pan wszystko, co chce wiedzieć. Albo czy zajrzał pan, całkiem z bliska, w oczy żony leśniczego?

I chciałby pan mieć potem radosne serce? Mój drogi Orla, radosne serca mają tylko ci ludzie, którzy zamykają oczy i mówią: "Nadejdź miły śnie i otul mnie!". Ach, czegóż nie wynalazł człowiek, żeby wydostać się z życia na jawie! Bogów i sztukę, wojny i pracę, kukły i maszyny. A jednak to nie pomaga. Zegar tyka, wskazówka biegnie nadal i coraz bardziej zbliża się kraina bez marzeń. Bo śmierć nie ma marzeń, drogi Orla.

Przez chwilę jego twarz wyglądała tak, jak mogłaby wyglądać w czasie snu: obnażona, ograbiona, odtrącona i pełna pustego lęku. Potem wróciła do poprzedniego stanu, zaczęła się uśmiechać, odnalazła się w przestrzeni i czasie, i spojrzała na Thomasa.

— Nie, drogi Orla, nie jestem żadnym darmozjadem. Darmozjady nie myślą, a ja czasem myślę i to aż po sam kres, rozumie pan? Umieć sięgać myślą po sam kres to ciężki los.

Jeszcze raz wyszli na dwór. Zapadał już zmierzch, powietrze zasnuwało się mgłą. Młocarnia umilkła i tylko perkozy nawoływały od szerokiej wody. Z brzozy rosnącej za szczytem domu całkiem powoli opadł na trawę wcześnie zeschnięty liść.

— A przecież kocham to — powiedział hrabia. — Jesień i rzekę płynącą w dal pod topolami. Blask bijący z moich okien i melodię tercynowej etiudy, w której jeńcy idą na wygnanie. I jadący leśną drogą szwadron z proporczykami u szpiców lanc... i moją matkę stojącą na schodach, zapatrzoną w puste pola, tam gdzie śpią jej synowie, jej i minionych pokoleń. Patrzącą wstecz, aż do czasów, kiedy bogowie nosili bursztynowe korony... Kocham to wszystko, nawet jeśli mi na sercu ciężko...

Stał, ręce założywszy za plecy, zgarbił się; oczy, z których wyzierała smutna miłość, błądziły po zjawiskach wieczoru: od brzozy u szczytu domu, przez wyspę i szarą wodę, aż do lasów, z których wypływała mgła. Zdawało się, że nie otacza go żaden czas, jakby stał tak od tysiąca lat, oparty na łuku albo na mieczu, zapatrzony ponad lasami i morzami w krainę, gdzie ponad wielką rzeką wznosi się góra bogów, nad których tajemniczymi czołami lśnią żółte korony. Stał, jakby już wówczas zadał pytania i nasłuchiwał odpowiedzi. Odpowiedź jednak nie nadeszła, ale on wciąż nasłuchuje, jego mowa i odzienie są odmienione, ale oczy pozostały takie same, i

skronie, przez które prześwitują błękitnawe żyły, i wiele wiedzące usta, które nie pytają już o nic więcej.

Teraz zapewne zaszło niewidoczne słońce. Ponad wodą nadciągnął chłodny powiew i dotknął ich obu. Spojrzenie oczu hrabiego wróciło ze swojej wędrówki i skierowało się na Thomasa.

— Kocham to wszystko — powtórzył cicho — również pana wraz z jego odważnymi marzeniami…

Obeszli wyspę wzdłuż brzegu. Ponad wodą dobiegło od zamkowego podwórza dzwonienie, przystanęli, by posłuchać, aż wybrzmi. Dzwonienie zegara jakby ze statku sunącego powoli w ciemność za wyspę.

— On też marzy — powiedział Pernein i uniósł rękę w stronę, skąd dochodził dźwięk. — Śni pruski sen…

Thomasowi jawił się jednak wielki hol i blask ognia pełgający po wylotach armatnich luf, samotny mężczyzna trzymający kielich z winem i dziecko schodzące po schodach. Portrety w złocistych ramach spoglądały z góry milcząco, orły, wieńce dożynkowe z błyszczącymi wstęgami, szpada z czasów fryderycjańskich bitew; nie, to nie sen, belki nie ciemnieją od sennych marzeń, nie krzywią się od nich kamienne progi. Szpada i wieńce nie rozsypują się w proch. Jeden naród wyginął, a drugi zaszedł wysoko. On też może upaść, ale pozostaną jego uprawne pola, zostanie złota korona, którą zdobył, przeznaczona dla młodych głów, korona obowiązku, posłuszeństwa i oddania jakiemuś wyśnionemu Prawu. Oni to marzenie przemienili w nieśmiertelność.

Pokiwał głową i popatrzył na pogrążającą się w mroku okolicę. Nic już nie mogłoby go stąd wypędzić, żaden lęk, żadne widma. A tamten człowiek, który załamywał ręce nad tym krajem, jednak powiedział prawdę, przytaczając słowa o pracy. Bóg może znaczyć wiele, może też być tylko urojeniem, ale pot na czole nie jest urojeniem. Thomas dotknął palcami swoich dłoni i wyczuł narosłe w ciągu lata zgrubienia twardego naskórka. Nie przynosiła mu lęków ani mgła, ani noc, ani jesień. Sieci niedługo wyschną, ryby zejdą w głębinę. Wówczas i on odpocznie przez jakiś czas, tak jak to zostało dane wszystkim żywym stworzeniom. I porozmawia z samym sobą, tak jak robiły to wielkie ptaki. I z powrotem wstąpi na dawną ścieżkę, gdy znów rozpocznie się rok. Wiedział, że anioł obserwuje go. Patrzył na łódź wolno zagłębiającą się w mgłę, na ciemnego żuka, który oboma wiosłami jakby cienkimi, sztywnymi

nogami poruszał nad wodą. Potem ściana mgły zamknęła się niby wrota królestwa umarłych. Po chwili zabrzęczał łańcuch, a potem zapadła cisza. Thomas, dopiero gdy przekroczył próg, uświadomił sobie, że wszystko to działo się rzeczywiście.

Tego samego wieczoru, kiedy umył już naczynia i ustawił je na półce nad piecem, powziął zamiar spisania co nieco z tego, co w owym okresie przemknęło mu przez głowę jako gotowe spostrzeżenia bądź w formie luźnych skojarzeń. Tego, co dotyczyło wychowania w marynarskiej etyce. Miało to być przeznaczone dla wielu, a może tylko dla Joachima albo dla niego samego. Oddalił się już jednak od dotychczasowego życia tak bardzo, że zdawało mu się, iż widzi wyraziście tamto, wśród czego wyrastał, a więc słabości i nieporozumienia, błędy i winy. Również ową wielkość, która dźwigała ich wszystkich, i delikatne pęknięcie, od którego rozpadło się wszystko. Miał już taki dystans do wszystkiego, co sporne, że mógł do tego podejść bez zacietrzewienia, etyka zaś, myślał, stała się przecież w tych czasach sprawą każdego człowieka.

Tymczasem miesiąc zmierzał spokojnie do końca, każdy dzień obfitował w godziny radosne i poważne. We wrześniu łowił tylko na potrzeby zaniku i własnej kuchni. Skopał wokół domu ziemię pod obiecany bajeczny ogród, wiele przebywał w lesie, szukając grzybów, naprawiał sieci i rozwieszał je na czas zimy, konstruował pułapki na myszy i powoli sposobił się do okresu spokoju, który miał nastać wraz z wieloma mrocznymi miesiącami. Czekał jednak na nie z radością jak pustelnik, dla którego jego Bóg jest równie bliski zimą, jak i w porze światłości.

Miesiąc jeszcze raz przyniósł ciepło, ostatnie nagrzanie ziemi, liście zabarwiły się, ptaki zbierały się w stada i przepadały w ciągu nocy. W koronach dębów hałasowały sójki, łuk słonecznej drogi skracał się z dnia na dzień. Dziecko z zaniku nosiło inne sukienki, bo szybko wyrosło z dawnych. Generał jadał z Thomasem kuropatwy, błogosławiąc ziemię, że nie rozprzestrzeniła rewolucji i na te ptaki. Kobieta z leśniczówki stała u ogrodowego płotu, obejmowała rękami wysokie malwy, przyginała jedną do drugiej i znów je odsuwała, pośpiewując cichą marszową piosenkę, zamierającą już na podwórzu, w cieniu wysokich świerków i poszumu koron drzew, niosącego się nieustannie ponad opustoszałymi lasami.

Pewnego takiego dnia Thomas zastukał do hrabiowskiego domu nad rzeką. Wprowadzono go. Zastał hrabiego w dużej bibliotece, pochylonego nad mikroskopem, oglądającego płatek kwiatu dalii, których rabaty niby ognista ściana otaczały cały dom.

— Proszę podejść, Orla — powiedział nie zaskoczony — i przyjrzeć się tej piękności, całkowicie czystej, bezinteresownej piękności.

Stał obok i patrzył, jak po twarzy Thomasa przebiega odblask owego cudu kolorów, linii i kształtów zespolonych w niepojęty obraz i przytaknął, gdy gość powiedział, że w odczarowywaniu natury jest również coś, co jeszcze bardziej napawa czcią niż zwykłe spojrzenie. Powiedział jednak i to, że być może nie należałoby nazywać tego odczarowaniem, ale obnażaniem. A wielkość milczącego królestwa roślin tkwi w tym, że każde kolejne uchylenie zasłony coraz bardziej przybliża do świętości, czego z kolei nie dałoby się powiedzieć o rodzaju ludzkim. Uśmiechnął się przy tym w swój dawny, trochę nieobecny sposób, a potem ujął gościa pod ramię i przeszedł z nim przez szerokie drzwi na taras, zarządziwszy, by tam przyniesiono im herbatę.

Stamtąd, gdzie teraz stali, wyżej od poziomu ziemi, otwierała się perspektywa dalsza, niźli ogarniał ją Thomas po drodze, często zatrzymując się i rozglądając. Ogród, raczej otoczony niż wysadzony drzewami, poprzecinany był szerokimi i długimi rabatami kwiatów, porozgraniczany niskimi murkami i tarasami, schodzący coraz niżej, aż do rzeki, która jeszcze przed ostatnim szeregiem drzew okalała i ograniczała teren. Niezbyt szeroki nurt czystej wody, tu i ówdzie zarośnięty trzciną rosnącą u brzegów o zróżnicowanej wysokości, rozigrany na przemian to blaskiem, to znów cieniem, ginął wnet wśród łąk, pól i niewielkich zagajników. Za nimi rozciągały się niewidoczne już pola folwarku, kępy lasu i ciemno połyskująca droga, obsadzona jarzębiną. Ponad wszystkim rozpinało się błękitnawe, bezchmurne wrześniowe niebo.

— Gdybym nie wiedział, że wszystko to odległe jest od mojej wyspy o dwie godziny, pomyślałbym, że już tutaj rozpoczyna się kraina południa, a rzeka swoją wodę może nieść do Renu albo Dunaju — stwierdził Thomas.

Pan domu zgodził się z tym z radością i gdy nakrywano dla nich stół, poprowadził gościa jeszcze raz w dół szeroką ogrodową ścieżką, którą niemal osklepiały kolory, a na jej brzegach zbierały się w słońcu ostatnie, oświetlone nim chmary motyli: pawików, żałobników i wielkoskrzydłych rusałek-admirałów, trwające tam, zanim nie przepędzą ich jesienne wiatry.

Potem postali jeszcze na podniesionym w tym miejscu brzegu rzeki, spoglądali na kamienie leżące na dnie i wijące się rośliny, wysokie kolumny muszek nad nurtem, ciche wiry schodzące w głębinę jak ciemne pierścienie. Kiedy się odwrócili, Thomas nie zdziwił się, słysząc stwierdzenie hrabiego, który powiedział, że jednym z

najistotniejszych dlań symboli życia jest rzeka, która z tą krainą wiąże go bardziej niźli cały krajobraz i wszystkie rodowe posiadłości albo wspomnienia.

Thomas odrzekł, że takie ciągłe posiadanie na widoku symbolu życia nie jest chyba bezpieczne, zwłaszcza gdy znajduje się on, tak jak ten tutaj, w nieustannym ruchu i przemijaniu.

— Mój drogi Orla — powiedział hrabia — co jest niebezpieczne, a co bezpieczne? Wszystko odnosimy do śmierci, a możliwe, że wcale nie mamy racji. Jak mi się wydaje, szkodliwe i niebezpieczne jest tylko to, co wciska się w nasze życie jako obcość, zmuszając je do meandrowania albo hamuje je i uniemożliwia na jakiś czas taki jego rozwój lub obumieranie, jaki dyktuje wewnętrzne prawo. Ale rzeka? Nie, ona mi nie przeszkadza. Obaj też wiemy, że przemijanie jest naszym życiem.

Z poziomu ogrodu dom prezentował się okazale. Miał bardzo wysokie okna oraz łamany i nieco chaotyczny dach, wynoszący się ponad prostym obrysem.

— Ten mój przodek nie chciał ciągnąć budowy w górę — powiedział hrabia — postanowił zrobić coś na opak; a trochę tej przekory jest i w nas wszystkich.

Rozmawiali niewiele, a kiedy po wypiciu herbaty zwiedzali dom, hrabia tylko od czasu do czasu wygłaszał jakiś komentarz, tak jakby gość o wszystkich rzeźbach, bożkach i świętych obrazach oraz gobelinach wiedział tyle samo co on, i jakby wskazywał mu tylko te rzeczy, które jemu samemu były szczególnie miłe i bliskie.

Nawet jeśli wiedza Thomasa na ten temat była niezbyt duża, dostrzegał przecież zebrane w tym domu owo piękno będące dziełem ludzkich rąk, a także to, iż oczom, które patrzą na te rzeczy, powszednie życie może wydawać się obce i obojętne. Jednakże pod koniec obchodu poprosił, żeby wolno mu było wrócić na biegnący wzdłuż trzech głównych pomieszczeń szeroki i długi korytarz, do którego przez wysokie okna wychodzące na las wpadało zielonkawe światło.

Na ścianach wyłożonych szarym jedwabiem rozwieszono tam niezliczoną liczbę masek pośmiertnych, sporządzonych z tworzywa zbliżonego barwą do kości słoniowej i w milczeniu spoglądających z ostatniego człowieczego kształtu na tych, którzy je oglądali. Były tam twarze jakby pokruszone i rozdarte przez życie, pełne cierpienia i namiętności, a dłonią śmierci spojone z powrotem w kształt ich ostatecznego przeznaczenia. Oblicza już za życia naznaczone śladem wieczności, którym podążały milcząco, a śmierć musiała je tylko zachować takimi, jakimi je zastała. Były tam i takie, które jakby z ogromnym zdziwieniem podążyły w wielką ciemność, zaś śmierć

utrwaliła je w tym ogromnym zdziwieniu. Oczy ich były jeszcze otwarte szeroko, bez lęku, puste, a przez tę pustkę wdarł się do ich wnętrza Bóg albo milczenie, albo coś nieznanego, co wtedy dostrzegły.

Nie było to ani muzeum, ani cmentarz. Była to wspólnota umarłych, a między ich twarzami przepływał cichy nurt życia. Stonowane leśne światło w łagodnej zmienności blasku i cienia przebiegało po skamieniałych czołach, nie emanujących zimna ni zgrozy, lecz tylko chłodny spokój. Nawet ów chłód nie oznaczał obcości ani tchnienia zaświatów, ale cichy dystans, przebywanie z dala od namiętności, bólu czy szczęścia, ogromną dojmującą samotność, atrybut własnej, niepowtarzalnej śmierci.

Przy końcu korytarza, na ciemnym niskim postumencie, stała wysoka niebieskawa waza z ogniście czerwonymi daliami. Wyglądały jak płomień gorejący nieruchomym ogniem ku czci zmarłych.

Thomas nie mówił nic, milczał też później, kiedy usiedli na tarasie, ogrzewani ostatnim słońcem i w zamyśleniu patrzyli na ogród.

— Tylko muzyka potrafi wypowiedzieć się podobnie — rzekł w końcu hrabia — bo jest sztuką, która ani nie murszeje, ani nie niszczeje.

— Czy nie sądzi pan — spytał Thomas — że pańskiej matce, kiedy tu przebywa, nie jest łatwo tamtędy przechodzić?

Tamten znów się uśmiechnął.

— Moja matka to wielka pani — odparł. — Większa niż my wszyscy. Kiedy byliśmy tam ostatnio, powiedziała: "Spodziewam się, Natango, że nie będziesz wyglądał gorzej!". Ja zaś odrzekłem, że będę się oczywiście starał.

— Wierzę, że będzie się pan uśmiechał — powiedział Thomas, jednak przeniknął go łagodny dreszcz.

— Tak, jeśli ona uwzględni właściwy moment, mogłoby tak być. Trudno to jednak przewidzieć. Niewielu z nas umiera lekką śmiercią.

O zmroku Pernein zaczął grać, a Thomas siedział przy kominku i słuchał. Kiedy podnosił wzrok, mógł dostrzec twarz, na której odbijał się blask ognia, a przede wszystkim oczy nie mające zupełnie nic wspólnego z nim ani z całym domem. Były to już oczy z tamtych masek na korytarzu, pozbawione mogącego przeszkadzać życia, a otwarte tylko po to, by jak studnie posłusznie przyjąć w swój mrok obce światło.

Thomas był całkiem pewny, że dla hrabiego tylko muzyka była tym, co oznaczało życie, jedyną jego wypowiedzią, przy której nie uśmiechał się ani nie kpił,

jedyną na świecie oczywistością, którą darzył szacunkiem, gdzie nie było kłamstwa i nie było wstyd się obnażać. To nie woda była jego żywiołem ani ziemia, lecz dźwięk, to, co rozbrzmiewało pod lekkim uderzeniem, a potem zamierało. Co splatało się z innymi dźwiękami, z szeregami i łukami dźwięków, znów się wyswobadzało i w końcu pozostawało całkiem samotne.

Pierwszy żywioł, któremu odmówione jest jakiekolwiek zespolenie się, jeśli miałoby być wypowiedziane to, co ostateczne. Tak jak w tym mazurku, który będąc przecież tańcem, nie pozostaje niczym więcej jak tylko następstwem zawierających pytanie dźwięków, a na końcu ostatnim pojedynczym tonem, z powodu którego napisana została całość.

Tak było więc i z owymi starymi rodami, pomyślał Thomas. Ludzie ci leżeli rozsiani na wszystkich polach bitewnych, oddali krew i swój zasiew. I nagle wszystko, co w całych pokoleniach znajdowało się na uboczu, ześrodkowało się w jednym takim cudownym kwiecie, rozkwitło, zapachniało, rozbłysnęło, już świadome tego, że zwiędnie, nie pozostawiając niczego, co można by pochwycić w dłonie, ani wieńców sławy, ani żadnej gwiazdy, ani ziemi, ani dziecka, niczego poza ulotną pogłoską, że z ich nasienia wyrósł jeden taki, niemal już z tamtego świata, sięgający w daleką przeszłość, aż do owych bogów w bursztynowych koronach i wskazujący dalekie bezdroża leżące przed nimi wszystkimi.

Utwór kończył się wątkiem starej pieśni, nieznanej Thomasowi marszowej piosenki, w której zawierała się prosta dzielność i stłumiony żal, wyrażane we wspierających się na sobie półtonach i tak odchodzących w dal, która przyjęła je i ukryła.

Ostatnia z uderzonych strun dźwięczała długo.

Hrabia przysiadł obok Thomasa przy ogniu i zapalił. Miał wesołą, jakby oczyszczoną twarz, niby po deszczu. Opowiadał o roślinach, które chciał przywieźć na wyspę i o barwach, jakie obmyślił. U Anglików nic nie podoba mu się bardziej niż mądrość i skromność, z jaką wielu zapełnia wieczór swojego życia, stając się ogrodnikami i tylko ogrodnikami. Robią tak mężowie stanu, filozofowie, dowódcy wojskowi i parlamentarni mówcy. Dowodzi to, że nie zepsuło ich długie i pełne rozgłosu życie. Wracają do tego, co piękne, pielęgnując z oddaniem owych bezradnych wysłanników lepszego świata. Już teraz cieszy się z tego, że i Thomas pójdzie w ich ślady i do pierwszego dużego kroku, który wyprowadził go ze świata pełnego gwaru, teraz dołączy drugi, niewielki, wiodący ku milczącemu światu roślin.

Thomas zapytał go, czy wie, że ów pierwszy krok był rzeczywiście duży.

— Pan chciałby powiedzieć, że nie powinna zawierać się w tym zbyt przesadna ocena — powiedział hrabia. — On jednak w świadomym ograniczeniu się do samotnego życia dostrzega jednak coś bliskiego wielkości. Rezygnacja bowiem, a jest ona istotą samotności, mieści się w tym, co największe spośród tego, czego można oczekiwać: w mądrości i miłości.

— Cieszy mnie — rzekł Thomas — iż obie te rzeczy darzy pan tak wysokim uznaniem.

— Tak, dlaczego by nie? Uznaję wiele rzeczy, lecz to niewiele daje.

Od uznawania do dążenia jest długa droga, dla mnie zbyt męcząca, a może za bardzo zatłoczona ludźmi. Tak więc przyglądam się jej ciągowi, a i to ze względnym zainteresowaniem, ale to już właściwie wszystko, co robię w tej dziedzinie.

— A może — zauważył Thomas — istnieją ludzie, którzy osiągają to bez wysiłku, dzięki szczęściu, a raczej łasce zdolności? Wydaje mi się, że niektóre z tamtych masek miały taki talent.

— Mogło tak być — odparł hrabia — ale nie chciałbym odnosić tego do siebie. Ze mną jest raczej tak, że nic nie wydaje mi się warte trudu, może z wyjątkiem muzyki. Niechętnie spływam potem i w tym kryje się cała tajemnica. Z tego też powodu mam dla pana wielki szacunek, bo szukał pan zajęcia wymagającego właśnie wysiłku. Jawi mi się pan jako człowiek, który wstawszy rano, zaraz zabiera się do trudnej gimnastyki, żeby wieczorem wylądować w łóżku, robiąc salto. Bardzo to podziwiam, bo sam nigdy nie zdołałem "wykręcić olbrzyma"*.

— Nie boi się pan śmierci, panie hrabio? — spytał po chwili Thomas.

— O, nie. Dlaczego miałbym się jej bać? Co najwyżej boję się jej rodzaju, którego wcześniej się nie zna, a niestety są paskudne rodzaje śmierci... Musimy jednak na to poczekać, będąc dobrej myśli. Poza tym jest to prawdopodobnie sprawa dotycząca raczej tak zwanych pozostających. To, co w związku ze śmiercią najtrudniejsze, zawsze jest sprawą innych, a nie naszą.

— Zabijał pan w czasie wojny?

— Tak, oczywiście, bo po to ona niestety jest. Robiłem to nawet ze spokojnym sercem, jak bywa w czasie gry, kiedy asem przebijamy króla. Po następnym rozdaniu jednak ktoś inny może mieć asa.

---

* "Wykręcić olbrzyma" — wykonać na drążku obrót na wyprostowanych rękach — przyp. tłum.

— Ale nie z bliska? W walce wręcz bagnetem albo łopatką?

— Nie, tak to nie. Zrobiłbym to oczywiście, ale lepiej, że zostało mi to oszczędzone... Pyta pan z jakiejś konkretnej przyczyny, Orla?

— Tak, naturalnie. W pańskim domu jest taki piękny, głęboki pogłos... A o tamtym nigdy jeszcze nie rozmawiałem.

— Może pan mówić albo nie mówić. Najczęściej żałuje się tego dopiero później, ale ludzie, którzy mieszkają na wyspie, mogą sobie w końcu porozmawiać; bez tego tracą wyczucie potencjalnego partnera do rozmowy.

— Tak — powiedział Thomas — większość chyba nie zrozumiałaby tego, ale z panem jest inaczej. Nigdy nie wie się, co pan sobie pomyśli.

A więc stało się to na ostatnim z moich okrętów, kiedy nadszedł koniec. Opuścili banderę, a ja właśnie nadszedłem. Mieli złe twarze, a ja w tę najbliższą wycelowałem pistolet. To była tylko sekunda, bo stali już też za mną, ale moim błędem okazało się to, że przyjrzałem się tamtej twarzy. Nie był to błąd chwili, wie pan, ale błąd wrodzony i trwały, że nie strzeliłem jak automat, ale wpierw się zastanowiłem, albo tylko to, że dostrzegłem twarz, a nie mordę lub zło. Gdy ją ujrzałem, była to właśnie twarz, nie jakieś odbicie boskiego oblicza (o tym na pewno nie pomyślałem), ale przecież fragment życia, wypełniony oddechem, krwią, pasją, czymś, przeciwko czemu trzymałem w dłoni śmierć i zniszczenie. Nie wiem, czy pan mnie rozumie. To nie był strach, nie bałem się, patrzyłem i możliwe, że się zastanawiałem, jeśli może to trwać w ciągu sekundy. Jestem przekonany, że chyba bym strzelił, ale straciłem ową sekundę, poniekąd sekundę pustą, a może tylko ułamek sekundy. Gdy cofnąłem palec na spuście, uderzyli mnie z tyłu. Nie wiem, czy jeszcze padł strzał. Upadając, schwyciłem płótno flagi, a potem wyrzucono mnie za burtę. Straciłem przytomność, ale skoczył za mną ordynans i uratował mnie.

Twarz mu pobladła, malował się na niej wyraz cichego zawstydzenia. Hrabia uniósł rękę w uspokajającym geście.

— Nie powinien się pan tak tym przejmować, Orla — powiedział.

Z pewnością wie pan dobrze, że nie uratowałby pan okrętu. To jednak jest mało ważne, gdyż przede wszystkim myśli pan, że właśnie tamto stanowi skazę na pańskim honorze. Ja jednak tak nie sądzę. Sprawa byłaby inna, gdyby nie wyszedł pan na pokład, a zamknął drzwi kajuty i zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył. To zaś, co nazywa pan "dostrzeżeniem", jest zupełnie czymś innym. Zabijanie bez

dostrzegania, bez wahania, zabijanie ślepe, jest wyrazem skrajnego lekceważenia życia, tak samo własnego, jak i innych. Kto jednak dostrzega, że każde życie jest cudem, zarówno życie rośliny, jak i człowieka, będzie miał dłoń, która się zawaha i będzie miał dla tej ręki szacunek, co jednocześnie znaczy, że nie urodził się żołnierzem. Czy takie zawahanie się jest słuszne, czy też niesłuszne, to, myślę, już inna sprawa i nie chciałbym jej rozstrzygać. Poza tym nie zależy to od naszej woli, a po prostu istnieje, jest, a gdy nadchodzi czas próby, jest już za późno. Wtenczas możemy tylko uświadomić sobie, czy obraliśmy właściwy zawód. Nawiasem mówiąc, podziwiam pana za to, że opowiedział pan o tym. Zrobiłoby to bardzo niewielu. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego znalazł się pan na wyspie.

— Nie tylko dlatego — rzekł Thomas. — Nie miałem jak pan takiego świata, w którym można się schronić. Właściwie niczego nie miałem, uznałem więc, że trzeba coś posiadać. Nawet jeśli tym czymś jest tylko rybacka sieć.

— Tak, tak — zgodził się Pernein — radosne serce można wyłowić również rybacką siecią, i to chyba łatwiej niż mnie ukrytemu w swoim własnym świecie, jak pan to określił. Ja nigdy jeszcze niczego nie wyłowiłem z dna.

— Pańska twarz zmieniła się jednak pod wpływem muzyki… Miał pan nieskalaną twarz, jeśli nie zrozumie pan tego opacznie.

— Ależ nie, rozumiem pana dobrze, i oczywiście ma pan rację. Do tego mam nawet i czyste serce… Zostawmy to jednak. Wciąż zdaje mi się, że nie mamy żadnego prawa do poświęcania takim rzeczom czasu i słów. Nikt z nas nie jest na przykład Janem Sebastianem Bachem. On takie prawo miał. Do poszukiwania tego każdą nutą i głoszenia tego każdą nutą. Dlatego też nie grywam go, bo się go lękam.

— Czy pan w ogóle potrafi się bać, panie hrabio?

— Tak, oczywiście, że potrafię bać się, nawet bardzo. Na przykład raków, skorpionów, a w czasie ogrodowych prac turkuciów podjadków…

A gdybym w nie wierzył, lękałbym się też aniołów oraz ich ziemskich wcieleń. Mówi się, że od czasu do czasu się objawiają, i może to prawda, jednak dla mnie byłoby to zbyt czyste, rozumie pan? Nie lękam się jednak duchów, w tym również tych z tego domu. Tak, jeden ma tu ponoć istnieć, i jeśli ukaże się panu domu, ma zwiastować jego śmierć.

Schylił się w stronę ognia, łokcie oparł na kolanach i grzał dłonie. Uśmiechał się, ale jego twarz znowu wyglądała bardzo staro niby twarz któregoś z praprzodków

sprzed tysiąca lat, a to, co mówił, mogłyby wypowiadać rozsypujące się w pył tamte usta.

— Istnieją takie przekazy — podjął znów po chwili — bajania przodków, a również służby, którym nie można za bardzo wierzyć, ale są też zapiski sporządzone przez pierwszego, który to zobaczył. Pisywał dużo, większość jednak przepadła, lecz ten fragment jednak się zachował, taki swoisty pamiętnik, w którym tak to opisał: "Siedział przed kominkiem, na kanapce, a kiedy wszedłem, wpatrywał się w ogień i jakby medytował... Twarz oparł na dłoniach, a więc niewiele można było zobaczyć z jej wyrazu. Był w bezbarwnej szacie, otulał go mrok, chociaż płomień dostatecznie oświetlał wszystkie inne obiekty. Gdy wszedłem, nie poruszył się, i tak trwaliśmy obaj, aż zegar stojący na gzymsie kominka wydzwonił połowę godziny. Po tym kontury jego zrobiły się niewyraźne, jakby zanurzone w głębokiej wodzie, jego substancja stała się jakaś zwiewna i zniknął sam w sobie, spłynął niby ciecz po jastrychu* i nie pozostał po nim żaden ślad. Włosy, jak się to mówi, nie stanęły mi dęba, ale między łopatkami poczułem chłodny dotyk i wiedziałem, że spojrzał na mnie PAN".

Przedstawiłem to panu dosłownie, tak jak zapisano, bo nie wolno niczego zmieniać. Zakończenie zawsze jawi mi się wielkie w jego prostocie: "I wiedziałem, że spojrzał na mnie PAN..." Słowo "pan" napisane jest wielkimi literami... Ale ja nie widziałem go jeszcze, tego medytującego.

Potem wstał, z dużego stołu stojącego między oknami wziął kartkę i przeczytał nazwy roślin, które zamierzał przywieźć. Zapytał też, jakie Thomas chciałby mieć kolory.

Na dworze, gdy Thomas zapalił przy rowerze karbidową lampę, a jej białe światło padło na jedną z kęp dalii rosnących koło schodów, hrabia ostrożnie uniósł jeden z oświetlonych, ciężkich od rosy kwiatów i uważnie mu się przyjrzał.

— Nie — powiedział w końcu — naprawdę nie byłoby dobre, Orla, gdybyśmy wszyscy zapomnieli, że zniszczenie piękna może być śmiertelnym grzechem. Prawda?

Potem podziękował za odwiedziny i złożył życzenia szczęśliwego powrotu do domu.

Przed wjazdem na główną drogę Thomas jeszcze raz mógł przyjrzeć się domowi. Zamglony, rumiany księżyc wisiał nad łamanym dachem i jaśniejącymi matowo oknami biblioteki. Wyglądało to tak, jakby to on był czymś rzeczywistym i

* Z niem. Estrich, posadzka wykonana z materiałów twardniejących, po pewnym, czasie — przyp. red.

bliskim, a domostwo wydawało się dalekie i rozjaśnione zapożyczonym światłem. Dach zwisał groźnie nad matowymi czworobokami, Thomas zaś pomyślał, czy nie powinno się zaproponować hrabiemu wzniesienia nad domem nowej dachowej więźby, stromej i prostej jak tamta na zaniku nad jeziorem.

Rozdział 7

Białymi wiejskimi drogami podąża na wschód mężczyzna w znoszonym marynarskim mundurze. Skóra jego twarzy obmyta jest wieloma deszczami, wysuszona i opalona wieloma słońcami. Oczy ma szare i spokojne. Nie błyszczą, gdy od lasu do lasu rozpina się tęcza, a parująca równina, wielka i wspaniała, rozciąga się pod siedmiobarwną świetlistością. Nie spoglądają lękliwie czy niechętnie, gdy na rzęsach osiada mgła, gdy brud drogi przegryza mu się przez buty albo wichury równonocy sieką mu twarz zwiędłymi brzozowymi liśćmi. Oczy patrzą przed siebie spokojne i chłodne, wciąż czujne i nigdy nie zadziwione. Odczytują liczby widniejące na kilometrowych kamieniach, każdego ranka wpatrują się w wielką, starodawną mapę, którą niesie w bluzie. Widzą złudne fasady dobrobytu i towarzyszący drodze bezgłośny rozkład, upadek domów, pól i ludzi. Widzi, jak się pracuje albo bawi w wielkich majątkach, jak na rzekach cumują puste barki, których pokłady murszeją; jak w gospodach obracają się chrypiące płyty gramofonowe i dudnią muzyczne automaty, podczas gdy w ochocie do tańca jest coś z gonitwy bez tchu, jakby za ślepymi potłuczonymi oknami widniała jakaś przypatrująca się twarz jednego z tych, którzy leżą w dalekich mogiłach, z czołem przysypanym ziemią, z ponurym zdumieniem wywołanym odmianą świata.

Oczy spokojnie obserwują też innych wędrowców, idących z naprzeciwka, od wschodnich pustkowi, zdążających tam, gdzie ludzie i domy bardziej lgną ku sobie, gdzie być może jest więcej światła i ciepła, gdzie nie będzie ponurego wielkiego nieba z potarganymi chmurami i złowróżbnymi zachodami słońca, tam, gdzie ponad dachami przemykają barwne światła tworzące koliska i litery, i gdzie straszliwa nędza powszedniego życia przemieni się w bajkę wspaniałości, bogactwa, a może i władzy. Przygląda się im wszystkim, idącym z naprzeciwka, twarzom młodym i starym, czystym i zniszczonym. Zamienia z nimi kilka słów, gdy wypytują, nie wypowiada jednak swojego zdania o tym, co ich tam czeka. Co najwyżej napomyka, że chleb wciąż jeszcze wypieka się tam z żyta, a kiedy jest lepiej, to z pszenicy, albo że rzeki wciąż płyną w stronę nizin, a nie pod górę. Potem macha na pożegnanie, a długie wstążki u jego czapki wyprzedzają go, powiewając w zachodnim wietrze.

Dokumenty ma rzetelne, ale najwidoczniej jego ubiór przyciąga różnego rodzaju ludzi, tych noszących czapki zsunięte do tyłu, jak i tych, którzy noszą na głowie błyszczące czako, a u pasa służbowy pistolet. Pierwszych odprawia szybko, drudzy są jednak bardziej wytrwali i chcą się o nim dowiedzieć wszystkiego, co tylko człowiek zdoła wypowiedzieć na drodze. Cierpliwie udziela wyjaśnień, podczas gdy jego oczy nie wyrażające niczego szczególnego, przypatrują się, od góry do dołu i z powrotem, wyczyszczonym do połysku guzikom. Ów brak wyrazu nie działa na jego korzyść i czasami musi pokazywać pieniądze noszone w sakiewce na piersi, żeby dowieść, że nie utrzymuje się z żebractwa. "Zarobione uczciwie", mówi zazwyczaj, kładąc nacisk na drugie słowo, w taki sposób, który bardzo się nie podoba pytającym.

Gdy jest usposobiony dobrze, co czasem się zdarza, na pytanie, co tu robi i czego szuka, odpowiada z niejaką wesołością.

— Dawny i łagodny urok jest mi dan, bo zwę się Friedrich Wilhelm Bildermann — przy czym jego oczy wpatrują się z zadumą w czubek hełmu albo w czako wiejskiego żandarma.

Kto ma poczucie humoru, uśmiecha się i odchodzi, ale w tych czasach nie zbywa na humorze. Niskie chmury przytłaczają serca ludzi, powybijane okna fabryk patrzą martwymi oczami na ulice; tu i tam, na zaoranych w połowie polach stoją pługi bez zaprzęgu; na wiejskich rogatkach albo przed gospodami wystają wyrostki, ręce trzymają w kieszeniach i przypatrują się wędrowcowi.

Nie obchodzi go to. Między śmiercią i diabłem idzie swoją drogą, niby rycerz pozbawiony konia; wzrok ma wciąż zwrócony na wschód, jakby koło zimnego horyzontu szukał wież ziemi obiecanej. Przed tygodniem, kiedy obfity jesienny deszcz spadł na dach jego altany, a rozciągnięte między mokrymi słupami druty telefoniczne rozśpiewały się od wichru, a dym z blaszanego piecyka cofnął się do pomieszczenia tak, aż załzawiły mu się oczy, zrozumiał, że właśnie teraz kapitan będzie go potrzebował. Jego, nie żony o czerwonych ustach, i z lśniącym samochodem, nie młodego pana, który ze skrzyżowanymi na piersi rękami jeździ rowerem po cichych ulicach przedmieścia, ale właśnie jego, starszego marynarza w stanie spoczynku, Friedricha Wilhelma Bildermanna, który umie palić w każdym piecu, jaki tylko istnieje, zmywać naczynia, szorować podłogi, milczeć cały miesiąc, jeśli taki jest rozkaz, który gra na harmonii, a w wolnych zapasach nie ma na ringu równego, który przeżył lata dobre i złe, zatopienie okrętu i jeniecki obóz, kolczaste druty i ucieczkę; którego oczy są takie same jak zawsze, szare, chłodne i czujne, a czasami niby płomień

wytryskuje z nich ciepły blask, zwłaszcza gdy przez niesamowite, kolorowe rysunki na jego skórze przenika do serca słowo albo spojrzenie.

Spakował więc okrętowy kuferek i zawiózł go na dworzec, zrolowany koc przypasał do pleców, przewiesił przez ramię chlebak, w pierwszym zagajniku wyciął laskę i teraz wędruje drogami do krainy, o której mówiono, jak słyszał, jako o lodowatym pustkowiu, zamieszkanym przez ludzi, którzy nie mówią, lecz szczekają.

Sypia po stodołach i stajniach, częściej w stogach siana, na łąkach. Jego stół nakrywa się szybko, a za kredowym brzegiem* nauczył się też głodować. Jest dobrym piechurem, zaś po to, by żyć, wystarczy mu zadowolenie z wypalenia krótkiej fajki. Zna kilka piosenek, które sobie nuci, również angielskich i amerykańskich z nieco zniekształconymi tekstami, zna szanty z epoki żaglowców oraz rozwlekłe, smutne piosenki z czasów jenieckich. A gdy deszcz spływa mu po szyi, wypływając przy butach, spluwa tylko, mówi shit i na tym kończy się cała złość.

Na granicy obcego kraju, wciskającego się w obszar państwa, zastanawia się przez chwilę, czy by nie dać zarobić kolei, ale potem przypomina sobie, w jaki sposób opuścił kredowe wybrzeże i uznaje, iż to, co udało się u Tommies, musi się powieść i teraz.

Zagłębia się w sosnowe lasy, w ciągu dnia śpi, a nocami wędruje, wciąż uważny, wciąż obserwujący. Po chwili poszukiwań znajduje na brzegu wielkiej rzeki przeciekającą łódź, dziki prąd niesie go daleko i wreszcie wszystko to ma szczęśliwie za sobą. Rozmiękł chleb, tytoń rozpływa się, on sam suszy się przy ognisku z łętów ziemniaczanych, za to, co oszczędził na pociągu, serwuje sobie szklankę gorzałki. Mimo mgły i osamotnienia uznaje okolicę za nie najgorszą i w końcu, pewnego październikowego wieczoru, odetchnąwszy głęboko staje na zanikowym podwórzu przed małą panienką zdążającą ze stajni ku schodom. Zapytana potwierdza, że to ten zamek, którego szuka, gdyż na mapie, jaką rozpostarł niby żagiel, nie były oznaczone wyspy ani leśniczówki, lecz tylko znaczniejsze siedliska. Ponieważ młody pan Joachim powiedział mu, że stąd najłatwiej trafić, przyszedł właśnie tutaj, a pozostałą część drogi da się (do diabła!) również pokonać.

— Joachim? — pyta młoda dama i patrzy nań przyjaźnie, jak na nowego bernardyna. — Co za Joachim?

* Chodzi o wybrzeże klifowe w pobliżu Dover — przyp. red.

— Joachim von... Joachim Orla, tak jest! — On sam szuka jego ojca, emerytowanego sternika Thomasa Orla.

Młoda dama unosi brwi, a potem się uśmiecha. Poważna jej twarz całkiem się odmienia i pod wpływem tego uśmiechu zmęczony starszy marynarz, który wiele podróżował i wiele doświadczył, doznaje uczucia ciepła i przytulności. Ona zaś dotyka dłonią jego grubego rękawa i bez zdziwienia pyta:

— A więc jesteś Bildermannem?

— Tak jest! — odpowiada, wpadając w dobry humor. — Dawny i łagodny urok jest mi dan, bo zwę się Friedrich Wilhelm Bildermann.

Dziewczynka nasłuchuje, tak jakby pod jego bluzą odezwała się pozytywka; twarz jej rozpromienia się, prosi, żeby powtórzył to jeszcze raz.

— Powiedziałby to chętnie i sto razy, ale ona zadowala się jedną powtórką, spokojnie bierze go za rękę, którą on usiłuje szybko wytrzeć, bo nie jest zbyt czysta, i prowadzi go obok domu przez park, do brzegu, gdzie stoją łodzie. Tam wskazuje na cypel lasu po lewej i mówi:

— Z tamtego miejsca zobaczysz. Kierunek północny, ku północnemu zachodowi. O tej porze świeci się już w jego oknach.

— Północ, ku północnemu zachodowi — powtarza bardzo zdziwiony.

— On jest strasznie samotny — mówi dziewczynka i zamyślona patrzy w mrok.

— Kapitan zawsze był samotny — odpowiada marynarz. — Miałem na myśli sternika...

— Możesz spokojnie mówić "kapitan".

— Tak jest... Wciąż sam, nawet na okręcie z załogą tysiąca ludzi. Również w domu. Wszędzie. Jak deska zagubiona na oceanie.

— I dlatego przybyłeś tutaj?

— Tak jest, przyjdzie jesień, będzie coraz trudniej. Znam to prisoner of war, mała panienko... Bildermann zna to dobrze.

— A jak dotarłeś tutaj?

— Piechotą, mała panienko... It's a long way to Tipperary... Ale jesteśmy tu!

— Tak, jesteśmy tu — powtarza ona — i tu zostaniemy, prawda Bildermann?

— For ever, mała panienko! — oświadcza.

Wkłada małą dłoń w swoją i wiedzą już oboje, że układ zawarty. Okolica i owo dziecko jawią mu się jak sen. Przed oczami ma wciąż jasną drogę wspinającą się na wzgórza, to znów schodzącą z nich, stopy pieką. Ale tu jest woda, szara jak żelazo, z jaśniejszymi chłodnymi pasmami w oddali, jest czarny las, w którym hukają sowy. Nad nim niesamowita wieczorna poświata, stada kaczek przelatujących nad nim z wysokim dźwiękiem i owo dziecko stojące obok niego niby wielka dama, i w zamyśleniu patrzące na północ ku północnemu zachodowi, tam, gdzie nad wodą świeci światło.

Potem wsiada i odpływa. Wiosła lekko leżą w jego dłoniach, a ciemna postać stoi jeszcze przez chwilę na tle żółtej ściany parku. Rozpływa się, rozmywa w mroku, zanim jeszcze osiągnął leśny cypel. Myśli jednak, że ona będzie stała tak długo, dopóki zdoła dostrzec łódkę.

Za lasem wyjmuje wiosła z dulek, jedno kładzie na dnie łodzi, z drugim przesiada się na rufę. Nagle wyogromniało wszystko, niebo i jezioro, i czerwień wieczoru. Rąbek lasu zatarł się już w ciemności, a nad szarą płaszczyzną przestworu czy też wody wystaje w dali mroczny pagórek, z którego w wieczorną ciemność świeci światło. Czasami migoce jak gwiazda nad horyzontem, potem rozjaśnia się spokojniej żółtym płomieniem, niekiedy nie widać go wcale, tak jakby przysłoniło je drzewo albo jakiś obłok. Wygląda jak światło ciemnego okrętu, stojącego na kotwicy, całkiem samotnego w szarzyź-nie wieczoru. Osamotniony człowiek mógłby stać tam przed masztem i czekać, czy wieczór nie daruje mu jeszcze czegoś.

Nagle Bildermannowi robi się ciężko na sercu. Nie dlatego, by przytłoczyła go niesamowita cisza czy wielki wieczorny smutek. W życiu miał aż nadto ciszy, wie, jaka ona jest, gdy patrzy się na wieczorne niebo przez wstęgi drutów kolczastych. Wie również, jak to jest, kiedy deszcz pada na cienki dach altany albo na spadziste deski nad stogiem siana, jak ciężko i powoli serce uderza wśród ciszy, kiedy nie ma nikogo, kto by zapytał, czy to dobrze być samemu. Słysząc kroki wartownika niosące się ponad trawą pustkowia albo dźwięki dalekiej harmonii rozchodzące się po wąskich ścieżkach działek, nie nazywał tego "smutkiem wieczoru". W ogóle tego nie nazywał, wiedział jednak, czym to jest: skrytym łaknieniem, nieustannie obecnym i drążącym niby tępy ból. Nawet gdy trzymało się dłonie nad stygnącym piecykiem, po plecach przebiegał zimny dreszcz. Na sercu zaś leżał ciężar, nie powodowany niczym innym niż tylko tym, że tak właśnie jest, że wstanie szary świt i nadejdzie też szary wieczór, dłonie zaś, bezczynne, nie znajdą niczego poza wiórem drewna, w którym będą mogły

rzeźbić. Że nie będzie dla nich okrętowej liny ani armatniego zamku, ani człowieczej ręki. Będzie pustka życia, w którym początek i koniec gubią się w szarości, życia bez rozkazu, pobudki, śmiechu, płaczu, bezgłośnie obracające się kolisko, i nigdzie początku, i nigdzie końca.

Nawet już nie wiedział, czy myśli o kapitanie, czy o sobie. Podróż się kończy, sprężyna rozkręciła się, szedł przed siebie niemal na oślep, noce i dnie, teraz nad wodą jaśnieje światło, ale on wcale nie wie, czy to światło jest dla niego. Friedrich Wilhelm Bildermann, nieustraszony na wojnie i w czasie pokoju, trzyma na kolanach mokre wiosło i rozgląda się to w prawo, to w lewo, czy by też nie skręcić i nie zniknąć gdzieś w lesie.

"Teraz zostaniemy tutaj, Bildermann, prawda? For ever, mała panienko!".

Przekleństwo! Spluwa do czarnej wody i wbija w nią wiosło, aż dziób skręca w bok. Nie zauważył wprawdzie, by ludzie tu szczekali, pomyślał sobie, ale że błądzą tu zjawy, stało się dlań jasne jak sok z prymki.

Światło staje się większe, a im bardziej się zbliża, tak blisko, że okna wyglądają, jakby były przekreślone cienkim krzyżykiem celownika, tym spokojniej sączy się w wieczór żółty blask, jasne światło, wokół którego nie kłębią się rozterki, światło padające na liście buka, a może na kartkę papieru, skierowane na starszego marynarza Bildermanna, a może tylko na dwie ludzkie dłonie spokojnie leżące na kolanach, znużone pracą dnia.

Pachną zwiędłe dębowe liście i świeże drewno, przez które przeszła piła. Znajduje przystań, cicho przywiązuje łódź, bierze wiosła, koc i chlebak, i stuka do drzwi.

— Tak — odzywa się niby z wnętrza okrętu spokojny głos.

Chyba trochę się zachwiał na jasnym progu, od blasku lampy i ognia na palenisku lub ze zmęczenia, bo inaczej kapitan nie musiałby podtrzymać go obiema rękami, lekko potrząsać za ramiona, powtarzając głosem zdającym się płynąć z oddali:

— Bildermann! Czy to ty, Bildermann?

Oczywiście powinien potwierdzić, ale nie przychodzi mu to lekko. W drodze mało rozmawiał, głos nie jest mu posłuszny, chłodne szare oczy zasnuwa mu mgiełka, w której niby coś nierzeczywistego unoszą się szeregi książek, globus, strzelający krążownik i twarz kapitana. Wyglądają jak niezakorzenione, niewyraźne rzeczy przemieszczające się pod wodą.

— Melduję się na rozkaz, kapitanie! — mówi schrypniętym głosem.

— A jeśli mam odejść, to lepiej od razu, kapitanie!

Słyszy, że kapitan się śmieje. "Dawno tego nie słyszałem", myśli, a za chwilę siedzi w głębokim fotelu, tak głębokim, że zdaje mu się, iż wsiadł na okręt, w ustach czuje smak rumu, blask ognia pełga roz-grzewająco po brudnych dłoniach, a krople mgły na granatowej bluzie mienią się wszystkimi kolorami tęczy.

To sen, myśli. Deszcz nie kapie tu przez nieszczelny dach, wiatr nie podzwania drutami, wszystko jest uporządkowane, książki, globus, szafa z maskami. Belki sufitu są ciemnobrunatne, niby uwędzona skóra węgorza i mają też lekki tłustawy połysk, ściany i kafle pieca są ciemne. W górze powinien być jeszcze skajlajt*, nad którym wędrowałyby gwiazdy kołyszące się tu i tam, wzdłuż ścian powinna cicho szemrać woda, mleć i wzdychać wirami.

— Wszystko to jest rzeczywiste, kapitanie? — pyta i knykciami ostukuje kafle pieca.

— All right, Bildermann. Niczego nie musisz się trzymać, nie odlecimy stąd.

— Śmieszne — mówi marynarz — tak jakby to stało już tysiąc lat... To niezawodna okolica.

— Prawda, Bildermann? Już tu zostaniemy, co?

— For ever, captain! Ach, tak... — przypomniało mu się, że już raz to powiedział, ale zdaje mu się, że od tamtej pory minęło dużo czasu, wiele wieczorów, wiele ognia na palenisku, i odwraca twarz w stronę okna.

— W zamku, kapitanie, była taka mała dama — zaczyna mówić — pokazała mi drogę, północ ku północnemu zachodowi. Powiedziała mi: "Teraz jesteśmy tutaj i tu zostaniemy, prawda Bildermann?". For ever, mała panienko! — odrzekłem.

— Teraz zostaniemy tutaj, Bildermann, obaj, tak jak powiedziała, a może i wszyscy troje. Zaraz wyjaśnimy wszystko, żebyś mógł spać spokojnie. To będzie Wyspa Weteranów, prawda Bildermann? Od czasu do czasu nachodzi mnie jednak myśl, że pewnie nie zostałbym tutaj, gdybyś się nie zjawił...

— To zły pomysł, kapitanie, za pozwoleniem. Ale i ja nie siedziałbym tutaj, gdyby nie było tu pana. A więc nie ma o czym gadać i szkoda słów. Jeśli jednak ma być tak, kapitanie, to... to... rolling home, my boys, kapitanie... to Bildermann pokaże, co potrafi!

---

* Oszklony otwór w pokładzie statku, luk oświetleniowy — przyp. red.

Wiemy, Bildermann. Nie martw się. Tutaj jest dużo pracy, nawet jeśli akurat nie zimą. I wiesz, człowiek musi czasem porozmawiać, choćby wyrzec kilka słów w ciągu dnia.

— Rozważyłem to, kapitanie, przemyślałem wszystko, że o tej porze roku będzie panu ciężko. Nawet nie pytałem wielmożnej pani ani młodego pana. Kiedy wiatr wieje tak dziwnie, zanim nie zacznie kręcić, kiedy skarży się przez całą noc, nadchodzi pora, żeby starzy marynarze, kapitanie, trochę pobyli razem. Nie tutaj, myślę, przy tym diabelnie dobrym ogniu, ale w ogóle, w domu albo w terenie, albo choćby na progu. "Bildermann, jesteś tu?". "Tak jest, kapitanie!". "Ali right, bo już myślałem, że jestem sam na tym całym świecie". Tak to jest, kapitanie, kiedy się wie, że ktoś jest. Może siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, czasem nawet musi, ale musi też być obecny. "Czy nie ma nikogo na świecie?", "Według rozkazu, captain, Bildermann jest tutaj. Nie ma się co martwić, zawsze jest pod ręką. Gdzie Bildermann, tam nie ma pustki".

Thomas przytaknął i zapatrzył się w płomienie.

— Słusznie powiedziałeś, Bildermann. Nie ma pustki... A wiesz, że wiosną i latem było to łatwe, zbyt łatwe. Były długie dni wypełnione pracą i jasne noce z mnóstwem gwiazd. Dopiero teraz okazuje się, jak tu jest. Mówię ci, to wspaniała kraina. Niemal tak wspaniała jak morze. Żadnego odgłosu we dnie, a nocą śmiertelna cisza. Tutaj ludzie dziwaczeją, ale ja nie chcę zdziwaczeć, Bildermann. Mój poprzednik, który pił gorzałkę, a ciało owijał czerwonym płótnem, przepowiadał mi, że i ja tak będę robił; mam na myśli wódkę. Cieszę się, że jesteś tutaj, bardzo się cieszę. Trochę to trwa, zanim człowiek nie stanie się taki jak kamień na dnie. Ostatnio odkryłem, żebyś wiedział, że to nie wpada komuś samo w wyciągnięte ręce, ale wymaga tyle samo potu jak i wszystko inne. Wyciszyć innego człowieka to nie sztuka, ale stać się takim w pełni, samym z siebie, powoli, celowo, bez zgorzknienia, to jest tak, myślę, jakby wydobywać się z jakiejś sieci nie naruszając jej. Rozumiesz mnie?

— Mam nadzieję, kapitanie, że rozumiem wszystko, co pan mówi o tym, co dzieje się w nas. W moim życiu zostawiłem za sobą wiele mil morskich. Siedząc w tej swojej altanie, przysłuchiwałem się, jak pada deszcz. Nie było ani jednego człowieka, żadnego psa, żadnej myszy, tylko deszcz. Tak samo dobrze mógłbym leżeć w trumnie albo na dnie Atlantyku. Mogłoby wcale nie być jutra. Po co to jutro? Byłem jak samotna deska dryfująca po oceanie. Tak to, kapitanie, jest.

— Nie masz jakiegoś listu, Bildermann?

— Wielmożna pani zabrała mi trochę wiatru z żagli, kapitanie, mówiąc, że pan chce być zupełnie sam.

— Tak... no, a jak jest w domu, Bildermann?

— O... myślę, że all right, kapitanie. Młody pan jest bardzo solidny.

Do tego, żeby zostać dowódcą eskadry, zmierza z takim uporem, z jakim diabeł dybie na duszę. Ani kroku w lewo, ani kroku w prawo. Tylko na wprost. Bildermann, będąc w tym wieku, był cielęciem, ale młody pan jest jak wyścigowy koń. First class, kapitanie.

— To nie bajdy, Bildermann, co?

— Nie, żadne bajdy, kapitanie. Thomas skinął głową.

— Za dziesięć lat, Bildermann, oni nas wyprzedzą. Na Morzu Północnym wciąż jeszcze będą rzucali wieńce, ale potem, w mesie, powiedzą: "Nie dość dzielni byli tamci chłopcy. My inaczej zabralibyśmy się do dzieła!". Zgadza się, Bildermann?

— Tak jest, kapitanie. Potem dostaną honorowe miejsce na paradach i darmowy obiad. Świat się kręci. Po tysiąc osiemset siedemdziesiątym było podobnie. Młodzież zawsze ma rację, kapitanie. My też byliśmy tacy.

Thomas znowu przytaknął.

— A moja żona, Bildermann?

— O... myślę, że all right, kapitanie. Z wielmożną panią rozmawiałem tylko raz. W ogrodzie. Nie, dwa razy. Kiedy mi brakowało tytoniu, chodziłem czasem pod teatr i gdzie tam jeszcze, otwierać drzwiczki podjeżdżających samochodów. Trafiłem na jej wóz. Wielmożna pani, kapitanie, wyglądała doskonale, tylko jest trochę za szczupła. Za wiele żagli, kapitanie.

— Tak, dziwne to, Bildermann, że nie chcemy nadrabiać nic z tego, co nam umknęło. Robią to tylko ci, którzy byli w domu.

Bildermann ostrożnie położył dłoń na ramieniu kapitana.

— Dobrze. Zostawmy to, kapitanie. My też nadrobimy... Tylko w innych sprawach.

Thomas spojrzał na niego z powątpiewaniem, ale twarz tamtego była spokojna i wyrażała pewność siebie.

— Tak myślisz, Bildermann?

— Tak jest, kapitanie!

Nowe życie potoczyło się jak dawniej. Thomas spostrzegał jednak, że biegło łatwiej. Teraz byli parą koni przy pługu. Przez cały dzień Bildermann rozglądał się wokół. Milczał i trzymał ręce w kieszeniach. Potem zdecydował i spytał. — Mam wolną rękę, kapitanie?

— Tak, ma pełnomocnictwo.

Łódź przypływała więc ze wszystkich kierunków róży wiatrów i nigdy nie była pusta. Ładunek stanowiły deski, stary warsztat stolarski, sosnowe gałązki, koński nawóz dla roślin, kubły wypełnione wapnem i farbą olejną, wykrzywione od uderzeń kowadło i podarty kowalski miech. Wyglądało na to, że chce założyć stocznię. On jednak do rzeczy podchodził powoli i planowo.

Boczne pomieszczenie zyskało podłogę, ściany zostały pomalowane, główna izba miała teraz podwójne drzwi, chroniące przed polu dni owo-wschodnim wiatrem. Domostwo było pobielone, ramy okienne pomalowane, byliny okryte. Studnia została ocembrowana na nowo, Bildermann urządził też "port". Za domem wznosił się wysoki maszt z chorągiewką pokazującą kierunek wiatru, za pagórkiem powstawała kuźnia. Łodzie zostały wyciągnięte, uszczelnione i wysmołowane, rozpoczęła się praca nad konstruowaniem okrętu w butelce, przeznaczonego dla "małej panienki".

Wszystko to odbywało się w milczeniu albo przy akompaniamencie pogwizdywania przez trzymające fajkę zęby. Końce szala łopotały na wietrze, powiewały wstążki u czapki. Jezioro białymi grzbietami fal biegło ku brzegom, ponad bezlistnymi wierzchołkami dębów gnały czarne chmury. Bildermann opuścił siekierę, wyprostował się i popatrzył nad wodę w dal. Stał w rozkroku, przyodziany w znoszone ubranie, szare oczy łzawiły mu na wietrze. Nie miał okrętu ani rodzinnych stron, kobiety ani dziecka, ale był niby bastion wśród cicho toczącej się bitwy życia, człowiekiem u steru, człowiekiem przy armacie. Wstążki przy czapce strzelały na wichurze, na czoło bryzgała woda, w ścianie trzcin gwizdało niby w naprężonym takielunku. Za oknami siedział kapitan i pisał. Milczący człowiek, ale kto by chciał być głośny w tej krainie... Zresztą czy nie mieli dość hałasu w latach, które przeminęły tak, że nikt o nich nie mówił?

Poznał wszystkie okoliczne wioski, wszystkich rzemieślników, wszystkie leśniczówki. W tej okolicy o kapitanie rozchodziły się jakieś niejasne pogłoski. Bildermann zjawił się zaś osobiście, chodził na rozstawionych nogach przez wiejskie ulice, a ręce trzymał w kieszeniach. Za nim, jak dwa proporce, ciągnęły się wstążki czapki, oczy miał zawsze otwarte szeroko i skierowane na rzeczy, których

potrzebował. "Tak jest, obaj tonęliśmy na Skagerraku... Teraz nierozłączni na wieki! A ten hebel nie jest ci potrzebny, latem dostaniesz za niego porcję ryb, stary lądowy rekinie... Good bye, kochanie". Zupełnie nie wiedzieli, za kogo go uważać, za proletariusza czy może za pańskiego pachołka, ale ponieważ potrafił dziwnie spojrzeć, woleli za dużo nie pytać. Był niby człowiek z obcej łodzi wiozącej nieznany ładunek, lecz dopóki na wyspie nie instalowano dział okrętowych, nie obchodziło ich to. Czasy były trudne i każdy sam dźwigał swój ciężar. Za tymi dwoma stal zamek i nawet jeśli jego pan był militarystą, reakcjonistą i krwiopijcą, był przecież generałem, a nie każda śródjeziorna okolica mogła pochwalić się generałem.

Bildermanna poznała też kobieta z leśniczówki. Kiedy pierwszy raz przyszedł na podwórze, stała przy ogrodowym płocie i cicho nuciła marszową piosenkę. Nie odwróciła się jednak, jak inne, zmieszana czy przestraszona. Przechylił się przez płot, naprzeciw niej, i uśmiechając się, słuchał, a potem cicho zaśpiewał wraz z nią, drugim głosem: "Czarno-biało-czerwona bandera dumnie powiewa na maszcie naszego okrętu!". Znał wszystkie trzy zwrotki. W końcu zdjął czapkę ze wstążkami i pomachał nią nad głową.

— Cheer up, matko! — powiedział. - Mieli piękną śmierć, a tylko Bóg wie, w jaki sposób nas wezmą diabli.

— Ogień — mruknęła zmieszana — nic tylko ogień...

— Ogień to czysta rzecz — odrzekł — lepszy niż woda, w której żarłyby ich ryby, a mewy wydziobywałyby oczy... Chodź, matko, zaśpiewamy jeszcze jedną!

Rolling home, my boys, to windless... Rolling home, our cable is all clear...

Długo i dziwacznie ciągnął melodię, lewą rękę położył na płocie, prawą wskazywał na las, jakby dostrzegając w nim daleki brzeg albo banks of Sacramento.

Przysłuchiwała się, oczami zawisła na jego ustach, jakby była przygłucha i jakby rozlegał się z nich psalm lub nowa ewangelia, bardziej pewna niż dawna, odpowiedniejsza do śpiewania o pożarze albo o topieli. Wargi jej poruszały się, podążając za nieznaną melodią... Za zagubionym brzmieniem przybyłym z daleka, tak jak on zagubiony, wyglądający niewyraźnie, granatowy, z powiewającymi wstążkami, znany kiedyś, a potem wyblakły, spopielony w żarze płomieni...

— Rolling home... zaśpiewaj jeszcze raz...

Zaśpiewał więc, trzymając w swojej dłoni jej kruchą dłoń, oczy miał jednak wesołe, był pocieszycielem z dalekich mórz, który wynurzył się z nich i znów zaginie,

druhem przynoszącym zapieczętowane i utajone posłanie. Pozostanie jednak brzmienie piosenki, inne niż wieczorny szum koron drzew, rozlewne wesołe brzmienie, które nadbiegło sponad grzbietów fal i które zwieje wiatr.

— Czarodziej z pana, panie Bildermann — powiedział Gruber — prawdziwy czarodziej...

Ów machnął ręką.

— Tego wszystkiego człowiek uczy się na kredowym brzegu, starszy panie — odrzekł. — Kiedy stoi się tam i patrzy na horyzont. Widzi się dom, ale przecież go nie ma. Widzi się dziecko i jego też nie ma. Widzi się wszystko, czego tam nie ma, a nie dostrzega się tego, co leży u stóp. Wszyscy prisoners of war sięgają wzrokiem daleko, starszy panie. Niekiedy aż tak daleko, że nóż, zamiast na obierany ziemniak, trafia na tętnicę. Dużo trzeba się tam uczyć, żeby strzec ludzi. For better for worse, for richer for poorer. To angielska formuła przysięgi małżeńskiej, starszy panie. Pochowano niejednego, dla którego Bóg był za daleko. Nawet dla daleko widzących, starszy panie, a to już jest coś!

Bildermanna poznał również generał i wyglądało na to, że nie była to dla obu zła znajomość. Thomas orzekł, że Bildermann musi pójść przedstawić się. Abordaż wyspy to przecież nie taka prosta sprawa. Bildermann ogolił się więc, wygładził pod kowadłem wstążki u czapki i pożeglował. Wyglądało, jakby próbował, czy łódka nie popłynie kilem do góry.

Dotarł jednak pomyślnie i zadzwonił. Wyszedł fryderycjański grenadier.

— Ojej — powiedział zdumiony Bildermann. — Zapomnieli o tobie, człowieku? Czekaj tu na mnie, aż wyjdę, słyszysz? Jesteśmy w podobnej sytuacji, rozumiesz? A teraz idę do eskcelencji... Z posłaniem od pana kapitana Thomasa von Orla... Które to drzwi? Thank you. Powinieneś, kochanie, szybciej myśleć.

Gdy stuknęły podkute obcasy, generał podniósł wzrok.

— Starszy marynarz Friedrich Wilhelm Bildermann prosi posłusznie o pozwolenie na przystąpienie do pracy w charakterze pomocnika rybackiego u pana kapitana Thomasa von Orla.

Generał spojrzał tak groźnie, jakby miał przed sobą cały szereg żołnierzy drugiej kategorii.

— On, to Bildermann?

— Według rozkazu, panie generale!

— Uratował życie?

— Według rozkazu, panie generale!

— Z kapitanem na śmierć i życie?

— Nawet na rozpalony ruszt, panie generale! Siwy wąs drgnął nieznacznie.

— Słyszałem o nim... For ever, powiedział do dziecka... Precyzyjna mowa... Jest zatrudniony i przynależy do domu... Dokumenty zostawić... Kiedyś przyjdę zobaczyć... Dlaczego Johann nie meldował?

— Johann osłupiał, panie generale. Powoli myśli, ale chyba dogłębnie.

— Za krótko był żołnierzem. Cztery lata, a potrzeba ośmiu.

— Według rozkazu, panie generale. Rok za każdy guzik.

— Słusznie! Dobre oko. Pozdrowić kapitana! Zegnam!

— Do widzenia, panie generale!

Uścisk dłoni, trzask obcasów, w tył zwrot! Johann znów stał oparty o armatę.

— Człowieku, a jeśli wystrzeli? — powiedział Bildermann. — Na morzu zdarzało się, że odpalały trzydziestki ósemki. Angielskie promienie śmierci. Jednego sygnalistę przestrzeliło na wylot i już nie miał żołądka. Dziurę wyłożono aluminium i zamiast żołądka wstawiono wiadro. Żyje do dziś. Co rano wynosi wiadro i płucze chlorodontem, żeby pachniało, rozumiesz?

Johann wytrzeszczył oczy.

— Wpadnij kiedyś — mówi Bildermann. — Na Wyspę Weteranów. Zawsze jest tam łyk rumu dla starych wojaków. Serwus, sweetheart.

Taki był most łączący Bildermanna ze światem, most rozpinający się wesoło, więc niejeden zatrzymywał się przy nim, żeby popatrzeć na wyspę. Dla wszystkich, którzy w tych niestabilnych czasach niepewnie stali na nogach, był podejrzany, był człowiekiem niegodnym szacunku, mającym wątpliwe znajomości, człowiekiem o oczach odwzajemniających każde spojrzenie i zdających się przenikać każdą ze spraw, które chętnie by się ukryło. Jednak generał zobaczywszy go, zawsze kiwał doń laską i zatrzymywał się przy nim kwadransik, żeby wysłuchać "mądrości prostego człowieka". ("To niemiecki dębczak, drogi Orla! Nie ma w nim ani jednego spróchniałego miejsca!"). Mała panienka udzielała mu zaś poważnych rad, mówiąc, w jaki sposób można rozweselić i zainteresować czymś kapitana, kiedy zapomina, co to uśmiech. Cicha kobieta u ogrodowego płotu chciała wysłuchiwać jego piosenek, a gdy generał wyjechał do miasta, "na pełnym jeziorze" odbyło się spotkanie z Johannesem. Stanęli

burta w burtę, wzajemnie częstowali się butelką i nikt tak w całej okolicy nie podziwiał Bildermanna jak powolnie myślący Johann.

W ten sposób, nie starając się specjalnie, Bildermann wplótł się w wiele ludzkich losów, nie wiedząc też, że posiada to, o co z takim trudem zabiegał kapitan, a mianowicie radosne serce. Że wyciągają się do niego wszystkie ręce, bo ludzie zauważyli albo tylko przeczuwali, iż tylko to pozostało im w tych zmiennych czasach. Gdy rozmyślał o swoim dotychczasowym życiu, zapewne odkrywał, że dotychczas był raczej tłocznią wina niźli winem. Musiał znosić wiele deptających go męskich stóp, ale jeszcze nie zrozumiał, że teraz już zaczęło kojąco płynąć wino. Nie zrozumiał, bo wciąż nie był pewny, czy jakiegoś ranka wszystko nie obróci się wniwecz, wyspa, dom, wąskie łóżko w izdebce i surowość czerwonego świtu nad lasami. Nie był zwolennikiem łatwej wiary, stał się tym, który "daleko sięga wzrokiem", tak samo na wodzie, jak i na lądzie, i nawet bez wypowiadania wojny wiedział, jak los zwykł obchodzić się z ludźmi.

Po jednej z przynoszących pociechę wypraw sięgnął bez słowa po łopatę i skopał za domem leśną glebę zarośniętą trawą, bo uznał, że założone tam ziemniaczane poletko będzie nie tylko użyteczne, ale też będzie się pięknie prezentować, gdy zarośnie młodymi roślinami o błękitnawych kwiatkach, jesienią zaś do okna dolatywać będzie dobra, gorzkawa woń.

— Tak jest, kapitanie — odrzekł zapytany przez Thomasa — na ziemniakach z solą wyrośli najwięksi ludzie, chyba nawet Horatio Nelson. A zdaje mi się, że i małej panience sprawi dużą radość, kiedy usiądziemy tu przy ognisku i będziemy jeść kolację wygrzebaną z gorącego popiołu.

Thomas zgodził się z nim, i tak trwali do zmroku, z łopatami w dłoniach, póki spośród zimowych obłoków, z wysoka, nie zawołał kulik i nie zobaczyli światła leśniczówki.

Bildermann zmył naczynia, potem przyniósł wodę oraz drewno na następny dzień. Siadł na zydelku przed paleniskiem i łupał smolaki, strugał nowe wiosło albo kładł przed sobą "Historię podboju Cesarstwa Indyjskiego". Głowę opierał na dłoniach i marszczył czoło. Jego jasne oczy znajdowały się wciąż w ruchu, z ust wyrywało się niekiedy ciche zawołanie "Boże, przeklnij mnie!".

Od czasu do czasu podnosił wzrok i obrzucał nim Thomasa, który robił notatki na białych kartkach albo podobnie jak on czytał lub przez obłok fajkowego dymu

przyglądał się globusowi. W piecu trzeszczało brzozowe drewno, zegar cicho odmierzał czas, a ponad lasem pokrzykiwał jakiś nocny ptak. Wówczas zwracali oczy w stronę okien i nasłuchiwali, jak wiatr przeciąga po wysokich trzcinach, a potem znów cichnie.

— To sen, kapitanie — powiedział cicho Bildermann — to wciąż jest jak sen…

Thomas kiwnął głową i wprawił w ruch kulę ziemską. Obaj przyglądali się błękitnawym morzom, które poprzedzielane lądami przesuwały się, kryły i znowu się wyłaniały; morzom, które przez całe życie były ich domem, a od których znajdowali się teraz daleko, one zaś jawiły się jako obraz rozłożony na krzywiźnie, opasany żółtym, lśniącym kołem równika. Widzieli płynące okręty, które także były ich domem i takie, które tylko spotykali. Widzieli, jak sztormy wynurzające się spoza krzywizny horyzontu mierzwią błękitne fale, a potem odchodzą ku innym okrętom i obszarom. Widzieli wschodzące i zachodzące gwiazdozbiory, wąską linię palm wychylających się nad rozedrgany horyzont, słyszeli dźwięki dzwonu okrętowego i samotne kroki na kapitańskim mostku. Widzieli płomień wytryskujący z długich luf i białe fontanny rozbryzgów walące się na rozpalone żelazo. Widzieli szare kile wynurzone z głębin niby monstra i pogrążające się w spienionej otchłani; widzieli pływające zbielałe twarze i krzyczące nad nimi ptaki. Widzieli, jak wraz z obrotem globusa przesuwają się przed nimi godziny, miesiące i lata, i mogło się im zdawać, że ponad horyzont wynurza się i znów za nim tonie również i ta ich wyspa, na której osiedli. Była to złudna igraszka zrodzona jednym ruchem ludzkiej ręki, a kończąca się tak, jak chciała.

— To sen, Bildermann — powtórzył Thomas. — Ale dobry i krzepiący sen, który zjawi się też jutro, a także za rok; nawet jeśli tylko po to, by go zatrzymać, zrobimy, co do nas należy.

— Zechciejmy go zatrzymać, kapitanie — rzekł Bildermann — tak jak biedak swój chleb!

Potem, kiedy nie zamknąwszy dzielących ich drzwi, leżeli na wąskich łóżkach, widzieli odblask żaru dogasającego na palenisku, pełgający po szeregach książek i ciemnych belkach stropu. Po dachu szumiał deszcz i niby wyluzowany żagiel chłostał od czasu do czasu okna. W kominie wzmagał się, to znów przycichał jednostajny głos wiatru.

— Spisz, Bildermann?

— Nie, kapitanie.

— Ależ jesteśmy samotni… Zauważyłeś to, Bildermann?

— Przekleństwo, kapitanie, wspaniale samotni.

Rozdział 8

Marianne budziła się, gdy pani Sperber rozpoczynała obok bohaterskie zmaganie się ze strunami głosowymi. W tym domu była tak długo, jak tylko sięgała pamięć, a co najmniej od czasów, kiedy po zamku zaczęła krążyć śmierć. Chyba to właśnie ona przywiodła panią Sperber, jako namiastkę wszystkich, których zabrała. Musiało stać się to wówczas, gdy umarła matka Marianne, a ją z garnizonowego miasteczka przywieziono do dziadka. Potem przyszła wojna, ona zaś przypomina sobie tylko to, że ruszyło na nią wielu, zaś kilku z tych, z którymi splotło się jej życie, nie powróciło. Udali się w wielką podróż, jak jej mówiono. Wśród nich wujek Jochen w jasnobłękitnym dragońskim mundurze, który woził ją przed sobą na siodle, i lokaj Fritz, który ładnie pachniał mydłem. Również rządca Mertineit z wielką głową i donośnym głosem, nazywany przez ludzi Wybuchowcem, oraz Michel, uczeń ogrodniczy, który kradł dla niej mirabelki i marchewki oskrobywane później olbrzymim scyzorykiem, zanim włożył je potem jej do ust.

W końcu ojciec, który teraz przychodził do niej w snach, w swoim czarnym hełmie i z wysoką tarczą, spoza której nie było widać jego ręki.

To, co zachowała w pamięci, nawet nie było bólem tylko narastającą pustką. Było tak jak z jesiennym parkiem, kiedy odlatują ptaki i opadają liście, więc widać ścieżki oraz kraty ogrodzenia, których nie widziało się dawno albo jak w domu opustoszałym po gwarnych i pełnych blasku dniach odwiedzin, gdy stoi się na górnym podeście, przy oknie i patrzy, jak goście odjeżdżają. Wszyscy mówią, że wrócą, rychło i niedługo, ale przecież nie wie się, czy to, co mówią dziecku, jest prawdą.

Wtenczas śmierć przyprowadziła z sobą panią Sperber i zostawiła ją tutaj. Pani Sperber nosiła czarne suknie, miała siwe, krótko ostrzyżone włosy, tak że Marianne przez długi czas sądziła, iż jest to wymigujący się od pójścia na wojnę przebrany mężczyzna. Była wysoka i krzepka, już wówczas miała głos schrypnięty i niski, a Marianne myślała, że każdego ranka zjawia się ona na schodach, z włócznią w ręku, jak Pallas Atena, której podobiznę oglądała w wielkich księgach. Bała się jej, gdyż wyglądała na "uzbrojoną", aż pewnego popołudnia zastała ją stojącą przed wiszącym nad jej biurkiem portretem "Pięknego". Był to kirasjer w srebrzystym hełmie, sięgającym aż do barków. W jednym oku nosił szklany krążek. Wokół jego ust błądził

dziarski uśmiech. Po rumianych policzkach pani Sperber płynęły łzy, włócznia i zbroja gdzieś przepadły i wyglądała teraz jak ktoś, kogo opuścili wszyscy, udając się w wielką podróż.

— On był dobry, dziecinko — powiedziała pani Sperber — tylko lekki jak piórko i ulatywał tam, gdzie się go zdmuchnęło.

Dmuchnęła na dłoń i patrzyła tak, jakby ów "Piękny" wraz ze swoim srebrzystym hełmem wyfrunął przez otwarte okno do parku.

Marianne nie mogła pojąć, jak ktoś, kto nosi hełm, może być lekki jak tajemnicze kwiatki na łące, na które się dmucha, żeby wiedzieć, ile lat będzie się jeszcze żyło. Zrozumiała jednak, że oto na czyimś sercu leży ciężar, nie trzeba się więc takiej osoby bać, tylko ją pocieszać, co też nieśmiałym dotykiem dłoni spróbowała zrobić.

Łzy popłynęły od nowa, ale najwidoczniej przyniosły ulgę. Potem kiedy usiadły obok siebie na niskiej kanapie koło okrągłego pieca, gdzie na kaflach przedstawiono scenę z powrotu do domu syna marnotrawnego, dziecko z powagą wysłuchało, jak potoczyła się historia "lekkiego" mężczyzny, w której mieściło się dużo pieniędzy, wiele kobiet i jeszcze więcej koni. Wynikało z niej, że owa wysoka i krzepka kobieta z włócznią rzucała się w cały ten gąszcz, ale pokonano ją, a w końcu "Piękny" już nie wrócił jak syn marnotrawny, lecz zaraz na początku wojny udał się w wielką podróż i leży teraz pod pagórkiem, w Polsce, a przecież ów "Piękny", którego portret wisi na ścianie, mógłby być jej mężem.

— Twoim mężem, ciotko Mieze? — spytała Marianne. — Nie mylisz się?

To nie była jednak żadna pomyłka; z małej hebanowej kasetki został wydobyty kontrakt małżeński i choć Marianne ledwie umiała czytać, musiała uwierzyć. Jeszcze raz pogłaskała ową dziwną wdowę i poszła do parku, na trawnik, gdzie zerwała jedną z białych kulek, żeby ją zdmuchnąć. Zrobiwszy to, przestraszyła się, bo przypomniała sobie, że "Piękny" miał być tak samo lekki i możliwe, że wskutek tajemniczej metamorfozy zamienił się w ten kwiatek.

Od tamtego dnia zawiązała się między nimi obiema cicha przyjaźń. Śmierć nie miała zabrać ich w wielką podróż, nawet jeśli we wdowie po "Pięknym" niejedno było dziwne, a jego lekkomyślność czasami nie chciała jawić się dziecku jako znamię zła. Ciotce o zdrobniałym imieniu i męskim głosie powiedziano zaś, że chrypka ustąpi, jeśli tylko z wytrwałą energią dobierze się do pasożytów osiadłych na jej strunach

głosowych. Sól kuchenna to śmierć dla pasożytów, łyżeczka soli na szklankę gorącej wody. Tą też zabójczą mieszanką powinna co dwie godziny przypuszczać na nie atak, to znaczy "gulgotać". Zabieg ten przerażał Marianne już samą nazwą, zapowiadającą, że człowiek udusi się i zostanie pogrzebany.

— Daj spokój, dziecinko — rzekła ciotka Mieze — o soli jest już mowa w kazaniu na górze, gdyby zaś "on" jako dziecko dostał więcej soli, nie byłby może taki lekki.

Dworski stolarz musiał przy jej fotelu założyć podpórkę pod głowę, podobną do tych przy fotelach dentystycznych, i zasiadała w nim co dwie godziny z odchyloną do tyłu posiwiałą już głową, a z jej krtani dobywały się dźwięki, których tak bardzo bała się Marianne. Zawsze brzmiało to tak, jakby ktoś się topił i jakby ostatni dźwięk ginął w odmętach, wśród ryb, wessany tam przez jakiś wir. Bała się też, że u ciotki Mieze zacznie się z czasem osadzać sól, tak jak w Morzu Martwym, o którym słyszała zadziwiające rzeczy.

— Dziecinko, daj spokój — powiedziała ciotka Mieze, siedząc wieczorem przy piecu "marnotrawnego syna" — jesteś osobliwym stworzeniem. Żyjesz jak ostryga w muszli.

Wojna nie przyniosła zamkowi bogactw, Marianne nie wiedziała więc, jak żyją ostrygi. Gdy się dowiedziała, spojrzała zamyślona na noszoną przez ciotkę Mieze broszę z granatów, połyskującą nad siedliskiem pasożytów i pomyślała, co też stałoby się z ostrygą, gdyby przyszła na świat bez muszli. Długo zastanawiała się nad tym i głowiła, czy też ciotka Mieze nie sądzi, że i w niej może kryć się perła. W końcu doszła do wniosku, że to sól czyni ludzi gadatliwymi, że ojciec w czarnym hełmie z pewnością był człowiekiem małomównym, tak milczącym jak portrety w holu albo jak dziadek czy jej przyjaciel Thomas von Orla.

Usiadła na łóżku i wpatrzyła się w złocisty blask poranka na gałęziach parkowych drzew. Obok panowała cisza, pani von Sperber czytała teraz, przez kwadrans, Biblię. Była to pora, gdy można było porozmyślać o różnych pięknych rzeczach, zanim nie zacznie się dzień przepełniony zwyczajnością. Choćby o czternastych urodzinach przypadających jeszcze w porze letnich wakacji, o dniu, którego popołudnie będzie jej wolno spędzie na wyspie. Będzie tam Joachim i podaruje jej cały świat, Bildermann wędzący sosnowymi szyszkami węgorze zacznie opowiadać wspaniałe historie, a Thomas, siedzący obok, będzie palił fajkę i słuchał. Nie było nikogo, kto potrafiłby słuchać tak jak on, z taką powagą jakby znajdowali się

tam sami admirałowie i księżniczki. "My oboje, starzy ludzie", powiedział ubiegłego roku. Wszyscy inni mówili "ja" i "ty", a on powiedział "my".

Skręcała w palcach pukiel włosów i czuła ich miękkość. A gdyby obcięła go i dała Thomasowi, to czy schowałby go sobie? W szafie z maskami albo w jednej z książek? A może nosiłby go na sercu? Wydobyła medalion, noszony na cienkim złotym łańcuszku pod nocną koszulą i otworzyła go. Znajdowało się w nim wyblakłe zdjęcie ojca, a na nim, na jego piersi, malutki kwiatek tymianku. Ubiegłego lata dał go jej Thomas, żeby obejrzała z bliska. Powiedział, że biedniutki, wyrosły na piasku kwiatek jest piękny, a na tej wyspie nic nie podoba mu się bardziej niż jego zapach. Mocny i czysty. Wtenczas jeszcze nie wiedziała, że Thomas nazywa się von Orla.

Zamknęła złotą kopertę i poczuła, jak pod przyłożoną do piersi dłonią bije serce. Kwiatek tkwił w cienkim relikwiarzu niby perła w ostrydze. W zasadzie ciotka Mieze miała rację. Dlaczego jednak on nie ma w domu żadnej podobizny żony? Nawet jeśli nie nosi jej na sercu, to czemu jej fotografia nie stoi na regale z książkami albo nie wisi na ścianie, tak jak wiszą w holu portrety kobiet? Dlaczego nigdy nie było jej tutaj, choćby przez kilka dni? Ubiegłego roku zapytała go ostrożnie, czy żona przyjedzie na Boże Narodzenie, a on położył jej dłoń na ramieniu; stała obok, na brzegu, i patrzyła na lodową taflę; rzekł: "Do nas nikt nie przyjeżdża, mała księżniczko, żyjemy na oceanie...".

Najwidoczniej na myśli miał siebie i Bildermanna. Nie wyglądał na zasmuconego, tylko zmarszczki koło ust pogłębiły się.

— Ja przyjeżdżam tutaj, Thomas — powiedziała.

— Tak, dziecko — odrzekł — ty przybywasz nawet na ocean...

Wszystko, co mówił, było właśnie takie: zrozumiałe jak to, co mówią inni, ale za tym, co zrozumiałe, kryło się też coś innego, coś szerokiego, nieograniczonego, co mocniej kazało bid sercu, nawet jeśli się tego nie pojmowało.

Westchnęła, odrzuciła kołdrę i postawiła stopy na podłodze. Ciotka Mieze uważa, że jestem zbyt chuda, a bierze się to stąd, że jadam za mało soli i ułatwiam życie pasożytom. Żadnych pasożytów nie widać jednak na opalonej skórze, a tylko kilka zadrapań o krzewy rosnące na wyspie i siniec od uderzenia się o ławkę na łodzi.

Joachim... ach, tak. Uśmiechnęła się i podeszła do okna, żeby rozsunąć story. Dobrze, że ktoś wszystko wie i nigdy nie jest zmieszany. Czy on jednak bywa "na oceanie"? Trzymała w dłoni sznur od story i rozmyślała. On raczej zajmuje miejsce na

mostku kapitańskim, wysoko nad morzem, na ocenie zaś przebywa tylko Thomas. Może jeszcze i dziadek, kiedy wieczorem zasiada przy kominku i unosi kielich w stronę ognia. Czasem Marianne wykrada się wieczorem z łóżka na schody i przez tralkę poręczy widzi go, siedzącego tam, poruszającego ustami i unoszącego kielich, tak jakby do kogoś przepijał. W olbrzymim mrocznym holu był sam wśród ptaków i poroży rzucających bezładne cienie, wśród nieżywych mężczyzn i kobiet spoglądających ze swoich złocistych ram, tak straszliwie osamotniony, że pewnego razu zbiegła na dół, w długiej nocnej koszuli oplątującej nogi i stanęła obok jego ramienia niby młoda mocna tarcza. Nie odezwał się, nie zganił jej, ale przytulił delikatnie, wcale na nią nie spojrzawszy.

— Stary człowiek — powiedział — wielu odwiedza go nocą... Nie martwić się... To cisi ludzie...

To były po prostu zwykłe słowa. Bo kim byli przychodzący nocą w odwiedziny owi "cisi ludzie", których ona nie dostrzegała? Czy istniała jeszcze czapka niewidka? A może to krasnoludki mieszkające w parku pod korzeniami dębów, a może umarli? Czy jednak umarli przychodzą nie tylko we śnie? "Ach, dziecko — powiedziała ciotka Mieze — za dużo rozmyślasz. To tylko wspomnienia. I gdy nocą leżę, nie śpiąc, on też przychodzi do mnie. I też jest cichy. Nie ma siodła, nie trzyma w dłoni kielicha, nie ma kwiatów przy hełmie... On przecież był dobry, dziecinko...".

Marianne jednak nie wierzyła, że do ciotki Mieze przychodzą "cisi ludzie". Z pewnością nie przychodzą do takich, którzy przed położeniem się do łóżka jeszcze raz siadają na swoim dentystycznym fotelu i wydają takie odgłosy, jakby się topili. Trzeba było spróbować wypytać Johanna opartego o wylot lufy armatniej, ale on tylko uniósł do góry brwi i rozstrzygnął sprawę po swojemu, twierdząc, że owymi "cichymi" musieli być głuchoniemi.

— Ach, Johann — westchnęła i spojrzała na niego z dołu — z tobą to jest tak trudno, bo jesteś bardzo wysoki.

On pogrążył się znów w głębokiej zadumie. Za to Bildermann pyknął ze swojej fajki i spojrzał spode łba na wodę.

— Mała panienko — rzekł — to są chyba tacy, którzy siedzą za kratkami — i nie chciał rozwodzić się szerzej na ten temat.

Tylko Thomas nie wymigiwał się.

— Dzisiaj, moje dziecko, istnieją tylko dwa rodzaje takich właśnie — powiedział. — Są to żołnierze i umarli.

A ona zapytała:

— Ale czy wracają? Przychodzą w odwiedziny?

— Do tych, którzy kochają, wraca wszystko, moje dziecko. Również umarli.

— Do tych, którzy kochają... — powtórzyła. A więc najważniejsze było to, żeby nikt się ich nie bał.

Westchnęła jeszcze raz i wreszcie rozsunęła story. Iskrzyła się rosa, wierzchołki wysklepiały się jak kowane złoto, a kiedy mocno wychyliła się z okna, dostrzegła błękitną wodę, na której bezgłośnie pływało odbicie drzew. Teraz na wyspie wrócili już z sieciami, a Bildermann siedzi na progu i kręci w młynku kawę.

Odezwała się kukułka, Marianne zaczęła liczyć. Nie chciała żyć tak strasznie długo, żeby posiwiały jej włosy, a krtanią zawładnęły pasożyty. Albo jakimś innym miejscem. Chciała żyć, dopóki będzie dziadek. Albo Thomas. Nie chciała zostać sama wśród innych. Piętnaście... dwadzieścia... dwadzieścia dwa... to długo. Trzydzieści pięć lat to właściwy wiek, żeby umrzeć, jeśli oni jeszcze będą do tej pory. Potem przyjdą dzieci z majątku, z kwiatami, a Bergengrün, od dawna już pastor, wygłosi nad grobem kazanie. Ona zaś pragnęłaby, żeby dzieci ze szkoły zaśpiewały ową piękną pieśń kantora Loewego: "Ach, pasterko, z jakąż czułością cię pochowano...".

Zaczęła cicho śpiewać, przemogła łzy, dostrzegła Thomasa i Bildermanna idących za otwartą trumną i zaliczyła się do "cichych ludzi", którzy wracają nocą, gdy człowiek "na oceanie" siedzi przy palenisku. Jednak jeszcze daleko do tego, dwadzieścia dwa lata... Miły Boże...

— Dziecinko, dziecinko... — powiedziała w drzwiach ciotka Mieze — czy musisz od rana śpiewać pieśni dla umarłych? Cóż to za dom!

Marianne, uśmiechając się już, machnęła ręką i znikła w łazience. Jeszcze raz wysunęła głowę zza drzwi i powiedziała rozpromieniona:

— To dom dwojga królewiąt, ciotko Mieze.

Dziadek wrócił już z porannej przejażdżki konnej, zjedli więc na tarasie wspólne śniadanie. Kukułka wciąż kukała i Bergengrün miał liczyć, ile jeszcze przeznaczono mu lat, wzbraniał się jednak, twierdząc, że nawet żartobliwy przesąd jest pozostałością z czasów pogaństwa. Generał obrzucił go groźnym spojrzeniem. Powiedział, że żartowanie ze śmierci zrozumiałe było tylko dla pogaństwa, a dopiero

"oni" wynaleźli kostuchę. To zły wynalazek. On sam nie chciałby być zabrany przez kostuchę. Najpiękniejsza śmierć to zgon! Słyszał już o tym?

Bergengrün był zaskoczony.

— Jak pan powiedział, panie generale? Zgon…

— Zgon to najpiękniejsza śmierć. Tak jest. To kuplet z czasu wojny… A potem dziadek i wnuczka śmiali się do łez.

— Ależ to jest właściwie… zrozumiałe samo przez się — zauważył Bergengrün.

Teraz roześmiała się ciotka Mieze, a Marianne położyła dłoń na ręce Bergengrüna.

— My tylko żartujemy — powiedziała, pocieszając go.

On jednak długo jeszcze kręcił głową i z ukosa popatrywał na generała. To godny uwielbienia człowiek, nadzwyczaj godny uwielbienia, ale czasami szorstki, frontowy żołnierz. Taki z wojny trzydziestoletniej.

Rozmawiali o polach i o stajniach, drobiu i połowach ryb, o służbie i o dzieciach, weselu i śmierci. Życie całej posiadłości każdego ranka rozpoczynało swoje obroty od tego miejsca, zgodnie z dawnymi prawami, nad którymi unosiło się słońce władające wszystkim. Wszyscy oni byli tylko sługami, pilnymi i posłusznymi, ale silniejsza od ich woli była każda chmura. Wiedzieli jednak, że ziemia była urządzona dobrze, o wiele lepiej uładzona niż ludzie, że następny rok nadrobi to, co ten utraci. Nowe czasy omywały i jej brzegi, czasami ją zalewały, szybko zmienia się majątek, ale ziemia wnet odrzuca to, co nie wzięło się z niej. Ponad ich egzystencją wysoko i pewnie wznosi się więc stromy dach.

— Do szeregu — powiedział generał i wstał.

Szkolny pokój wypełniała zielona poświata drzew. Bergengrün, jak co rano, odmówił cichą modlitwę. Potem zaczęli. Dziecko nigdy nie sprawiało mu trudności. Nie było ciekawe wszystkich spraw i nie wszystkie sprawiały mu radość, ale wiedziało, co myśli dziadek, gdy mówi o poczuciu obowiązku pruskiego żołnierza i jego dzieci. W Marianne nie było niedbalstwa ani lekkomyślności, ani też nierzetelności. Patrzyli na nią mężczyźni i kobiety z portretów w holu, a ona nie lubiła spuszczania oczu. Również oni nie trudzili się tylko dla szkoły.

Trudniejsze były dni przepełnione marzeniami. Takie, kiedy w jej szarych oczach nie chciał zapanować dzień, a w cieniu rzęs wciąż trwali nocni goście. Gdy smukłe palce ciągle bawiły się cienkim złotym łańcuszkiem i gdy mówiła "Tobias",

zamiast "panie Bergengrün". Wówczas zdawało się mu, że znajomy głos nagle dochodzi jakby z oddali, od jakiegoś zdroju z Ziemi Świętej, wokół którego stłoczyły się owce, woły i wielbłądy, gdzie unosi się czerwonawy pustynny pył i skąd oddalił się właśnie anioł głoszący zwiastowanie. Odszedł, żeby za oliwnym drzewkiem rozpostrzeć swoje skrzydła.

Wówczas Bergengrün chodzący jak zwykle między oknem a pulpitem przystawał, zakładał ręce do tyłu i patrzył na nią zmieszany. Kochał to dziecko, tak jak kochał cały ten dom, nieporadnie, ale z zupełnym oddaniem, kochał ową wyspę na szarym morzu swojego życia. Co jednak wyrośnie z tej dziewczynki? Czy on sam jest właściwym przewodnikiem jej młodzieńczych stóp, szukających dróg ku osobliwym krainom, podczas gdy on sam nie zna innej przewodniej gwiazdy, poza bożym słowem? Był ubogim, nie mającym rodziców studentem. Wakacje spędzał w fabrykach i kopalniach, zaznał wiele drwin i mało miłości, zawsze był trochę zdziwiony, a i ślepy mimo okularów. A może powinien pójść do generała i powiedzieć, że jego dłonie są zbyt szorstkie dla takiej marzycielki? Ze nie jest matką, a istnieją dzieci, które nie powinny wzrastać bez matki? Jednak generał prawdopodobnie odpowiedziałby mu, że Platenowie, gdy zachodziła konieczność, wzrastali nawet bez przyodziewku.

Potem przyszedł mu do głowy pomysł, żeby cicho odsunąć na bok grecką gramatykę czy podręcznik geometrii, siąść naprzeciwko owego dziecka i podparłszy głowę dłonią, rozpocząć jedną z historii, które mógł opowiadać bez przygotowania, a i z racji samego nieuświadomionego talentu.

— Kiedyś, dawno temu, w ubogim domu wzrastało dziecko...

— Och... Tobias... Czy to było prawdziwe dziecko?

— Prawdziwe dziecko, które umiało śpiewać jak anioł.

— A jak się nazywało?

— Nazywało się Franz Schubert.

— Och, Tobias, opowiedz wszystko, co o nim wiesz.

I Bergengrün opowiadał. O tamtych dawnych ludziach i czasach wiedział dużo, nie tylko dlatego, że chciał być muzykiem. Potem usiadł przy fortepianie, a dziecko stało obok i trzymając dłoń na jego ramieniu, śpiewało wysokim, cichym, ale zupełnie czystym głosem: "pijcie więc żar, sączcie światło...".

Oboje zasłuchali się w ostatni wybrzmiewający ton, jak dwoje dzieci przypatrujących się opromienionemu obłokowi i oboje wiedzieli, ile spłynęło na nich łaski.

— Jesteś taki dobry, Tobias — powiedziała. — Jutro uda się lepiej. Dziś w nocy byli u mnie "cisi ludzie".

Nie zapytał o nic, tylko skinął głową. Wiedział, że dzieci też mogą żyć w mroku.

Były też dni, kiedy lubiła "naprowadzać go na trop". Nie dlatego, że nie chciało się jej pracować. Lubiła patrzeć, jak "rosną mu skrzydła". Gdy na przykład mówił o błogosławieństwach albo o życiu Antona Brucknera czy o wielkim wirtuozie organów, który rzucił wszystko, żeby służyć chorym w afrykańskiej puszczy*, ona przypatrywała się, jak pięknieje jego brzydka, przysłonięta okularami twarz, jak rozjaśnia się jego czoło, jak cały przeobraża się w bojownika opanowanego cichymi nakazami człowieczeństwa i miłości. Patrzyła na jego zawsze pokryte atramentowymi plamami dłonie, które stawały się piękne, ożywione oddaniem wielkim ludzkim wartościom. Patrzyła na jego usta, często tak niepewne i zmęczone, które teraz wypowiadały dobre słowa o tych, których był uczniem i którym oddawał się z uwielbieniem, zapominając całkiem, że na ziemi noszącej ich ślady żył człowiek o nazwisku Bergengrün.

I znów przepłynęła nad nimi chmura, na którą patrzyli, nie wiedząc, ile spłynęło z niej błogosławieństwa.

Czasem pod oknami przechodził generał, słyszał przepełniony altruizmem głos i przystawał. Nie zawsze wiedział, o czym on mówi, ale czuł, że jest to piękne i wzniosłe, że to wizja, którą przedstawia się dziecku, nie myśląc jednocześnie ani o sobie, ani o nim. Potem odchodził ukradkiem, pogrążony w myślach. Po chwili zaś zatrzymywał się przy liliach, które pachniały oszałamiająco, a potem wstając od obiadu, mógł powiedzieć zdumionemu Bergengrünowi:

— Zacny człowiek, Bergengrün... Zawsze wiedziałem... Wdzięczny z powodu dziecka... Złożyć egzamin i zostać pastorem... O to niech za dba... Zrozumiano?

— Tak jest, panie generale.

O jedenastej Bergengrün zasiadał nad dogmatyką chrześcijańską, a generał udawał się z wnuczką na przejażdżkę konną wśród pól. Była to dla niego najmilsza godzina; zapominał o wojnie, nędzy narodu i o obu synach. Może nie tyle o nich zapominał, ile przenikali oni do jasnego kształtu tego dziecka, które wyprostowane i

* Mowa o Albercie Schweitzerze (1875 - 1965) — przyp. tłum.

uważne jechało obok niego. Krew została oddana, ale część jej odrodziła się i zachowała. Synów zawsze oddawało się ojczyźnie, w córkach zachowywało się dziedzictwo. Ojczystą ziemię los użyźnia nie tylko krwią.

Pozwalał dziecku rozwijać się. Nie chciał, żeby było takie jak on. Można było, a nawet trzeba było chcieć, żeby takimi stawali się żołnierze przybywający z całego kraju, ale owo dziecko było krwią z jego krwi, a także jego krew żywiła się ze źródeł rodu. Chciał, żeby wnuczka była szczera i posłuszna, nie jemu wszakże, lecz ziemi, która będzie do niej należeć. Wiedział, że w jej oczach pojawiają się marzenia, wiedział, choć nie wizytował godzin nauki. Nie marząc, nie można się było jednak oddać królowi i ziemi. Są godziny, dla których potrzeba wiary, a gdy się ona zachwieje, pozostaje tylko marzenie.

— W lepszych czasach zasadzić tu las, moje dziecko — powiedział, wskazując szpicrutą rozległy nagi stok.

— Tak, dziadku. Sosny, brzozy i jałowce.

Skinął głową i pojechali dalej. Kłosy zbóż chyliły się już pod powiewem wiatru, w oddali, na kwitnących łąkach, przesuwały się skrzydła kosiarek.

— Czy można mieć wszystko to naraz, dziadku — spytała. — Śpiewanie piosenki, jechanie tutaj konno i bycie wciąż dobrą?

— Nie zawsze — odrzekł. — Czasami po kolei, czasem jednocześnie. Trzeba mieć wiele serca, dziecko. W wielkim sercu zmieści się cały świat.

— "Pijcie więc żar, sączcie światło...", czy o tym można śpiewać zawsze, dziadku?

— Zawsze! — powiedział i spojrzał na nią z ukosa. Przy obiedzie generał milczał, ale słuchał uważnie.

— Na wyspę? — zapytał, gdy Johann przyniósł skrzyneczkę cygar.

— Tak, dziadku.

— Pozdrowić. Jeśli można, przywieźć ze sobą. Przy kominku jest miejsce dla dwóch.

— Tak, dziadku. — I już biegła po schodach do swojego pokoju.

— Bergengrün pracuje?

— Tak jest, panie generale.

Po chwili rzekł, patrząc groźnie:

— Żeby mi uważali na dziecko! Sperber i Bergengrün! Zrozumiano?

— Ależ panie von Platen!

— Tak to jest! Nie tylko samą solą... Wiem, myślała dobrze. Oboje.

Ale jeszcze bardziej uważać! Żadnej krzywdy, zrozumiano? Żadnej krzywdy! Sama przyjdzie...

Odsunął kielich, kiwnął głową i odszedł do swojego pokoju.

Jezioro było gładkie jak szkło, i jak po szkle płynęło po nim, wraz z nią, jej odbicie z lekka pomarszczone dziobową falą. Ptaki milczały, tylko dzięcioły niezmordowanie stukały w lesie. Były tak pilne jak Bergengrün, który słabymi oczami przebiegał stronice starych ksiąg, żeby znaleźć sól ziemi. "Czym należy solić, tam gdzie sól jest nieskuteczna?". Cóż to za tajemnicze pytanie, na które wszyscy muszą kiedyś znaleźć odpowiedź. Ona również.

Kiedyś Bergengrün zostanie tu pastorem, dziadek obiecał mu to i znajdą się wszyscy razem. Zmieniające się lata przejdą ponad tą krainą i ponad całą ziemią, tak jak światło nad dużym globusem obracanym przez Thomasa. Tutaj jednak wszystko pozostaje takie, jak było. Porastały pola, rósł młody las, rosły dzieci i ludzie. Gdy umarł stary stangret, nastał jego syn. Gdy klacz Freya przeszła na łaskawy chleb, pod siodłem chodziła już jej córka.

Ona sama nie odejdzie stąd nigdy; innym też nie wolno. Muszą wytrwać przez owe dwadzieścia trzy lata. Ciotka Mieze zmieni się wówczas w słup soli, jak żona Lota, zimą będą przychodzić do niej sarny i delikatnie lizać jej dłonie. A Thomas nie zestarzeje się nigdy. Wyspa zarośnie, dach osklepią zrośnięte trzciny, młodniki i ostróżki błękitne jak jasne, południowe morze. W tej grocie on sam pozostanie jednak nie odmieniony; ciemne gładkie włosy, wąskie usta, dłoń, która potrafi poruszać się tak spokojnie, o wiele spokojniej niż dłonie innych ludzi.

Westchnęła ze szczęścia i opuściła wiosła. Wiedziała, że marzyła, ale marzeniem były tylko tamte wizerunki. Grunt, z którego wyrastały, był zupełnie prawdziwy: wiara w godność życia, jeśli tylko było się posłusznym, trwałość ziemi, która ją nosiła, i to, że miłość jest silniejsza niż los. Gdy ludzi i rzeczy przyjmowało się do "wielkiego serca", można ich było pomieścić tak jak okręt w butelce. Nie oddalali się, lecz zmieniali tylko na tyle, na ile się im pozwalało. Stawali się wieczni.

Z daleka słyszała dochodzące od wyspy dźwięczne uderzenia młotka. To Bildermann stał nad krzywym kowadłem swojej polowej kuźni. Dźwięczało to tak, jakby wyklepywał dziecięcą kosę. On też zostanie. On także ma morskie oczy i jest

silniejszy niż śmierć. Był już na dnie i wynurzył się. Uprowadzili go i trzymali za ogrodzeniem jak bydlę, ale nie potrafili go upilnować. Przez szare morze wzywał go Thomas, a on przyszedł, żeby pokonać śmierć swojego pana. Och, na pewno istnieją anioły, nawet jeśli ich nie widać. A kiedy staje się tak, jak chciały i tak się kończy, wznoszą się, wielkie, niewidzialne i tylko pod niebem gwiazd słychać poszum ich srebrzystych skrzydeł, jak szum skrzydeł wielkich ptaków przesiadujących na dębach na wyspie.

Wokół domu rozkwitły rośliny podarowane przez młodego hrabiego. Malwy sięgały dachu, a ich białe i czerwone kielichy kładły się na szarą trzcinę. Poniżej rosły baldaszki ostróżek i niebieskie kaski naparstnic. Ściana dalii była jeszcze zielona, ale przed nią rozwinęły się już pierwsze kwiaty płomyków, a słodka ich woń sięgała daleko na jezioro.

Kolory stały nieruchomo w upale południa i tylko powietrze drżało nad nimi, jakby wszystko to było zrobione z rozżarzonego metalu.

Od czasu do czasu podrywał się upojony motyl i znów siadał, ukazując admiralską czerwień albo błękit pazia królowej.

Ostatnim powolnym pociągnięciem wioseł dziecko dopłynęło do brzegu. Nie było całkiem pewne, czy to wszystko nie jest snem o popołudniowej porze, czarodziejskim ogrodem odzwierciedlającym się jaskrawo w wodzie każdym swoim kwiatem i źdźbłem. Czarodziej był niewidzialny, w przestworze wciąż dźwięczał jasny ton młotka uderzającego w kowadło, a może w szklaną trumnę. Z dębu odzywała się wilga, również czarodziejski ptak, ciągle trudzący się poszukiwaniem zbawczej melodii i nie znajdujący jej.

Gdy dennica uderzyła o piasek i rozedrgało się na wodzie odbicie domu oraz ogrodu, na próg wyszedł Thomas. Zobaczył ją schodzącą na piasek i unoszącą rękę w jego stronę. Po chwili Marianne zatrzymała się, zachwiała, oparła się o słup, na którym wisiało skrzydło więcierza i powoli osunęła się na ziemię.

Podniósłszy ją, zobaczył znów otwierające się oczy i bezbrzeżne, skonsternowane zdziwienie na ich jasnym dnie. Czoło zraszał pot, twarz i usta pobladły.

Uśmiechnęła się, niemal jeszcze podświadomie.

— Och, Thomas — szepnęła — czy tam ktoś stał?

Wciąż trzymał ją na rękach i przestraszony zajrzał jej w oczy.

— Nie powinnaś płynąć o tej porze, moje dziecko — powiedział spokojnie i zaniósł ją do domu.

Objęła go rękami za szyję i patrzyła na jezioro. Blisko jej oczu, w jego ciemnych włosach połyskiwało kilka siwych nitek.

— Czy o tej porze zdarza się coś szczególnego? — zapytała.

— Starożytni mówili, że teraz Pan śpi — odrzekł.

Przy zaciągniętych zasłonach pomieszczenie było mroczne i chłodne. Ostrożnie położył ją na wąskim łóżku, ukląkł koło szafy z maskami i wrócił z jasnobłękitną jedwabną tkaniną, na której wyhaftowane były matowe złociste ptaki. Miały smukłe tułowia, a rozpostarte skrzydła były jak czerwonawa mgła. Gdy ją okrył, z szeleszczących fałd uniósł się nieznany zapach; nie odważyła się ułożyć rąk na złocistych ptakach. — Nie bój się — powiedział, znów się uśmiechając.

— Nosiła to pewna księżniczka i należy ci się to.

— Jaka księżniczka, Thomas?

— Na Bali, dziecko, daleko stąd. Nazywają to sarongiem i noszą owinięte wokół bioder.

Dotknął dłonią jej pulsu i wyczuł, jak krew tętni pod jego palcami.

— To była tylko południowa godzina, mała księżniczko — powiedział i okrył jej rękę błękitną tkaniną. — Teraz leż spokojnie.

Poszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Brzęknął pałąk wiadra, a potem usłyszała, jak ze znajomym skrzypieniem opuszcza się do studni żuraw. Teraz czerpie wodę, pomyślała.

Pierś jej wypełniało niezmierne szczęście i aż musiała głęboko westchnąć, żeby zrobić mu miejsce. Ściana książek majaczyła łagodnie, ów nieśmiertelny mur, jak ją nazywał Bergengrün, a obok, w zasięgu ręki, w przytłumionym świetle wnętrza unosiła się kula ziemska. Wyciągnęła dłoń spod okrycia i ostrożnie, czubkami palców, dotknęła południowoamerykańskich Andów. Bezgłośnie przesunęła się wyspa Robinsona, potem Salas y Gomez, o której napisano piękne i smutne wiersze oraz wyspy Tuamotu, przez które przebiegała czerwona wstęga ekliptyki. Cicho zanurzyły się one w Wielkim albo Spokojnym Oceanie (jakże uroczysta i daleka to nazwa), a zaczęły wyłaniać się coraz to inne wyspy, z koronami palm i rafami koralowymi... Pokruszony i rozczłonkowany ląd Malajów... I tam była ona, tam, gdzie utkano i

noszono tę tkaninę: Bali, zagubiona na błękicie oceanu. Na horyzoncie połyskiwały zaś złe góry Nowej Gwinei.

Opuściła dłoń, oczy jednak wciąż były zwrócone ku dalekiemu światłu, na który kładł się cień błyszczącego równikowego kręgu. Tak daleko… myślała, tak daleko…. A teraz łowi tutaj ryby, tak jak robił Christoph… Oczy jego zostały jednak tam, Bildermanna również… Morskie oczy, takie jakich tutaj nie ma nikt…

Wrócił, niosąc miskę, zanurzył chustę w zimnej wodzie i położył na jej czole. Potem przysunął do łóżka zydelek i usiadł, opierając brodę na splecionych dłoniach. Od czasu do czasu zmieniał chustę i patrzył, jak na policzki Marianne wraca rumieniec.

Zrazu oczy trzymała zamknięte. W izbie brzęczała mucha, kilka razy stuknęła w globus i zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu. Potem było słychać już tylko młotek uderzający w kowadło.

— Czy ma przestać? — spytał Thomas. Pokręciła głową i otworzyła oczy.

— Czy znów tam będziesz? — zapytała, pokazując dłonią daleką wyspę.

Schylił się i spojrzał tam, gdzie wskazywała.

— Nie — odrzekł. — Teraz zostanę tutaj.

— Na zawsze?

— Jeżeli nikt mnie stąd nie odeśle, na zawsze.

Podniosła wzrok na poczerniałe belki, po których przebiegał jeden jedyny słoneczny promień przenikający przez szparę między zasłonami. Gdy chciał zdjąć z jej czoła chustę, zauważył, że oczy jej zapełniły się łzami, które z wolna potoczyły się po policzkach.

— Co ci jest, dziecko? — zapytał bezradnie. Ona jednak znów się uśmiechnęła.

— Nie powinieneś pytać, Thomas — odrzekła.

Po chwili zasnęła. Długo się jej przyglądał. Sarong okrywał ją aż po twarz, jeden ze złocistych ptaków rozpościerał skrzydła na jej piersi, jakby ponad jej głową chciał wyfrunąć z pomieszczenia. Otulona tkaniną wyglądała niemal bezcieleśnie i tylko twarz otoczona kaskiem włosów majaczyła w przytłumionym świetle. Wyglądała jak martwy paź, przyniesiony na noszach z pola bitwy i złożony tu w półmroku.

Zatrzymał zegar, jeszcze raz posłuchał jej spokojnego oddechu i przez boczną izbę wyszedł na dwór. Zamienił z Bildermannem parę słów, poprosił go, żeby dalej stukał młotkiem, gdyż przy tym zasnęła, a potem usiadł w cieniu domu, tam, gdzie

znad kalenicy napływało chłodne powietrze. Powoli nabił fajkę i zaczął rozmyślać. Czuł się trochę bezradny, bo mało wiedział o latach, w których to dziecko wyrastać będzie na nowego, dojrzałego człowieka. W odniesieniu do Joachima wszystko było proste, sióstr zaś nie miał. Nie była to kwestia myślenia czy znajomości rzeczy; trzeba ją chronić i patrzeć, dokąd podąża. I zawsze, być przy niej, żeby pomóc. Była niby dziecko przywiązane złotą nitką. Cała reszta, to coś jak mgiełka oddechu na lustrze. Przeminie, gdy tylko znowu przyjedzie Joachim. Wokół tego dziecka za dużo jest starych ludzi.

Od czasu do czasu wstawał i przez boczne pomieszczenie podchodził do drzwi. Jeszcze ciągle spała. Spod okrycia wysunęła się jej blada prawa ręka i zwisała ku podłodze. Oddech miała spokojny i głęboki.

Przygotował mleko do czekolady, cicho rozpalił ogień pod kuchnią, nastawił kociołek wody i znów zapalił na dworze fajkę. Na południowym zachodzie, nad lasem, stała teraz ściana chmur, wilga wołała na deszcz. Pomyślał, że tamto mogło być spowodowane burzową pogodą i znów zamknęły mu się oczy. Płomyki pachniały odurzająco, młotek Bildermanna wciąż niezmordowanie stukał po małym kowadle. Tyle lat, pomyślał jeszcze, a dopiero teraz panuje pokój… Ale z jakiego powodu te łzy… Dziwne potrafią być już nawet takie małe kobietki… Z tą myślą zasnął.

Obudziło go pobrzękiwanie kuchennych kręgów i postukiwanie zderzających się burt łodzi. Bildermann ładował sieci.

— AU right, kapitanie — zawołał — mała panienka jest tam.

Wyszła naprzeciw, do drzwi, jeszcze ciągle trochę blada, ale uradowana, że i on przespał tyle czasu. Bildermann wypił swoją filiżankę na stojąco, bo zbliżała się burza, a Thomas powinien zostać na wyspie. On sam chce, wreszcie w pojedynkę, spróbować szczęścia, a małej panience będą potrzebne silne dłonie do wiosłowania.

Thomas wyniósł głęboki fotel, narzucił jej na ramiona błękitną tkaninę i poprosił Marianne, żeby słuchała jego poleceń. Przestraszyła go, a on wciąż jeszcze martwi się o nią.

Czekoladę przyjęła, nie dowierzając oczom i zapytała, czy złupił jakiś statek. Potem przyglądali się płynącemu przez zatokę Bildermannowi. Szary kopiec sieci był wyższy niż on.

Ściana chmur pociemniała i zakryła słońce. Krawędź chmury jeszcze jaśniała bielą, ale nad wodą światło zmieniło się, a jaskółki fruwały nisko nad trzcinowymi

wyspami. Postanowili przeczekać burzę, a poza tym dziadek spodziewa się Thomasa wieczorem.

Siedzieli i patrzyli, jak przy drugim brzegu sieci zsuwają się przez burtę łodzi. Potem Bildermann popłynął po inne sieci, pozostawione na tamtym brzegu, żeby przeschły na łące. I one pogrążyły się w czarnej toni. Pracował tak cicho, że nie słyszało się żadnego odgłosu i wszystko wyglądało jak sen.

— Teraz ryby wędrują — powiedział Thomas. — Jutro rano będzie wielki połów.

— Dlaczego wędrują?

— Tego się nie wie. To, co nadchodzi, zwierzęta wyczuwają wyraźniej niż ludzie. Ogarniając to rozumem, wiedzielibyśmy prawdopodobnie za dużo i utracilibyśmy zdolność przeczuwania. Trochę tego zachowałyby tylko stare ludy i stare rody.

— Czy Orla to stary ród?

Uśmiechając się, odrzekł, że na to wygląda. Patrząc wstecz, sięgają aż po czasy rozbójnicze, a księga ich win, w niebie, byłaby zapewne okazała. On jednak właśnie myślał o Perneinach, a gdy będzie starsza, weźmie ją kiedyś ze sobą do hrabiego. Jego ogród to czarodziejska kraina.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Boi się tamtego. On wciąż się uśmiecha, ale nigdy nie jest wesoły.

Tak, ale nie trzeba się go bać.

Za lasem cicho zamruczał pierwszy grzmot, a malwy łagodnie otarły się o trzcinowy dach. Po jeziorze przebiegł szary cień, wąska smuga o wyraźnych obrzeżach, która zanikła, zanim dotarła do drugiego brzegu.

Czy się boi? Nie, przy nim się nie boi.

Od wschodu nadleciał ponad lasem rybołów. Jego tułów i skrzydła lśniły jak jasny metal. Runął w dół, całkiem blisko Bildermanna i zobaczyli, jak ów uniósł głowę i przyglądał się ptakowi. Twarz białą plamą odcinała się od czarnej ściany lasu. Krzyk wielkiego ptaka zabrzmiał z góry jak w pustym pomieszczeniu.

— Tu, u ciebie, Thomas, tyle się dzieje — powiedziała Marianne.

Szybko się ściemniło, wnieśli więc naczynia i fotel. Błyskawice zawisły nad lasem niby złote bicze, a szkwał dopadł Bildermanna przy samej przystani. Gnał nad wodą tak szybko, że zanim zorientowali się w pełni co to takiego, już bryznęła piana. Huczał las, po oknie siekło piaskiem, trzciny położyły się płasko nad zbielałą wodą.

Jednak zanim ściana nawałnicy uderzyła we wschodni brzeg i przygięła las, u nich już znowu zrobiło się spokojnie i tylko jeszcze długo i groźnie szumiało jezioro.

Widzieli, jak Bildermann długo i badawczo przypatrywał się niebu, a potem wyciągnął na brzeg łódki Joachima i Marianne, i odwrócił je. W jego dłoniach zdawały się być zrobione z brunatnego papieru. Gdy wszedł do domu, lunął padający pionowo deszcz.

Thomas i Marianne stali w otwartym oknie.

Po połaci dachu szedł wielki szum, w piaszczystym stoku woda wymywała małe jary. Jezioro było spokojne, tylko zmierzwione przez spadające krople wyglądało jak olbrzymia miska wrzącego szarobłękitnego metalu. Rosnący za nim las był prawie biały, a im zdawało się, że biją w niego pioruny.

Stali spokojnie i oddychali oczyszczonym powietrzem. Rośliny pochyliły się nisko, ich zapach nadciągał ciężkimi falami nad ziemią. Było zupełnie tak jak na oceanie, jakby sunęli w dal pod ciężkimi żaglami i zdawało się, że gdy rozedrą się chmury, tęcza nie rozepnie się od lasu do lasu, lecz obiema podstawami wesprze się na niewidzialnym przestworze wody. Cała zaś okolica skryje się daleko za wypukłością ziemi.

Jednak gdy ściana deszczu odeszła na wschód, opuściła jezioro i jeszcze tylko zapadała nad lasami, gdy w ciągnących się za nią porwanych chmurach ukazały się spłachcie błękitu, gdy odwracający się wiatr wyczyścił sklepienie, a spoza ostatnich przesłon ulewy nagle wyłoniła się tęcza, tak jakby była tam zawsze, lecz nosząca przy sobie własne blade odbicie, gdy jaskółki opuściły schronienie pod trzcinową strzechą i nawołując się piskliwie oraz otrząsnąwszy pióra, zaczęły krążyć nad wyspą, wówczas okazało się, że nie jest to kraina ze snów, ale znajoma aż po ostatni zakamarek zatok, ukochana przez pracę i zabawę oraz promieniejąca szczęściem. Kiedy wyszli na próg i wdychali zapach brzozowych liści, a nad lasem wypiętrzyły się białe kolumny oparów, Thomas uznał, że po to, by mieć radosne serce, wcale nie potrzeba okrętu. Poszli wzdłuż brzegu, dookoła wyspy, jakby chcieli się upewnić, że to ona. Czasem odwracali się i widzieli swoje ślady biegnące blisko siebie, za nimi, po białym piasku.

— O niczym nie opowiadaj, Thomas — poprosiła Marianne, gdy siedli obok siebie u steru, płynąc pod białym żaglem. — Nikomu, dobrze?

Przez chwilę się zastanawiał.

— Jeżeli obiecasz, że gdyby się to powtórzyło, to natychmiast mi powiesz i jeśli przyrzekniesz, że nie będziesz przeszkadzała temu, który sypia w obiadowej porze, niech tak zostanie i tylko my dwoje będziemy o tym wiedzieli.

— Obiecuję, Thomas... Ale dlaczego nie wolno mu przeszkadzać?

— Bo jest takim bogiem, który ogarnia wszystko, lasy, wody, zwierzęta i ptaki, kwiaty i krzewy. Wszystko to o takiej porze śpi. Sen zaś jest święty. To brat śmierci. Tak mówili starożytni.

— Czy kiedyś będę wiedziała tyle co ty, Thomas?

— Prawdopodobnie więcej, ale wiedza to niewielkie bogactwo.

— A jakie mienie jest największe?

— Spośród tego, co można posiąść, największa jest miłość.

— Powiedziałeś kiedyś, że ona istnieje wtedy, gdy nie pragnie się dla siebie niczego.— Nie, ja tylko powiedziałem, że ona jest najczystsza wówczas, gdy niczego się dla siebie nie pragnie.

Długo zastanawiała się.

— Czy to jest tak, jak napisano w liście do Koryntian: "Ona nie szuka swoich rzeczy"!

— Tak tam napisano? Zapomniałem. Tak, z pewnością tak to jest.

— Jest tym, co dziadek nazywa wielkim sercem?

— Tak, może być i tym.

— Chcę zawsze być ci posłuszna, Thomas — powiedziała po chwili.

Wieczór był chłodny i po kolacji, w holu, zapłonął ogień na kominku. Szła powoli wzdłuż szeregu portretów przodków, od czasu do czasu zatrzymywała się i wpatrywała w nie. Ręce założyła za plecy.

— Niektórzy wyglądają bardzo staro, Thomas — orzekła, usiadłszy potem na poręczy fotela.

Skinął głową i uśmiechnął się. Potem, gdy Marianne powiedziała dobranoc, wstał.

— Nadmiar uprzejmości, Orla — orzekł generał. — Stara szkoła...

Thomas odpowiedział, że są takie dzieci, wobec których czasem trzeba wstać.

Zanim poszła do łóżka, położyła na stole Bergengrüna karteczkę: "Drogi Tobias, bardzo bym chciała pouczyć się jutro o wyspie Bali i o Panu oraz dostać Pierwszy list do Koryntian (rozdział 13). Marianne".

Potem jeszcze raz wyjrzała przez okno i przysłuchiwała się słowikowi, który kląskał nad brzegiem. Popatrzyła na znajome gwiazdozbiory świecące nad koronami dębów i na dalekie rozbłyski burzy za jeziorem. Gdy otuliła się kołdrą, usiłowała przypomnieć sobie zapach jedwabnej tkaniny. Nie udało się, jednak pod zamkniętymi powiekami widziała złociste ptaki, które połyskując czerwonawo, wynurzały się z ciemności. Przelatywały bezgłośnie, wysoko ponad błękitną wyspą, ciche czyste uderzenia młotka zdawały się unosić i opuszczać ich skrzydła tak miarowo jak tykający w oddali mechanizm zegara. To Pan podkuwa racice swoich kóz, pomyślała, zapadając w sen.

Bergengrün, znalazłszy kartkę, pokiwał głową i zszedł do biblioteki, żeby przeczytać coś na temat wyspy Bali. Pozostałe sprawy znał, więc nie musiał sięgać do książek.

— To rzadkość w naszym rodzie — powiedział do Thomasa siedzący przy kominku generał. — U nas częściej zdarzały się kobiety myślące trzeźwo. Żołnierska i ziemiańska krew. Jeździć konno, hodować drób. Dzielne, przyzwoite, niezawodne... Jakiś kwiat to wśród nich rzadkość... Muzyka, religia, poezja... W naszym klimacie życie trudne... Zawsze chodziły w wysokich butach... Pachniały końską stajnią...

Czuwać, Orla! Również pan! Stary człowiek... Troski... Samotność... Pamięć o dwóch synach zatruwa krew... Thomas patrzył na ogień.

— Ona bardzo kocha pana generała — powiedział wolno. — Dziadka i wielkie serce...

Stary człowiek surowo popatrzył spod siwych brwi na portrety przodków.

— Dobre dziecko — stwierdził zachrypniętym głosem. — Zbyt dobre na te czasy. Wznosić mur, Orla, zrozumiano? Mur i tarcza niezbędne!

— Tak jest, panie generale.

Zanim Thomas odszedł, zatrzymali się przy schodach. Za dachami wciąż rozpalały się błyskawice.

— Rośnie chleb — powiedział generał — ale ta mała... Nie samym chlebem... Mieć to na uwadze, Orla... Nie opuścić jej, zrozumiano?

— Tak, panie generale!

Poczuł uścisk jego dłoni. Omiotło go spojrzenie starych oczu.

— Pijcie więc żar... sączcie światło — powiedział już nieobecny myślami. — Dobranoc, drogi Orla.

— Dobranoc, panie generale.

Rozdział 9

Następnej wiosny Joachim nie chciał na urodziny munduru ani regatowego jachtu, ale zażyczył sobie trzcinowego szałasu na wyspie. "Nieco na uboczu i gotowego tylko w połowie". Resztę chciał zrobić sam. Było to jego ostatnie szkolne lato. Wiosną miał zdawać egzamin dojrzałości. Wówczas skończy siedemnaście lat.

Thomas zdziwił się, że przyszły dowódca eskadry chciałby jeszcze zakosztować zaniedbanego żywota Robinsona, ale nie powiedział nic i wraz z Bildermannem rozpoczął budowę szałasu.

Miniony rok był dla pól i dla jeziora rokiem błogosławionym. Generał trzymał się w siodle jeszcze prościej niż zwykle, a gdy wieczorem wpisał ostatnie liczby i zamknął księgi, powiedział Johannowi, że jeszcze pokaże tamtym chłopakom na górze. Potem Johann długo się zastanawiał, którego też z wioskowych łobuzów jego pan miał na myśli.

"Etyka marynarskiego życia" ukazała się na Boże Narodzenie i znalazła niemało amatorów, zaś przez fachową prasę została na ogół przyjęta nieprzychylnie. Dziwne przemyślenia jakiegoś oryginała wypływały wprawdzie z dużego i niewzruszonego poczucia odpowiedzialności, ale historia wszystkich morskich flot dowodzi, że kręgosłupem każdego okrętu zawsze była karność, a końcówka liny nie bywała na wstępie najgorszą dla żadnej marynarskiej kariery drabiną. Ponadto przemyślenia dotyczące buntów są całkowicie mylne i dają się wytłumaczyć wyłącznie doświadczeniami, których w żadnym wypadku nie wolno uogólniać.

Trafiały się jednak listy pisane przez ludzi morza, zawierające wdzięczność wyrażaną niezgrabnymi słowami. O swoim zawodzie myśleli niejedno i nie raz, i doszli do przekonania, że nie zawsze trzeba zaczynać tak samo, przecież deski pokładu można czasami szorować od dziobu do rufy, zamiast od rufy do dziobu. Przy tego rodzaju porównaniach zwykli dodawać zwrot: "że tak powiem".

"Oryginał" owe gazety i listy porządkował starannie, w błękitnej teczce, odkładał do schowka przy łóżku, okręcał szyję wełnianym szalem, który Marianne zrobiła dlań na Gwiazdkę i szedł na lód, żeby kosić trzcinę na szałas syna. Pracował rzetelnie, jak dobry robotnik, wiedząc przy tym, że i tego rzemiosła prawem jest twierdzenie, iż można byłoby robić to inaczej. Chętnie też zaglądał do książki — jeśli

leżała na stole — bo każdego ranka, podczas sprzątania, Bilder-mann kładł ją w różnych możliwych miejscach. W końcu się przyzwyczaił, że znajduje ją gdziekolwiek. Patrzył na nią chętnie, ale nie dlatego, by pragnął sławy, lecz ze względu na to, że brązowa oprawa zdawała się okrywać i zawierać wszystkie godziny samotności, które przeznaczył na to dzieło. Tylko on wiedział, w jaki sposób wzniósł się wraz z kartkami tej książki ponad zdruzgotany świat, po to, żeby znaleźć swój chleb i sen.

Bildermann zaś był nie tylko dumny ("mój pan, wielki pisarz Orla", zwykł rozpowiadać po wsiach), ale odczuwał też wdzięczność prostego człowieka, którego dusza została przedstawiona jako siła i drogocenne dobro całej historii morskich narodów.

— Mną, kapitanie, wielu ludzi pomiatało — powiedział. — Biali i inni. Przez czterdzieści lat, a nawet trochę dłużej. To jednak, co jest napisane tutaj, mówiło mi, kapitanie, niewielu, a gdy Bildermann będzie miał kiedyś nagrobek, nawet jeśli tylko taki cementowy, powinno być na nim napisane, kapitanie, to, co napisane jest tutaj!

A ponieważ miał teraz żelazko, przed wyjściem na wieś albo do zamku nie umieszczał już wstążek czapki pod kowadłem, lecz rozgrzewał duszę i prasował. W zamku wyłożył Johannowi punkt widzenia, od którego wyszedł kapitan von Orla, "namierzając" duszę prostego człowieka.

U Johanna umocniło się przez to przeświadczenie, że morskie powietrze sprzyja wylęganiu się dziwnych ludzi. Tylko ich rum zdawał się być równie dobry bez względu na długość i szerokość geograficzną.

Po otrzymaniu i przeczytaniu książki generał przywitał Thomasa z niejakim szacunkiem i zauważył, że chyba jeszcze nigdy, w czasie obowiązywania starodawnej umowy, wyspa nie gościła tak osobliwego rybaka. Pewnego wieczoru, po upływie wielu tygodni, delikatnie przytrzymał Thomasa za guzik surduta i powiedział:

— Długo myślałem, Orla. Cesarskie i królewskie, to dwie różne rzeczy. Armia lądowa, od początku królewska i pruska, marynarka — cesarska. Nigdy nie pasowały do siebie. Brakowało tradycji, zrozumiano? W armii człowiek jest inny niż u was. Rozmyślałem o moich ludziach. Wciąż myślę, nocą. Czy wiele pobłądziłem? Zawsze mnie lubili. Nazywali mnie buldogiem, ale dobrotliwie. To, co pan napisał, to prawda. Uczyć, a nie tylko musztrować. Znów dumny z pana, Orla...

Wszyscy, dziecko szczególnie... Książka pod poduszką... Drugi Nelson... Dziadek przeniesiony do rezerwy... No i dobrze!

Marianne długo nie mówiła nic. Przesiadywała często u Bildermanna, w niewielkiej kuźni, przyglądała się mu i usiłowała dowiedzieć, jak samotny był kapitan.

— Był smutny, Bildermann?

Poruszał miechem i z wysiłkiem wpatrywał się w rozżarzone węgle.

— Tak, mała panienko — powiedział. — Nie zauważyłem, żeby skakał z masztu na maszt. Przenikał wszystko na wylot i jakby widział, co się zbliża. Na żaglowcach można spotkać starych ludzi, którzy mają takie oczy. Niczego już nie chcą i chętnie idą na dno, kilem do dołu.

Zamyślony nabił fajkę i gołą dłonią położył na tytoniu węgielek.

— On ma za dużo tego, czego młody pan ma za mało — dodał.

— Ale teraz jest z tym lepiej, Bildermann? Prawda?

— No, jasne, mała panienko. Przetrwał morską ciszę. Teraz pogoda pasatowa. Rolling home, my boys…

Miech znów zasapał, żelazo zaczęło nabierać barwy. Gdy później spotkała przed domem Thomasa, powiedziała tylko to:

— Już dawno powinieneś być pruskim królem, Thomas. Wyprostował się i popatrzył na nią poważnie.

— Oczywiście, dziecko. Tylko, że zapomnieli o tym. Do dziś.

Jeśli idzie o Joachima, to najpierw wydawało się, że zmienił się tylko jego głos, przechodzący od wysokich tonów do najniższych.

Okazało się jednak, że właściwie żył już przyszłością, a na wyspę patrzył oczami człowieka, który przed wejściem na statek mający powieźć go dookoła Ziemi jeszcze raz lustruje swój hotelowy pokoik i nie chcąc niczego zabrać, lecz tylko upewnić się, czy o czymś nie zapomniał.

Zabrał się za wykończenie szałasu, odrzucił wszelką pomoc i dopiero gdy po pierwszym nocnym deszczu zaczęło mu kapać w otwarte oczy, powiedział Bildermannowi, że chyba zrobił coś nie tak.

Bildermann wszystko obejrzał, rozebrał dzieło Joachima i zauważył dobrodusznie, iż nie można wymagać, by gimnazjum uczyło swoich uczniów budowy trzcinowych dachów. Jednakże tam, kontynuował, zrobiwszy dłonią jakiś nieokreślony gest w stronę wody, nie zaszkodzi, jeśli młody pan zaufa nie tylko sobie. Nelson był wielkim marynarzem, jednak było paru ludzi, którzy lepiej niż on grali na fortepianie.

Gdy szałas zdawał się już być odporny na wszystkie oberwania chmur i monsunowe deszcze, Joachim zaczął spędzać w nim wszystkie noce i uparł się, że co rano będzie gotował sobie polewkę na palenisku sporządzonym z kilku polnych kamieni. Thomasowi, który asystował przy tym, powiedział, że w porę uświadomił sobie, iż zaniedbał lądowego wyszkolenia, a gdyby szkolny statek rozbił się u jakiejś bezludnej wyspy, powinien przecież umieć i te rzeczy, a nie zdawać się wciąż na kapitana.

Thomas zauważył, że zdawanie się na kapitana jest całkiem słuszne i nie umniejsza zbytnio honoru tego, którego dotyczy.

Joachim dzielnie połykał nieco przypaloną polewkę i odrzekł, iż oni niechętnie zdają się dziś na starszych panów.

Zawsze tak było, oznajmił Thomas, i słuszne jest, jeśli każdy sam płaci za naukę. Potem wypłynąwszy z sieciami, wiosłował powoli pogrążony w myślach.

Joachim wspomniał, że matka wiosną przebywała w sanatorium, w Szwajcarii, że często kaszle, ale denerwuje się, gdy się ją o to pyta. Wieczorami często przebywa poza domem. Przykazała, żeby powiedział, iż powodzi się jej znakomicie.

Nie można jednak było nie zauważyć, co Joachim na ten temat sądzi. Niekiedy napomykał o tym mimochodem, wśród opowieści szkolnych, w sposób, w jaki mógłby wyrażać się o uszkodzonej łodzi.

Czasem Thomas czuł się przygnębiony. Dni spędzali pogodnie, jak zwykle, ale Joachim nie powiedziałby już: "ojcze, jesteś najmądrzejszym człowiekiem na ziemi". Jak też szybko wyrastają i oddalają się w tym wieku! Usiłował przypomnieć sobie, czy tak samo działo się z jego ojcem. Wówczas też poeci opiewali nowe czasy i podobnie jak teraz rozbijali otoczkę konwencji. I on sam też podnosił rwetes, narzekał i wartościował, ale gdy siedzieli z ojcem, wieczorem, przy kominku, w niewielkim holu, zauważał, że wszystko to stawało się nieistotne, a stare, mądre oblicze, pokryte licznymi zmarszczkami powiedziało przyjaźnie, że gdyby spośród wszystkich rajów wszystkich młodych pokoleń urzeczywistnił się choćby tylko jeden, malutki, wszyscy mieliby już srebrne skrzydła, on zaś sam wymieniałby co rano, z każdym z fornali, braterski pocałunek. Ojciec jednak, aby zyskać radosne serce nie musiał odchodzić na żadną wyspę, a Joachim wraz z całym swoim pokoleniem może mieć prawo do zdawania się na starszych panów.

Nie to wszakże go martwiło. Służba i życie zrobią swoje, żeby pokazać młodości sięgającej po laury, jak bardzo potrzebne są stare barki. Trudniejsze zdawało mu się to, że w życiu Joachima każda godzina, nawet podczas wakacji, podporządkowana była jakiejś celowości. Bildermann powiedział ostatnio, że młody pan nawet jedząc polewkę, "namierzał się na stanowisko dowódcy eskadry". Za mało się śmiał, bawił się zbyt mało, nie robił głupstw. Jego brwi zawsze były zmarszczone, spod nich zaś wyzierały oczy wpatrzone nieruchomo w dawno wytyczony cel. Iluż ojców odczuwałoby szczęście, zwłaszcza dzisiaj, gdy każda skoncentrowana siła zakrawa na cud, myślał Thomas. Ja nie jestem jednak w pełni szczęśliwy, bo wiem, że kiedyś czegoś zabraknie, a ja nie będę mógł nic zrobić, by to zmienić. On jednak, żeby się uratować, nigdy nie będzie potrzebował żadnej wyspy, a co więcej, nigdy nie będzie potrzebował ratunku, bo tak jest siebie pewny.

Czasem nachodziła go pokusa, żeby myśleć, iż Joachim wygląda na dziecko pozbawione matki, nie znające łagodności i nazbyt dojrzałe, ale tak samo szybko uznawał, że on sam, Thomas, ponosi za to sporo winy i nie pozostaje mu nic innego jak czekanie i nieustanna gotowość do stanięcia przy nim, gdyby kiedyś miał potrzebować pomocy. On sam nie zna żadnego człowieczego życia, które obeszłoby się bez wsparcia.

Podczas jednej z rozmów okazało się, że Joachim, za zgodą matki, uczęszczał na kurs jeździecki. Joachim powiedział, że gdyby znowu miały się odbywać parady cesarskie, zaproszeni oficerowie marynarki nie powinni, jak kiedyś, znaleźć się w kłopotliwej sytuacji, a w każdym razie nie on. Bildermann tylko uniósł brwi, ale Thomas mniej dziwił się takiemu spojrzeniu w przyszłość niźli określeniom, jakimi posłużył się Joachim. Do tej pory nie zwracał na to szczególnej uwagi, ale że pisząc książkę, miał trudności z każdym zdaniem, pragnąc, aby zrozumiał je również "prosty człowiek", teraz zdumiony słuchał owego: "nie powinni znaleźć się w kłopotliwej sytuacji". Powiedział jednak tylko to, że w zamku będą się cieszyć, nawet jeśli zwykli jeździć konno z innych powodów. Marianne, jako jedyne dziecko wśród starych ludzi, wyobrażała sobie, że w wielkich miastach cała młodzież jest taka jak Joachim; że jest poważna, godna, przewidująca, zaś cechą tych, którzy mieszkają na wsi — czy kobiet — jest to, że potrafią w jakiejś chwili zatracić się w wieczności. Ucieszyła się więc, że będzie jej towarzyszył; każdy nowy kwiat na młodym drzewku jego jestestwa przyjmowała z milczącym zaskoczeniem, a czasem, pogrążona w myślach, potrafiła

długo mu się przyglądać, pytając samą siebie, dlaczego z Thomasem wiele spraw wygląda inaczej niż z jego synem.

To, że przyszły dowódca eskadry musi tak samo dobrze jeździć konno jak żeglować, przyjęła do wiadomości bez szczególnego zdziwienia i wielkodusznie odstąpiła mu swojego konia, tym bardziej że był gościem na wyspie, a wkrótce będzie gościem oceanu. Z początku niektóre jego jeździeckie obyczaje obserwowała milcząco i z boku, potem jednak delikatnie zauważyła, że jej dziadek pewne rzeczy robi inaczej niż on, a nawet u niej nie tolerowałby tego. Zdumiony odpowiedział, że zapewne hołdują oni starej szkole, czasy zaś również w tej dziedzinie przyniosły postęp.

Lekko zmarszczyła brwi, jednak przyuczona do milczenia nie odezwała się i dopiero gdy po dłuższych jazdach zauważyła, że koń, na którym jechał, ma sierść spienioną na piersi i bokach, następnego dnia poleciła, by wymieniono mu wierzchowca. Dodała niewinnie, iż on z pewnością jest przeświadczony, że potrafi jeździć na każdym.

Odpowiedział wesoło, że przyszły kadet nie może mieć żadnych wątpliwości, zamilkł jednak, gdy jego nowy paradny koń odmówił skoku przez pierwszą przeszkodę i zrzucił go przez głowę na piasek.

— Bolało, Joachim?

— Wcale nie! Ależ dałaś mi niezłego capa!

— Musisz mu bardziej pomagać, Joachimie.

— Już ja mu pomogę — warknął zawzięcie i wreszcie, po kilku daremnych próbach, jeździec i koń pokonali żywopłot, choć było widać, że nie są dobrymi przyjaciółmi. Na pozostałą część przejażdżki Marianne wybrała więc równe leśne ścieżki.

— Nie powinieneś zmuszać go siłą — powiedziała po paru dniach.

— Koń to nie łódka, a nauka konnej jazdy nie trwa pół roku, tylko dziesięć lat. Dziadek mówi, że większość nie nauczy się tego nigdy.

Niech Bóg błogosławi twojego dziadka, pomyślał, zapytał jednak, czy ona sama sądzi, że jeździ lepiej od niego.

Uśmiechając się, uznała to za oczywistość, a on zamiast odpowiedzi zaproponował, żeby tego dnia pojechali do kościelnej wsi, gdzie zamierzał kupić haczyki do wędki. Przyjęła to z zadowoleniem i nadmieniła, że jeśli mają wieczorem wrócić na czas, powinni jechać ostro.

Po drodze wyjaśniała mu, że w czasie długiej konnej wyprawy należy jechać na przemian kłusem, galopem i stępa, co też przećwiczyła z dziadkiem, a co służy oszczędzaniu sił, tak człowieka, jak i zwierzęcia. On, roztargniony, kiwnął głową. A wkrótce wysforował się do przodu i nie oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, czy ona jedzie tak, jak ją uczono. Gdy straciła go z oczu, uśmiechnęła się tylko i nie bez satysfakcji pomyślała, że dzień nie skończy się korzystnie dla jego samopoczucia.

Zobaczyła jego konia uwiązanego przed sklepem, spienionego i trzymającego głowę nisko. Swojego ustawiła obok, po nawietrznej. Gdy Joachim schodził po stopniach, stawiając nogi jak stary kawalerzysta, przyjrzała się jego twarzy. Potem wymieniła kilka słów z kupcem, który stał w drzwiach i poczekała, aż Joachim znów znajdzie się w siodle. Wskazała szpicrutą pieniste plamy na koniu.

— Trzy dni średniego aresztu — powiedziała. Odrzekł, że na to trzeba będzie poczekać.

Już w pierwszym lasku zaczął zostawać w tyle, podczas gdy ona, zmieniając chód konia wciąż w tej samej kolejności, sprawnie pokonywała drogę. Od czasu do czasu odwracała się, żeby mu się przyjrzeć, ale nie czekała na niego. Za każdym razem jawiła się jej poważna twarz Thomasa, badawczo zwracająca się od jeźdźca do jeźdźca i potakująca w jej stronę, tak jakby był z niej zadowolony, choć i niezbyt ucieszony tym, co się działo.

Na Joachima poczekała dopiero przy wjeździe w lipową aleję. Podjechał z kamienną twarzą. Niezauważeni dotarli do stajni. Tam poleciła stajennym, żeby wytarli konia do sucha, a wodę podali mu dopiero po pół godzinie. Na podwórzu Joachim powiedział, że nie zwlekając, chce wracać na wyspę. Za każdym krokiem zaciskał usta.

Podała mu rękę, przekazała pozdrowienia i dopiero gdy puścił jej dłoń, powiedziała z przyjazną powagą:

— Nie powinieneś się gniewać, Joachimie, bo była to tylko owa "stara szkoła".

W odpowiedzi niedbale machnął swoim palcatem.

Na wyspie okazał się mało rozmowny i zaraz po posiłku poszedł do szałasu. Bildermann uniósł do góry brwi, pogrzebał w swoim kuferku, odszukał w końcu pogiętą blaszaną puszkę i przez niskie wejście ostrożnie wsunął do szałasu.

— To jeleni łój, młody panie. Wciąż jeszcze najskuteczniejszy — powiedział tonem przyjaznej pociechy.

Nigdy więcej nie rozmawiali o owym dniu, a gdy Marianne znowu zjawiła się na wyspie, powiedziała, że wolny czas będą musieli spędzić na wodzie, bo w te upalne dni żniwa przebiegają tak szybko, że potrzebne są wszystkie konie.

Joachim skinął głową, a gdy wieczorem, leżąc przed szałasem, bez szczególnego zadowolenia pykał fajkę, powiedział do siebie, poważnie i uroczyście:

— Nigdy nie mógłbym się z nią ożenić...

Thomas zaś nigdy nie dowiedział się o tamtej konnej wyprawie.

Podczas minionej jesieni, a potem znowu, na początku wiosny, odwiedził starego rybaka znad sąsiedniego jeziora. Ludzie mówili na niego Petrus i twierdzili, że ma sto lat. Za każdym razem spędzał u niego godzinę, mówił niewiele, a głównie słuchał padających ze zwiędłych warg słów o wietrze i wodzie, o rybach i biegu czasu, obejmującego okres dłuższy niż ludzkie życie. Petrus widział cztery wojny i rewolucję w czasach ojczulka Wrangla*, ale przeciągnął tylko opaloną i pokurczoną dłonią po trawie, na której siedział. Woda obmywająca jego półwysep jest starsza niż wszystkie wojny na świecie, on zaś sądzi, że niektóre ze złapanych przez niego szczupaków były starsze niż ojczulek Wrangel, który bronił swojego władcy. W końcu popatrzył na Thomasa swoim jasnym jak woda wzrokiem i rzekł:

— Ty, kapitanie, masz właściwe oczy. Zachowaj je. Do każdego człowieka mówił "ty".

Thomas chciał, żeby dzieci popłynęły tam kiedyś. Także stuletni ludzie muszą w końcu umrzeć, on zaś chciał dowiedzieć się, co o nim powiedzą. Jemu samemu wydał się jednym z drewnianych bożków przechowywanych przez hrabiego w szafach. Nie przemawiał przez nich Bóg, ale liczne pokolenia, które ich ukształtowały, a także odzwierciedlenie ich ziemi oraz wizja nieba, które sobie wyśniły.

Ach, tacy tam starzy chłopcy - powiedział niepewnie Joachim, ale potem był zadowolony, bo przepłynęli rzeczkę, a tamto drugie jezioro było bardziej wietrzne niż ich. Z kolei Marianne każdą propozycję Thomasa uznawała za słuszną.

Żegluga była piękna, wąska rzeczka toczyła czarną wodę. W jej czerni odbijały się torfowe pryzmy, w słońcu lśnił brunatny mech. Był to krajobraz martwy, inny niż wszystko, co oglądali do tej pory, ze stęchłą wonią rozkładu i zgnilizny, z ciężkimi kopami chmur nad horyzontem. Przez cały czas wisiał nad nimi duży drapieżny ptak,

* Piotr N. Wrangel (1878—1928), baron, generał rosyjski; podczas wojny domowej w Rosji jeden z przywódców armii białogwardyjskiej; po poniesionych klęskach uciekł za granicę — przyp. red.

kolebiący się nad zarośniętymi trzciną brzegami i co chwila popatrywali na niego, czy też w końcu nie runie w dół i nie odmieni zmartwiałego widoku.

— On nas pilnuje — powiedziała Marianne.

Potem, za wysokimi kępami trzcin, otworzyło się jezioro, błękitne i rozległe, otoczone wzgórzami i daleką wstęgą lasu. Łódź zrobiła zwrot i wyskoczyła na wiatr. Zielony półwysep wyciągał się w ich stronę niby długi palec.

— Dwa zwroty — powiedział Joachim, a Marianne kiwnęła głową. Na wodzie zawsze było z nim łatwiej.

Rybak, podkuliwszy bose nogi pod siebie, siedział na macie z sitowia, oparty plecami o ścianę. Pokrzywionymi palcami wyplatał racznik i patrzył na nich jasnymi oczami. Jeszcze gęste siwe włosy opadały mu na kołnierz surduta. W uszach nosił żółte pierścienie. Pobrużdżona skóra twarzy była tak ciemna, a postać tak nieruchoma, że wyglądał jak stary indiański wódz gawędzący na macie z Wielkim Manitou.

Marianne przystanęła u podnóża pagórka, gdyż zaczęło łomotać jej serce. Joachim jednak wszedł spokojnie i powiedział:

— Dzień dobry, rybaku Petrusie.

Podał mu króbkę tytoniu, krótką fajkę i butelkę rumu wręczone przez Thomasa. Starzec patrzył jednak obok niego, na dziewczynkę, kiwnął do niej opaloną dłonią i czekał, aż podejdzie. Dopiero wówczas spojrzał na Joachima, wskazał, gdzie złożyć dary i kolejnym gestem dłoni zaprosił oboje, by usiedli na ziemi.

— Ty jesteś synem — powiedział. — Ty zaś jesteś wnuczką z zamku.

— Mamy cię pozdrowić — zaczęła cicho dziewczynka — od… kapitana…

Oparł głowę o ścianę szałasu i wpatrywał się w błękit wody.

— Gdy nosiła mnie matka — rzekł — jeszcze go widywała, z kosturem, na karym koniu. Jechał przez pola, a kiedy złorzeczył, klął po francusku. Był w Rosji jeszcze z cesarzem Napoleonem. Był drugim synem i wstąpił do służby u Wirtemberczyków. Widział płonącą Moskwę. Umarł młodo. Kobiety, które obmywały jego zwłoki, opowiadały, że miał dwadzieścia cztery rany. Był srogim panem, ale ludzie go kochali. Do wdowy napisał król…

— To był Friedrich Christian Ehrenreich — powiedziała cicho dziewczynka.

Skinął głową.

— Jego syn urodził się już tutaj, tej samej nocy, w czasie której pan przeprawiał się przez Berezynę. Matka wykrwawiła się, w całej okolicy nie było doktora, a śnieg leżał wyżej płotów. Pan stanął nad grobem i uniósł ku górze pięść. Przywiózł ze sobą armaty. A syn był smutnym człowiekiem. Kobiety mówią, że gdy się rodził, napił się krwi i jego krew zgorzkniała. W tysiąc osiemset czterdziestym ósmym opowiedział się za królem i przestrzelono mu biodro. Wówczas synowie jego skłuwali już ościeniem szczupaki. Pod jednym załamał się lód i utonął, tam gdzie strumień wpada do jeziora. Słyszeli jego wołanie, ale gdy nadbiegli, on już milczał. Drugi poległ pod Sadową. Trzeci wrócił o kulach i poślubił pewną hrabinę. Ojciec, ten ze zdruzgotanym biodrem, zmarł po weselu, o nowiu. Ludzie opowiadali, że spod lodu wołał go syn. W trumnie twarz miał piękną. Widziałem go i myślałem sobie, że nie trzeba bać się śmierci.

— To był Friedrich Wilhelm Fürchtegott — powiedziała Marianne.

Skinął głową.

— Ten chodzący o kulach miał trzech synów i córkę, a wszyscy oni mieli proste kończyny. Na zewnątrz byli jak wilki, a w środku jak jagnięta. Wszyscy pływali moją łodzią i jadali u mnie ryby z solą i cebulą. Najstarszy służył w gwardii, na południowym zachodzie, i zanim otrzymał zamek, miał już gwiazdkę na plecionych naramiennikach. On pożera ludzi oczami, a kiedy nikt nie widzi, głaszcze ich dłonią. Królowi oddał dwóch synów i żonę.

— To mój dziadek — powiedziała dziewczynka. Skinął głową.

— Drugi został w Chinach, gdzie na dachach siedzą smoki. Trzeci jest pochowany nad rzeką Oranje. Córkę przyjął do swojego domu król. Ten chodzący o kulach żył tak, jak napisane jest w dziewięćdziesiątym psalmie, a gdy na podwórze weszli Rosjanie, stał na schodach zamku. Miał na sobie mundur i poprowadził oficera do holu. W holu leżała w trumnie hrabina, a myśmy klęczeli przed tą trumną. Wszyscy mieliśmy siwe włosy, a najmłodszy był Johannes, który pasał owce i miał siedemdziesiąt lat. Oficer zdjął czapkę, przeżegnał się i odszedł ze swoimi Kozakami. Pan chodzący o kulach siedział przy kominku i patrzył na hrabinę. Żył, póki ziemia nie przysypała twarzy wnuków.

Miał więcej niż siedemdziesiątkę, a jeszcze gdy założono mi kolczyki do uszu, przesiadywał na moich kolanach…

— To był Friedrich Christoph Leberecht — powiedziała dziewczynka.

Skinął głową i powoli zaczął nabijać tytoniem krótką fajkę.

— Byli jak ryby — rzekł — a sieci dla nich już zostały zarzucone. Zaczęli przy wschodnim wietrze, a pierwsi wpadli w sieci przy południowym. My niedorosłe ryby wyrzucamy za burtę, ale On zachowuje wszystko, co Mu się dostanie... Człowiek jest jak ryba i jak trzcina, przy której stoi... Musisz chodzić wolniej, młody panie, tak wolno, jak chodzi ojciec... Szybkim oczom lód wydaje się mocny, ale tylko ci powolni widzą dłoń stukającą od spodu w cienką pokrywę...

Joachim uśmiechnął się zmieszany.

— Dzisiaj chyba trzeba żyć szybciej — stwierdził, robiąc ręką nieokreślony ruch.

Rybak zapalił fajkę. Miał krzesiwo i hubkę, na którą padła iskra.

— Szybko umiera, kto żyje szybko — odrzekł. — On przybył tutaj, żeby zyskać radosne serce, tak powiedział, a ci, którzy znajdują się w głębinie, dadzą mu złotą koronę.

Joachim spojrzał na Marianne i uniósł brwi, ona jednak nie przestawała patrzeć na starca.

— Ty go ochronisz, prawda? — powiedziała. — Przed mgłą i burzą, przed Wodnikiem i cienkim lodem, prawda? — złożyła dłonie.

Zwrócił ku niej twarz, ale patrzył ponad nią.

— Oni mnie słuchają — rzekł cicho. — Służyłem im i słuchają mnie.

Nie bój się. On będzie tutaj długo, jeszcze długo po mnie. Będzie im służył, a jego grób znajdować się będzie na wyspie. Nad jego ziemią zostanie wygłoszony psalm. Nie bój się, mała hrabianko. Wszyscy, którzy byli przed tobą, nie bali się.

Zamknął oczy, tak jak to robią starzy ludzie. Siedzieli i patrzyli na jego przygasłą twarz. Joachimowi zrobiło się chłodno mimo słońca, ale tylko zmarszczył czoło.

Potem, gdy starzec skinął na nich dłonią, wstali.

— Chciałbym popłynąć z tobą, kawałek, mała hrabianko — powiedział — ale jestem zmęczony. Uściśnij dziadkowi dłoń, zawsze był dobrym panem. Powiedz mu, że zawołał ptak, a Petrus się nie chowa...

Niech cię Bóg błogosławi, mała hrabianko.

Nakreślił na jej czole krzyżyk i skinął głową Joachimowi. Potem złożył ręce i zamknął oczy. Nie patrzył, jak odpływali.

W powrotnej drodze Marianne siedziała pod żaglem. Twarz zwróciła w stronę dziobu i nie odzywała się. Joachim próbował nawiązać rozmowę, nazywając rybaka "śmiesznym ględą", ale wówczas odwróciła się gniewnie:

— Milcz!

Wzruszył ramionami i zajął się łodzią. Czuł zadowolenie, że odjedzie stąd. Życie ze stuletnimi starcami i z dziećmi nie było dla niego.

Przed rzeczką, tam gdzie utonął jeden z synów, odwrócił się jednak i spojrzał na półwysep. Szałas pod drzewami wyglądał jak brunatna kropka. Nie unosił się dym. Może starzec już umarł, a teraz spogląda na nich pustymi, zbielałymi oczami. Przeszedł go dreszcz, mimo że świeciło słońce. Czarna woda ocierała się chłodem o burty łodzi. Z trzcin poderwała się czapla, krzyknęła ochryple i przesunęła po nich swoje odbicie. Jedna jest tylko czysta woda na świecie, woda morza.

— Thomas — powiedziała potem — on był taki jak pruscy bogowie ze starych ksiąg. Musiał nazywać się Perkunos, a jego kolczyki są z bursztynu.

Poczuł chłód jej dłoni i spojrzał na nią zatroskany.

— Za dużo było tego? — spytał. — On czasami nie wie już, co mówi.

— To prawdziwy biograf — stwierdził Joachim. — Wymienił wszystkich Platenów, poczynając od tysiąc osiemset dwunastego roku.

— To ładnie, Joachimie, że w rybackich szałasach mówi się o starych rodach.

— Oczywiście. On jednak mówił śmieszne rzeczy. O tobie. Siedział na macie bosy jak Budda.

Thomas przyjrzał się mu uważnie.

— Jakże łatwy jest dziś egzamin! — stwierdził tylko.

Nie zrozumieli go. Marianne chciała wracać sama.

— Jutro opowiem ci wszystko — powiedziała — ale jednak pociągnęła go za rękę do łodzi i rozejrzała się, czy nikt nie słucha.

— Powiedział, że zostaniesz u nas długo — szepnęła. — Bardzo długo. I nikt ci nic nie zrobi. Żaden lód, żadna mgła, żaden Wodnik. Nikt, Thomas! I będzie to trwało bardzo długo.

— Kto mógłby mi coś zrobić, dziecko? — zapytał z uśmiechem. Przyglądała mu się bez ruchu, oczami, w których był jeszcze lęk.

— Ale to dobrze, gdy się wie, Thomas... On widzi wszystko, aż po wieczność...

Przez chwilę patrzył za nią. Z Joachimem nie rozmawiał już o wyprawie.

Ostatniego dnia wakacji, gdy Joachim po południu pożegnał się na zamku i dostał w darze od generała starą, okutą srebrem fajkę, poszedł z Marianne na brzeg, gdzie zacumował żaglówkę. Przyszłość zbliżyła się nagle, a wytęskniony świat żagli oraz wspólnoty na morzu objawił się jego oczom w blasku wyzwolonym z marzeń. Nie odczuwał lęku, nawet się nie wahał; ponieważ jednak to, co opuszczał, wydawało mu się teraz bliższe i lepiej znane, naszła go spóźniona refleksja, iż być może przeżył zbyt szybko wszystkie te lata. To już raczej nie wróci; wkrótce będzie nosił mundur. Zaś kadetami, którzy mimo munduru pozostają dziećmi, gardził z całego serca.

Do łodzi wsiadł wolniej niż zwykle i zaraz postawił żagiel miotający się na wyluzowanym bomie. Potem jeszcze raz wysiadł i podszedł do Marianne. Stała obok, nie okazując szczególnego zainteresowania, głaskała palcami drewniane koraliki i przyglądała się słońcu zachodzącemu za lasem, nad zatoką. Ptaki zachowywały się ciszej niż zwykle, przez rosnące po lewej stronie drzewa widać było stygi* zestawione na żółtym ściernisku.

W końcu popatrzyła na niego i powiedziała:

— Życzę ci wszystkiego najlepszego, Joachimie. I proszę cię, żebyś postarał się nigdy nie przysporzyć ojcu zmartwień.

— Ale dlaczego? — spytał zdumiony. — Czy nie widzisz, że między nami panują pierwszorzędne stosunki?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Dla mnie byłoby za mało — stwierdziła — gdyby między mną a dziadkiem panowały pierwszorzędne stosunki. Dla niego też byłoby to za mało. Nie powinieneś zapominać, że twój ojciec jest kimś ważniejszym niż my wszyscy.

— Tak? — spytał zdziwiony, a potem dodał dobrodusznie: — Myślę, że nie powinnaś martwić się o to. Możesz być pewna, że gdy się już pobierzemy, stworzymy wspaniałą rodzinę.

Trochę się wprawdzie zaczerwienił, ale z oczu wyzierała mu zwykła pewność siebie. Pomyślał, że jeśli teraz przypomni tamtą konną wyprawę, to wrzuci ją do wody.

Wspominanie tamtego popołudnia nawet nie przyszło jej na myśl. Spuściła wzrok, a potem popatrzyła tak jak poprzednio.

---

* Styga lub sztyga, poustawiane w stos snopy zboża — przyp. red.

— Jeśli były to oświadczyny — powiedziała — to będzie lepiej, jeśli już nigdy nie wspomnisz o tym.

Spojrzał na nią skonsternowany. Przecież była młodsza od niego, nawet jeśli tylko o rok, dlaczego więc wygląda nagle jak jedna z kobiet na obrazach w holu, patrzących tak, jakby portrety te wisiały tam od połowy tysiąclecia?

— No, tak — rzekł zmieszany — ale czy nie byłoby to oczywiste? Naturalnie dopiero za kilka lat?

Jeszcze raz popatrzyła na łopocący żagiel.

— Dla ciebie, Joachimie, wszystko jest oczywiste... Powinieneś chodzić wolniej, młody panie, tak jak on ci powiedział. Pamiętasz jeszcze? Zawsze myślisz, że wszystko należy do ciebie, a przecież inni też chcą coś mieć.

— Jacy inni?

— No, tak... w ogóle... A więc bądź zdrów, Joachimie i nie zostań zaraz admirałem.

Podała mu rękę, skinęła głową i ruszyła w stronę domu.

Dopiero gdy łódź wyszła na wiatr i żagiel wypełnił się, zrozumiał wszystko. Widział ją idącą po trawniku przed tarasem. Pomyślał gniewnie, że zachowała się jak matka, która odprowadziła dziecko do szkoły.

Bildermann przygotował pożegnalną kolację i podał wspaniałe raki. Joachim jadł z apetytem i mówił o pierwszej podróży dookoła świata, na chwilę jednak zamilkł i spojrzał na majaczący w mroku wielki i cichy globus.

Później, gdy jeszcze raz zasiadł z ojcem przy ogniu palącym się małym płomykiem, zapytał grzecznie, czy wolno mu będzie powiedzieć jeszcze coś. Okazało się, że przeczytał kilka omówień "Etyki marynarskiego życia" i martwi się, czy niektóre z poglądów zawartych w tej książce nie zaszkodzą jego własnej życiowej drodze, a to wówczas, gdyby wrogość krytyki przeniosła się na niego w taki sposób, że rozliczano by się z synem, stosując rękoczyny, podczas gdy w stosunku do ojca było to możliwe jedynie z pomocą atramentu i drukarskiej farby.

— I co pomyślałeś sobie w związku z tym? — zapytał Thomas i bacznie mu się przyjrzał.

Joachim odparł zakłopotany, że niczego jeszcze nie przemyślał dokładnie, ale czy w drugim, wkrótce spodziewanym wydaniu, nie można by zmienić albo złagodzić

kilku sformułowań... Wśród krytyków jest kilku wyższych oficerów marynarki w czynnej służbie.

— Czy uznajesz te miejsca za fałszywe?

— Tego nie mógłbym tak osądzić — zauważył Joachim, obracając w palcach szczapkę drewna. Było mu bardzo przykro, że zaczął o tym mówić.

Thomas przez chwilę palił w milczeniu fajkę, bezwiednie trzymając w ogniu koniec wierzbowego kija, który się zwęglał. Potem ponownie zwrócił się do Joachima.

— Nie wiem — rozpoczął — czy uświadomiłeś sobie, że należysz do pokolenia innego niż moje. Dzielą nas różnice dużo bardziej odmienne, niż to dotychczas bywało między pokoleniami. Jako dzieci nie przeżywaliśmy wojny ani rewolucji, ani inflacji, żeby wymienić choćby tylko to. Naturalne więc, że o wielu sprawach myślicie inaczej, a może też inaczej je odczuwacie. Czy lepiej i prawdziwiej, tego nie dociekajmy. Myślicie, że przegraliśmy wojnę, pieniądze i uznanie, a wy wszystko to musicie odrobić. Już pod koniec pierwszych twoich wakacji pomyślałeś sobie, że to tutaj jest dla ciebie w jakimś stopniu przykre. Myślałeś, że jestem królem na tuzinie jezior, podczas gdy nie jestem nikim więcej niż tylko pańskim sługą. Nie całkiem odpowiadało ci to, że moje nazwisko i moja pozycja uległy degradacji. Byłeś zbyt młody, żeby zrozumieć przyczyny tego, teraz też jeszcze jesteś taki. Nie potrafisz zrozumieć, że rękawiczki zdejmuje się po to, żeby pracować gołymi rękami wówczas, gdy jest to konieczne. Ale jestem twoim ojcem, przeżyłem prawie pięćdziesiąt lat, a ty musisz to zaakceptować. Chcę ci powiedzieć tylko jedno: wykonywanie prostej pracy, sprawowanie pieczy nad kawałkiem ziemi czy wody, danie przyjacielowi chleba i posłania, a obok tego... Zostawmy to już, wystarczy... Uważam to za bardziej godne niż dowodzenie okrętem. I jeszcze coś: jeśli się uzna, że potrafi się stawiać sieci, a i inne rzeczy robić lepiej niż dowodzić eskadrą, trzeba robić to, co umie się lepiej, prawda? W ciągu tych lat wiele myślałem o tobie, miałem dość czasu. Jestem szczęśliwy, że chcesz zdobyć zawód, do którego zostałeś powołany. To nie jest dane wszystkim. Martwię się jednak, patrząc na tę twoją drogę. Ja miałem mały okręt, wy chcecie mieć większy.

Zostałem kapitanem, wy chcecie być dowódcami eskadry. Popełnialiśmy błędy nie tylko w stosunku do rzeczy, ale i do ludzi. Wy nie chcecie robić błędów i nawet jeśli rzeczy oraz ludzie będą stawiać opór, chcecie zwyciężyć. Nie nauczyliście się jeszcze niczego o wojnie. Nie dostrzegacie, że była czymś więcej niźli serią bitew. Wcale nie pragnę, żebyś miał lżej, łatwiej niż ja. Nie chcę tylko, żeby nad tobą ściągali

flagę, ty zaś wypadałbyś za burtę, rozumiesz? Nie chcę tego dla was wszystkich. Powinniście zadbać, żeby na okręcie każdy człowiek był taki jak Bildermann. Taki zwykły człowiek nie przyjdzie na okręt jako Bildermann, ale po to będziecie tam wy, żeby po dwóch albo trzech latach stał się taki. Jeśli nie zdoła, precz z nim! Albo precz z tym, kto nie potrafił do tego doprowadzić! W tym celu potrzebne jest nowe pokolenie, nie tylko młode, ale i nowe. Takie, które posiądzie to, czego nie mieliśmy my.

Dowódca eskadry, który ściąga flagę, powinien stanąć przed sądem wojennym, a potem pod ścianą. Człowiek stojący przed masztem i dowódca eskadry, rozumiesz? Wszyscy powinniśmy byli stanąć przed sądem wojennym, poza tymi, którzy stawili opór. To, co teraz mówię, niewiele ci pomoże, bo już nam nie wierzycie. Ale to raczej nasza, niźli wasza wina. Nie wierzycie nam, bo bardziej wierzycie sobie, jednak marynarz musi wierzyć w coś więcej, a nie jedynie w siebie, Joachimie. Każdy człowiek musi. Wojna kosztowała nas więcej niż okręty i straty trzeba odrobić nie tylko przez nowe okręty, lecz przez coś znaczniejszego. Wiem, że pomyślisz sobie, iż twój ojciec nie był żołnierzem i nie będzie to całkiem niezgodne z prawdą. On nigdy nie był urodzonym żołnierzem i dlatego teraz próbuje czegoś innego, czegoś prostszego. Ganią go, a ty się boisz, że i ciebie będą ganić, bo jesteś jego synem. A więc pokaż, że jesteś — albo że chcesz być — lepszym żołnierzem niż ojciec. Nie wiem, czy po trzydziestu albo czterdziestu latach nie zapragniesz zostać kimś innym. Teraz jednak, w tej chwili, zdaje mi się, że nie jest dobrze, jeśli domagasz się, żeby ojciec zwinął banderę, by ułatwić ci początek. Prawda?

Wystukał fajkę i wstał. Przez chwilę wpatrywał się w globus, kulę ziemską, wielką ojczyznę każdego człowieka morza. Potem wyciągnął rękę do Joachima.

— Kochany chłopcze — rzekł — wszyscy jesteśmy na początku drogi i czasami powinieneś wobec mnie zdobyć się na cierpliwość.

Joachim pobladł. Pod zmarszczonym czołem kłębiły się wszystkie myśli, które wypełniły tę godzinę. Uścisnął dłoń i powiedział tylko:

— Dobranoc, ojcze.

Potem po raz ostatni poszedł do swojego trzcinowego szałasu. Na dworzec odprowadził go Bildermann.

Thomas powiedział, że powtórna rozmowa o tym wszystkim nie byłaby dobra i dlatego będzie lepiej, jeśli zostanie tutaj.

— Tobie też będzie łatwiej... — zakończył. — Nie zapominaj o nas. Joachim skinął głową. Serce ciążyło mu bardziej, niż myślał.

Thomas stał na brzegu i patrzył na nich. Powiewały wstążki Bildermanna, a Joachim siedział u steru. Biały żagiel lśnił w słońcu. Gdy go zrzucili, pomachali jeszcze raz. Potem ogarnął ich las. Bildermann niósł na szerokich barkach walizkę.

Thomas powoli poszedł do szałasu i usiadł przy wystygłym ognisku. Palił fajkę i patrzył na okopcone kamienie. Niebo było wysokie i błękitne, wiał lekki wiatr, panował spokój. Wyspa wydała mu się duża i pusta. Rozmyślał o tym, ile też w ciągu pięćdziesięciu lat człowiek musi pobłądzić i zaniedbać, nie tracąc odwagi. W białym popiele leżał niebieskawy rybacki haczyk, który mógł tu zgubić Joachim. Podniósł go i opuszkiem palca nacisnął ostrze. Był to haczyk potrójny, używany do łowienia szczupaków. Napisze do siostry Beate, żeby przysłała mu drewniany okręcik, który Joachim miał wówczas w łóżku. Nie miał niczego, co by do niego należało, a co mógłby wziąć do ręki i oglądać.

Potem nadeszła pora wybierania sieci, wstąpił więc do domu, żeby haczyk położyć w szafie, między maskami.

Joachim przez dwie godziny musiał jechać koleją, by dotrzeć do stacji, na której zatrzymywały się pociągi pospieszne. Na kwadrans przed przyjazdem jego pociągu obok peronu przemknął nocny ekspres ze stolicy. Lubił patrzeć, jak na wysokim maszcie podnoszą się oba ramiona semafora, jak z daleka ukazuje się nad lasem biały dym, jak przysadzisty, ciężki kształt lokomotywy rośnie w oczach, a szyny drżą i wszystko ze wściekłym dudnieniem zatrzymuje się u jego stóp. Lubił patrzeć na twarze w oknach, na nielicznych wysiadających tutaj ludzi, na ociekające oliwą ogromne koła maszyny, przy których, niby w kadłubie okrętu, czekały na sygnał błyszczące przeguby.

Starszawa dama o przenikliwych, błękitnych oczach upuściła przy nim brunatną chustę przewieszoną przez ramię. Podniósł ją i podał, wraz z kilkoma uprzejmymi słowami. Popatrzyła tak, jakby już nigdy nie chciała zapomnieć jego młodzieńczej twarzy i podziękowała.

— Proszę uprzejmie — powiedział i stuknął obcasami.

Była to siostra generała, którą król przyjął "do swojego domu", a która po wielu latach zapowiedziała się na zamku, by znów zobaczyć swoje chrzestne dziecko.

Należała do owych Platenów, o których rybak powiedział, że zewnętrznie są wilkami, a w głębi jagniętami. Ona jednak była co najmniej bezbronną owieczką. Jeszcze tego samego dnia siedziała z bratem w holu i układała swojego pasjansa. Założyła zwykłe okulary w stalowej oprawce, a jej ładne nie upierścienione dłonie każdą kartę kładły na miejsce tak pewnie i spokojnie, jak układają swoje płyty kamieniarze.

— On wychodzi, Christianie — odezwała się. — Oczywiste, że wyjdzie.

Jeszcze raz przyjrzała się uporządkowanym stosikom, zdjęła okulary i spojrzała na generała, który skinął przyjaźnie.

— Kiwasz głową, Christianie — ciągnęła dalej — ale to niczego nie rozwiązuje. Nie chcę powiedzieć, że żyjecie tu jak poganie, bo jak Nibelungowie macie w domu kapłana. Chcę jednak rzec, iż żyjecie jak dzikusy, a Gabriele von Platen wie, co mówi.

Generał odstawił kielich z czerwonym winem i przyjrzał się jej zamyślony.

— Przypominam sobie, Gabrielo — powiedział dobrotliwie — że zawsze formułowałaś zdecydowane tezy. Kiedyś twierdziłaś, że w Prusach należy rozstrzelać co drugiego dojarza. Przypominasz sobie? Cały tydzień sprzeczaliśmy się o to. Teraz jednak jestem naprawdę zdziwiony. Czy obsługuje cię pokojówka w spódniczce z trawy? Albo czy Johann przewleka po jedzeniu kółko przez nos?

Machnęła ręką.

— Nie jest tak źle, Christianie, ale tu idzie o coś więcej niż o kółka w nosie. Czy pomyślałeś, że to ostatnie dziecko Platenów? Że odziedziczy twoje buty z cholewami i twoje czerwone wino, a treści życia upatrywać będzie w hodowli bydła?

— Ależ Gabrielo...

— Tylko nie "ależ Gabrielo!". Czy dla ciebie jest jasne, że twoja wnuczka jeszcze nigdy nie wysłuchała koncertu ani nie była w teatrze? Że poza swoją okrętową angielszczyzną nie mówi płynnie w żadnym obcym języku? Że nie wie, co to walc, żeby już nie wspomnieć o kadrylu. Że dla niej świat leży na innej gwieździe i nie wie, z której strony wsiada się do tramwaju? Wiesz o tym Christianie?

I o tysiącu innych rzeczach na dodatek?

— Ma cudowne serce, Gabrielo — powiedział zakłopotany.

— Tylko do czytania noszę okulary, Christianie — odparła tkliwie — ale nie jestem ślepa. Starzy ludzie zawsze myślą o sobie, a do tego myślą dobrze. Dla ciebie nie straci jednak serca żadna królewna ani żaden królewicz dla mnie. Tylko my

żyjemy w polu widzenia jej oczu, Christianie, ale powinny one zobaczyć wiele ze świata, zanim na zawsze nie zwrócą się ku temu, co jest tutaj i nie wybiorą mężczyzny, który odziedziczy nasze nazwisko. Czyż nie tak?

Skinął głową zatroskany.

— No więc! Chcę, żebyśmy poczekali do jesieni, a potem zadowolę się dwoma latami. To mało, ale w ciągu dwu lat Gabriele von Platen może wiele zdziałać. Jej królewska mość zwykła była mówić: "moja droga Platen, nie jest pani Afrodytą, ale ma pani ręce kawalerzysty". Jej wysokość miała dobre serce, ale nie zawsze bywała dość taktowna. Swoje dziecko otrzymasz z powrotem takie, jakiego chciał Bóg, to znaczy z nie odmienionym "cudownym sercem", ale znacznie odmienione w sposobie zachowywania się, formach, mądrości i tak dalej. Ostatnia z Platenów powinna mieć więcej umiejętności niż jazda konna, żeglowanie i łowienie ryb. Wiadomo ci również, że gdyby Johann Friedrich pozostał przy życiu, stałoby się tak samo przez się.

A choć nie jestem żadną Afrodytą, wciąż odwiedzają mnie znamienite osoby.

— Te inne nazywają się Parki, jak mi się zdaje — odezwał się generał.

— Przyjdą, przetną nić życia...

— Ach, bracie Christianie, ta nić jest wytrzymalsza, niż nam się zdaje

— odrzekła. — Ale niech nie rozpiera się tu to staropruskie straszydło, tylko przyniesie mi od pokojówki butelkę piwa. Zrozumiano?

Johann spełnił polecenie tak szybko, na ile pozwalały mu sztylpy* na nogach. Zdawało się, że zagadkowe postacie lęgną się nie tylko na morzu.

— Spytać dziecko — powiedział w końcu generał. — Nic wbrew jej woli, Gabrielo!

— Dobrze! Nawet jeśli tych tu wszystkich nie pytano, czego chcą.

— Wskazała dłonią na szereg portretów. — Raczej nie siedzielibyśmy tutaj, Christianie. Ale i Prusacy mają słabostki... Gdybyś tak, nawiasem mówiąc, zechciał odprawić na dziś ową sylwetkę z jarmarcznej strzelnicy, tego Johanna, moglibyśmy wypalić sobie w spokoju po cygarze, prawda? Poza tym spodziewam się, że wiesz, iż kocham to dziecko. Prawda? Bardziej niż przypuszczasz.

Tak, o to mógł być spokojny.

Dziecku trochę zbladły policzki, ale słuchało dzielnie.

---

* Wysokie cholewki, sznurowane lub przypinane, nakładane na buty — przyp. red.

— Nie o mnie idzie, dziadku — powiedziała w końcu — ale kto będzie jeździł z tobą konno albo wieczorem siedział przy tobie?

— Teraz, teraz… — odparł ochryple — dość tu cichych ludzi, dziecko… Myśleć o tobie… Liczyć dni… Tamten człowiek jest jeszcze bardziej samotny.

Czy mogłaby zapytać Thomasa?

To dobry pomysł. Niech on wyda orzeczenie, któremu się podporządkują.

Siedzieli na odwróconym płaskim czółnie, które Bildermann wyciągnął do smołowania na brzeg. Rzadka mgiełka utrzymywała się nad jeziorem i wilgotna i chłodna osiadła na jej włosach. Dzikie grusze zaczynały się już barwić, a sójki znosiły owoce starych drzew do swojego zimowego schowka. Będzie krótka jesień.

— Uwierz, dziecko, że dla nas wszystkich będzie to trudne — powiedział Thomas — ale to zrozumiałe, że wyjedziesz. Na wyspie można urządzić się dopiero wówczas, gdy się wie, co to świat.

— Musi się wiedzieć?

— Tak, musi się. Ci w waszym holu wiedzieli wszyscy, a drogę mieli dłuższą niż ty, dziecko. Do rzeki Oranje jest daleko… A ty nie chcesz chyba znaczyć mniej niż oni?

Potrząsnęła głową.

— Cóż to są dwa lata, kiedy jest się młodym… Dopiero później czas zaczyna biec wolniej, dziecko. A i wówczas nie dogoni się go…

— Zapomnicie o mnie, Thomas.

— Tak myślisz? — Uśmiechnął się roztargniony i wstał. — Znowu znajdziemy się na oceanie, dziecko. Ale obaj, Bildermann i ja, będziemy stać przy kliwrze, rozumiesz?

— Tak, Thomas.

Ostatnim jej życzeniem przed odjazdem było, żeby rozpalili dla niej na wyspie ognisko i piekli ziemniaki, i żeby mogła przy tym być wraz z Bergengrünem, który właśnie miał jechać na egzamin.

Thomas cały dzień spędził na swoim poletku; rozbolały go plecy. Było jednak coś pięknego w trzymaniu w palcach brunatnawych zapiaszczonych bulw i wrzucaniu ich do stojącego w bruździe kosza. Od czasu kiedy robił to ostatni raz, minęło czterdzieści lat, a gdy prostował się oparty na motyce i patrzył na cichą wodę i pożółkłe lasy, mógł myśleć, że przez dziesięciolecia nie robił nic innego, że wzrósł na

tej wyspie, przy takim codziennym zajęciu i nie miał innego celu poza tym, żeby przed każdą zimą znieść plon do piwnicy.

Po obiedzie posłał do lasu Bildermanna. Jeszcze można było znaleźć grzyby, a mieli je piec na ognisku. Poznosił łęty na wysoką stertę, a potem wypłynął kawałek na jezioro. Słońce jeszcze przygrzewało, ale z toni podpływała chłodna już woda.

Ognisko rozpalili dopiero wówczas, gdy zaczęło zachodzić słońce. W górę uniósł się biały dym, odpływający pomiędzy brunatnymi dębami. Bildermann włożył w popiół ziemniaki i oczyścił grzyby. Trochę ciężko było im na sercu, a Thomas zauważył, że oto dla nich wszystkich skończył się czas młodości. Ale gdy za dwa lata znów tutaj zasiądą, wszyscy już będą wiedzieli, jaki jest świat I wciąż jeszcze im wszystkim dobrze będzie siedzieć tak przy ognisku i spożywać owoce ziemi.

Okazało się, że to Bergengrün najbardziej potrzebuje pociechy. Bildermann uczył go, jak długo grzyby muszą leżeć na żarze i jak należy wyciskać je przez szmatkę, zanim się ich nie posoli. Bergengrün powiedział jednak, że wysoki konsystorz wcale nie będzie pytał o tego rodzaju wiedzę i gdy myśli o swojej przyszłości, widzi ją w czarnych barwach.

Jeśli on popada w zwątpienie, to co mieliby zrobić ci dwaj osamotnieni tutaj, pozostający na wyspie Salas y Gomez, zapytała Marianne.

Ach, mała panienko, powiedział Bildermann, nie trzeba za bardzo zastanawiać się nad tym. Jeśli idzie o jego pana i o niego, to przetrwali już wiele takich Salas y Gomez, a gdy wieczorem siądą u ognia, będzie można z pewnością znaleźć na kuli ziemskiej tamtą miejscowość, w której mała panienka będzie właśnie zakładała na szyję perły, a oni będą wiedzieli, że przy każdej perle pomyśli o jakimś dniu na wyspie, a przy ostatniej, największej, o tym ostatnim dniu.

— Samotny, mała panienko, jest człowiek dopiero wtedy, kiedy wyrzuci swój kompas.

— Bildermann, ty jesteś najmądrzejszy z nas wszystkich — stwierdził Thomas.

Nad wschodni las milcząco spłynął zmrok. Dzikie gęsi leciały tak wysoko, że widziało się je niby cienie. W cichym przestworze długo było słychać ich niespokojne nawoływania. Nad łąkę nadciągnęła mgła, między dębami migotała wieczorna gwiazda.

Wstali i powoli zeszli na brzeg. Za nimi, przed ciemnym stokiem, czerwienią i pociechą jarzyło się ognisko.

Marianne poszła do domu po płaszcz. Na palenisku pieca płonęło brzozowe drewno i nikłym blaskiem rozjaśniało pomieszczenie. Thomas wydobył spośród książek małą szkatułkę z zielonkawego drewna i wyjął z niej cienki sznurek granatów z wysmukłym krzyżykiem. Trzymał go na otwartej dłoni i jeszcze raz mu się przyjrzał, zanim nie podał go dziecku.

— To po mojej matce — powiedział. — Chciałbym, żebyś wzięła ze sobą... Ona była dzielną kobietą i miała radosne serce.

Kiedy zauważył, że Marianne chce coś powiedzieć, potrząsnął głową i pomógł jej włożyć płaszcz.

— Przyjmij podziękowanie za te lata — rzekł od progu.

Szła obok niego w stronę brzegu, wyprostowana jakby siedziała na koniu, ale nie powiedziała już ani słowa.

Jeszcze przez chwilę widać było łódź, potem zlała się z wodą i lasem i tylko długo było słychać uderzenia wioseł Bergengrüna. Wciąż, jak za pierwszym razem, były nieregularne.

— Teraz zaszło słońce, kapitanie — odezwał się Bildermann.

— Tak, Bildermann — odrzekł Thomas — i musimy sterować według gwiazd.

Potem poszedł na poletko, żeby jeszcze raz narzucić łęty na żar, by odpływający mogli orientować się według ogniska aż do zatoki.

Rozdział 10

Śnieg przyniesiony wschodnim wiatrem spadł już w listopadzie i pozostał. Pędraki zagłębiły się w ziemię, gile i jemiołuszki siedziały w koronach świerków, wszystko zapowiadało surową zimę.

Thomas i Bildermann wiele dni przewędrowali na łyżwach, żeby wyrąbywać w lodzie przeręble i młodymi świerczkami wytyczyć drogi do zamku i leśniczówki. W czasie pierwszego tygodnia adwentu przez cały dzień łowili wielkim niewodem. Pomagali im ludzie z zamku; weszło w zwyczaj, że nie uczestniczył w tym nikt obcy.

Potem odłożyli łyżwy, Bildermann przyniósł ze strychu narty. Były sporządzone z brzozowego drewna, a Bildermann był bardzo dumny z dzieła swoich rąk. Generał zwolnił strzelca, który w pobliskich wioskach pozawierał zbyt dużo znajomości, poprosił też Thomasa, aby zatroszczył się trochę o wielki las. Sam miał zadbać o dokarmianie dzikiej zwierzyny, a pozostawiane przez bezgłośnych wędrowców podwójne ślady krzyżujące się w lasach, miały odstraszająco działać na intruzów.

Bildermann dostał drugą strzelbę, w kieszeni na piersi nosił legitymację łowiecką i w bezwietrzne dni, kiedy śnieg zaczynał sypać już od rana, stawał o brzasku przed przecierającym zaspane oczy Thomasem i prosił o urlop. Taka pogoda jest w sam raz dla ciemnych typów, jemu zaś jakby przypominała, że w Finlandii czy Laponii już o tej porze dnia, gdy trzask łamanej gałązki słychać niemal na milę, wyruszają również wielcy łowcy łosi i niedźwiedzi. Woda na kawę nastawiona, ogień pod kuchnią się pali, kapitan mógłby więc spokojnie pospać z godzinę albo i dwie.

Jeszcze tylko kładł węgielek do porannej fajki i cicho zamykał drzwi. Z domu ześlizgiwał się po nadbrzeżnym stoku aż na gładką płaszczyznę, wokół której roztaczały się ciche, mroczne lasy. Zdawało mu się, że życie spędza na górze globusa, za kręgiem polarnym, że jest jednym z tamtych samotnych łowców, którzy nie znają nikogo żywego poza dziką zwierzyną, a przed ich oczyma nie rysował się na bezkresnych ośnieżonych płaszczyznach żaden znak życia poza biegnącymi po białym zwierciadle szarymi tropami zwierząt. Ich krawędzie rozświetlały się w końcu od porannej zorzy i zaczynały rzucać błękitne cienie.

Był niezmordowany. Oczy jego szybko nauczyły się odczytywania tropów, które na śniegu zapisał człowiek albo i zwierz. Wnet też wiedział, jak rozróżnić te, które powinny go obchodzić, od tych, które raczej pozostawiało się generałowi lub rządcy.

Nie znalazł nic poza śladami jakiegoś kłusującego psa. Patrzył na nie rozgoryczony. W wioskach szybko zmiarkowano, że ów mężczyzna z powiewającymi u czapki wstążkami wędruje dniem i nocą, wciąż na swoich wąskich deskach; przypominano też sobie, że ma oczy, pod których wejrzeniem szybko robi się człowiekowi nieswojo. Tak więc chodzono raczej do państwowego lasu, gdzie funkcjonariusze nie nosili pod stopami żadnych czarodziejskich desek i gdzie rzadkie były obyczaje przypisywane przez Bildermanna krainom za polarnym kręgiem.

Gdy parę godzin później Thomas opuszczał dom, tak jak Bildermann zauważał tropy, ale jego oczy dostrzegały i inne rzeczy. Czasami na długo zamyślał się, niemal zagubiony, spostrzegłszy długie świerkowe cienie nad modrzewiowym stokiem; widząc plątaninę leszczynowego krzewu, który ośnieżony wznosił się ku rumianemu porannemu niebu; dostrzegając daleką siną linię lasu, przed którą stał dom o niskim szczycie, a dym uchodził prosto ponad linię koron drzew, gdzie słońce rozświetlało go czerwonawo jak jakiś obłok.

Zdawało mu się, że dopiero teraz wie, co to cisza, owo głębokie tchnienie istnienia, które niczego nie chce i nie pożąda, niczego nie żałuje ani nie wspomina, które nie jest radosne ani smutne na podobieństwo ludzkiego serca, ponieważ wszystko toczy się jak gwiezdny szlak, wielkie, bo przepełnia je Prawo i dobre, bo tak trzeba. Od niego, jak od wszystkiego co doskonałe, płynie spokój i bardziej widoczne niż w świecie ludzi jest to, że śmierć splata się z życiem, że jest splątana tak jak siatka na kuli, której horyzont nie jest kresem, ale ulotną i wciąż zmieniającą się granicą między tym co oświetlone a tym co nie oświetlone, i wszędzie zawsze jest dzień, i wszędzie zawsze jest noc.

Teraz Thomas częściej opuszczał znaną mu okolicę. Wszędzie taka sama biała okrywa wabiła go w nieznane, a jeśli pagórki i lasy nazbyt przeszkadzały mu w drodze, mógł zjeżdżać na jakąś z wąskich wstęg, którymi niezauważalnie i równą płaszczyzną wplątały się w okolicę niezliczone jeziora.

Zdarzało się więc, że trafiał do nieznanej wsi, rozmawiał z obcymi ludźmi, zapamiętywał wypowiedzi i zdarzenia, które przemyśliwał, zanim nie powrócił do swojego zacisza. Najczęściej jednak istniało to, co było, pozbawione radości i spokoju.

Wokół krainy wciąż jeszcze krążyły kruki. W twarzach, które widywał, mało było nadziei, życie płynęło jak statek bez steru i masztów. Poruszał nim wiatr, zatrzymywała bezwietrzna cisza, a wszystkie brzegi kryły się za mgłą. Na kapitańskich mostkach stali prorocy i wieszczyli, ale przed masztem stali inni i prorokowali upadek tamtych wieszczących, zaś dzieci biegały znużone od jednego do drugiego, wyczekując, czy też z proroctw nie wyrośnie chleb. Ale wyrasta tylko zachwyt albo nienawiść.

Wracał do domu zmęczony, często dopiero przed zmrokiem, dostrzegał blask lampy oświetlającej śnieg i wiedział, że obszar spokoju jest rozległy na tyle, ile mogą ogarnąć jego ramiona, że zawsze ktoś musi zacząć pierwszy, zanim nie wyruszy wielu; że dopiero z nieskończonego trudu nielicznych i oddanych może wyrosnąć jakieś słowo lub czyn, tak jak wino nie sączy się z grona, ale dopiero z napełnionej tłoczni.

Bildermann nakrył stół i przegarnął ogień. Świeciła lampa, globus wisiał w przestrzeni, poważnie spoglądały szeregi książek, nieustanne przypomnienie, że ludzkość trudziła się tysiące lat. Ale cały ten trud nie zapobiegł temu, że śmierć wciąż krążyła po ziemi, i niepokój, i nienawiść, i zwątpienie. Nie zapobiegło też temu, iż trudzono się nadal, jakby wszystko zależało od jednego magicznego słowa, które trzeba odszukać i kiedyś, może jutro, może w wieczności, zostanie ono znalezione.

Potem Bildermann umył naczynia i usiadł koło pieca ze swoją zagadkową pracą: z dużą ramą, na którą napinał druty, ze szpulami, które nawijał, dziwnymi lampami, nad którymi medytował, trzymając je w dłoni, zanim nie zamontował tu czy tam. Prosił, żeby go nie wypytywać, zanim nie skończy albo też nie wyrzuci wszystkiego do jeziora, a niekiedy kierował spojrzenie swoich "morskich oczu" na globus lub na swojego pana, który siedział nad jakąś książką, podparłszy rękami czoło albo zmęczonym wzrokiem wpatrywał się w ogień, w którym cichnąc, a potem znów się wzmagając, żaliły się i przyśpiewywały ciche głosy węglącego się drewna. Wiatr wciskał się do komina i znów uchodził, za oknami niosło śniegiem, daleko w lasach mróz rozłupywał drzewa albo na pokrytym lodem jeziorze z przenikliwym hałasem rozwierała się długa szczelina.

Wówczas obaj podnosili wzrok i nasłuchiwali, ale wyspa nie trzęsła się pod ich stopami, dach nie kołysał się, czarne belki niewzruszenie rozpinały się nad nimi, a wahadło zegara monotonnie przebiegało przez ciszę, odmierzało godziny i nie oddawało tego, co odmierzyło.

Thomas odsunął książkę, odchylił głowę na oparcie krzesła i patrzył na belkowanie sufitu. Gdzie po ziemi stąpają nogi, które tak długo chodziły obok niego? Żona milczała, a on o jej życiu wiedział tyle, ile o życiu jemiołuszek, które pewnego ranka rozsiadły się na koronach dębów, a w porze obiadowej zniknęły, bez śladu i bez głosu.

Joachim pisał, że wiedzie mu się dobrze, że niedługo rozpoczną pisemne opracowania, że nie boi się tego. Dyrektor wciąż odnosi się do niego dobrze i już prędzej pozwoli oblać któregoś z kujonów niż jego. Poniżej było napisane: "Twój posłuszny syn Joachim von Orla". Uśmiechnął się i wystukał fajkę. To ładnie, że tak napisał, ale chyba jeszcze tylko w listach istnieją posłuszni synowie. I nad nimi przeszedł czas.

Pisywała też Marianne. Często, co tydzień. Pisała, co porabia, czego się uczy, co ogląda i czego słucha. Ale nie pisała, co myśli. Thoma-sowi pozostawiała doczytywanie się tego z prostego, starannego pisma. Tak więc wiedziała już mniej więcej, jak zamawia się coś w sklepie, co zapragnęło się mieć oraz jak się nie bierze tego, co nie przypadło do gustu. Również jak przywołuje się dorożkę i jak rozmawia się z odwiedzającymi, którzy chcą dotrzeć do babki. Wie jak to jest, kiedy podczas koncertu jednocześnie unoszą się smyczki wszystkich skrzypków i czeka się na to, żeby kolejny ton zabolał w piersi.

Każdy tydzień przynosił nowe meldunki dotyczące poznawania i doświadczania, jednak tego, czego chciał się dowiedzieć, listy zawierały mało. U dołu ostatniej strony bywały dopiski: "Jestem bardzo posłuszna" albo "Śniła mi się wyspa" lub "Nie pozwalaj, żeby dziadek często przesiadywał samotnie przy kominku". Również i to, że "wielcy" zdecydowali, iż w ciągu tych dwóch lat nie powinna jeździć do domu, bo pożegnanie byłoby dla niej za trudne. "Tu mają rację", dodała.

Thomas odpisywał regularnie. Tak mało przecież pisał listów. Po trosze opowiadał, co przeżywali, ale relacjonował to z serdecznością i obszernie. Nie zapominał o żadnej śnieżycy, o żadnej wystawniejszej kolacji ani o historyjkach Bildermanna, które ten wydobywał z marynarskiego kuferka swojej pamięci. Wspominał o tym, co czyta, że zmajstrowali dwanaście pułapek na myszy, którym bardzo zdawały się smakować sieci. Z jego listów wynikało, że mieszkają w zaśnieżonym ogrodzie Edenu, gdzie karmią gile, sikorki i zające, gdzie wykruszają sobie z włosów lodowe sople, a na progu stoi anioł z mieczem ognistym, by nie dopuścić do nich nikogo. Nie wiedział, że każdy jego ostatni list Marianne nosi pod

sukienką, na sercu, a dama dworu w stanie spoczynku raz na tydzień głaszcze ją po policzku i mówi: "I co, moja kochana, dziś znowu dzień Thomasa?"

Niewykluczone, iż nie uwierzyłby, że tak jest, bo ostatnie dziesięciolecie było okrutne dla jego wiary, zarówno tej w boski porządek świata, jak i tej w ludzi. Zbyt dużo widział, ale jego oczy wciąż jeszcze były bystre. Również jego myśli stawały się coraz bardziej wolne od lęku i coraz uporczywiej, niemal coraz bardziej zawzięcie, dążyły do rozważenia każdej sprawy do końca, a nie tylko do ustalonego granicznego słupa zwyczaju, tradycji albo szacunku połączonego z uwielbieniem. Podążały poza to wszystko, całkiem daleko poza to, tak jak daleko myśl może w ogóle wybiegać, zanim nie ulegnie i nie podda się, osiągnąwszy kres człowieczego rozumu.

W ładzie, który sobie tak obmyślił, człowiek miał oblicze inne, niż to, o którym mówiło się w latach jego młodości. Zdawało mu się też, że i Bóg nie posiada już tego samego oblicza co kiedyś. Było tak, jakby coraz bardziej oddalało się od owej skrwawionej planety, stawało się coraz bardziej nieugięte i wyniosłe, a nawet więcej: jak gdyby w dali zlewało się z wolna i zupełnie z tym, co znajduje się ponad bezwzględnością natury, co przewyższa bezgłośne rzezie w głębinach morza albo w upale tropikalnych lasów. Jakby znajdowało się ponad zagmatwanymi drogami ludzkości, ponad splątanym życiem jednostki. Ponad poszarpanymi i popalonymi ciałami po obu stronach zardzewiałych i rozpadających się zasieków; ponad zszarzałymi oczami tych, którzy dryfowali po oceanie, a nad nimi krążyły wrzaskliwe ptaki albo którzy dawno już pogrążyli się w odmętach; ponad nieskończonymi, milczącymi gromadami dzieci, nad którymi wisiał bicz głodu albo nóż rezuna. Jakby stało ponad tym wszystkim, tak srogie i lodowate jak jakiś żelazny bożek albo tak rozżarzone jak bezrzęsy moloch, jakieś same usta, które nie uśmiechają się ani nie krzywią od płaczu, ucho niczego nie słyszące. Jakby nie było to oblicze niczym więcej niż bladym kształtem jakiegoś nieustępliwego prawa, dla którego łza nie znaczy więcej niż deszcz czy rosa, a krzyk nie więcej niż grzmot fali, zaś jęki całych miast i państw nie są niczym więcej niż ulotnym odgłosem wiatru wiejącego ponad jedną z tysiąca tysięcy gwiazd.

Nie, dla nich obu niewiele pozostało z pięknego okresu, w którym modlili się do Boga, żeby pobłogosławił ich drewniane szabelki, niewiele z innych czasów, w których duchowni wszystkich religii modlili się, żeby Bóg zechciał pobłogosławić ich stalowe ostrza i wyloty ich armat. Nie pozostało im nic ponad osad goryczy. Wiedzieli, że krew smakuje inaczej niż wino, że oczy nieżywych są zgasłe. Widzieli okręty

wylatujące w płomieniach ku gwiazdom i ludzi walczących za kratami o odpadki, które nogi zwierząt deptały ze wzgardą. I w tym rozpoznawali prawo i ład, ale już nie chcieli nazywać tego boskim prawem i boskim ładem. Wydawało im się, że istnieje we wszystkich językach nazwa określająca to prawdziwiej i wyraziściej.

Nie chełpili się tym, obu im wydawało się nawet, że coś utracili, coś co było im miłe, a z czym wyruszali na podbój tego świata. Że utracili dobrego druha, małomównego, ale zawsze obecnego, wciąż niezawodnego, który nigdy nie pytał, lecz jego można zapytywać o wszystko, nawet jeśli jego odpowiedzi okazywały się skąpe. Niejedną godzinę przetrwali tylko dlatego, że był obecny, niejednego mogli dokonać tylko dlatego, że zapominali o jego istnieniu. Teraz, po wielkiej katastrofie, zostali osamotnieni, na razie jeszcze we dwóch, ale kiedyś zostaną całkiem sami, znajdując oparcie tylko we własnym sercu. Na innych, którzy wciąż widzieli, iż kroczy on nadal obok nich, spoglądali bez drwiny, ale i bez żalu. Spokojnymi oczami przyglądali się, co też w dalszym ciągu będzie się działo z tymi innymi, gdy ów małomówny z nimi zostanie.

Lata im dane przyjęli takimi, jakimi były. Ignorowali to, co otrzymali na dokładkę — w postaci znaczeń i stwierdzeń. Wystarczał im sam ten dar i pojmowali go na swój sposób. Odmiennie od oficjalnych wersji, bardziej trzeźwo i zwięźle. Wiedzieli, że musi im to wystarczyć, a więc wystarczało.

Tak było i z bożonarodzeniowym wieczorem, który przeszedł nad wyspą tak cicho, jakby żyli w jakiejś latarni morskiej. Generał pojechał do wnuczki, spytawszy, czy Thomas nie zechciałby mu towarzyszyć. On jednak przecząco potrząsnął głową. Rankiem nadszedł z zamku duży kosz, skrzynka od pani von Orla i paczka od Marianne. Johann z Bildermannem zanieśli skrzynkę do domu i zamyśleni mieszali wino grzejące się na ogniu kuchenki.

— Co nam z choinki? — powiedział ponuro Johann. — Stary wielmożny wziął ją, a my siedzimy teraz jak małpy na płocie.

— I dla małp dwa lata to krótki czas[*] — zauważył Bildermann pocieszająco i dodał, że słyszał, iż ci z dobrej gliny mogą być bardzo starzy.

Johann nie przestawał kręcić głową, a po trzeciej szklance zawinął szal wokół szyi i poczłapał po śniegu z powrotem. Sanki, które ciągnął za sobą, wyglądały jak dziecinna zabawka.

[*] Dialog ten odbywał się w dialekcie dolnoniemieckim - przyp. tłum.

O zmroku Thomas spędził chwilę w leśniczówce, gdzie położył na stole drobne upominki. Na pięterku wciąż tam i z powrotem dreptały niespokojne kroki i ciągle jeszcze poskrzypywała podłoga. Starzec wpatrzony w lodowe kwiaty na szybach stał przy piecu.

— Tak, drogi panie — powiedział — teraz wszyscy myślą, że gwiazda jest tylko dla głupich albo że zachodzi czy też nie świeciła nigdy. Myślę, że przepadło wiele albo też ku temu zmierza, ale gwiazda, drogi panie, gwiazda znajduje się wciąż nad wszystkimi mrocznymi domami... I owi święci Trzej Królowie, drogi panie, cóż mogliby począć bez tej ich gwiazdy? A umarli, którzy wracają dzisiaj, żeby pobyć godzinkę u swojej matki, jak znaleźliby drogę bez gwiazdy?

Stał tak, wysoki i przygarbiony, z włosami posiwiałymi na skroniach, ale jego oczy wciąż były takie same, błyszczące, niby oczy wszystkich dzieci tego wieczoru, chociaż kroki dochodzące sponad sufitu nie obwieszczały wcale Bożego Narodzenia.

Tak, kiedyś przyjdzie, z ochotą. Tylko mogiły i więzienia są tak ciche jak jego dom.

Thomas powoli ruszył z powrotem. Ciągle padał śnieg, a kiedy znalazł się na lodzie, nie było już dookoła lasów, tylko opadający na niego biały klosz. Kawałeczek przed nim i za nim biegła wąska ścieżka. Jej początek i koniec był zatarty, a tam, gdzie łączyła się z białą, osypującą się ścianą, był kraniec świata. Potem, z nagła, niby jakaś gwiazda nad horyzontem, ukazało się światło na wyspie, najpierw niespokojne, to znów przyćmione, żeby zaświecić spokojnym płomieniem, wciąż rosnące; zwiastowanie również i ponad tym jego szarym dachem.

Bildermann przystroił drzewko i zdjął pokrywę ze skrzynki. Teraz zapalił świeczki, obaj usiedli przy piecu i przyglądali się, jak lśnią srebrzyste pasemka. Nie zaśpiewali, nie przeczytali historii Bożego Narodzenia, milczeli, ale tchnienie Świętego Dzieciątka z pewnością musnęło ich oczy. W ich życiu z pewnością zdarzyło się niejedno, co sobie teraz przypomnieli.

Potem Thomas zaczął wypakowywać skrzynkę i zdumieli się, zobaczywszy, ile też tego było przeznaczone dla dwóch samotnych mężczyzn.

— For ever, mała panienko — odezwał się Bildermann — możesz mi wierzyć...

Thomas zaś stał przed cienką drewnianą płytą, którą położyli na stole i patrzył z góry na wyspę wynurzającą się przed nimi, między stałym lądem a wodą. Woda była błękitna, wokół wznosiły się bory uformowane z jakiejś zielonej miękkiej masy, lśnił

nadbrzeżny piasek, szary dach schylał się nisko nad okna, a na maszcie cienkim jak igła tkwiła duża złocista gwiazda. Błyszczała wysoko nad tym dziełem młodziutkiej, nieśmiałej miłości, a Thomasowi zdawało się, że na wąskiej kładce, nad malutkimi podobiznami łódek widzi Marianne siedzącą ze schylonym czołem, ze smukłymi ramionami, patrzącą w stronę domu, w którym świeciło dla niej światło.

— Czy sama troska o nią uczyniłaby nas bogatszymi, Bildermann?

Śnieg padał na dach, trzeszczało stare belkowanie, w trzcinie chrzęściły myszy. Bildermann przyciszył dzwony, których brzmienie odszukał w eterze z pomocą swojej tajemniczej aparatury. Dzwoniły trochę ochryple, czasami niby piorun wplatał się w ich tony skrzeczący odgłos, ale dla nich obu był to jednak jakiś cud. Globus stojący obok zdawał się przepełniony życiem, bardzo, bardzo dalekim życiem, ale poprzez trzeszczące zwoje drutów i migocące lampy chwytali je w swoim przysypanym śniegiem pustkowiu. Z daleka, jakby zza oceanu, dzwony dzwoniły na chwałę Dzieciątka, ktoś przy ich piecu odezwał się głośno i uroczyście: For unto you is born this day, in the city of David, a Saviour, which is Christ the Lord… And this shall be… Potem głos umilkł, zniknął w bezkresnej przestrzeni, może odbiegł do najbliższych gwiazd i już nie wrócił.

Bildermann oznajmił swojemu panu, że jest to najcudowniejszy z teatrów, jakie istnieją na świecie. Kiedy bowiem komuś nie odpowiada coś z tego, co się tam rozgrywa, jednym palcem przesuwa się któráś z dźwigni i teatr milknie, zamiera, gasną jego światła, tak jakby tam nagle wszystkich ścięto. W zamian pojawia się inny głos, z jakiegoś innego kraju, a jeśli i ten głos albo ten kraj kogoś nie zadowala, odcina się je po prostu w pół słowa i już przepadają jak idący na dno okręt. Wyłącza się i gotowe.

Gdyby jednak mieli ochotę udać się tam, gdzie przebywa mała panienka, to poszliby tam właśnie, a gdyby był koncert oklaskiwany przez ludzi, wiedzieliby, że uczestniczą w tym dłonie małej panienki, te same, które stworzyły owo stojące na stole cudowne dzieło.

— Jesteś czarodziejem, Bildermann — orzekł Thomas. Uporali się z tym świątecznym wieczorem.

Wypaliły się świeczki, wypili zdrowie wszystkich Platenów, poczynając od tego, który poszedł na Berezynę, na dziecku kończąc, jedynej dziedziczce nazwiska, od której bystrości zależy teraz wszystko. Rozmowy ich toczyły się wolniej niż zwykle,

oczy były poważniejsze niż zazwyczaj, gdyż przyszli ich odwiedzić liczni "cisi goicie". Wytrwali z nimi, tymi "cichymi gośćmi", tak jak przetrwali wojnę i wszystko inne. Świeczki zgasły, przygasł ogień na palenisku, ale złocista gwiazda na cienkim jak igła maszcie wciąż lśniła, a gdy Thomas obudził się w nocy, dostrzegł ją unoszącą się w ciemnym pomieszczeniu, oświetloną ostatkiem dogasającego w piecu żaru.

Uporali się z telegramem od siostry Beate, dostarczonym w Nowy Rok. Na kilku wąskich wstążkach papieru było napisane, że pani von Orla jest bardzo chora i pragnie pojechać na wyspę. Thomasa prosi się, żeby zatelegrafował, czy się na to zgadza.

Zrobił to natychmiast, a potem sprowadzili z zamku łóżko i co tam jeszcze załadowała na sanie pani Sperber. Thomas i Bildermann wyjechali po gościa na stację, na której zatrzymywały się pociągi pospieszne. Generał polecił przygotować starodawne kryte sanie, którymi Friedrich Christian Ehrenreich von Platen mógłby wygodnie pojechać za Berezynę. Były obficie wyposażone w futrzane okrycia i gorące kamionkowe butle. I tymi to saniami Gloria von Orla przebyła długą drogę od kolei na wyspę, przez lasy zasypane kopnym śniegiem, przesuwające się bezgłośnie obok przeszklonych ścian sań; przejechała koło leśniczówki, gdzie oparta o płot stała kobieta w czerni, przez lód jeziora, niewidocznego pod śniegiem, po którym wiodła wąska dróżka wytyczona świerczkami.

Leżała niemal wyciągnięta na głębokim siedzeniu, podparta licznymi poduszkami. Miała futrzaną czapkę z bukiecikiem fiołków, okrywającą jej wilgotne włosy, usta wciąż jeszcze były jaskrawo czerwone, a wielkie ciemne oczy zwracały się z ogromnym zdumieniem ku rozbielonemu światu, niemal zasklepiającemu się nad wąską dróżką.

Obok niej siedział Thomas i siostra Beate. Trzymał jej dłoń, a gdy zapytała, czy w tym lesie nie mieszka siedmiu krasnoludków, uśmiechnął się i odrzekł, że może tak być, bo pod wysokimi świerkami spotykali już najdziwniejszych ludzi. Oczy jego były jednak zwrócone w stronę wstążeczek u czapki Bildermanna siedzącego obok woźnicy i nie rozumiał, dlaczego powiewają tak wesoło, i myślał: "Trzy lata... I jak to może być, że drugi człowiek przebył przez te trzy lata całą drogę, a ja nic o tym nie wiedziałem? O nic się nie zatroszczyłem. A teraz stała się ona o wiele cichsza niż ja, choć przecież to ja wyniosłem się stamtąd, żeby nauczyć się milczenia".

Z czasów Berezyny mogło z powodzeniem pochodzić również szerokie pozłacane łoże, które ustawili koło pieca, ale pani von Orla uznała, że jest wspaniałe.

Oczy jej błądziły z uśmiechem od czarnych od sadzy belek sufitu do złocistych amorków, które w nogach łoża tuliły się do siebie na czerwonawym drewnie. Możliwe, że tym uśmiechem wyrażała zrozumienie obu światów, tego, z którego przybyła, jak i tego, który był domem siedzącego w głębokim fotelu u stóp łoża i przypatrującego się jej w milczeniu.

Teraz poczuła się bardzo zmęczona. Dręczył ją kaszel, a o zmierzchu myśli jej zakłóciła gorączka. Potem spała przez chwilę, a w tym czasie siostra Beate, siedząc przy piecyku w sąsiednim pomieszczeniu, opowiadała, co się zdarzyło. Oczy jej wciąż szybko napełniały się łzami, ale sama już nie wiedziała, czy winna temu była śmierć, której cień dostrzegała daleko, na zaśnieżonym jeziorze, czy też małe, skromne pomieszczenie, z wiadrami na wodę, wiosłami stojącymi w kącie i skromnym posłaniem Bildermanna oraz obaj przypatrujący się jej mężczyźni, którzy kiedyś, wielcy i wolni, przemierzali wszystkie morza, a teraz żyją tu, na pustkowiu, tak samotni jak dwoje zwierząt w gęstwinie, oczy zaś mają takie, jakby cały świat pogrążył się dla nich w niebycie.

Czy jednak wiedzą, jak to się działo z panią von Orla? Żyła tak, jak żyła zawsze, szybko, łapczywie, tak jak żyją chorzy, którzy wiedzą więcej niż zdrowi. Trochę pokasływała, najpierw tylko rankiem. Nie gustowała w potrawach, które stawiano na stole. Nieustannie paliła (Thomas oznajmił, że przed Bildermannem nie ma żadnych tajemnic)... a miała słabość do kieliszka szampana i do mocnych, kunsztownie mieszanych wódek. Wstawała bardzo późno i bardzo późno wracała do domu. Chciała swoje ciało zmusić do tego, żeby nie odmówiło jej żadnej uciechy, jednak ono już jej nie słuchało i wciąż ją napominało. Rankiem pościel była cała wilgotna, wskazówka wagi ciała cofała się coraz bardziej.

Potem doszło jeszcze coś. Łaskawa pani miała wielu przyjaciół, jednak wiedziała, że jest samotna. Czasami, wieczorową porą, stawała przy oknie i patrzyła jak uwięziony ptak. "Tak tu cicho, Beate, taka przeraźliwa cisza", mówiła. No tak, a potem zapewne musiała zacząć stosować zastrzyki, po których błyszczały jej oczy, po których śpiewała i czarowała ludzi. Ciało jednak zaczęło mścić się skrycie. Ciało nie chciało trucizny, lecz snu i morskiego powietrza, i pożywienia, zamiast nakłuwającej skórę cienkiej igły. Siostra Beate szybko to zauważyła. Milczała, ale później prosiła, błagała, groziła. Wszystko nadaremnie.

W końcu łaskawa pani odwiedziła lekarza. Znała go dobrze, a on chyba wszystko jej powiedział, bo wysłał ją do Szwajcarii, zaś śmiercionośna strzykawka

zniknęła na jakiś czas. Potem jednak wróciła, wrócił kaszel i przetańczone noce, i nagle, jak to się dzieje z podmytą ścianą, wszystko się zawaliło. Na koronkowych chusteczkach pojawiły się plamy krwi, jak upiory stające przed przerażonymi oczami, a wyspa stawała się coraz bliższa, tak bliska, że przysłoniła inne rzeczy i sprawy, a potem pozostała tylko myśl o nim, o panu kapitanie i o tym też, że tam chce ozdrowieć, wśród lasów i jezior, o których tak radośnie opowiadał Joachim, i tylko tam, nawet gdyby musiała spać na słomie, w jakimś kąciku.

— Weź narty, Bildermann — powiedział Thomas — i pobiegnij do zamku. Niech zechcą wczesnym rankiem przysłać lekarza. Tego z kościelnej wsi. Powinni mu powiedzieć, że saniami można dojechać do wyspy.

Następnie znowu usiadł przy złocistym łożu i słuchał wypełniającego pomieszczenie szybkiego oddechu, podobnego do uderzeń ptasich skrzydeł. Ogień palił się jak zawsze, majaczyły szeregi książek, była kula ziemska, a w ciemnym narożniku, nad stołem, połyskiwała złota gwiazda. Za oknami trwała bezgłośna, białoniebieskawa noc i tylko w starych belkach wiercił i postukiwał kołatek.

Od czasu do czasu chora odzywała się, mówiła coś szybko, bez lęku i cierpienia, tak jak mówi spieszący się człowiek, który coś postradał i który przygotowuje się do wyprawy w daleką drogę, zaraz, teraz, ale jednak nie może wyruszyć, dopóki nie znajdzie tego, co zgubił.

Z tego, co mówiła, mało można było zrozumieć, a i to, co dało się słyszeć, błądziło niespokojnie i nieskładnie po morzu pamięci. Najczęstsze były obrazki z młodości, z lat w dużym domu z licznym rodzeństwem i rodzicielską parą, która budowała mnóstwo zamków na lodzie i której wszystko przelatywało między palcami, wszystko, co powinno zostać utrzymane, ukształtowane i zachowane. Przesuwały się lata wojny i te, które nastąpiły po niej, nieokiełznane, przetańczone, gwarliwe. Biegły tak szybko jak rwący nurt, który można zmierzyć tylko wtedy, gdy się patrzy na niesione przezeń szczątki.

Wszędzie, za każdymi wrotami gorączki, stał Thomas. Cień, którego nie można było uchwycić, zmieniająca swój kształt i znikająca zjawa, u której nie zmieniały się tylko oczy, napominające i powstrzymujące samym spojrzeniem, bez słowa zarzutu, ale piekące jak najbardziej dojmujący żal.

Widział drgające kąciki ust i już wiedział, że zawsze była bliższa płaczu niż śmiechu. Teraz, gdy było już za późno, dowiedział się wiele, kiedyś też znajdzie czas,

żeby przemyśleć to, co ostateczne. Nie było wcale proste pozostawienie czyjegoś życia na uboczu, nawet jeśli tak mu się zdawało. Nie dawało się rozdzielić w taki sposób słuszności i niesłuszności, jak to zwykły robić dzieci, a tym, który ucieka, chyba nie zawsze jest ten prześladowany. Wina tkwiła już w każdym dotknięciu innego życia, w wyciągnięciu dłoni albo w miłym słowie. Bo już to wiązało, umożliwiało zespolenie się, a potem z każdego rozluźnienia więzów sączyła się krew, której już nigdy i niczym nie dawało się zastąpić. To osłabiało tamto inne życie i poddawało je temu, co zawsze czeka w gotowości i zawsze się czai: owej mrocznej mocy, dla której ma się tak wiele nazw, a która jest tylko prawem, sankcjonującym to, że krąg każdego życia rozrywa się zawsze w najsłabszym miejscu.

Siostra Beate spała na podłodze, obok złocistego łoża, dla Thomasa zaś Bildermann przygotował posłanie w sąsiednim pomieszczeniu. Drzwi nie były domknięte i od czasu do czasu słyszeli błądzący w ciemności cichy głos.

— Byliśmy zbyt pewni siebie, kapitanie — odezwał się Bildermann — nie sondowaliśmy głębokości, a teraz siedzimy na mieliźnie.

— Tak, Bildermann — odrzekł Thomas.

Rano przyjechał doktor. Gdy w swoim sięgającym do ziemi futrze podchodził od brzegu, wysoki, masywny, o ustach pozbawionych uśmiechu, wyglądał tak, jakby na barkach dźwigał wszystkie losy, których jego dłonie dotknęły w ciągu całego długiego życia. W połowie stoku zatrzymał się wśród owej niesamowitej ciszy i obejrzał się za siebie, jakby chciał się upewnić, czy ta wyspa wyglądająca na wymarłą, jak wszystko dookoła, jest odpowiednim miejscem dla śmierci. Na śniegu widniało jednak kilka śladów, na wyspie stał dom, nad którym prosto w powietrze unosił się dym, u brzegu leżały zaś, niby trumny, odwrócone łodzie.

Thomas najpierw zaprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie doktor zdjął futro i zaczął rozgrzewać przy ogniu dłonie. Wysłuchawszy krótkiej relacji, kiwnął głową, uważnie przyjrzał się Thomasowi i zapytał, czy zamierza zostać tu na zawsze.

— No, no — powiedział potem krótko.

Czasem tak bywa. On nazywa to mnisią skłonnością. Nie jest to jednak najgorsze w porównaniu z innymi dziwnymi zachciankami.

Potem zaprowadzono go do chorej.

Miała pomalowane szminką usta, założyła też sznur perełek; teraz uśmiechała się, tak jakby urodziła dziecko i przyjmowała pierwsze odwiedziny. Z tego uśmiechu i z klejnotów emanował jednak skryty lęk, tak jakby wystrojono martwe dziecko z uśmiechem zastygniętym na ustach. Thomas odwrócił się i podszedł do okna, za którym po wielu szarych dniach zawisło nad lasem rumiane słońce.

Lekarz usiadł obok złocistego łoża i w milczeniu przyglądał się chorej. Wciąż się uśmiechała, a w kącikach jej oczu widniała ledwie dostrzegalna drwina, tak przytłumiona, jakby była przeznaczona tylko dla lekarza, jedynego, który wie, rodzaj tajemnej mowy, w jakiej zostało bezgłośnie powiedziane to, co zrozumieli oboje. Doktor dostrzegł to i przez chwilę zdawało się, że przytaknął skinieniem głowy na znak, że ona ma rację, a także, iż oboje będą do samego końca odgrywali ową ostatnią komedię, jedyni dorośli wśród dziecięcej widowni.

Potem poprosił o relację na temat jej dolegliwości, co też posłusznie i z uśmiechem zrobiła, podczas gdy on, niemal niedbale, sprawdzał jej puls, a następnie nagłym ruchem podciągnął rękaw nocnej koszuli na lewym ramieniu i wskazując palcem, przejechał po bliznach. Chciała cofnąć ramię, a w oczach jej blady strach zajął miejsce uśmiechu. On jednak tylko pokiwał głową, a w kącikach jego oczu również pojawiła się nagle ledwie dostrzegalna pogardliwa drwina, wiedza o zwykłych, nierozsądnych, ludzkich błędach.

— Jak długo? — zapytał tylko i znów pokiwał głową, a następnie cicho powiedział, że jeśli ona nie ma już nic przy sobie, powinna mu to powiedzieć.

Potem zaczął ją badać.

Gdy wyczerpana opadła z powrotem na poduszkę, oświadczył, że trzeba ją wyciągnąć z najgorszego, a potem do Szwajcarii! Tam zdrowieli nie tacy jak ona.

Błyszczącymi oczami przypatrywała się, jak wypisywał dwie recepty, a gdy wstał i pożegnał się, w kącikach jej oczu znowu pojawił się tamten ledwie dostrzegalny błysk. Podążał za nim aż do wąskich drzwi, które otworzył przed nim Thomas, zmusił do tego, by jeszcze raz się obejrzał i wymógł, żeby w milczeniu odwzajemnił się tym samym.

W przyległym pomieszczeniu, zwrócony w stronę ognia, przy którym znów rozgrzewał dłonie, powiedział:

— Dzielna, bardzo dzielna…

W końcu Thomas zapytał, czy istnieje nadzieja. Nie, nadziei żadnej nie ma. To oczywiste, że żadnej. Powinno się jej tylko wszystko ułatwić, również tamto z zastrzykami... Ile ich jeszcze ma? Siostra Beate mówiła, że powinny wystarczyć na czternaście dni.

Zamyślił się i skinął głową. Powiedział, że powinno wystarczyć i uważnie przyjrzał się Thomasowi. Zawsze powinno się ułatwiać tę ostatnią drogę, dodał. Życie i tak jest dla ludzi dostatecznie trudne, a nikt nie wie dokładnie, dokąd prowadzi ta ostatnia droga. Może jednak pan to wie, Thomas?

Nie, tego nie wiedział.

Potem pomogli mu włożyć ciężkie futro i Thomas odprowadził go do sań. Nisko nad lasem wciąż jeszcze stało słońce, a jego czerwony blask oświetlał białą równinę. Było zimno, sierść obu koni pokrył szron.

Doktor podciągnął futro i podał Thomasowi rękę.

— Jeśli prawdą jest to o "koronie Stworzenia" — powiedział — to było to bardzo niedoskonałe Stworzenie. Powinno być zrobione lepiej... Pojutrze wieczorem znowu tu zajrzę.

Kres zbliżał się szybko, tak szybko, jakby śmierć już dokonała swojego dzieła, a jeszcze tylko nie zdążyła przeciąć ostatnich nici. Zupełnie pogodna, jasna godzina zdarzała się tylko po morfinie. Chora była przepełniona rozigraną wesołością, zupełnie tak, jakby wszystko było tylko żartem, komedyjką do postraszenia lękliwych dzieci, które przypatrują się jej z lękiem, ale która skończy się dobrze.

W czasie jednej z takich godzin Bildermann przewiózł ją na saneczkach wokół wyspy. Saneczki zaopatrzono w oparcie, wymoszczono i otulono futrami i kocami. Bildermann pchał je przed sobą po dziewiczym śniegu. Odbyło się to w południe, świeciło słońce, ze wszystkich drzew spadały krople. Kazała opowiedzieć sobie wszystko: gdzie położony jest zamek, gdzie zastawiają sieci, gdzie wieczorami przesiadują czaple. Na sankach zdawała się być lekka jak ptaszek, a i jej głos przypominał głos ptaka; nie był to już śpiew, ale raczej znużone ćwierkanie, samotne, zagubione w przeraźliwej samotności, niby dźwięki wydawane przez jemiołuszki, które przylatywały tu na parę godzin, prawdopodobnie z dalekiej północy, a potem znikały nie wiadomo gdzie.

— Bildermann — odezwała się, gdy już nie było widać domu — może Thomas pomyśli, że chciałabym leżeć tutaj. Musi mu pan powiedzieć, że nie chcę. Ta wyspa

istnieje dla życia, dla was obu, a nagrobek to coś, o co człowiek wciąż się potyka, jak o źle przymocowany chodnik. Tam gdzie przy płocie stała owa kobieta, o, tam byłoby dobre miejsce. Tam będziecie mieli mnie nie za blisko, ale i nie za daleko. Obiecuje mi pan to, Bildermann?

— Tak, obiecuję.

— I jeszcze jedno, Bildermann. Sporządziłam testament. Ze wszystkich tamtych głupich lat ocaliłam sporo. Myślę, że on zostanie tutaj, pan zaś, Bildermann, będzie musiał postarać się o to, żeby pozostać z nim, słyszy pan? On jest taki cichy, że będzie lepiej, żeby nie był samotny. Ze mną nic by z tego nie wyszło, ja się nie nadawałam, ale pan będzie czuwał, wiem to. Sporządziłam dla pana legat... Nie, nie, Bildermann, pan zostawał w domu, żebym ja mogła pójść tańczyć, wiem o tym dobrze, i... będę mogła odejść spokojniej, gdy będę wiedziała, że zostanie pan tutaj. Obiecuje mi pan to, Bildermann?

Obiecał i to, a potem powiózł ją do domu. Przypomniał sobie, jak stała przed nim w ogrodzie, pod sosnami, i szukała w torebce banknotu dla niego, a przed bramą czekał lśniący samochód. Zobaczył znajdującą się blisko jego oczu spoconą skroń, na której krzyżowały się cienkie błękitne żyłki i patrząc na to, zacisnął zęby.

— Never mind, Frau Kapitan — powiedział cicho na progu — my zawsze będziemy płynąć na wiatr.

Przechyliła głowę na bok, tak że policzek oparł się o jego ramię i uśmiechnęła się do niego. Oczy jej znajdowały się blisko jego oczu, on zaś wstrzymał oddech, by nie zmącić ich wilgotnego zwierciadła.

Również w ciągu takiej godziny, tylko wieczorem, zapytała Thomasa, skąd wzięła się złota gwiazda nad modelem wyspy.

— Ona była u mnie — rzekła, gdy jej powiedział. — Niedługo przed moim wyjazdem tutaj. Z pewnością chciała zobaczyć, jak wygląda kobieta, która osamotniła swojego męża. Była onieśmielona, ale jeszcze raz zawróciła od drzwi i powiedziała: "Proszę, proszę, niech pani tam kiedyś pojedzie... Oni dwaj znajdują się na oceanie... Pocałowała mnie w rękę i szybko odeszła... Dziwne, ładne dziecko... No i przyjechałam. Zamknęła oczy i tylko głaskała okrycie prawą dłonią.

— Na oceanie... — powtórzyła cicho. Potem zasnęła na godzinę.

Pewnego popołudnia przyszedł, pieszo, po lodzie, generał ubrany w długi szary płaszcz, z którego usunięto czerwone wyłogi. Wszedł cicho przez tylne drzwi i groźnie mrużył oczy pod oszronionymi brwiami.

Pani von Orla chętnie zgodzi się na spotkanie z nim, jeśli on się nie boi... Usiadł obok jej łóżka, ściszał głos tak, że brzmiał całkiem ochryple i wyczytywał z jej oczu każde pytanie. Oczywiście, dziecko jest bardzo ładne, najładniejsze ze wszystkich, jakie widział. Jest wszystkim, co mu zostało. To już mała dama, jedyny promyk na tym ponurym świecie. Jest tym, dla czego rodzą się wszystkie kobiety. Tak, ci tutaj nie powinni martwić się o nic. Wyspa jest wyspą pana von Orla, dopóki żyje. To oficer i szlachetny człowiek, którym cieszyłby się wielki król. Pociecha na starość, on i tamto dziecko, a kiedy łaskawa pani wyzdrowieje, umają dużą łódź różami i przewiozą ją na taras nad jeziorem.

Gdy już się pożegnał, chora stwierdziła z uśmiechem, że pan von Platen jest bardzo rycerski.

— To miłe poznać przed ostatnią podróżą takiego rycerza, z tarczą i w hełmie, z wyblakłą szarfą...

— Miły Bóg zapomniał o nas, Orla — powiedział na brzegu generał.

— To niepotrzebne... Taka młoda... Możliwe, że pomylili się tam na górze...

— Nie, panie generale — odparł cicho Thomas — to nie żadna pomyłka. To tylko istniejące Prawo, a Prawo jest ślepe. Bez względu na osobę. Tak też ma być.

— Możliwe, Orla... — patrzył na lód przed sobą. Słońce schowało się za wyspę i daleko na jezioro rzucało cień dachu. Przez odległą zatokę szli do swojej wsi robotnicy leśni. Kroczyli jeden za drugim, a na ich ramionach, niby karabiny, spoczywały siekiery i piły.

Obaj przypatrywali się temu. Wojna jeszcze nie umarła. Widok mężczyzn niosących na ramieniu cokolwiek wysmukłego, powodował, że znów się przypominała. Ziemia spała, ale nie spała śmierć.

Thomas odczekał, dopóki mężczyźni przebyli zatokę i nie zniknęli w lesie. Teraz na lodzie widniała tylko postać generała. Stawała się coraz mniejsza, jak postać człowieka, który oddalał się i nigdy nie miał wrócić; obok niego szedł jego długi, poziomy cień.

Dwunastego dnia spostrzegli, że zbliża się kres. Koło południa chora stała się niespokojna i zapragnęła posiedzieć na fotelu, przy piecu. Thomas przeniósł ją i

otworzył drzwiczki paleniska, żeby było jej cieplej. Stanął przy niej, ona zaś delikatnie musnęła przezroczystymi palcami jego dłoń.

— Przebacz mi, Thomas — powiedziała.

Ucałował jej czoło i przysiadłszy na poręczy, objął ramieniem jej barki. Była tak drobna jak dziecko. Patrzyła obok niego, w stronę okna, głowę oparła na jego piersi. Znowu zaczął padać śnieg; patrzyli, jak sypią się jego płatki.

Wieczorem, zanim jeszcze nie straciła przytomności, poprosiła, żeby przysunięto do łóżka globus. W izbie panował mrok, jaśniał tylko płomień paleniska, po lądach i morzach przebiegały niespokojne rozbłyski, jak od jakiegoś pożaru. Siedział u wezgłowia jej łoża i spostrzegł, że dłoń jej oparła się na globusie. Wyglądało to tak, jakby dłoń zanurzyła się w Oceanie Indyjskim.

Zaczęła lekko obracać kulę ziemską, tak wolno, że południki wyłaniały się zza horyzontu w znacznych odstępach. Równik rzucał na lądy i morza ciemny pierścieniowaty cień, czerwona wstęga ekliptyki rozpościerała się, to znów znikała. Oczy chorej spokojnie śledziły tę cichą zabawę, a kiedy w końcu obroty ustały, powiedziała:

— Jak wielka jest Ziemia, Thomas, jaka wielka...

Trudno mu było przyglądać się jej delikatnej, niemal już przemienionej dłoni, leżącej na tle dużego odwzorowania siedliska wszelkiego życia i delikatnie przesunął ją na kołdrę, ale oczy, wciąż jeszcze przepełnione blaskiem tęsknoty, wciąż były zwrócone ku nieruchomej teraz dali.

— Jaka cisza, Thomas — powiedziała po chwili. — Tak było najczęściej. Widzisz, w domu było nas dużo, sześcioro rodzeństwa i rodzice, a wszyscy zachowywali się głośno, byli weseli. A potem, u ciebie, było cicho, także wówczas, gdy nie przebywałeś na okręcie, lecz byłeś w domu. Właśnie wtedy. W domu śmiali się, nawet gdy nie było to właściwe... Ty śmiałeś się rzadko. Byłam głupim dzieckiem. Byłam taka młoda i ciągle marzyłam... Nie byłam zła, kochałam cię też, ale było tak cicho, Thomas...

— Przebacz mi — rzekł. — Postępowałem niewłaściwie... Zbyt szybko się postarzałem, o wiele za szybko...

— Nie, nie Thomas, nie obciążaj wszystkim siebie... Wy dwaj żyliście tutaj tak ubogo, na tym "oceanie", a ja tańczyłam i żyłam hałaśliwie... Ale wiesz, Thomas...

przysuń się całkiem blisko… najostatniejsze z tego, czego domagałabym się od ciebie, było twoje odejście…

— Nie mów już nic — prosił.

— To nie było błazeństwo, Thomas — odezwała się po chwili.

— Kiedyś tak powiedziałam, ale to nie była prawda. Ty nie byłeś, tylko my, również Joachim, tak…

— Wszyscy byliśmy, Glorio — stwierdził. — Myśleliśmy za dużo, a to, co ostateczne, zawsze jest takie proste… bez myślenia.

Oczy jej zaczęły się zamykać, świadomość mącić.

— Takie proste — powiedziała kilka razy, ale najpewniej była to tylko gorączka. To ona mówiła. Po chwili powtórzyła z długim i ciężkim westchnieniem: — Jak cicho… Thomas…

Potem już się nie odzywała. Wieczorem rozpoczęło się zmaganie ze śmiercią i już się nie ocknęła, nie odzyskała przytomności.

Umarła godzinę po północy. Zatrzymując wahadło zegara, Thomas odczytał godzinę. Kiedy wyszedł na próg, jeszcze ciągle padał śnieg.

Bildermann wykopał grób koło leśniczówki. Nie chciał pomocy, choć ziemia była głęboko zamarznięta. On również miewał czasami gorzkie myśli, nie szkodziło więc, że pot z jego czoła zrosił grób.

Od czasu do czasu przychodziła mroczna kobieta i przyglądała się mu. Otuliła się czarną chustą, a gdy zbliżyła się między ośnieżonymi świerkami, cicho nucąc, Bildermann pomyślał, że tak mógłby wyglądać anioł śmierci ukazujący się tym, którzy w niego wierzą.

Stała u stóp mogiły i zgasłymi oczami patrzyła na osuwający się piach.

Rolling home, my boys, to windless, zaczęła cichutko. Rozciągała melodię, tak jak robią to w kościele stare kobiety, kołysała tułowiem tam i z powrotem. Bildermann zaś wyszedł z dołu, uchwycił ją ostrożnie i odprowadził do domu.

O wszystko zatroszczył się generał, Thomas miał więc czas, żeby siedzieć przy zmarłej i patrzeć na nią. Znalazł też czas, żeby przypiąwszy narty, długo jeździć po lasach, a gdy wrócił, znowu usiadł przy wąskiej trumnie i wpatrywał się w milczącą twarz. Widział wielu zmarłych, lecz ta była inna. Kiedy zniknęły barwy i zabrakło blasku oczu, stała się twarzą biedniutką, tak biedną, jakby roztrwoniła wszystko, również ostatniego feniga na podróż. Nie była smutna ani surowa, ani odpychająca,

była tylko nieco strwożona; kąciki bladych ust opadły ledwo zauważalnie, jak u dziecka. Nie można było patrzeć na nią bez żalu, że oto nie otoczyło się jej lepszą opieką, zdawało się też, że trzeba by ją okryć, żeby nie marzła.

Thomas wiedział dość dobrze, iż było już za późno. Żadna wiara nie dawała mu szansy na ponowne spotkanie. Biedniutką ta postać przeminęła, tak jak widział przemijanie wielu, a to, o czym mówili, że nie przemija, było czymś kruchym. Tkwiło we krwi Joachima, we wspomnieniach, w odblasku, który pozostawiło jej życie. Część zachowa on sam, część Joachim, ale większość przeminie jak wieczorna zorza. Wiedziało się, że istniała, widzieli ją ludzie, zwierzęta i rośliny, ale przyćmiła ją zorza poranna, przysłonił ją nowy dzień.

Zrozumiał, iż w ciszę nie odchodzi się bez winy, że winę trzeba wziąć na siebie, żeby zachować to, co się miało dla siebie. Jednostkowa wina jest lepsza od ogólnego zadowolenia.

Pastor stracił na wojnie lewą rękę, mówił też do nich, odzianych w znoszone mundury, jak do kolegów. Nie próbował ich pocieszać. Mówił o śmierci jako o gorzkim owocu, przeznaczonym do tego, żeby go spożyli. Sztandar wciąż jeszcze powiewa, również nad umarłymi, właśnie nad umarłymi, oni zaś powinni znów wziąć go w dłonie i maszerować dalej. O celu nie wiedzą nic, ale powinni uwierzyć, że tam znajduje się sens tej drogi. Spętani są niejasnym słowem, ale kiedyś więzy zostaną zerwane i ptak stanie się wolny.

Thomas stał obok trumny, a gdy uniósł wzrok, zobaczył globus, który poruszała jej dłoń. W jego stronę zwrócona była błękitna powierzchnia Oceanu Indyjskiego, morza, w którym zanurzyły się jej palce, zanim nie wyruszyła w ostatnią podróż. Obok, opierając się obiema rękami na lasce, stał generał. Ściągnął siwe brwi i patrzył na trumnę jak na jakąś popełnioną przez Boga pomyłkę. Za nim Thomas dojrzał hrabiego w jasnobłękitnym mundurze, jaki nosił też jego ojciec, i wydało się mu, że w tejże chwili po jego ustach przemknął melancholijny uśmiech, jak wtedy, gdy przy kominku, opowiadał o szarym gościu, który pogrążony w medytacji zwiastował to, co miało nadejść.

Joachim nie przyjechał. Nie przysłał wieńca, tylko napisał, że trwa pełnia pisemnych sprawdzianów, więc nie może przybyć. W tej sytuacji mógłby zawalić cały egzamin.

Szli pieszo za trumną, za nimi jechały sanie. Czerwone słońce skryło się już za wyspą i rzucało przed nich długie ich cienie. Od ośnieżonych lasów wiał słaby wiatr zwiewający na bok wstążeczki czapki Bildermanna. Przy płocie leśniczówki stała kobieta i cicho nuciła pieśń o fladze. Stało się samo z siebie, że kroki idących podporządkowały się taktom piosenki.

Podczas całej ceremonii rozlegało się nad nimi smutne pogwizdywanie gili, dochodzące spośród świerkowych koron, a upuszczone przez ptaki i niesione wiatrem brązowe nasionka szyszek opadały na grób.

Siostra Beate odjechała do zamku z płaczącą panią von Sperber. Thomas chciał zostać sam. Podziękował za wszystko i powiedział, że chętnie wstąpi w najbliższych dniach.

Wrócił wraz z Bildermannem, wziął narty, a na wyspie znalazł się już w zupełnej ciemności. Świeciła lampa, nie było już złocistego łoża, wszystko stało się takie jak poprzednio. W milczeniu zasiedli u ognia i palili fajki. W powietrzu unosiły się jeszcze resztki woni wieńców i kwiatów. Zegar podjął swój dawny chód.

— Znałeś to, Bildermann? — spytał Thomas. — "Więzy zostały zerwane i ptak stał się wolny"?

— Nie, kapitanie.

— W starej Księdze znajdują się piękne rzeczy...

— Tak jest, kapitanie... Ale i to o sztandarze było ładne. Tego nie wziął z żadnej książki.

— No tak, a jak to brzmiało, Bildermann?

— "Sztandar powiewa także nad umarłymi", kapitanie. Tego powinniśmy się trzymać, prawda kapitanie?

Thomas spojrzał na niego.

— Zapewne tego chcemy, Bildermann — powiedział.

Rozdział 11

Zdarzają się lata, które nie zasługują na rozgłos ani na sławę. Są niby sztachety w płocie i mija chwila, zanim nie pojawi się dębowy słupek, podtrzymujący całość i nadający jej wygląd. Nie znamy jednak płotu składającego się z samych słupków, jak również życia złożonego z dni, z których każdy byłby godny rozgłosu albo sławy. Taki płot musiałby być wielki i wielkie musiałoby być takie życie.

Jeśli idzie o wielkie lata, los jest oszczędny. Chłopiec z patykiem w dłoni biegnie wzdłuż płotu. Patyk prześlizguje się po sztachetach; brzmi to jednostajnie, aż przychodzi kolej na jeden ze słupów. Wtenczas rozlega się wyraźny, wyodrębniony ton. Tak też jest z naszymi latami, wzdłuż których biegnie los. Postukują co nieco, póki wreszcie nie przyjdzie kolej na taki "rok-słup". Nie powinno się ich lekceważyć, życie wie, po co są, ale i nie trzeba o nich gadać. Ciche żywoty są niby rosnące w głębokości kamienie, tak że nic się o nich nie wie, ale kiedyś pobuduje się z nich wielkie katedry.

W owych latach los dwukrotnie nawiedził Thomasa i Bildermanna, dotknął ich, a potem znów się skrył. Za pierwszym razem, po takim dotknięciu (od czasu wojny nic ich nie dotknęło) wstali i odeszli. Wyrwali się z pustego życia i odeszli. Udali się na wschód, losowi było jednak obojętne, w jakim kierunku róży wiatrów poszli. Czekał na nich wszędzie.

Za drugim razem śladem ich przyszła umierająca, przyglądała się im przez dwa tygodnie, mówiła niewiele i odeszła. Byli zbyt pewni siebie. Na rękach mieli pozrywane nici więzów, ale zgarnęli je, tak jak po przejściu przez jesienny las zgarnia się pajęczyny. Nie rzucili ciężarka sondy, bo zdawało się im, że znają tor wodny, los jednak uderzył w ich stępkę. Dotknęli nią dna, maszty zadygotały, zakołysały się lampy. Wszystko szybko minęło, ale nie byli przecież głusi i ślepi. Zrozumieli ostrzeżenie. Nie dostrzegali w tym boskiej dłoni, lecz raczej mroczną siłę, której oblicze dobrze poznali w ciągu ostatnich lat. Nazwy nie miały zresztą dla nich znaczenia, rozumieli również wołanie bezimienne.

Zrozumieli, że ludzi, nawet tych samotnych, a może ich najbardziej, wiąże ze sobą każdy uścisk dłoni, a choćby i każde słowo. Że życia nie daje się wydobyć z przeszłości, tak jak rybę z wody, że każdy uczyniony krok depce po życiu, chyba że

chodziłoby się po powietrzu, lecz przecież nie wiadomo, czy nie sprawiłoby mu to bólu. Stali się ostrożniejsi niż zwykle i jeszcze pilniejsi niż zazwyczaj. Praca jawiła im się jako jedyny pewny i znajomy krąg.

Zadowalali się tym, co było im przypisane i co obiecywali sobie, podpisując umowę. Zdawało się, że pozostawia to im zbyt mało, ale jednocześnie i zbyt wiele czasu na sprawy nie będące pracą. Chociażby na rozrywkę albo na rozmyślanie. Można było powiększyć ziemniaczane poletko, doprowadzić ogród aż do brzegu, można było zbudować łaźnię. Wyglądało na to, że dni były za krótkie dla tych dwóch mężczyzn, którzy nie chcieli być dobrzy ani źli, szczęśliwi ani nieszczęśliwi, a tylko chcieli być pilni, bo sens życia stał się dla nich czymś wątpliwym. Nawet o tamto dziecko nie musieli się troszczyć, dopóki żyło w oddali. Do niej można było pisywać i dawać jej do zrozumienia, że niedostrzegalnie stoi się przy niej. Można było, od czasu do czasu, przesiadywać przy kominku u generała, dostrzegając w jego oczach, że go to cieszy. Można też było udać się do hrabiego, a niekiedy do leśniczego, który wierzył w świętych. Byli ludźmi milczącymi, obcującymi z tym, co niewidzialne. Można było, będąc u nich, ukazywać im bez słów, że na świecie wciąż jeszcze jest to, co widzialne, że uczestniczy w ich życiu, że walka nie toczy się w zupełnych ciemnościach ani bez udziału towarzyszy broni.

Lecz i to znalazło swój kres. Kiedy Bildermann poszerzał krąg swoich wędrówek, wyfruwając niby gołębica z arki Noego, kiedy wstępował do jakiejś gospody albo na jakieś zgromadzenie, zawsze wracał bez gałązki oliwnej.

— Oni wciąż gadają, kapitanie — mówił — ale na cmentarzach coraz więcej dziecięcych mogiłek. Jak już nie chce się im pracować, to świętują i zabijają tych, którzy chcą pracować. Gdyby byli tutaj, zabijaliby nas co dzień, kapitanie.

Thomas podnosił wzrok znad swojego zajęcia. Przywiązywał ołowiane kulki do ciężkiej sieci albo na białą kartę wpisywał jakieś słowa lub zdania.

— Nie jesteśmy jedynymi cichymi i pracowitymi, Bildermann — mówił. — Tamci też się kiedyś pozbierają. My zaś musimy odzwyczaić się od trzymania w ręku bata.

Zima była sroga i długa. Przez okolicę przeciągały dziwne ptaki i dziwni wędrowcy, prorocy i włóczędzy, pewnego zaś ranka stanął w drzwiach Christoph. Broda wciąż sięgała mu do pasa, oczy nie pojaśniały, a ze znoszonej odzieży wciąż unosiła się woń tytoniu i ryb.

Zamknął za sobą drzwi, spojrzał pobieżnie na Thomasa i Bildermanna, którzy siedzieli przy śniadaniu, a potem stąpając cicho swoimi poowijanymi i osznurowanymi stopami, podszedł do globusa. Stał tam długo, ręce oparłszy na grubej lasce i przyglądał się lądom i morzom rozciągającym się przed jego oczami, w zasięgu ręki. W końcu uniósł ostrożnie dłoń i łagodnie popchnął kulę, tak by obracała się wokół osi. Na jego twarzy powoli narastało wielkie zdziwienie, przyćmione nieokreślonym smutkiem, ciągnął i wciąż niezdecydowanie powtarzał ową zabawę z przesuwającymi się przed nim krainami.

Przyglądali mu się w milczeniu, mimo woli jego widok poruszył ich. Stał jak spętany, przed nim zaś przemykała barwna iluzja świata. Nie wyglądał jak zwycięzca, ale jak rozbitek, lecz nawet pokonany miał w sobie nieprzejednanie kogoś, kto nie godzi się ze swoim losem.

Potem zamyślonym spojrzeniem omiótł książki i całą resztę, a wreszcie podszedł do stołu i rzekł:

— A więc jednak był pan przebierańcem, kapitanie!

Zaprosili go, żeby się z nimi posilił, a po pewnym czasie Thomas zapytał, jak mu się powodziło i czy już dostrzega zbliżający się sztandar zwycięstwa.

Tamten tylko machnął lekceważąco ręką.

— Kiedy tuczy się burżuj — powiedział — nie dziwi się temu żaden człowiek. On nigdy nie robił nic innego. Kiedy jednak tuczoną świnią staje się proletariusz, chce się rzygać. Zaraz sobie pójdę.

Dokąd chce iść?

Wskazał ręką na wschód, a spojrzenie jego melancholijnych oczu wyprzedziło ruch ręki.

A może chciałby zostać? On, Thomas, mógłby porozmawiać z generałem, czy nie znalazłby dlań jakiejś pracy. Robak siedzi i w rajskich owocach.

Nie, nie chce zostać. Za długo był rybakiem, ryby wędrują, o czym przecież wie i kapitan.

Tak, ale najczęściej do sieci.

Christoph odparł, że i to mogłoby się zdarzyć, ale on chce umrzeć w sposób przyzwoity.

Dostał kieliszek rumu i paczuszkę tytoniu. Potem sięgnął po laskę.

— A co dzieje się ze złotą koroną? — zapytał już na progu i uśmiechnął się.

— Unosi się, Christoph — odrzekł Thomas. — Nie spoczywa już na dnie.

— No to niech pan trzymają mocno, kapitanie — stwierdził łagodnie Christoph.

Widzieli, jak szedł po lodzie, w swoim szarym, kusym płaszczu. Bezgłośne stopy zostawiały szerokie ślady.

— Jak wilk — powiedział zamyślony Bildermann.

Po zmrożonej śnieżnej okrywie wędrowały również zwierzęta, robiące wiele mil w ciągu jednej nocy, jeśli tylko były tak lekkie, że się nie załamywała. Pewnego ranka, już pod koniec zimy, Bildermann zauważył duży trop, który początkowo uznał za ślady psa, ale później wydał mu się jednak jakiś obcy i dziwny W śnieżnym tumanie zajechał pod zamek i nie spoczął, póki generał nie kazał zaprząc sani.

Były to tropy wilka.

Zanim nie zebrali myśliwych, zrobiło się popołudnie. Wiatr zmienił kierunek, pocieplał i wiał przez las od południowego zachodu. Nie padał deszcz, ale śnieg zsunął się z drzew. Najpierw pylił obłokami i welonami, i przez las snuły się długie, białe smugi. Potem zaczęły się zsuwać cięższe pacyny, ześlizgujące się po gałęziach. Głucho uderzały o ziemię; uwolnione od ciężaru gałązki kołysały się lub też łamały się pod wzrastającym ciężarem. W zagajnikach i w wysokopiennym lesie zapanował niepokój, a wszyscy martwili się, czy też zwierzę bezgłośnie nie umknie.

Thomas i "młody hrabia" stali obok siebie, dopóki strzelcy nie zajęli swoich stanowisk. Pernein wyraził chęć zaproszenia Thomasa do siebie zaraz po polowaniu, on jednak sądził, że będzie już zbyt późno, tym bardziej że na zamku nie będą mogli odmówić wypicia zwycięskiego toastu. Hrabia zauważył, że żadne z tego rodzaju zwycięstw nie wydawało mu się zupełnie uczciwe. Dwudziestu naganiaczy i dziesięciu strzelców przeciw jednemu zwierzęciu to przecież żaden sukces. Przy tego rodzaju okazjach on sam zachowuje się tak, jakby niczego nie dostrzegał i przepuszcza zwierzę. Nierówność uzbrojenia jawi mu się jako coś fatalnego.

— Znowu myślimy zbyt wiele — powiedział z uśmiechem Thomas.

— Proszę popatrzeć na Bildermanna i innych. Oni widzą tylko wilka.

— Tak, ale my dostrzegamy pojęcie wilka, drogi Orla. W tym tkwi cała nasza tajemnica dotycząca nie tylko polowań... No to tymczasem...

Na końcu duktu podniesiono rękę na znak, że ruszyła nagonka. Otrzymała polecenie, żeby iść cicho i powoli, a tylko od czasu do czasu postukiwać kijami po drzewach. Słychać było tylko wiatr, z głuchym dźwiękiem przeciągający po koronach,

zapowiadający odwilż i zrzucający z drzew śnieg. Przez taki las idzie teraz tamten stary człowiek, pomyślał Thomas. Ma owinięte stopy, a na czapkę spada mu śnieg. To wątpliwy dar, który człowiek otrzymał wraz z wiarą.

Nagle głośno i nerwowo zaczęła pokrzykiwać w gąszczu sójka. Rozlegało się to po całym lesie, niby uderzenia. Potem, jak rakieta wzlatująca z głębokości, podniosło się dzikie zawodzenie naganiaczy, ucięte jednym, dwoma, trzema wystrzałami i znowu wybuchło, jeszcze bardziej dzikie i szalone niż poprzednio, ogarnęło całą linię i jak ogromna rozpędzona fala runęło na strzelców.

Wilk musiał próbować ucieczki przez linię naganiaczy, trzeba go więc było ostrzelać i zawrócić.

Nie, to jednak nie jest wyłącznie pojęcie, pomyślał Thomas, kiedy zaczęło mu walić serce i poczuł, że lufa strzelby zaczęła drżeć w dłoni.

Między nim a hrabią Perneinem rosła kępa wysokich na chłopa świerków, wciąż grubo okrytych śniegiem. Widoczność była ograniczona, a do wnętrza gęstwiny otwarta tylko wzdłuż płytkiego, na wpół zawianego rowu, obrzeżonego i zasłoniętego leszczyną oraz grabiną.

Przy końcu rowu, pod gałęziami przewróconego świerka, jasny lodowatoszary pysk wilka ukazał się dopiero wtedy, kiedy zewsząd dał się słyszeć jeszcze stłumiony, wysoki dźwięk, z którym kije naganiaczy uderzały w drzewa. Zwierz wysunął się spod śniegu i gałęzi tak bezgłośnie, jak filmowy obraz na ekranie, odwrócił się, popatrzył za siebie, znowu zwrócił oczy ku przodowi i zaczął bliżej i bliżej przesuwać się przez zarośla rosnące na zboczu rowu.

Od czasu do czasu z jakiejś leszczynowej gałęzi spadał kawałek śniegowej czapy, duży jak dłoń, uwolniona od ciężaru gałąź kołysała się lekko w górę i w dół, i tylko po tym można było poznać, że szlak wilka zbliża się do nich.

Obaj przyłożyli kolbę strzelby do policzka, jednak strzelanie w gęstwinę nie było możliwe ani dopuszczalne. Stukanie nagonki zbliżyło się, stąd i zowąd było można usłyszeć wykrzykiwane po polsku dawne zawołanie naganiaczy: "Wilk... wilk! Wilk..."*. Brzmiało to jak ponure zaklęcie.

Przy końcu rowu, tam gdzie biegł ciepły jeszcze trop wilka, siwobrody mężczyzna przekroczył przewrócony, osypany śniegiem świerk, dostrzegł trop, uniósł

W oryginale "Jilk... jilk! Jilk...", co zapewne wzięto się stąd, że autor nie znający dobrze mazurskiej gwary napisał to, co słyszał, choć zapewne wołano "Zilk... zilk! Zilk..." — przyp. tłum.

w górę obie ręce i zapominając o ostrożności i regułach, wrzasnął dzikim, wysokim głosem w stronę nagonki.

Stało się tak, jakby ów krzyk wyrzucił wilka z ostatniej kryjówki jak z procy. Trzema długimi susami znalazł się na skraju duktu, czwartym rzucił się w górę i w dal, ponad białą drogę i jeszcze będąc w powietrzu, niemal dotykając szarą paszczą pierwszych gałęzi lasu po drugiej stronie, dostał kulę hrabiego. Thomasowi mogło się zdawać, że usłyszał twarde uderzenie, a i to, że wyciągnięte cielsko zwinęło się w powietrzu, zanim nie przekoziołkowało w śnieżnym pyle. Jeszcze raz uniosło się, spojrzało dziko i opadło niby kłąb szarego kurzu.

— Szkoda! — powiedział hrabia, gdy stanęli nad martwym cielskiem. Oczy jego badawczo wpatrywały się w zdobycz, a kiedy ze swoim roztargnionym, smutnym uśmiechem na ustach spojrzał na Thomasa, jemu wydało się, że za ową wysoką, przygarbioną postacią dostrzega długi rząd jej przodków, którzy, być może, w tych samych lasach polowali na wilki i z pewnością żaden z nich nie wypowiedział słowa żalu nad pokonanym zwierzem.

— Dlaczego pan nie strzelał, Orla?

— Był bliżej pana, a poza tym, żeby sprawę tak szybko załatwić kulą, trzeba mieć wielu przodków biegłych w tym procederze.

— Chętnie bym tego panu użyczył — stwierdził hrabia. Następnie dość obojętnie zdał sprawę z przebiegu zdarzenia generałowi i pozostałym.

Z zamku wrócili dość późno. Hrabia zrezygnował ze zdobyczy, bo nie miał jej jak wykorzystać. Uważał, że w holu wilk będzie się prezentował okazale, prosił więc, by generał zechciał sprawić mu tę niewielką radość i przyjąć go.

Generał wymieszał ognisty grog i wygłosił przemówienie. Zdarzenie symboliczne… Szlachetna krew starsza niż szary rabuś… Powtórzyć w stosunku do ojczyzny… Pierwsza szklaneczka za królewskiego władcę…

Oddychali głęboko wilgotnym, świeżym powietrzem. Jechali wzdłuż jeziora do leśniczówki i milczeli. Tam hrabia uwiązał konia i jeszcze trochę pospacerowali po lodzie. Bildermann dotarł już do wyspy, bo zobaczyli padające z okien światło.

— Cieszy się pan, Orla, patrząc na to. Widząc pańską lampę, prawda? Tak, bardzo się cieszy. Za każdym razem na nowo.

— To piękne, Orla, a również naturalne. Ja jednak już się nie cieszę.

Spaceruję tu, choć zmarzły mi stopy, ale chciałbym nieco odwlec powrót do tamtego korytarza z martwymi twarzami, do życzliwie kłaniającego się starego Friedricha, do świec i ognia na kominku, do swego wielkiego milczenia przepełniającego i przenikającego całe domostwo. Wie pan, są takie domy, w których, jeśli można tak rzec, oddychają tylko umarli. Samemu jest się tam jakąś pomyłką, zapomnianą resztką życia. Jest się jak motyl w jakiejś piwnicy.

Mało przyjemności sprawiają mi już książki i nuty, a zwłaszcza poranne budzenie się i ubieranie. Wciąż to samo, nie sądzi pan? Gdy wracam do domu, to za każdym razem, szczególnie wieczorem, tak jak dziś, mam cichą nadzieję, że przy kominku będzie siedział tamten szary gość. Jest to pewien rodzaj gry, jakby się szło po cienkim lodzie. Z dna, do lodowej pokrywy, podchodzą rośliny wodne i kołyszą się spokojnie w czerni…

— Nie ma pan pracy, hrabio.

— Tak, wiem, że wszyscy bezrobotni z wolna marnieją. Niech się pan trzyma swoich sieci, Orla, mocno! Kiedyś znajdował się pan na takiej samej drodze, ale uratowały pana pańskie ręce.

— Ręka jest tylko narzędziem… Trzeba chcieć żyć, hrabio.

— Tak to jest. Chcieć żyć. Ma pan całkowitą rację… Ale spróbujmy tego jeszcze przez jeden dzień, jeszcze przez rok, albo dziesięć lat…

Wszedł na zbocze, a potem Thomas usłyszał odgłos końskich kopyt stąpających po mokrym śniegu…

Wiosna i lato minęły im szybko. Dni przemykały przez ich dłonie niby ogniwa łańcucha, zaczynały się i kończyły ze słońcem. Zdarzały się spokojne ranki, woda była nieruchoma. Wówczas łodzie załadowane rybami zanurzały się głęboko. Były też dni wietrzne i deszczowe, w czasie których sieci pozostawały puste, wieczorami zaś ręce bolały od ciężkiej pracy, od wiosłowania pod wiatr. Rybak uczy się jednak cierpliwości bardziej niż myśliwy, bo jego zdobycz pozostaje niewidzialna we dnie i w nocy, i nie wiedzie swoich szlaków przed oczami człowieka.

Joachim napisał, że na okręcie lubią go, że od czasu do czasu jest chwalony, że kolejna ich wyprawa ma wieść daleko. Mówi się nawet, że na wyspy Indii Zachodnich. Kapitan czasem jednak twierdzi, iż wolałby z jakimś lasem pełnym małp żeglować po Pacyfiku niż z nimi po Zatoce Kilońskiej.

Marianne też uczyła się cierpliwości. Thomas i Bildermann wiedzieli, że brakuje jej im boleśnie; była niby kwiat w ich męskim życiu. Żeby na nią patrzeć, mogli odstawić wiosła i odłożyć sprzęt trzymany w dłoniach; od samego początku związana była z ich nowym życiem, była cichym pomocnikiem i towarzyszem, czystym sercem, które wywodząc się z wielkiego domu, trochę zagubiło się dla nich, przybyłych z oceanów i zaufało im, tak jakby wszystko znali, rozumieli i potrafili.

Obaj wiedzieli, że Joachim już ich tak nie traktuje. Że zbyt szybko wyrósł z dzieciństwa, a teraz będzie pływał po morzach nie po to, żeby ich naśladować, ale by ich przewyższyć i stać się dla nich przykładem. Jeśli w ogóle miałby przyjechać, przyjedzie w mundurze, będzie z pewnym zakłopotaniem patrzył na rybie łuski w ich włosach, w skrytości będzie obu ich uważał za "śmiesznych dziwaków", którzy szukali się i znaleźli, bo gdzieś tam nie umieli uporać się ze światem. Miał swój okręt i miał swój dom w stolicy, gdyż siostra Beate wynajęła go dlań i strzegła. Nie chciał od nich pieniędzy, a tylko niewiele rad i trochę uczucia. Nie było w nim nic z kwiatu, był jak młody drapieżny ptak, który opuścił gniazdo. Wszystko to było w porządku, ale bolało.

Teraz Bildermann rzadko prasował swoje wstążki u czapki, ale znowu odbywał częste niedzielne wędrówki. Wracał zamyślony, a pewnego wieczoru zapytał, czy kapitan nie miałby ochoty do współdziałania w pewnej sprawie, w którą on wetknął nos. Kto wie, może okazałoby się to niezłe na długie letnie dni. Oto po cichu zebrano pewną liczbę porządnych młodych ludzi; ćwiczy się ich co nieco w strzelaniu i musztrze, organizuje gry wojenne, czasami tu i ówdzie wygłasza się dla nich odczyt, a więc przygotowuje w podziemiu do ewentualnych przyszłych zdarzeń. Kierownictwo sprawują dawni oficerowie, a wszystko jest luźno podporządkowane Stahlhelmowi* i oczywiście zdecydowanie czarno-biało-czerwone. Już kilkakrotnie pytano go, tak ogródkami, o jego pana, a że pola zżęte i pod koniec przyszłego tygodnia zaplanowane zostały duże ćwiczenia, z kuchnią polową, namiotami i tak dalej, sądzi, że kapitan powinien przypatrzyć się temu. Na dłuższą metę rozmowy toczone tylko z rybakami są przecież czymś nieco jednostronnym.

Thomas popatrzył na niego dobrotliwie i zapytał, czy znów go pociąga świat. Jednak obiecał przemyśleć to sobie, a gdy nadeszła sobota i nad wyciszonymi już

* Stahlhelm, organizacja kombatancko-paramilitarna, związana z nurtem narodowo-konserwatywnym. Istniała do 1935 roku — przyp. tłum.

lasami nastał łagodny i piękny dzień, przygotowali żaglową łódź, załadowali na nią rowery, plecak i koce, po czym popłynęli.

Łódź zostawili koło miasteczka, a po południu dotarli na rowerach do ustronnej okolicy, gdzie miały rozpocząć się ćwiczenia. Bildermann z wyprasowanymi wstążkami u czapki, witany radośnie i donośnie przez wszystkie oddziały, poprowadził swojego pana przez szeroko rozciągnięte zgrupowanie, tu i ówdzie zapoznawał z niższymi dowódcami, a w końcu wziął kurs na wzgórze dowodzenia, gdzie zgromadził się sztab, ciężarówki, łącznicy i polowe kuchnie. Thomasa przywitano tam z powściągliwą uprzejmością i pozostawiono jego decyzji, czy w ćwiczeniach zechce uczestniczyć jako wolny obserwator czy też jako rozjemca.

Thomas wybrał to drugie. Dobroduszny kapitan landwehry przedstawił mu sytuację oraz wytłumaczył przyjęte reguły. Thomas stanął w oczekiwaniu na uboczu, trochę oszołomiony mrowiem ludzi, gwarem i nieco gwałtownymi działaniami poprzedzającymi tego rodzaju zdarzenia, w których wojskowe miesza się z tym, co cywilne.

Kierownictwo sprawował emerytowany pułkownik o czerwonej, pociągłej twarzy i wielkim orlim nosie ponad siwym wąsem. Był trochę za bardzo głośny i nazbyt dziarski. Operacją kierował z grzbietu chudego kasztanka. Po ostatnim rozkazie: "tempo, moi panowie!", który przemknął nad sztabem niby zimne ostrze szpady, jeszcze raz przywołał do siebie Thomasa, zapytał go, czy otrzymał jego rozkazy, a potem zainteresował się, czy zamierza on utrzymać swoje dość podrzędne stanowisko u "starego chłopaka".

Czy pan pułkownik ma na myśli pana generała majora von Platena? Oczywiście, potwierdził. A kogóż by innego?

Wobec tego Thomas poprosił posłusznie o pozwolenie na zwrócenie uwagi, że on sam nie zwykł kiedykolwiek nazywać swojego zwierzchnika "starym chłopakiem". Poza tym nie ma żadnego powodu, żebym miał zrezygnować ze swojego stanowiska.

Pułkownik najpierw fuknął nosem, a wyglądało tak, jakby chciał błysnąć zimną klingą swojej szpady nad głową Thomasa, ale opanował się i odparł, że dawniej nie było w zwyczaju, żeby aktywni oficerowie oddawali się tego rodzaju zajęciom.

Thomas powiedział, że już dawno zauważył, iż nie wszystko, co powszechnie przyjęte, bywa też przykładne i zapewne rzecz w tym, żeby zrozumieć, że po wojnie

nie każdą sprawę należałoby zaczynać od nowa w tym samym miejscu, w którym zaczęło się przed wojną.

Pułkownik oświadczył, że wiadomo mu, iż pan von Orla wyraził w swojej książce osobliwe poglądy odnoszące się do tej kwestii, ale bieg ostatnich lat ukazał mu chyba, że wszyscy ludzie wierni monarsze powinni stanąć razem przeciw tym szubrawcom.

Jakich szubrawców pan pułkownik ma na myśli? U nich, na wyspie, nie ma zwyczaju nazywania szubrawcami całej klasy społecznej, nawet jeśli ona błądzi, postępuje źle, a nawet pragnie zła. Ocalenie ojczyzny, którego zaś pragną wszyscy, wydaje mu się możliwe tylko wówczas, gdy cały naród zjednoczy się w tym celu, a nie kiedy między kastą panów a kastą nędzników pozostanie śmiertelna przepaść.

Pułkownik jeszcze raz fuknął przez nos i stwierdził:

— Jeszcze do tego wrócimy! — Potem dał swojemu kasztankowi ostrogę, jakby jednym jedynym susem chciał rozerwać niestosowną kanwę myśli owego niedojrzałego człowieka i oddalił się.

— Zły początek, Bildermann — zauważył Thomas, wsiadając na rower, żeby udać się na pierwszą linię.

Wrażenie, jakie odniósł, zatarło się jednak pod wpływem obowiązków wynikających z jego nowej funkcji oraz na widok oddania, z jakim młodzi ludzie podporządkowywali się w swoim wolnym czasie karności, rozkazom i osiąganiu wspólnego celu.

Dopiero wieczorem, gdy wszystko przemyślał, a także tu i ówdzie porozmawiał z młodymi ludźmi, nie dowiadując się wiele ponad powtarzanie poglądów i roszczeń znanych mu z gazet i parlamentarnych wypowiedzi, gdy wraz z całym sztabem został zaproszony do okolicznych majątków na nocleg w pokojach gościnnych, a jego uprzejma odmowa została przyjęta z niejakim zakłopotaniem, dopiero wówczas uświadomił sobie, jak bardzo, wraz ze swoim życiem i swoimi poglądami, znalazł się na uboczu; aby odzyskać to, co utracone, nie zawsze wystarcza cofnąć się do punktu wyjścia i powtórnie przebyć tę samą drogę. Zaproszenia nie przyjął również dobroduszny kapitan landwehry, który przez chwilę posiedział przy ognisku Thomasa.

— Nie pozostało nam nic innego, panie von Orla — powiedział i nieco ospale zatoczył ręką w stronę wszystkich niewielkich ognisk.

Dziś tylko starzy żołnierze wiedzą co to karność. Nieszczęście w tym, że wiedzą tylko to i nic więcej. Mamy sztab, ale nie ma sztabu generalnego. Jednak ponieważ nie można go stworzyć, trzeba zadowolić się takim początkiem.

— Laury też są wiecznie zielone — odrzekł Thomas — ale gdy spoczywa się na nich zbyt długo, zwiędną przecież i one.

— Zawsze sądziłem — zauważył tamten — że laury przegranej wojny nie więdną, tak samo jak wygranej. Rzecz w tym, że z samych laurów nie można wyżyć.

Tak właśnie jest, powiedział Thomas. Wojna była czymś innym, niż tylko serią bitew. Musimy opisać ją na nowo albo wypuścić pióro z dłoni. Dziesięć soborów to jeszcze nie reformacja.

To by się zgadzało, powiedział kapitan. Któż jednak to napisze, kto napisze? Jego własne pola są w porządku, ludzie też, ale pismo i te nowe znaki nie bardzo mu wychodzą.

To nic nie znaczy, stwierdził Thomas, ale zanim nie zacznie to służyć niczemu innemu jak tylko wbijaniu starych pojęć do młodych głów, tak jakby świat nie stracił jedenastu milionów zabitych i całego szeregu dawnych bóstw, woli raczej naprawiać sieci i kopać ziemniaki. Możliwe, że kiedyś zauważy się, że historia świata stuka do drzwi nie tylko po to, żeby kupić stare szaty.

Ćwiczenia rozpoczęły się następnego dnia, przed świtem. Rozciągnęły się wzdłuż jeziornej cieśniny, a rozstrzygnięte i zakończone zostały wczesnym popołudniem. Jak to w czasie pokoju, zatrąbiono na ocenę i pułkownik, siedząc na swoim kasztanku, rozdzielił pochwały i nagany. Zjechały się kuchnie polowe, po jedzeniu zaś cała akcja miała zakończyć się ćwiczeniami sportowymi.

Sztab znowu został zaproszony do jednego z dużych majątków, a pułkownik spodziewał się, że będzie można przedstawić tam podsumowanie całości.

Thomas usprawiedliwiał się; czekały na niego sieci, więc zaraz po jedzeniu będzie musiał udać się do domu. Dla rybołówstwa nie ma święta.

Zjadł obiad z Bildermannem i kilkoma młodymi rzemieślnikami z powiatowego miasta i ruszył w drogę. Bildermann miał wrócić na rowerze wieczorem, oczywiście jeśli pan się zgodzi.

Przy jednym z ostatnich oddziałów jeszcze raz zauważył kapitana landwehry i zsiadł z roweru, żeby się z nim pożegnać. Gdyby pytano o niego, prosi o wyjaśnienie, że od lat przywykł do zasiadania za stołem ze swoim dawnym ordynansem oraz że nie

chce wracać do czasów, w których podczas wojny, a choćby i w czasie gier wojennych, oficerom serwuje się specjalne jedzenie. Gdyby zwrócono się do niego osobiście, sam udzieli wyjaśnień, w przeciwnym zaś razie prosi kapitana, żeby był tak dobry i zrobił to za niego.

Kapitan ubolewał, że szkoda, iż Thomas będzie nieobecny, bardzo też szkoda, że to nie ci najlepsi bywają pułkownikami.

Tej samej jesieni generał zaproponował Thomasowi, żeby całe ryba-czenie zostawił Bildermannowi, przeniósł się do zamku i przejął wszystkie pisemne zajęcia oraz zastępował generała tu i ówdzie, tam gdzie wiek utrudniałby albo uniemożliwiał stawiennictwo.

Thomas prosił o pozostawienie go na wyspie. Wie, że zamiast łowienia ryb i stawiania sieci mógłby wykonywać także inną pracę, ale w ciągu lat stawało się dlań coraz bardziej jasne, że szczęście, jeśli w ogóle można go żądać, przyniesie mu tylko proste zajęcie. Już to, że napisał książkę i zamierza napisać drugą, wydaje mu się całkiem nieistotne, a nawet niebezpieczne, wielu bowiem ludziom nie bez przyczyny zdaje się wątpliwe to, co on przedstawił jako oczywistość.

Może się zdarzyć, że złowi cetnar ryb, ale nie będzie to przecież tylko szczęśliwy przypadek, bowiem poprzedziła to praca, poczucie obowiązku i pilność, zapewniające taki połów.

— Wydaje mi się — mówił — że urodziłem się do prostych zajęć, a te inne, które poprzedziły zajęcia obecne, w jakiejś niewielkiej części wykonywałem jednak źle. Odnosi się to do służby, honoru, wychowywania Joachima i tak dalej. Tutaj nie robię nic źle albo prawie nic.

Wielu może mówić, że uciekam od życia i odpowiedzialności, że owa rezygnacja, jak nazywają to, nie przystoi mężczyźnie w moim wieku. Nie wierzę jednak, że ucieka ten, który pracuje; wierzę, że rezygnacja jest dozwolonym zachowaniem, jeśli przez wiele lat człowiek uczestniczył w czymś i zobaczył, jak ojcowie bohaterów skrobią w kącie swoją rzepkę. Myślę, że kto już raz odwróci się od frazesów, nie zastąpi ich ani pługiem, ani wiosłem, ani strzelbą czy łopatą, lecz prawdą. Prostą, nieskażoną wielką prawdą. Ludzie jednak zawsze są źli, jeśli człowiek nie dotrzymuje im towarzystwa, jak choćby pijacy, którzy złoszczą się, że ktoś pozostaje trzeźwy.

— On powinien, drogi Orla, dowodzić szkolnym statkiem, a nie rybacką łódką.

— Angielscy przyjaciele, panie generale, napisali mi o pewnym człowieku, który podbił całą Arabię i Palestynę, a po wojnie zrezygnował ze stopnia i zaszczytów, by jako prosty żołnierz pracować w fabryce samolotów. Wydaje mi się, że ten człowiek jest jednym z niewielu mędrców, których pozostawiła nam wojna. Ale nawet jeśli ja nie podbiłem żadnego kraju, myślę, że zasłużyłem sobie na to, żeby siedzieć tutaj i porządkować swoje życie, gdyż z owego ładu może wyniknąć coś dla innych. W minionych latach bywałem czasem w teatrze i zawsze zauważałem, że niemal dla każdego wszystko kończyło się wraz z ostatnim opadnięciem kurtyny. Wracali do swojego normalnego wyrazu twarzy i w szatniach albo w foyer można było pomyśleć, że byli właśnie na jakimś proszonym obiedzie albo na piłkarskim meczu czy tańczonej herbatce. Jednak zawsze też było kilkoro takich, którzy wychodzili i szli do domu ze skupioną twarzą, i to oni nie jawili mi się jako ci najgorsi. Z wojną też jest tak. Wielu wyszło z niej, zachowując "dawną świeżość", jak to sami lubią określać. Kilku wyszło jednak z godnym zauważenia wyrazem twarzy, niby z wielkiego teatru i to oni myślą o zupełnie innych sprawach niż następny spektakl.

— On utracił wiarę, Orla. Żal mi pana... Jest jak nie nawożone pole.

— Nie wiem, panie generale. W tamtych latach sprawdziliśmy tak dużo rzeczy i pojęć, że nie rozumiem, dlaczego nie sprawdzamy wszystkiego. Kiedyś powinny zostać poddane próbie ognia również te tak zwane odwieczne prawdy. Naród, który pogrzebał dwa miliony zabitych, być może ma prawo do zapytania Boga, co on wówczas myślał. Jeśli nie odpowie, możliwe, że nie powinien zadowolić się tym, co mówi Kościół, bo Kościół tym, którzy padli ofiarą owych lat, nie zawsze mówił to co prawdziwe. Jeśli Bóg nie wypowie się w sprawie owych dwóch milionów, a również w sprawie tych, których zamordowano potem, ani w sprawie dzieci, które zagłodzone i zabite leżą przy drogach, jeśli nie tylko nie odpowie, ale będzie też wyglądało na to, że tak samo nie odpowiedziałby w sprawie dwudziestu czy dwustu milionów i że to Bóg milczący, zlodowaciały w swojej obojętności niby nauczyciel w stosunku do bezradnych, płaczących dzieci, to, panie generale, mogłoby być tak, że komuś za dużo będzie tego wystawania przed kamienną ścianą i otrzymywania tylko echa zamiast odpowiedzi. Że zapyta sam siebie, co to ma być za miłość, polegająca na ofiarach i milczeniu, miłość, która po zwala, by dniem i nocą sączyła się krew, strugi krwi, i dopuszcza, by ofiary jęczały dniem i nocą, ludzie w różnym wieku, dobrzy i źli, winni i niewinni. A ona, ta miłość, siedzi przy tym milcząco, z głową podpartą dłońmi i przypatruje się temu, co zrobiła i uznaje, że zrobiła bardzo dobrze...

— Często rozmyślał, Orla. Ale posunął się za daleko... Dzieci nie powinny wiedzieć wszystkiego o rodzicach.

— Rodzice nie zabijają swoich dzieci, panie generale. Jeśli jednak to robią, nie mówią przed sądem, że zrobili to z miłości. Nawet nie mogę o tym pomyśleć, że pan generał kazałby batożyć dziecko dzień po dniu, a potem twierdził, że działo się to z miłości. Lub nie twierdził niczego, tylko kazał mu klęczeć, a samemu, ponad pobitą głową patrzył w obraz wiszący na ścianie. Milczeć, być głuchym i ślepym, być kamiennym bożkiem... Orla!

— Tak to jest, panie generale. Teraz muszę zaczynać od nowa, wielu z nas musi. Od samego początku. Negacja niczego nie załatwi. Żyć można tylko wówczas, jeśli przynajmniej raz w roku wolno powiedzieć "tak". Jestem jak ten człowiek, który wzrósł, mając łuk i strzały i nagle spostrzegł, że nieprzyjaciele noszą żelazne zbroje; został więc zmuszony do powrotu do domu, żeby wykuć sobie nowy oręż, zupełnie inny. Taki człowiek zamyka się, a wychodzi znowu dopiero, gdy skończy. I ja muszę zaczynać od samego początku. Mój dawny Bóg umarł, a nowy jeszcze nie zasiadł na tronie. Nawet nie wiem, jak będzie wyglądał. Tylko myślę sobie, że trzeba będzie zostać człowiekiem, żeby spojrzeć mu w twarz. Na to potrzebuję czasu. Na tym świecie zawsze powinien być czas dla Boga. Kiedy stary pułkownik woła: "tempo, moi panowie!", to dla niego może to być całkiem słuszne, gdyż prawdopodobnie uładził się ze swoim Bogiem, tak jak inni. Jeśli jednak wśród nich jest ktoś, kto się nie uładził, to w stosunku do niego pułkownik nie ma uprawnień i nie może wymagać żadnego tempa. W czasie kompanijnej musztry może nie być niczego poza tempem, ale nie ma tempa podczas szukania Boga.

— Za dużo rozmyśla, Orla.

— Nie, panie generale. Chcę tylko nadrobić to, nad czym rozmyślałem za mało w całym moim życiu. Wszyscy zastanawialiśmy się za mało. Zdawało się nam, że od czasów Lutra nie musimy już myśleć.

Wzięliśmy to, co dał nam on oraz ci, którzy strzegli jego nauk, a kto się ociągał, zostawał napiętnowany. Czy znał pan, panie generale, oficera, który odmówiłby ślubu kościelnego? Tak samo dobrze mógłby ukraść srebrną łyżkę. Nie wierzę, żeby wojna miała być matką wszechrzeczy, mogę jednak uznać, że wszystkie rzeczy porusza, to mogę jej przyznać, a choćby to, że tak może być.

— A jeśli pan nie znajdzie niczego, Orla? Żadnego Boga?

— Tego się nie obawiam, panie generale. Jeśli znaleźli go ludzie na Wyspach Wielkanocnych albo na Nowej Gwinei, znajdę i ja. Znajdę jednak inne jego oblicze. Nie takie, które się zaklina, nie takie,

któremu trzeba dziękować, nie takie, wobec którego trzeba intonować: "Wszyscy więc dziękujmy Bogu!", podczas gdy zabito właśnie tysiąc albo dziesięć tysięcy ludzi, a inni musieliby śpiewać: "Wszyscy więc przeklinajcie Boga!". Wierzę, że znajdę oblicze przekleństwem lub podzięką, a nawet nie oblicze, a tylko Prawo. Prawo nie ma oblicza. Wobec niego wszystkie gwiazdy są równe i wszystkie zwierzęta, wszyscy ludzie i drzewa. Aldebaran nie znaczy więcej niż szczupak, którego złowię jutro. Kiedy nadejdzie ich pora, obaj znajdą swój kres. Jeśli wydobędziemy świat z Bożej miłości, uzyska on jakiś sens. Również wojna. Okrutny sens, ale wówczas to w naszych rękach znajdzie się miłość. Takie miłowanie, że nie powiemy, iż wojna to dobrodziejstwo. Takie miłowanie, jakim kocha to dziecko, które teraz przebywa w mieście, dziecko o sercu czystym, piszące do mnie, żebym zechciał nie zapominać o tym, żeby od czasu do czasu usiąść przy tym kominku, by pan generał nie był osamotniony.

— To smutny świat, Orla, prawda?

— Możliwe, panie generale, lecz to dzielny świat. Wszystkie dzieci muszą przestać wierzyć w bajki. W pierścień, który można obrócić, w słowo otwierające zamki. W wielkiego czarodzieja, który dotyka nas i zbawia. Tym, co nam pozostaje, jest kochać i nie bać się. Nic nie będzie nam wybaczone, nic oszczędzone. Wieczne jest życie, ale nie my. Kurtyna opada, przedstawienie się kończy. Nas nie woła się powtórnie, żeby sztuka kończyła się inaczej. Na zewnątrz czekają już inni. My wierzymy tak samo bezgranicznie i żarliwie jak oni, lecz nie w to, że ów jakiś tamten świat miałby być mniej wypełniony cierpieniem, lecz w to, że i na tym świecie, mimo wszystkich cierpień, miłość wciąż pogłębia się, będąc tym jedynym, co można przeciwstawić Prawu. Nie pokonamy go nigdy, bo nie byłby to już nasz świat. Nie zawstydzimy go, bo ono nie ma wstydu. Spełnimy jego wymagania, ale spełniając, wniesiemy coś, czego ono w ogóle nie zna, co jest naszym wyłącznym dziełem i co, niby nieznany blask, opromieni wszystkie rzeczy, a i jego kamienne oblicze.

— Stwarzają sobie trudności, drogi Orla. Dawniej wszystko było prostsze. "Z Bogiem, za króla i ojczyznę". Rozumiał to najprostszy człowiek.

— Tak jest, panie generale. On jednak nie rozumiał tego, a tylko był posłuszny. Nie on to wynalazł. Wynaleźli inni, a on musiał się dostosować. Tak było już przed

siedmioma tysiącami lat. W ciągu tych siedmiu tysięcy lat pod hasłem "z Bogiem!" stało się wiele, panie generale. Myślę, że to dobrze, iż znamy tylko niewielką część.

Generał popatrzył na portrety wiszące na ciemnych ścianach.

— Oni wszyscy nie mieli racji, Orla?

— Nie, panie generale, żaden z nich nie pobłądził. Dzieło ich było dobre, tylko ten, przez którego, jak wierzyli, zostali wysłani, zapewne nie był tak dobry, jak myśleli.

— A ten pański jest dobry, Orla?

— Nie jest ani dobry, ani zły, panie generale. Ta sprawa ma wymiar ludzki, a nie boski. On jest i nic poza tym, a o nas wie tyle, ile wie słońce, które winnemu gronu pozwala dojrzeć albo uschnąć. Bez nas ani bez tego grona nie ma go. On jest morzem, my zaś jesteśmy wodą.

Jesienny wiatr przydusił ogień na kominku; słyszeli, jak w parku szumią dęby.

— Jeszcze rok, Orla — odezwał się generał. — Długi czas dla starego człowieka. Chciałbym, żeby to dziecko wierzyło w morze, a nie w wodę.

— Nikt nie naruszy jej wiary, panie generale. Myślę, że ten kto ma tyle miłości, ile to dziecko, zawsze będzie posiadał właściwą wiarę.

— "Pijcie więc żar, sączcie światło...", śpiewałem często. Piękna wiara, Orla. Niczego z niej nie ujmować. Wystarczy, że czasem gubimy kierunek. Starzy ludzie orientują się w ciemności.

Gdy Thomas otworzył drzwi, Bildermann spał przy ogniu. Dłonie położył na oparciach fotela, głowa opadła mu na piersi, na uśpionej twarzy widać było teraz, bez osłonek, ślady ponurych lat. I jego nie wiódł żaden Bóg miłości, ale może przygarnęła go do siebie niepojęta miłość.

Obudził się dopiero pod wpływem fajczanego dymu, który owionął mu twarz. Po jego oczach można było poznać, że wracał z daleka.

— Zasnąłem na posterunku, kapitanie — powiedział. — Sąd wojenny!

— Skażemy cię na sen o godzinę dłuższy, Bildermann. Gdy przepływałem jezioro, zastanawiałem się, Bildermann, dlaczego oddajesz mi na tej wyspie swoje najlepsze lata. Otrzymałeś legat, a i ja chętnie dołożę do niego jeszcze coś. Dlaczego nie zaczniesz jakiegoś rybaczenia albo czegoś tam? Oczywiście na morzu. Myślę, że starczyłoby na jakiś kuter.

— Pan kapitan uważa, że jestem tu zbędny?

— Nie gadaj głupstw, Bildermann.

— Bildermann obiecał coś dwa razy, kapitanie. Raz pewnej pani, drugi raz małej panience. Za każdym razem powiedział też for ever. Nie chciałbym, żeby na myśl o mnie mała panienka marszczyła brwi.

— Dobrze, Bildermann, zostaniemy więc na oceanie.

Zima przyszła i odeszła. Na szafie z maskami stanął srebrny kubek, a Bildermann co rano brał go w dłonie i wełnianą szmatką starannie ocierał z kurzu. Napis umieszczony na błyszczącym metalu obwieszczał, że Thomas von Orla i Friedrich Wilhelm Bildermann zdobyli pierwszą nagrodę w wyścigu sanek. Konstruowanie sanek rozpoczęli po owym wieczorze, kiedy Bildermann zasnął koło pieca. On to sporządził projekt i włożył najwięcej pracy. Przekonał też Thomasa, by pojechali na wielkie jezioro i zmierzyli siły z innymi. Od czasu do czasu obecność kapitana wśród ludzi wydawała mu się niezbędna. Thomas usłuchał i nawet został na wręczanie nagród, ale było po nim widać, że wszystko mu jedno, czy dostanie srebrny kubek, czy kręgle. Właśnie był zajęty pisaniem ostatniego rozdziału swojej drugiej książki. Gdy jechali do domu, zapytał Bildermanna, czy podoba mu się tytuł "Bóg bitew", czy raczej wolałby taki: "O dwuznacznej postawie Boga podczas morskich bitew".

Tej zimy nie wszystko było z kapitanem w porządku. Był wprawdzie bardziej zajęty niż dawniej i wypowiedziawszy wojnę lisom, wszystkie księżycowe noce spędzał w pobliżu wyłożonej padliny, a przez połowę nocy tkwił wśród bezlistnych dębowych konarów, jednak od wszystkich tych spraw nie wracał z radością na twarzy. Wyglądało na to, że zaniechał rozrywek i teraz poszukiwał reguł znajdujących się poza jakąkolwiek zabawą. Jego twarz stawała się coraz spokojniejsza, jak u człowieka zajętego przypatrywaniem się umieraniu.

— Kiedyś powinniśmy pójść na tańce, kapitanie — powiedział pewnego wieczoru Bildermann.

Jednak Thomas przyjrzał się mu ze zdziwieniem i rzekł:

— On już tam nas zaprosi, Bildermann. Nie martw się...

Jego oczy zrobiły się przy tym takie dziwne, że aż Bildermann się zawstydził, że wystąpił z tego rodzaju głupią propozycją.

Rozdział 12

Zima przyszła i odeszła, wyspa znowu pokryła się zielenią, tak jakby nigdy nie leżała na niej opończa śniegu i lodu. Obu ich zadziwiło to, że taki skrawek lądu trwa nieodmiennie przez lata i dziesięciolecia, podczas gdy w ich włosach coraz częściej pojawiały się srebrne nitki.

Na mogile koło leśniczówki rosły już kwiaty, a mroczna kobieta kilka razy w tygodniu podchodziła do płotu i cicho nuciła swoje pozbawione słów piosenki. Ciało jej kołysało się do taktu. W ciągu wszystkich tych lat nie zmieniła się, lecz jej twarz coraz bardziej bladła, tak jakby w czasie długich, pełnych milczenia nocy jakiś upiór wysysał krew z jej serca. Gdy przechodził koło niej Bildermann powiewający wstążkami czapki, zatrzymywała go i prosiła, żeby zaśpiewał dla niej którąś ze swoich piosenek. Śledziła każdy ruch jego warg, tak jakby była głucha i tylko mogła widzieć jego słowa, zamiast je słyszeć. Wiosna była gorąca i parna, wczesne burze przeciągały płomieniście nad lasami, przynosząc krótkie, silne ulewy.

Słońce sprzyjało wylęganiu się robactwa, majowe chrabąszcze zniszczyły brzozowe młodniki, a starzy ludzie przepowiadali powrót Antychrysta.

Na wyspie myśleli o tym, że z końcem lata do domu wróci Marianne, jednak Thomasa przepełniał niepokój, a nocami nawiedzały go dręczące sny. Którejś nocy włamano się do ich sadza z rybami i opróżniono go. Mimo że jeszcze tego samego dnia złodziej został złapany przez Bildermanna i żandarma, Thomas co noc stawał po kilka razy na brzegu i nasłuchiwał, co dzieje się na ciemnej wodzie. Mogło się stać coś więcej niźli kradzież ryb, on zaś pamiętał, że powinien "o każdej porze dochować wierności swoim państwu".

Czasem zdawało mu się we śnie, że słyszy dochodzący z daleka głos, który woła go lub upomina się o człowieczą pociechę. Był tak daleki, że musiał rozlegać się gdzieś w lesie albo i za lasami. Nigdy nie udawało się zrozumieć tego, co woła, ale głos przepełniony był trwogą i smutkiem oraz ową niejasnością istnienia, obecną tylko w gorączkowych majakach.

Pewnego razu, gdy ów głos się odezwał, Thomas narzucił płaszcz i wypłynął łodzią. Zdawało mu się, że przypomina sobie, iż głos nadlatywał od bagnistych łąk, gdzie obrzeża rowów porośnięte były wysokimi trzcinami, a wieczorami pokrzykiwał

tam bąk. Był zupełnie rozbudzony ze snu, ale oczy zdawał się mu przysłaniać jakiś welon, a podczas wiosłowania zapominał chwilami, że znajduje się na jeziorze.

Na północnym wschodzie niebo rozpalało się już czerwonawą poświatą o nieprawdopodobnej czystości, lecz przy brzegu trzcinowe źdźbła stały ciemnym lasem, olchy na łąkach wynurzały się z przyziemnej mgły na kształt domów.

Dennica łodzi zetknęła się z bagnistym dnem. Uniosły się bąble powietrza i rozpłynęły się z cichym, podobnym do westchnienia odgłosem. Thomas siedział nadal i nasłuchiwał w stronę lądu, dobiegał go tylko szum wody w rowach, przetaczającej się niemal bezgłośnie po korzeniach oraz ciche drżenie osiki schowanej we mgle. Gwiazdy już pobladły, od bagna dochodziło nad lądem tchnienie powiewu. Było przeniknięte wonią rozkładających się roślin i przez chwilę Thomasowi zdawało się, że zatrzymał się w delcie jakiejś wielkiej rzeki, na drugiej półkuli, jednej z tych rzek, które spływają do morza szerokie i gnuśne; że oddycha powietrzem przesyconym zapachem olbrzymich kwiatów i ulotnym stęchłym tchnieniem szerokich zwierzęcych tropów, odciskających się głęboko na fermentującej ziemi.

Jednak nie było słychać żadnego głosu, tego, który nawoływał go we śnie. Wysiadł i wszedł w mgłę sięgającą mu do piersi. Pokryte rosą trawy uderzały zimno w jego stopy i tylko tam, gdzie grunt się uginał, wypływało z głębi ciepło. Szedł coraz dalej, bez celu, a przez cały czas bez sensu towarzyszył mu dziecinny wiersz, który wyłonił się z zapomnienia i poruszał bezwolne wargi: "Stoi zgarbiony człowieczek i zaczyna kichać...". Początek i koniec kryła niepamięć, ale owe nieliczne słowa powtarzały się wciąż i wciąż, ułożyły się w jakiś rytm, w monotonną senną melodię, podejmowaną gdzieś pod ziemią, tam, skąd pod jego stopami unosiły się bąbelki.

Trwało to, dopóki spod jego stóp nie zerwał się z dźwięcznym wrzaskiem żuraw, którego głos, brzmiący jak spiż, przeciął mgłę i niepokój. Thomas przystanął i słaniając się ze zmęczenia, patrzył na sylwetkę ptaka, którego błękitnawe upierzenie połyskiwało jutrzenką.

Mgła rozpierzchła się, na zroszonej ziemi wznosiły się znajome kontury drzew, z lewej, z wysokich wrót poranka wysączała się na świat wspaniale klarowna, czerwonawa poświata.

Nie wiedział, gdzie się znajduje. Niemal nie wiedział, jak się tu dostał, ale ciemny ślad na jasnej rosie poprowadził go z powrotem. Zanim znowu dotarł do wyspy, nad lasem wzeszło słońce. Bildermann, ciągnąc za łańcuch, osadził łódź na

piasku. Z jego oczu wyzierała troska, ale o nic nie pytał, tylko później starannie okrył Thomasa i zamknął okiennice. Tak, dzisiaj sam zadba o sieci.

— Możliwe, że jestem chory, Bildermann — powiedział Thomas, zasypiając. — Coś tam na drugim brzegu się nie zgadza...

— Ludzie mówią, że to omam, kapitanie — odparł spokojnie Bildermann. — Bywają takie noce, w czasie których woła nas woda, ale trzeba je przesypiać.

— Myślisz, że to woła woda? — zapytał Thomas, aie Bildermann nie musiał już odpowiadać, bo zauważył, że jego pan zasnął.

Obejrzał stojącą przy brzegu łódź, którą wypłynął Thomas, ale na dnie odkrył tylko ślady jego bosych stóp. Były już podeschnięte, a to, co zostało, wyglądało jak tropy dużego zwierza, który nocą przełaził przez ich łodzie.

Bildermann schylił się i suchym piaskiem posypał mokre ślady. Wciąż był trochę zabobonny.

Thomas wyspał się zdrowo, tak jak radził Bildermann, ale tego roku dwa razy opadła kurtyna, o której mówił generałowi; oba razy poruszyło to rozległą okolicę, jakby nie dotyczyło tylko ich obydwu, których przesłaniała, ale wszystkich innych, tak jakby był to jakiś znak napisany na kopule niebios, ognistymi literami, wysoko, żeby nikt tego nie przeoczył.

Pierwszy raz opadła na mroczną kobietę i mogło się zdawać, że jej odosobnione, przygaszone życie jeszcze raz zechciało utrwalić się w pamięci, bo ponad ostatnią jej godziną śmierć bujnie nakreśliła swój znak. Jednak w rzeczywistości zniszczony jej umysł tak długo krążył wokół owej płomienistej działowej wieży, w której jej dziecko obróciło się w pył, że otępiałe myśli podświadomie związały w taki sposób nić zerwaną i spaloną wtedy przez śmierć, że oto zniszczona droga krwi łączącą matkę i dziecko znów się odtworzyła, a jej śmierć zrodziła się z jego śmierci, tak jak kiedyś jego życie zrodziło się z jej życia.

Na wyspie udali się już na spoczynek, gdy Thomasowi wydało się, że słyszy bicie zegarowego dzwonu na zamku. Najpierw pomyślał, że to znowu ktoś go woła we śnie, ale gdy uniósł głowę z poduszki wyraźnie rozpoznał uderzenia podwórzowego dzwonu szarpanego sznurem i nieprzerwanie wołającego ponad wodą na ratunek. Jednocześnie za oknem dostrzegł czerwony blask, zerwał się więc i zawołał Bildermanna.

Nie było wiatru, musieli więc wiosłować. Ogień spokojnie wzbijał się nad las i tylko czasem ponad łunę wzlatywały w górę pojedyncze płomienie, a snopy iskier rozsypywały się na tysiące gwiazd

opadających powoli i gasnących. Na linii wierzchołków drzew utrzymywał się nieruchomy pałający rąbek i dopiero gdy się zbliżyli, spośród pni zaczęły tu i ówdzie padać świetlne refleksy na sięgające aż do brzegu poszycie.

— To stodoła — powiedział Bildermann. — Myślę, że znowu będę kopał mogiłę.

Dach już się zapadł i tylko krokwie wznosiły się jeszcze nad ścianami niby rozżarzone rusztowanie. Przy bramie stała strażacka sikawka. Przyjechała z zamku i słała wodę na dach budynku mieszkalnego i stajni. Wąż był rozciągnięty aż do jeziora. W gorącym powietrzu białe strugi unosiły się jak świetlne fontanny. Leśniczy siedział na pługu przed otwartymi drzwiami stajni, głowę oparł o rozgrzane drewno i nieruchomym wzrokiem patrzył w ogień. Jego dłonie spoczywały na kolanach. W rozmigotanym czerwonym świetle wyglądał jak drewniana figurka bożka, którą uratowano z pożaru i przyniesiono na podwórze.

Obok w swoim długim szarym płaszczu i polowej czapce na siwej głowie stał generał. Położył dłoń na ramieniu siedzącego i nieco się schylając, wypowiadał od czasu do czasu kilka słów. Zagadywany milczał.

Bildermann skierował się zaraz do ludzi przy sikawce. Mieli zmartwione twarze, a Thomas, podchodząc do drzwi stajni, dowiedział się już, że pod zapadającymi się teraz z wolna belkami znajduje się przywalona dachem mroczna kobieta.

Niebezpieczeństwo już minęło. Zwalili krokwie i zostawili je, żeby dopalił się żar. Gruber nie chciał, żeby skierowali węże na stodołę.

Nie dowiedzieli się niczego, bo i on nie wiedział. Kobieta zachowywała się tak jak zawsze, już spał, gdy obudził go daleki śpiew. Sen miał lekki. Zrazu pomyślał, że śpiewa ona w izbie na pięterku, ale potem dostrzegł czerwony blask. Jeszcze mógłby otworzyć wrota, ale na dole było już istne morze płomieni, a i głos już zamilkł. Śpiewała pieśń o fladze i zdawało mu się, że przez sen słyszał wszystkie trzy zwrotki, tyle że brzmiały głośno i wesoło, nie cicho i smętnie, tak jak zapamiętał to z jej życia.

— Jedenaście lat, drogi panie — powiedział, patrząc na Thomasa.

— Tak długo trwa, zanim nie odtrąci się Boga i nie chce się już niczego. Nie była to pieśń kościelna, ale on jest przecież wielkoduszny i uzna ją za taką. Niewielu umiera z pochwalną pieśnią na ustach…

Thomas wiedział już, że była to melodia, którą podczas pierwszego noclegu śpiewała w sąsiedniej izbie i dziwił się, że wówczas jej nie rozpoznał, choć niemal z nią wzrastał. Gdy popatrzył na biały, leniwy dym o żółtawych refleksach, unoszący się teraz z żaru, przeniknął go dreszcz i pomyślał, że teraz znów powiedzą nad grobem, iż powinni schylić głowy i nie pytać o zamysł. Jednak pozostanie stary człowiek, który, jeśli zechce, znajdzie pociechę w tym, że żonę i dziecko oddał ojczyźnie, a więc oddał wszystko, co posiadał i zostanie to wyryte tam, na niewidzialnych tablicach, wprawdzie nie tak głęboko jak w jego sercu, ale znacznie trwałej.

Wyniosła katedra lasu, szorstka kora pni, a wysoko w górze niemal szczelny dach koron, pod którymi iskry unosiły się jak gwiazdy, oświetlone były przygasającym płomieniem. Zwinięto węże, przywiązano drabiny i bosaki, po czym sikawka zniknęła w ciemnym lesie. Tylko światła obu latarń sunęły przez chwilę nad młodnikami niby duże błędne ogniki.

— On powinien pójść ze mną, Gruber — powiedział jeszcze raz generał. — Dość miejsca dla starych żołnierzy. Tu niedobre miejsce dla pana.

Ale leśniczy potrząsnął głową. Wciąż jeszcze siedział tak, jak przedtem zobaczył go Thomas, nie był załamany, ale nieobecny; wpatrzony w dymiący grób powiedział cicho:

— Święci ją podniosą, święty Florian i jego pomocnicy. Oni nie pytają o wyznanie, tylko pytają, czy ten ktoś cierpiał… Myśli pan, drogi panie, że ją to bolało?

— Nawet palec nie zabolał — odrzekł Thomas. — Zasnęła w dymie, jeszcze zanim dotknął ją płomień. I aż do zaśnięcia śpiewała.

Tamten skinął głową.

— Srogi Bóg — powiedział. — Zapragnął okaleczyć jednego z nas i osiągnął to, co wynikało z jego woli. Tamten rozsypał się w proch, szybciej niż zdołała dosięgnąć go jego dłoń, a teraz nadrobił resztę…

Ja wiem, jak oni wyglądają… Widziałem okop, przez który przeszły miotacze ognia… Nie wyglądają dobrze, ale on przeobrazi ich, zanim ich przyjmie. On może tak wiele, wszystko może, jeśli chce…

Generał zdjął czapkę i odmówił modlitwę. Nocny wiatr lekko rozwiewał jego siwe włosy. Potem ruszył do swojego konia.

— Niech pan też idzie, drogi panie — odezwał się Gruber. — Bilder-mann zrobi dla niej trumnę, taką prowizoryczną. Przyniesie ją przed nadejściem dnia. Inni nie muszą oglądać, ale on może. Ona zawsze wypatrywała go z jego piosenkami, a on z pewnością oglądał w swoim życiu gorsze rzeczy niż to tutaj.

Gdy został sam, posiedział jeszcze przez chwilę. Noc była dość wczesna i miał dużo czasu. Nie marzł, gdyż wciąż jeszcze tliły się belki. Czasami nadlatywał od jeziora łagodny powiew niosący zapach wody i pierwszych zielonych liści. Wówczas rozpalały się nikłe płomyki, dym ukośnie wznosił się pod korony świerków, a potem wszystko cichło i gwiazdy znów tkwiły na dawnym miejscu.

Siedział niby przy obozowym ognisku. Bitwa była przegrana, on nie został trafiony. Trafiani zawsze bywali inni. Bóg, jeśli nawet bardzo łaknął, teraz ma dość. Jemu zresztą nie można już zabrać wiele, chyba jego samego, a to mógł spokojnie zrobić. Wiedział jednak bardzo dobrze, że on tego właśnie nie zrobi. Zawsze musi pozostać ktoś, żeby wypić kielich do dna, a denny osad nigdy nie bywa najsłodszy.

Między nim a żoną wciąż zdarzały się sprzeczki o wyznanie; ona zawsze uważała, że jego wiara jest fałszywa, ale to, co On robi z ludźmi wydawało się takie samo dla wszystkich wyznań. Odtąd jednak zapanuje cisza. Nie będą trzeszczeć podłogowe deski, nie będzie odmawiania modlitwy przed jedzeniem; "... wszystko też, coś utopił i spalił weź radośnie w swoją dłoń! Amen". Teraz zabrał ją. Czekał jedenaście lat, tak jakby nie zależało mu na tym obrazie zniszczenia, który przeciw niemu bluźnił, tak jak czasem bluźnią matki. Potem jednak wkroczył niby Bóg gorliwy, któremu nic nie umknie, również to, co zniszczone.

— Na zdrowie! — powiedział Gruber i wstał.

Wziął leżący obok bosak i zaczął odciągać belki i krokwie. Pracował spokojnie i ostrożnie wszystko rozgarniał. Wiedział, gdzie stały maszyny, jak i to, że prawy sąsiek był pusty. Znalazł pogięte koło zamachowe od sieczkarni i pokrzywiony szkielet wagowej szali. Poza tym klepisko było puste. Tamto nie zdarzyło się więc tutaj. Stał przez chwilę, czując, jak gorąco przenika przez zelówki butów. Następnie przyniósł parę naręczy przeznaczonych dla kuchni porąbanych drew i obok dogasającego pogorzeliska rozpalił nowe ognisko. Teraz mógł widzieć, co było zwęglonym drewnem, a co mogło być czymś innym. Ponieważ w tym miejscu nie gaszono pożaru,

spaliły się wszystkie deski, a tylko belki i krokwie zachowały coś z dawnych kształtów. Przeciąganie ich przez okopcony fundament nie było zbyt trudne.

W końcu znalazł ją. Leżała na wznak, wyprostowana, ręce miała złożone poniżej piersi. Zdawała się mu pomniejszona, o wiele mniejsza. Od czasu do czasu musiał na nią patrzeć, żeby nie ocierały się o nią belki odciągane wbijanym w nie bosakiem, ale robił to z na wpół przymkniętymi oczami i od czasu do czasu pojękiwał.

Kiedy skończył, Wielka Niedźwiedzica minęła już zenit. Sąsiek był teraz już całkiem pusty, poza ciałem leżącym niemal pośrodku. Przyniósł dużą brezentową płachtę, którą okrywało się sanie i przykrył nią zmarłą. Tak samo robili na wojnie, tyle że namiotowe płachty były szare albo brązowe.

Potem usiadł przy drzwiach stajni, na pługu, którego żelazo chłodziło dłonie i zapalił. Również tego, że twarzą w twarz ze śmiercią można palić tytoń, nauczyli się na froncie. Byli z nią tak zżyci, że nic sobie z niej nie robili. Niepalących zabierała tak samo jak i tych drugich. Nie przejmowała się męskimi nawykami.

Świt nadszedł wcześnie i na jeziorze zaczęły nawoływać się perkozy. Wszystko było takie jak zawsze. W okolicy nie było żadnego poruszenia, tylko w rozczerwienionych zorzą koronach świerków, w górę i w dół, biegały zaniepokojone wiewiórki, patrzące ciekawie na puste miejsce i na rozpostartą białą płachtę.

Leśniczy wstał i poszedł na brzeg. Za wyspą rozpościerała się rozległa i czysta czerwień porannej zorzy, zieleniły się już brzozowe gaje. Zbliżała się łódź. Na rufie stał Bildermann z długim wiosłem, jasna trumna spoczywała przed nim, na ławeczkach. Po ciemnej wodzie, wraz z łodzią sunęło jej długie odbicie. Był to przyjemny widok i stary człowiek przyglądał się mu. Kiedy przetrwało się najgorsze, wszystko stawało się dobre. Zegar stanął bez ruchu, ziemia czekała.

Pochowali ją obok mogiły Glorii. Znowu zjawił się jednoręki pastor, a w świerkowych koronach, zamiast gili, śpiewały drozdy. Mówił, że najważniejsze na ziemi są matki, że zostanie im przebaczone to, czego nie przebacza się innym. Nie rozumiał jednak, dlaczego to się stało. Wyraźnie powiedział, że tego nie pojmuje. Mówił, że wszyscy powinni schylić głowy, wszyscy razem, ale jego twarz miała przy tym taki wyraz, jakby pod brodą dopinał pasek hełmu.

Powiedział, że starzy żołnierze wciąż jeszcze maszerują, i ciągle też, z prawej i lewej, padają nieżywi. Późni zmarli, których poprzednio dotknęło wiele, ale dopiero

teraz rozdarło ich serce. Wojna wciąż jeszcze bije w bębny i ludzie wciąż siedzą na ognistym wozie, jak kiedyś Eliasz albo syn tej zmarłej.

— Umiłowany Boże — zakończył. Czyż mielibyśmy wciąż z tobą walczyć? Czy nie zastanowiłeś się nad tym, że walczysz z samym sobą?

To była dziwna pogrzebowa mowa, a leśniczy nie odrywał oczu od jego bladej twarzy wpatrzonej w grób, tak jakby jego własna matka leżała tam w trumnie.

— Przejęli władzę, bo nie ma tu Marianne — powiedział generał, gdy się skończyło.

Thomas pokręcił głową.

— Biorą to, co dostają — odrzekł.

Na resztę dnia Gruber miał popłynąć z nim na wyspę, okazało się też, że również pastor chętnie udałby się tam z nimi. Powiedział, że okolica oczarowała go już poprzednio, a teraz, wiosną, chętnie stanąłby tam i popatrzył na lasy. Tak więc popłynęli we czwórkę.

Bildermann ugotował kawę i pili ją przy szarym stole przed domem. Było tak jak po jakiejś bitwie, tak jakby napiętnowała trochę ich wszystkich. Potem Gruber poszedł z Bildermannem do kuźni. Potrzebował kilku kątowników do drabiniastego wozu i chciał je z miejsca odkuć.

— Czy jeśli wezmą się za młot, nie będzie przeszkadzało jej tam, na drugim brzegu? zapytał pastora.

— Nie, na pewno nie.

Pastor miał chęć na spacer dookoła wyspy i Thomas poszedł z nim. Przystanęli pod dębami i patrzyli w dal. Po niebie sunęły białe obłoki, na przeciwległym brzegu powiewały długie zielone gałęzie brzóz.

— Chciałbym kiedyś być pochowany tutaj — powiedział Thomas i żeby potem przeniósł pan tamtą trumnę z drugiego brzegu. Mógłby pan wygłosić dziewięćdziesiąty psalm, jeśli musiałby pan coś powiedzieć.

— Pan nie wierzy? — zapytał pastor.

— Korzę się, ale nie wierzę.

— Nie powinien się pan korzyć — rzekł pastor. — Powinien pan walczyć z nim. Tylko walcząc, wywichnie pan biodro.

— Z Bogiem można walczyć, jeśli się w niego wierzy. Z nieodzownością walczą tylko durnie.

— Nic nie jest bardziej nieodzowne niż Bóg.

Thomas lekko położył mu dłoń na ramieniu i poprowadził dalej.

— Potrzebowałem dziesięciu lat, żeby się wyplątać — rzekł. — Tylko tchórz zawraca, ujrzawszy oblicze. Ja tchórzem nie jestem.

— Było to oblicze czy maska?

— To było oblicze ukryte za maską.

Potem już o tym nie rozmawiali, a zanim zaszło słońce, Thomas przewiózł go z powrotem na brzeg.

— Gdy kiedyś będzie pan mnie wzywał — powiedział pastor na pożegnanie — niech pan nie sądzi, że przyjdę jako zwycięzca, który miał rację. Jednak nie wierzę, że pan mnie wezwie.

Thomas odrzekł z powagą, że również w to nie wierzy.

Nie miał ochoty wzywać kogokolwiek. W jego pamięci, u wrót nowego życia stała tamta mroczna kobieta, a owego wieczoru, gdy zobaczył ją pierwszy raz, również po raz pierwszy zobaczył wyspę. Nie było więc tak, jakby to umarła jakaś tam kobieta z lasu. Wciąż też zastanawiał się, czy tamto nocne wołanie rozchodziło się na wszystkie strony, do wszystkich domostw, w których leżeli śpiący albo śniący, czy też dochodziło tylko do niego. Gdyby było właśnie tak, to czy dochodziło od owej kobiety wołającej doń o pomoc? Ale gdzie też miało to mieć swoje miejsce w świecie, który właśnie z trudem sobie zbudował?

Kończył książkę bez szczerej radości. Zdawało mu się, że błąd tkwi w tym, iż zabiegał o to, żeby swoje myśli przedstawić światu. Przemyśleniami można poruszyć świat, ale czy jednak nie było z tym tak jak z wahadłem przepędzanym dłonią poza oba punkty spoczynku? Przecież zegara nie porusza to, co znajduje się poza owymi punktami, ale tylko to, co waha się między nimi.

Szczególnie zaś rozmyślał o Bogu. Któż miał prawo mówić: "To mój Bóg, a wy musicie dowiedzieć się, co o nim sądzę"? Tak powstały wszystkie religie, ale wszystkie spływały krwią, gdyż powstały w taki sposób. O Bogu nie powinno się głosić kazań, tak samo jak o życiu, pracy i miłości. Wszystko to powinno się czynić. Wszystko to promieniowało już samo przez się, jeśli było promienne. Słowo mogło być zaś przekleństwem. Było dźwiękiem wyzwalającym lawinę. Psuło bieg życia. Chleb, bitwa, płodzenie, śmierć, to wymykało się słowu. Słowo profanowało to wszystko. Gadający

bogowie byli tak samo podejrzani jak jakiś gadający głaz. Boskość jest niema, tak jak gwiazdy.

Tak mało wiedział. Chciał pracować, może jeszcze dziesięć lat, póki ciało nie ostrzeże go po cichu, że ta część jego żywota chyli się już do kresu. A potem chciał czytać. Jego duch jeszcze będzie rześki, łaknący wszelkiego poznania, jakie kiedykolwiek uzyskał człowiek. Również jego omyłek. Postrzegał to niby jakąś stojącą przed nim katedrę, budowlę ludzkiego umysłu, a kiedy podnosił na nią wzrok, odczuwał oszołomienie. Tam była wiedza o gwiazdach, jak i ta o mikrobach. Tam były odkrycia i osiągnięcia, rośliny i kamienie, sagi i baśnie, filozofia i religia. Tam stały lunety i mikroskopy, fiolki i roboty, miłosne przysięgi i śmiertelne maski, a poza tym wszystkim niejasne znaki nekromantów, nienasyceńców, którzy jak jakiś Bóg chcieli poruszać i zaklinać.

Kiedyś to, co znajduje się na Ziemi, nie miało pozostać dlań obce. Chciał bez dociekania sensu poznać "cuda wszechświata". Sens nosiły one w sobie; siłę, piękno albo po prostu Prawo. Łaknienie poznania odczuwał niekiedy w dojmujący sposób. Nie nadużyje go, on z pewnością nie. Będzie siedział tutaj, jak jakiś stary czarodziej wpleciony w tkaninę światów i nasłuchiwał dopóty, dopóki nie zaczną mu pobrzmiewać sferyczne tony. Będą narastały dookoła niego, pragnęły i nienawidziły, kochały i wybaczały. Wiedział, jakie wszystko to było doczesne i wątpliwe, piękne i smutne. Postarzeje się jak Petrus, będzie przypominał sobie wielką wojnę, nawet gdy już stanie się ona tylko legendą, tak jak ów przypomniał sobie bitwę nad Berezyną. Liście będą opadać i znów się zazieleniać, mogiły będą się zapadać, a dzieci szukać złotej korony. On zaś może kiedyś usłyszy sferyczne tony, cichy dźwięk, z którym obraca się oś wielkiego Prawa. Nie będzie chciał oglądać Boga ani zaświatów, ani raju, ani piekła. Kiedyś zechce zobaczyć całość, makrokosmos starożytnych, spiżowy, wspaniały i ogromny, w którym ludzie byli niby pył na klepisku. A potem stanie się tak cichy jak głaz na dnie, jak spadający z dębów liść. W końcu zaś ustanie jego oddech i skończy się jego droga. Powiedzą, że oto umarł.

Jeszcze raz, we śnie, wołano go, a więc nie była to tamta mroczna kobieta. Jednak zaniepokoił się, bo niczego nie wiedział o tamtych sprawach, a gdy w porze przesilenia dnia z nocą przybył młody hrabia, zapytał go, co też myśli o owym niejednoznacznym zjawisku.

Zapytany uśmiechnął się na swój sposób i powiedział, że myśleniem nie zdziała się wiele. A czy pytający wie, że ludzkie serce zawieszone jest w klatce piersiowej pod tym samym kątem co ekliptyka Ziemi, a więc dwudziestu trzech i pół stopnia?

Nie, tego Thomas nie wiedział i przestraszyło go to niemal tak, jakby spojrzał na wielką tablicę Praw dominującą nad wszystkimi żywymi i umarłymi. A jak to można wyjaśnić?

No, żadnego wyjaśnienia nie ma. To tylko tchnienie wielkich tajemnic, pośród których ludzie kroczą swoją dróżką. Thomas jednak chciałby się dowiedzieć, jak to było z owym nocnym wołaniem i pytał tak natarczywie, jakby wśród wszystkich nocy jego życia wołał taki głos.

— W mojej bibliotece znajdzie pan całą szafę pełną tego — rzekł w końcu hrabia. — Nic to jednak panu nie pomoże. W tej dziedzinie nauka zna tylko eksperyment jako jedyny sposób. Eksperymenty jednak zawiodły. Dotychczas nie przemówił żaden umarły. Czy jednak umierający mogą nawoływać z daleka, ponad lądami i morzami, tego nie wiem. Wiem, że może rozlegać się wołanie, ale nie wiem, czy woła to ktoś inny, czy też moja wzburzona krew.

— To jakiś pogmatwany rok — stwierdził Thomas — widać to po rybach. Mają inne szlaki niż zwykle.

Hrabia kiwnął głową.

Nie ma nic łatwiejszego niż zbytek pewności. Niech pan spokojnie pozwoli wołać temu głosowi. To znak, że oni troszczą się o pana. Mój kuzyn nie słyszy żadnych głosów.

— Kto to taki, ci "oni"?

Ale hrabia tylko wzruszył ramionami.

— Gdyby jednak kiedyś przejął pan duże dziedzictwo — powiedział po chwili — tak żeby stał się pan zupełnie wolny i niezależny, na tyle, na ile może takim być człowiek, czy odszedłby pan stąd, Orla?

Thomas bez namysłu zaprzeczył.

— Gdybym to zrobił, wszystko okazałoby się fałszywe. Możliwe, że za dziesięć czy dwadzieścia lat, gdy już nie będę mógł pewnie trzymać w dłoniach wioseł. Jestem człowiekiem, dla którego oparcie stanowi praca.

— A myślenie odmęt — uzupełnił hrabia. — U pana dziwnie pomieszana jest prostota i komplikacja. Zrazu myślałem, że pan chce żyć tutaj jak w jakimś śnie, ale chyba jest tak, że żyje tu pan, żeby nie śnić.

— Chcę wiedzieć, a nie śnić — rzekł Thomas.

— Tak, tak. Tak to jest z nami wszystkimi, ale w końcu zauważamy, że siecią wyciągamy tyko siebie. Wciąż. Nawet nie złotą koronę...

Uśmiechnął się i wstał.

— Muszę wracać do domu — powiedział. — Zachodzi słońce...

Jednak wciąż stał w miejscu i nieobecnym wzrokiem patrzył na globus. — To śmieszne — dorzucił — jak my czasem rozmawiamy... Jak w jakiejś sztuce teatralnej... Muszę do domu, zachodzi słońce...

Gdy już wsiadł do łodzi i zanurzył wiosła, jeszcze raz się odwrócił.

— Poza tym, zjawił się on, ten "medytujący" — powiedział.

Wczoraj wieczorem, o zmierzchu. Było zupełnie tak, jak panu czytałem. Tylko że nie wszedłem do pokoju, ale właśnie tam grałem sonatę h-moll Chopina, utwór całkiem stosowny. Podczas środkowej części rozejrzałem się, a on właśnie się składał. Nie mógłbym chyba nazwać tego inaczej, bo niejako montował się ze swoich części. Z elementów niezwykle niestałych. Ale wszystko było takie, jakie powinno być. Również bicie zegara, jak i to, że spłynął niby płyn po jastrychu...

Jeszcze raz omiótł Thomasa spojrzeniem, w którym kpina pomieszała się ze smutkiem.

— I wiedziałem, że Pan popatrzył na mnie — dodał. — Nie wiedziałem jednak dokładnie, rozumie pan, Orla? My, ludzie dzisiejsi, tak niewiele rzeczy znamy dokładnie.

Potem pierwsze uderzenie wioseł oderwało łódź od pomostu.

— Niech pan jeszcze zostanie, hrabio — powiedział Thomas.

Niech pan zostanie dziś u mnie na noc! — Doszedł do końca pomostu i uniósł rękę, jakby chcąc zatrzymać odpływającego.

Tamten tylko potrząsnął głową. Lekka łódź z każdym uderzeniem wioseł wypływała coraz dalej na wodę, a pociągła, uśmiechnięta twarz stawała się coraz dalsza i coraz mniej wyraźna. — Nie sądzisz, Bildermann, że to może coś zapowiadać?

Bildermann popatrzył nań zatroskany.

— Lepiej trzymajmy się steru i kompasu, kapitanie — odrzekł.

Thomas spał mocno i bez sennych zwidów, ale gdy wzeszło słońce, włożył do łodzi rower i powiedział, że musi pojechać do hrabiego.

Potrzebował na to dwóch godzin, bo po drodze parę razy zsiadał, żeby zapalić i zastanowić się, czy nie byłoby lepiej zawrócić. Nie był pewny, czy robi dobrze, ale gdy przyjechał na miejsce właśnie przenoszono zmarłego z folwarku do domostwa i ustawiono nosze w korytarzu z maskami. Na twarz narzucono mu chustę i czekano na pana majoratu oraz sąd z powiatowego miasta. Stary sługa stał pobladły przy jednym z wysokich okien, przez które wpadał zielonkawy odblask lasu. Wiedział, że ze strony podwładnych zmarły wymagałby należytej postawy i milczenia. Rządca folwarku siedział z zatroskaną miną na jednym z niskich kufrów, wielkimi dłońmi nieustannie przeczesywał gęste włosy i mamrotał, że jest niewinny, że, na Boga, nie ponosi winy za śmierć młodego hrabiego.

Thomas ostrożnie zdjął chustę z twarzy zmarłego. Nie była zniekształcona ani zmieniona. Oczy były zamknięte, a Thomasowi wydało się, że wie, iż pod powiekami, tak jak wokół wąskich, bezbarwnych ust, utrzymuje się ten sam co zawsze wyraz melancholijnej kpiny. Włosy, wzdłuż przedziałka, były mokre od krwi, która jeszcze nie spłynęła. Tam musiała znajdować się rana.

Uniósł wzrok i przebiegł nim po ścianie pokrytej szarą tkaniną, na której wisiały maski. Tak, stara hrabina mogłaby być zadowolona: tamten nie wygląda inaczej niż ci tutaj. Nie ustępuje im. Postarał się.

Z powrotem położył chustę na zmarłym i skinął na obu obecnych, żeby ruszyli za nim. Gdy wyszedł, zauważył, że w błękitnawym wazonie tkwią rozkwitłe gałązki jaśminu. Wczesne było lato tego roku...

Na dworze dowiedział się, jak się to stało.

Folwarczni ludzie byli nocą w wiejskiej gospodzie, a rano odmówili wyjścia z kosiarkami na łąki, do dojenia krów, karmienia koni i tak dalej. Prawdopodobnie przemawiał tam do nich ktoś z miasta, ponieważ używali zwrotów, którymi nie posługiwano się na folwarku. Z tego, co mówili, wynikało, że dziś nie mają ochoty pracować "na rzecz reakcji". Nie brzmiało to głupio i poważnie jak zwykle, ale buntowniczo i bezczelnie, przewodził im zaś pomocnik dojarza.

Rządca poszedł więc do hrabiego, ponieważ jego domostwo leżało obok i w zaistniałej potrzebie pomyślał o najbliższej pomocy.

Hrabia był w ogrodzie, chodził tam i z powrotem i tylko kiwnął głową, jakby już był z tym u niego ktoś inny. Ale rządca był jednak pierwszy. "Tak szybko?", zapytał hrabia. Tak, może przysiąc, że to powiedział, a potem przez chwilę przyglądał mu się. Było to dziwne spojrzenie, pomyślał więc sobie, że młody hrabia czasem buja w obłokach.

Potem poszli, niespiesznie, a on jeszcze zapytał, czy pan hrabia ma broń. Ten jednak tylko się uśmiechnął i powiedział, że na takich drogach broń nie jest potrzebna. Nie nosił też kapelusza, ale ruszył tak ubrany, jak w ogrodzie.

Na dziedzińcu ludzie stali przed wrotami stajni i palili papierosy. Nie zdjęli czapek. Hrabia rozsunął najbliższych łokciami, na boki, bo dłonie trzymał w kieszeniach kurtki, i podszedł do jednego z młodych fornali, który krzywym okiem patrzył szyderczo obok niego. On, rządca, pozostał poza tym kręgiem.

To stało się szybko jak we śnie. Hrabia popatrzył na owego fornala i swoim cichym, ale wyraźnym głosem rzekł: "Ach, ty draniu, robisz rewolucję, a nawet nie zapiąłeś kurtki?".

Zagadnięty szybko sięgnął dłonią do najwyższego guzika kurtki, ale wówczas już uderzył pomocnik dojarza. Stał za hrabią ukryty wśród innych, w ręku miał wozową kłonicę. Hrabia nie miał czapki, a cios trafił go z całą siłą. Bezgłośnie upadł do przodu, zasłaniając dłońmi twarz. Podnieśli go, ale nie było już w nim życia. Mordercę związano, ludzie byli posłuszni, bez jednego słowa.

Czy to nie pomyłka, że hrabia powiedział "tak szybko?". Nie, to nie pomyłka, przysięgał na duszę i świętości rządca.

Thomas spojrzał na starego sługę i zauważył, że ten patrzy na niego wzrokiem wiedzącym i proszącym. Niemal niezauważalnie skinął głową i poszedł do swojego roweru. W bramie zamienił kilka słów z kuzynem hrabiego, wysokim bezbarwnym mężczyzną, którego widział podczas polowania na wilka, a potem usłyszał jeszcze, jak ów gniewnie zagadał do rządcy.

Zszedł na brzeg rzeki i czekał na komisję. Lepiej było składać zeznanie tutaj niż po wezwaniu do miasta.

Woda cicho płynęła u jego stóp, w dole rzeki kląskały słowiki, z drugiego brzegu dolatywał zapach róż. Było tak jak zawsze. Ten, w którym wszystko to odzwierciedlało się niby w szlachetnym szkle, odszedł, ale nie martwiło to kręgu jego Stworzenia. Koła się nie zacinały, wahadło nie zatrzymało się. Kurtyna zapadła,

jednak zanim zapadła, przez jakąś szparę rozbłysło z otchłani światło, jakiś nagły blady blask, tak szybki, że można było rozpoznać tylko coś mrocznego, jakieś chmury albo jary lub też opustoszałe lodowate morza.

"Kocham to wszystko, choć ciężko mi na sercu...". Widział go, stojącego na wyspie, smukłą postać ze spadzistymi ramionami, spoglądającego tam, gdzie chciał dojrzeć czoła zwieńczone bursztynowymi koronami. Nie wziął broni. Nie bał się.

Gdy z powiatowego miasta przybył samochód, Thomas złożył zeznanie. Potwierdził, że rządca przedstawił mu zdarzenie w tych samych słowach. Powiedział, że wczoraj hrabia był u niego. Nie, o groźbach nie było mowy.

Powiatowy lekarz stwierdził, że pokrywa czaszki zmarłego była tak niezwykle cienka, że można go było zabić liniałem. Zatroskany dodał, że to "zupełnie nienormalny przypadek".

— Co jednak nie mogło być wiadome tamtemu człowiekowi z kłonicą — zauważył Thomas.

— Oczywiście, że nie. Oczywiście nie.

Potem zwolniono Thomasa. Poprosił o zawiadomienie go o pogrzebie i odszedł.

Sługa odprowadził go.

— Tak, zobaczył "tamtego" przedwczoraj wieczorem — powiedział cicho Thomas.

Sługa skinął głową i przeżegnał się. Młody hrabia siadywał mu jeszcze na kolanach.

Na pogrzeb Thomas pojechał z generałem. Zmarły leżał w zamkowym holu, tak dużym jak kościół. Dwóch oficerów, w dawnych białych mundurach, trzymało wartę. Trzeba było chwilę poczekać, póki szerokimi, środkowymi schodami nie zeszła stara hrabina. Przyszła samotna, siwowłosa, bez kropli krwi w kamiennym obliczu. Thomasowi powiedziano, że zimą obchodziła osiemdziesiąte urodziny.

Zatrzymała się u wezgłowia trumny, oparła na lasce i poleciła, żeby zabrano podsunięty jej fotel. Jasnymi oczami przebiegła po całym pomieszczeniu i skinęła na duchownego. Był to gest krótki, niemal wyniosły, a Thomasowi wydało się, że tamten się przeląkł. Był to superintendent z powiatowego miasta, miły, okrągławy mężczyzna, zaś kiedy zaczął mówić, głos jego zabrzmiał o wiele za głośno w tym milczącym pomieszczeniu.

Można było zauważyć, że zadał sobie trud, jednak Thomas przyglądał mu się ponuro. O zmarłym należało mówić inaczej, nawet jeśli nie straciło się na wojnie ręki. Hrabina patrzyła obok niego, przez otwarte drzwi, na stojące tam wiejskie dzieci. Opierała się na lasce obiema rękami; nie poruszył się żaden rys jej twarzy. Wyglądała jak jedna z masek w szarym korytarzu domu hrabiego, jeszcze nie naznaczona przez śmierć, ale już nią przepełniona, znosząca wyniośle i milcząco ślepą przemoc.

Gdy tylko intendent przeszedł do zasadniczej części przemówienia, mówiąc, że oto padł tutaj, za ojczyznę i prawo, ostatni z sześciu synów, matka zaś, w wieku biblijnych psalmistów musi stać u tej trumny, druga Niobe, jak się to mówi w greckim podaniu, stuknęła twardo laską i nie patrząc na niego, rzekła głośno i wyraźnie:

— Niech nie paple!

Duchowny urwał, a przez cały hol przeszło poruszenie. Potem opanował się, schylił czoło, jakby przebaczając zbolałej i rychło dobrnął do końca.

Nie było już przemówień, tylko w parku, przed murowaną kryptą generał wygłosił pożegnalne słowa dla żołnierza Natango Perneina. Głos jego był jasny i ostry niby na paradnym polu, oczy patrzyły groźnie spod brwi na obu oficerów o znieruchomiałych twarzach. Hrabina skinęła doń głową.

Kiedy w oczekiwaniu na powóz Thomas stał obok generała, przyszedł kuzyn hrabiego i poprosił go do starej hrabiny. Chciała zamienić z nim parę słów.

Na piętrze, w dużej sali z owalnymi portretami, hrabina siedziała przy oknie i patrzyła na park. Wskazała fotel stojący naprzeciwko i w milczeniu przyjrzała się ThomasowL Teraz, z bliska, zauważył delikatny splot zmarszczek na jej nieruchomej twarzy oraz wielkie płomienne oczy. W nich, tak jak w oczach umarłych, nie mieszkały już żadne marzenia. Były jednak tak jasne, jak gdyby nie odzwierciedlała się w nich żadna bliskość, lecz bezprzedmiotowa dal, a choćby rozświetlone, blade jesienne niebo bez żadnej chmurki.

— On gardził ludźmi — zaczęła w końcu — i bolało go, że musi nimi gardzić. O panu jednak mówił dobrze. Proszę mi opowiedzieć jak to było, kiedy był u pana ostatni raz.

Thomas nawet nie pomyślał, żeby wobec tych oczu mógł cokolwiek przemilczeć.

— Muszę do domu... Zachodzi słońce... — powtórzyła. — Tak, on gardził również śmiercią... Był inny niż pozostali, całkiem inny. Od urodzenia ciężko mu było

na sercu. Każdego dnia potrzebował więcej męstwa niż inni przez całe życie... Mój beniaminek...

— Wiele ukochał, hrabino.

— Tak, wiem. Kochał i mnie. Był jedynym, który mnie kochał, nawet jeśli ze mnie pokpiwał. Inni tylko bali się mnie. Mógłby mnie nienawidzić. Za to, że odziedziczył po mnie coś w rodzaju trądu. Ale on mnie kochał. Bo kochał wszystko, co było pozbawione nadziei, a odrazę czuł do nieszlachetnych czasów. Do epoki, która nie uznaje miecza, tylko kij. Poległ też od uderzenia kijem. Żyłam tylko po to, żeby miał kogoś, z kim mógłby się uśmiechać. Teraz nie ma już potrzeby, żebym żyła, Niobe, jak powiedział tamten. Szkoda, że on nie mógł tego usłyszeć, miałby uciechę... Czy wierzy pan, że on zobaczył "tamtego"?

Oczywiście, że Thomas wierzył.

— Nie ukazał się jeszcze żadnej kobiecie — powiedziała. — Szkoda... Potem podała mu rękę i poprosiła, żeby odszedł.

— Miał rację w tym, co mówił o panu. Zawsze miał rację. Niech pan żyje w spokoju i umrze odważnie.

Wyszedł po cichu. Gdy zamykał za sobą drzwi, siedziała w fotelu wyprostowana, a oczy miała zamknięte.

Owa śmierć dała Thomasowi dużo do myślenia. Pewnej nocy zdawało mu się, że w jego domu została wyburzona ściana, ze wszystkimi wiszącymi na niej obrazami, i jeśli nie będzie uważał i kiedyś, nocą, podejdzie do tej ściany, runie w bezdenną otchłań. Bardzo uważał na siebie, a Bildermann jeszcze bardziej. Bardzo też żałował umarłego. Było tak, jakby wraz z nim pogrążyła się cała epoka. Jak dotkliwy ból całą jego świadomość przenikało to, co niepowtarzalne w żywym człowieku. Tamten miły mężczyzna przemawiający u trumny powiedział, że Bóg wie, czemu to posłużyło. Oczywiście, że wie, tak jak i o potopie i o wojnie trzydziestoletniej. "Niech nie paple". Jakże wspaniale stała tam hrabina, niby jakaś królowa wśród plotkujących na rynku bab... Nienaruszalna i nieśmiertelna była tylko krew.

Tamten poległ tak, jak powinien był polec Thomas. Lecz nie nosił broni i nie zawahał się. Śmierć posłała po niego, nawet jeśli posłańcem był roztrzęsiony rządca, a on usłuchał. Był bez czapki, bez płaszcza, bez broni. Najbardziej wadziła mu nie zapięta kurtka. W decydującej chwili niedostatek postawy był czymś nieuporządkowanym.

A ów szary człowiek, który "składał się" u kominka? Tu wszystko było niejasne. Zachodziło pytanie, czy dostrzegłby go, gdyby o nim nie wiedział. Gdyby nie istniał dziennik przodka. Jedno jedyne pytanie, ale bez odpowiedzi. Charakter zjawiska zataił się i milczał.

Tydzień później Thomas został zaproszony do notariusza w powiatowym mieście. Dowiedział się tam, że zmarły hrabia postanowił w swoim testamencie, że on, Thomas von Orla, zostanie dziedzicem jego domu i ogrodu, ze wszystkim, co się tam znajduje. Na utrzymanie posiadłości i dalsze wynagradzanie pozostających w służbie u hrabiego, z których każdy obdarzony został specjalnym legatem, przeznaczone były odsetki od wartości majątkowej, która po śmierci Orli miała przypaść majoratowi. Hrabina Pernein była uprawniona do dysponowania określoną liczbą poszczególnych przedmiotów, nadto poproszona o to, by nie podważała testamentu. Dla niej zastrzeżona została dożywotnio pewna liczba pomieszczeń i wiele uprawnień. Jej akceptacja ostatniej woli syna została już złożona, z uzupełnieniem, że prosi Thomasa von Orla, żeby zechciał ową ostatnią wolę uznać i uszanować. Po śmierci dziedziczącego dom i ogród miały przypaść majoratowi.

Thomas zapytał o datę testamentu. Przedstawiono mu oryginał i dostrzegł, że był to wieczór, w który ukazała się zjawa.

Tak, chce przejąć dziedzictwo.

Złożył wizytę panu majoratu, ów zachował się powściągliwie, ale nie nieprzyjaźnie. Omówił z nim sprawy wynikające z sąsiedzkich stosunków. Potem Thomas usiadł ze starym sługą na tarasie wznoszącym się nad poziom ogrodu. Prawdopodobnie będzie tu przemieszkiwał przez kilka zimowych miesięcy, żeby czytać i pracować. Poza tym będzie gościem rzadkim. Wszystko ma zostać tak, jak jest, on zaś zakłada, że będą dbać o dom i ogród, tak jakby każdego dnia miał wrócić hrabia.

Potem zażyczył sobie, by oprowadzono go po wszystkich pomieszczeniach; zatrzymał się przy mikroskopie i aparaturze fizycznej oraz małym laboratorium chemicznym. Sługa powiedział, że istnieje dokładny spis wszystkich rzeczy, również katalog biblioteki. Zmarły pan był we wszystkim bardzo skrupulatny. On sam obiecuje wszystko chronić i zachować. Na stare lata nie mogło mu przypaść nic piękniejszego.

Thomas włożył do plecaka spis mający formę grubego woluminu i polecił, żeby stawił się ogrodnik oraz posługaczki. Powtórzył im to, co powiedział staremu słudze i

dał swobodę podjęcia decyzji, czy nie chcieliby zrezygnować z miejsca, uznając, że jest tu nazbyt odludnie. Wszyscy jednak postanowili zostać, ogrodnik zaś poprosił, żeby pan von Orla od czasu do czasu zechciał przyjrzeć się ogrodowi. Smutne, gdy kwiaty przekwitają nadaremno. Chciałby także, chętnie, udać się jesienią na wyspę i zasadzić nowe byliny. O tym mówił już zmarły pan hrabia.

Gdy w szarym korytarzu Thomas jeszcze raz spojrzał na maski, sługa zdobył się na odwagę.

— Proszę wybaczyć, panie kapitanie — powiedział — że nie mówiłem o tym do tej pory. Ale ja już tamtego wieczoru wiedziałem. Wszedłem, gdy pan hrabia siedział przy fortepianie, bo chciałem zaciągnąć zasłony. Wówczas pan hrabia powiedział: "Zbliża się pora, Friedrich" i skinął dłonią. Wtenczas wiedziałem już wszystko. Że pan ujrzał "tamtego". Ale on tylko się uśmiechał.

Thomas stał jeszcze chwilę i przypatrywał się żółtym różom w błękitnawym wazonie.

— Friedrich, czy i my będziemy się uśmiechać? — zapytał.

Rozdział 13

Wróciło dziecko, ale nie było już dzieckiem. Gdy Marianne wysiadła z łodzi i zaczęła wchodzić na nadbrzeżny stok, przestraszyli się obaj. Urosła, a włosy podwiązała nad karkiem. Nie nosiła już dawnych sukienek, bo stały się za krótkie. Szła tak wyprostowana jak przedtem, a pozdrawiając, skłoniła głowę, ale było widać, że przebywała w "królewskim domu".

Przyjęli ją skrępowani, a Bildermann zdjął czapkę. Przyjrzała się jednemu i drugiemu, położyła z wolna lewą dłoń na sznurze starych drewnianych korali i powiedziała:

— Już mnie nie kochacie?

Pod wpływem znanego gestu i brzmienia głosu, który stał się nieco niższy, odpłynęły ostatnie dwa lata, a życie związało nić w tym miejscu, w którym przerwała ją dama dworu. Zdawało się, że nad wyspą unosi się jeszcze dym ogniska, w którym piekli ziemniaki, lśni w szarym przestworze czerwony blask jarzębiny, trwa dawny dobry czas, wolny od samotności i przemocy śmierci. Bildermann pomachał swoją czapką z coraz bardziej wypłowiałymi, ale odprasowanymi wstążkami i powiedział:

— Mała panienko, dawny łagodny urok dany jest Friedrichowi Wilhelmowi Bildermannowi.

Zaprowadzili ją do domu, obaj, którzy "żyli na oceanie", i wnętrze wydało się uwolnione od strachów: pomieszczenie, w którym Gloria wpatrywała się w nieruchomą kulę ziemską; do którego dobiegał przez okno nawołujący głos; z którego dostrzegli łunę pożaru i gdzie zmarły hrabia powiedział, że zachodzi słońce. Na szafce z maskami stał model wyspy, u szczytu smukłego flagowego masztu wciąż błyszczała złota gwiazdka. Marianne położyła lewą dłoń na wstędze równika, popatrzyła nań, a potem na ich obu i powiedziała tylko:

— Ach, Thomas...

Zabrzmiało to niewiele inaczej niż przed czterema laty, kiedy opowiedział jej jakąś historię, niewiele inaczej, ale dama dworu dosłuchałaby się jednak różnicy.

Wypili przed domem kawę. Mężczyźni zwrócili uwagę, że wyjęła dzbanek z dłoni Bildermanna i sama napełniła filiżanki. Powietrze było szare jak niegdyś, nad brzegiem jarzyła się dzika grusza, a od zatoki pokrzykiwały perkozy. O tych dwóch

latach opowiadała poważnie, jak dobra uczennica. No tak, teraz potrafi już robić zakupy i wie, że do tramwaju wsiada się z właściwej strony. Umie prowadzić samochód i zna kroki wszystkich dawnych tańców oraz niektórych nowych. Umie ukłonić się dworsko i rozmawiać w trzech językach. Widziała obce kraje i dowiedziała się tam, że wojnę nie zawsze wieńczy zwycięstwo. Przy tym zobaczyła wiele z tego, co nie było zawarte w jej rozkładzie zajęć: ubóstwo ciała i duszy, winę i pokutę, bruzdę i pług. Na wszystko to patrzyła spokojnym wzrokiem i zapamiętała to. W tym, co mówił Bergengrün, nie wszystko się zgadzało, ale też nie potrzebowała wykreślać prawie nic z tego, czego chciał w czasie owych godzin, kiedy naprowadzała go "na trop". Tym, z czego nie należało się śmiać, pozostawał również ów "pruski sen", jak go nazywał hrabia. Thomas pomyślał, że to zdumiewające, jak też odwieczna krew wciąż płynie swoim nurtem.

Obeszła z nimi wyspę i podziwiała, ile też wszystkiego dokonali. Pod dębami nagle wzięła jego lewą dłoń w swoje dłonie i powiedziała niemal zaklinającym tonem:

— Nie zechcesz mnie wypędzić, Thomas. Prawda? Wolną ręką pogłaskał jej dłonie.

— Drogie dziecko — rzekł — czyżbyś nie wiedziała, jak czekaliśmy na ciebie?

Kilka razy westchnęła głęboko. Wciąż patrzyła na niego.

— Nie wiecie, jak ja tęskniłam — powiedziała tylko. — Nikt tego nie wie.

Czy nie było dobrze, iż przypatrywała się temu, co dzieje się na świecie i uczyła się tego, czego nie mogłaby nauczyć się tutaj?

Dobre? Prawdopodobnie było to pożyteczne, ale nie dobre. Większość Platenów cechował niepokój, drogi ich wiodły od Berezyny aż po rzekę Oranje. W niej zaś samej chyba skupiło się wszystko to, co w ich życiu trwało za krótko. A jej szczęście znajduje się tutaj, na brzegach tej wody.

— A jak to szczęście wygląda?

— Ach, Thomas — odparła — od razu zauważyłam, że się zmieniłeś.

— Postarzałem się, Marianne.

— Nie, nie jesteś stary. To nieprawda. Wygląda na to, że przestaliście już wierzyć w szczęście.

Pokręcił głową.

— Na tym to polega, Marianne, że już nie mamy po siedemnaście lat. Szczęście, w które wierzymy, jest poważne i milczące. Jeszcze przed dziesięcioma laty wyglądało

inaczej, ach, nawet dwa lata temu miało błękitną wstążeczkę uwiązaną przy nadgarstku. Wąską wstążeczkę, ale przecież błękitną.

— A teraz?

— Teraz już jej nie ma. Teraz obchodzimy się bez wstążeczek. Ale szczęście jest tutaj. Wiedz, że ludzie na oceanie nie potrzebują wiele.

— A czego panu potrzeba, Thomas?

— Spokoju, Marianne, i radosnego serca.

Zastanawiali się przez chwilę. Ściągnęła brwi. Siedzieli na ławce, którą Thomas ustawił pod dębami. Nad nimi w przywiędłym listowiu poświstywały sójki, brunatne, błyszczące żołędzie tu i ówdzie spadały na mech.

— Czy wciąż jeszcze nie modlisz się przed nocą? — spytała cicho.

— Nie.

— My prosimy Boga o to, o czym mówiłeś ty, mówiłam ja i dziadek. Kto ma dać warn to, czego potrzebujecie?

Ręką zakreślił szeroki łuk ponad wodą i lasami.

— To tutaj — powiedział. To, i książki, i gwiazdy, i twój głos, gdy słyszymy go na brzegu.

Zaplotła ręce i patrzyła na nie.

— Dlaczego nie wprowadziłeś się do domu, który ci podarował? — zapytała w końcu.

— Nie potrzebujemy żadnej takiej posiadłości — odrzekł. — Potrzebujemy pracy, ubóstwa i nieco czasu. Wciąż też myślimy, że troszkę musimy dbać o ciebie.

— A Joachim?

— O, Joachim jest w podróży do Indii Zachodnich, a nas uważa za dwóch śmiesznych mężczyzn, którym złamał się maszt i którzy powolutku wloką się do mety, za zwycięzcami.

— Ach, Thomas, dlaczego jesteś taki samotny?

— Powiem ci to, Marianne. Dlatego, że pochodzimy z innej epoki, nie tylko z tej sprzed wojny, ale jeszcze znacznie wcześniejszej, z epoki mnichów. Kilku z rodu Orla było opatami, bardzo dawno temu, ale we krwi zachowuje się to czasem bardzo długo.

— Oni nie gościli dziewcząt w swoich celach. Uśmiechnął się.

— Przyjmowali niejedno spośród tego, co nie było dostrzegane, a co oglądali tylko oni sami.

— Ale modlili się, Thomas.

— Czy wiesz, mała Marianne, co myślę, gdy w swojej lunecie widzę Syriusza?

Poprosiła, żeby zaprowadził ją do obu mogił. Powiosłował więc tam. Stała już nowa stodoła, drzwi domu były zamknięte. Thomasowi zdawało się, że jeszcze ciągle pachnie dymem.

— Byłam u niej — powiedziała cicho, gdy stanęli przy obu mogiłach.

— Na krótko, zanim przyjechała tutaj. Chciałam jej powiedzieć, jaki jesteś tu samotny.

— Wiem, mówiła mi o tym.

— Ona była bardzo nieszczęśliwa, Thomas.

— Tak, nie mogła dogonić obecnej epoki. Biegła i biegła, ale nie dogoniła. Byłem dla niej zbyt cichy i zbyt powolny. Nie powinienem był się z nią żenić.

Nie powiedziała nic więcej, powiosłował więc do parkowego brzegu. Odezwała się dopiero, gdy osiągnęli leśny cypel przed zatoką.

— Jak myślisz, czy słuszne jest to, co mówiła ciotka Gabriele, że muszę wyjść za mąż, czy zechcę, czy też nie?

— Dlatego, że jesteś ostatnia z rodu?

— Tak.

— I bez tego wyjdziesz za mąż — powiedział, uśmiechając się. I nie tylko dlatego, żeby ktoś obcy nie wygonił nas z wyspy.

— Gdybym była katoliczką, zostałabym zakonnicą — odrzekła. Tak czasami postępowały córki ze starych domów, prawda?

— Tak, lecz nie wtenczas, gdy nie było synów. Również w rodzie Orla mężczyźni mogli być tylko wówczas opatami, jeśli mieli braci.

Nie należy myśleć wyłącznie o Bogu, ale też o dziadku i dziedzictwie.

— Nie myślę o Bogu — powiedziała i odwróciła twarz.

Potrwało kilka tygodni, zanim wszystkim nie zaczęło się zdawać, że Marianne żyje tak jak dawniej. Lecz przecież nie była już dzieckiem, które co dzień, przez godzinę, jeździło konno z generałem po polach, ale "uczennicą". Generał, zrazu trochę rozweselony, wysłuchał tego, co powiedziała, potem jednak ułożył "regulamin"

obejmujący wszystko, od hodowli kur, aż do prowadzenia ksiąg buchalteryjnych. Wszystko, co zapełniało dnie i pory roku.

Gdy w adwencie, po połowach, Thomas udał się do generała z rocznym obrachunkiem, ów przejrzał go, jak zwykle, następnie jednak dodał, że musi się z tym udać do Marianne. Rybactwo też zostało objęte regulaminem, Thomas powinien zaś zobaczyć, jak załatwi sprawę z nową młodą panią.

Obok gabinetu generała Marianne urządziła sobie niewielki pokoik. Był tam długi stół z próbkami nasion, książkami, mapami i katalogami dotyczącymi gospodarki wiejskiej. Tu czasem nosiła biały roboczy kitel, z którego nikt się nie naśmiewał i który, z całym szacunkiem, podziwiały dworskie służące, jakby wielmożna panienka była "doktorem aptekarzem". Thomas ukłonił się i poprosił o zgodę na przedłożenie wielmożnej panience rocznego obrachunku.

Lekko uniosła brwi, ale bez słowa wzięła z jego dłoni kartki, wskazała palcem krzesło i w milczeniu zagłębiła się w kolumny liczb. Głowę podparła rękami.— W ostatnim tygodniu sierpnia połowy wyraźnie zmalały — powiedziała w końcu. — Jak to się stało?

— W ostatnim tygodniu sierpnia panna Marianne von Platen napisała na wyspę, że wróci za cztery tygodnie, obaj zaś rybacy nie czuli się więc na siłach, żeby swoją pracę wykonywać ze zwykłym poczuciem obowiązku.

— Rybaku von Orla — uśmiechnęła się Marianne — obiecał pan zawsze stać wiernie przy swojej zwierzchności.

— Właśnie dlatego — odrzekł. Potem podszedł do niej i objaśnił rubryki oraz liczby. Dodał, że siła nabywcza ludności miejskiej maleje coraz bardziej i trzeba by się zastanowić, czy nie należy obniżyć wynagrodzenia rybaka. Oni, na wyspie, nie umierają z głodu, a majątkowi potrzebny jest każdy fenig.

Przytuliła policzek do ręki, którą się podpierał i słuchała. Wzrok miała nieobecny.

— Ach, Thomas — powiedziała — gdy kiedyś wszystko to będzie należało do mnie, nie dam ci żadnej pensji, tylko wąską błękitną wstążeczkę, żebyście znów patrzyli, jak powiewa na wietrze.

— Mała Marianne — odrzekł po chwili i z wolna się wyprostował.

— W białym kitlu nie wolno marzyć.

Skinęła głową i znów schyliła się nad kartkami.

Gdy na wyspie spinał je, żeby umieścić w teczce, razem z innymi, zauważył, że na dolnym brzegu ostatniej kartki zamazanych było kilka liczb, a gładki papier zmarszczony. Przez chwilę przypatrywał się temu, zanim nie wygładził dłonią, i powoli zamknął okładkę teczki. Zdawało mu się, że będzie musiało minąć sporo czasu, zanim potrafi powiedzieć sobie, że się uspokoił.

Na bożonarodzeniowy wieczór zostali zaproszeni do zamku. Generał powiedział, że przez dwa lata święto obchodzili jak jakieś upiory. Teraz chciałby wznieść kielich nie tylko w stronę umarłych i nieobecnych. Postać z kosą troszczyła się o nich przez dwa lata, ale dawne doświadczenie mówi, że i jej nie podoba się ustawiczne stąpanie po własnych śladach. Zechcą więc wylać wino na jej ścieżkę i pojednać się z nią.

Thomas wolałby zostać sam, lecz generał postarzał się w ciągu dwóch lat, a Marianne miała zmęczone oczy, tak jakby i biały kitel bywał czasami zbyt ciężki dla jej ramion. Powiedział więc, że przyjdą z chęcią.

Przez długie wieczory budowali model krążownika, na którym walczyli przez ostatni wojenny rok. Przy tej pracy Thomas często upadał na duchu, przede wszystkim dlatego, że wszystkie części były z metalu. Jednak Bildermann uważał, że honor to honor, i tak go ukończyli. Kadłub został zrobiony z szarej żelaznej blachy i miał niemal sążeń długości. Z mieniących się pancernych wież groźnie wystawały długie lufy dział, które można było podnosić i opuszczać oraz obracać na boki, a gdy uniosło się jedną z płyt pokładu i zapaliło specjalną żagiew, z kominów wydobywał się gęsty biały dym. Była też podniesiona wojenna flaga, a na mostku stała malutka granatowa postać trzymająca przy oku mosiężną lunetę. Było to dzieło sztuki, lśniące i błyszczące, a jednak nawet w tym swoim kształcie zabawki omroczone jakąś śmiertelną surowością.

Zawieźli to ostrożnie na sankach, Bildermann wniósł je niby zesztywniałe w powijakach dziecko do pokoju olbrzyma, i tam oznajmił Johannowi, że jest to wynalazek jego pana. Nowa konstrukcja torpedy. Gdyby pociągnąć sznurek, mogłoby stać się tak, że spośród gruzów zamku wybierano by również i jego części.

— Świat też tak skończy — zauważył z dezaprobatą Johann. — Ciągle ten gówniany kram.

Potem uniósł pod łóżkiem jedną z podłogowych desek i wręczył Bilder mann owi płaską graniastą butelkę.

— Konto oszczędnościowe — powiedział łagodnie.

Tymczasem Marianne przystrajała w holu dużą choinkę, a Thomas podawał jej świeczki i srebrne pasemka. Przyprowadziła młodego barona o jakimś długim nazwisku, nie mającego rodziców kuzyna któregoś tam stopnia. Właśnie osiągnął pełnoletniość i odziedziczył ogromny majątek. Nieco zdumiony patrzył przez swój monokl na ludzi i krainę, poza tym był jednak poważny i skromny. Schodził też generałowi z groźnych oczu.

— Oni tu są tacy wschodni, chere tante — powiedział do damy dworu — i jakby mieli ochotę przywiązać mnie przed wylotem luf swoich armat.

Panna Gabriele niecierpliwie dmuchnęła na pasjans dymem swojego cygara. Pasjans nie chciał wyjść i poprosiła, żeby łaskawie zachowywał się tak cicho jak Daniel w lwiej jaskini. Rano generał powiedział, że w jej okolicy na Boże Narodzenie kwitną tylko lodowe kwiaty. Młody kuzyn chętnie stroiłby drzewko razem z Marianne, ale ona odparła chłodno, że hol zostanie otwarty dopiero przed rozdaniem prezentów.

Wielki dom był cichy jak grób, Thomas usiadł przy kominku i patrzył, jak Marianne zawiesza na gałązkach srebrne gwiazdy. Zapadł zmrok, na dworze padał śnieg, on zaś myślał o szarym dachu na wyspie i o mogiłach, które wykopali w ciągu ostatnich dwu lat. Czasami nie wiedział, czy wszystko to było warte trudu. Co roku znowu przybywało tamto dzieciątko ze żłobka, ale zmarli nie ożyją z tego powodu, żadna też z wypłakanych łez nie okaże się niebyła. Na tej ziemi wszystko mogłoby być urządzone trochę łatwiej, a starej hrabinie mógłby pozostać chociaż jeden syn, przecież przez to niebiański porządek nie zostałby naruszony. A czy los nie mógłby również dobrze dotknąć owego dziecka rozwieszającego gwiazdy na gałązkach? Kto im powiedział, że nie są już rozwarte nożyce sięgające po te jasne włosy? Gdzie bezpieczeństwo wykraczające poza sekundę, która została dana? W tym czasie, gdy się ją jeszcze posiadało, cięciwa mogła już zacząć bezgłośnie zabijać, ciemna strzała rozcinająca następną sekundę już mogła szumieć w powietrzu. Wolny od bólu mógł być tylko ten, kto niczego nie kochał, ten jednak, kto nie kocha, jest martwy.

Marianne skończyła swoją pracę i zaplótłszy ręce, usiadła na poręczy fotela. Było już ciemno i mogło się zdawać, że za srebrnymi pasemkami choinki zaczyna się las. Przed jednym z czworaków pod wieczornym niebem śpiewał wysoki dziecięcy głos. Stawał się coraz cichszy, jakby zakrywał go śnieg. Ogień na kominku prześlizgiwał się niebieskawo po dużej brzozowej szczapie.

Thomas oparł skroń o ramię Marianne. Była już pora, żeby wstać i ogłosić w całym domu, że wszystko gotowe, ale taka chwila już nie wróci. Gdy wstanie, będzie stary, bardzo stary, jak ów mężczyzna z baśni, który znajdował się pod ziemią. Wówczas pozostaną tylko gwiazdy i kamienie, ryby i kwiaty, istniała określona wąska granica, przy której człowiek musiał oderwać się od zabawy i marzenia, żeby wejść na nietknięty obszar, nie znoszący żadnego towarzystwa. Tam, gdzie powietrze jest czyste i zimne jak nad lodowcem i gdzie powstawało to, co przetrwało nazwę "człowiek". Samotność była zaś czymś więcej niźli jakieś poetyckie słowo. Była rozstrzygnięciem, które nie powtórzy się, gdy się je odrzuci.

— Już pora — powiedział i wstał.

Marianne wnętrzem dłoni przesunęła po jego czole i posłusznie wstała. Po raz pierwszy nie był to już gest dziecinny i wiedział, że oto stała się dorosła. Oboje nie zapomną tego gwiazdkowego wieczoru.

To było długie świętowanie. Dworskie dzieci śpiewały, a generał przechodził od stołu do stołu i groźnie patrzył na małe rączki.

— Być posłusznym... Wypełniać obowiązki... Tworzyć jedną rodzinę... — wołał niby na placu defilad. Fornale wesoło postukiwali obcasami, dziewczęta całowały jego dłoń.

Szary krążownik, podparty dwoma klockami, spoczywał na niebieskim obrusie. Bildermann wywołał dym z kominów. Generał usiadł naprzeciwko, dłonie oparł na lasce i poprosił, żeby od czasu do czasu poruszano działowymi wieżami. Marianne, w długiej, sięgającej stóp sukni, stała obok i patrzyła, jak białe obłoki rozchodzą się między gałązkami choinki. Nad bojowym masztem wolno kołysało się na wszystkie strony srebrne pasemko. Gabriele von Platen od czasu do czasu spoglądała uważnie na twarz Thomasa, a w końcu zapytała, czy ów człowiek na mostku to on. Thomas odrzekł, że jest to sygnalista Bildermann. Brakuje wstążek przy czapce? No tak, obgryzł je czas. Jest on silniejszy niż powiewające wstążki.

Młody kuzyn powiedział, że nie było mu wiadome, iż panna Marianne lubi takie wojownicze zabawki. Skąd zresztą miał wiedzieć, powiedziała, skoro w jej domu przebywa pierwszy raz? Poza tym dla nich wszystkich nie jest to niczym więcej jak tylko zabawką.

Po świątecznej uczcie, w której uczestniczyła cała służba, Marianne odwołała Thomasa na ubocze i zapytała, czy nie mogliby wziąć tego węglowego barona na jezioro i utopić.

Thomas uśmiechnął się.

— My, starzy ludzie, nie jesteśmy żądni krwi — powiedział. - Nie musi zostać utopiony ten, kto nie potrafi się bawić, prawda? Poza tym kiedyś przyjdzie czas, że skoczysz za nim, żeby go wyciągnąć. Nawet jeśli akurat nie jego.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Nigdy, Thomas — powiedziała. Uśmiechał się nadal.

— Teraz chodźmy do ciotki Mieze — poprosił. Dzisiaj pełno łez pod jej powiekami, bo już nigdy nie przyjdzie jej "Piękny".

Nie wiedzieli, co szczególnego było w tym wieczorze, jednak wszyscy myśleli sobie, że ciemne ściany jeszcze nigdy nie otaczały ich z taką niewzruszoną pewnością. Możliwe, że działo się tak, bo przechodziło przed nimi owo dziecko w długiej sukni, bo wyrosło nowe pokolenie noszące tarczę młodości podniesioną przeciw mrocznym siłom. A może działo się tak tylko dlatego, że Johann nosił bermycę, którą podarowała mu Marianne. Zapiął pasek pod brodą i wyglądał tak wspaniale, że la chere tante stwierdziła, iż bez wchodzenia po schodach mógłby zbierać buty sprzed gościnnych pokojów na piętrze. Możliwe, iż było tak tylko dlatego, że koło krążownika siedział Bildermann i śpiewał pieśni dalekich stron... Rolling home, my boys, to windless..., a osamotniony król z Orientu wtórował drugim głosem, zamiast kobiety nie noszącej już ciemnych szat i nie nucącej już żadnych pieśni.

Thomasowi zdawało się, iż wie, dlaczego owa godzina jawiła się jasna i bezpieczna: dlatego, że byli tak liczni, a gdyby rozpostarli ręce, mogliby utworzyć łańcuch, niby podczas dziecinnej zabawy. Nie do pomyślenia było też, że z głębokiej nocy mógłby zawołać jakiś głos. Żaden "szary człowiek" nie zasiadłby u ognia, żeby medytować. To nachodziło tylko samotnych, czuwających albo śpiących. Podatny był im tylko ktoś samotny, który gdyby rozpostarł ręce, dosięgnąłby jedynie pustej przestrzeni. Ale też tylko on słyszał pytania ostateczne, które tamci na podobieństwo jakiejś czarnej kuli toczyli w jego stronę.

Śpiewali, tak jak w mroku śpiewają dzieci, ale nawet jeśli narodziło się Dzieciątko, nie mogłoby nic zrobić, gdyby śmierć otworzyła drzwi albo zechciała rozłupać hol, żeby skinąć na któregoś spośród nich. Dziecko było dzieckiem, nawet

jeśli nosiło nad głową aureolę świętości; Bóg nader często odsuwał je na bok, żeby osiągnąć to, czego zapragnął. Nie tylko z pomocą ręki Heroda w betlejemskiej krainie.

Patrzył na nich jakby w bolesnym śnie. Tylko parę godzin minęło od czasu, gdy podniósł się z tego samego fotela, w którym siedział teraz, i wiedział, że wstanie jako stary człowiek. Większość ludzi nachodziło to po jakiejś ciężkiej chorobie, po jakiejś stracie, po jakimś runięciu z bezpiecznego kręgu — w czeluść. Jego naszło to o zmierzchu, tak jak szron osiadający w mroku przedświtu, gdy wznoszą się mgły i wszystkie lasy stają się nagle szare i osrebrzone, a potem czerwone słońce oświeca jakiś inny świat.

Mógłby jeszcze zatrzymać tamto inne, młodość czy jak chciałoby się to nazwać. Trzeba było tylko wyciągnąć rękę. Lecz już raz został ostrzeżony. Wiedział, że to szczęście nie było w życiu ostatnie, że ten, kto pochwycił przedostatnie, rezygnował z ostatniego. Kto sięgnął po szczęście, mógł, tak jak podczas zabawy sylwestrowej uchwycić śmierć, kołyskę albo pieniądze. Nie mógł sięgnąć po wszystko. Wszystko osiągał ten, kto obojętnie przechodził obok zakrytych talerzy, ale i nawet wówczas nie wiedział, czy wygra. Wiedział tylko to, że trzyma się poręczy mostu, nie wiedział jednak, czy utrzyma go most. Żeby podążać naprzód, powinien zebrać ostatni oręż. Był już poza ułudą, poza pobożnym oszukaństwem. I już nie spotka nikogo więcej, poza ostatnim obliczem.

— Za ojczyznę i tych, co ją kochają, Orla — powiedział generał i podniósł kielich.

— Tak jest, panie generale.

Pił czerwone wino, wiedząc, że również oni nie byli ostatni. Ostatni nie mieli imienia.

W pierwszy piątek, pod wieczór, siedział przed kominkiem, obok którego zwykł pojawiać się "szary człowiek". Wziął ze sobą tylko narty, a Bildermannowi dał kilka linijek napisanych do Marianne. Jeśli wszystko potoczy się tak, jak zamierzył, pozostanie tu do lutego. Rozplanuje swój czas. W bibliotece położył na stole wielotomową porównawczą historię religii, podręcznik biologii, przewodnik po chemii oraz dzieło dotyczące historii ewolucji. Nie wiedział, czy to prawidłowy wybór, ale zdawało mu się, że mogły się w tym zawierać korzenie całego człowieczego niepokoju. Był dość stary, żeby wiedzieć, że nie będzie czytał po to, by uzyskać

odpowiedź. Nie chciał niczego więcej, jak tylko wprowadzenia określonego ładu w swoje pytania i dochodzenia do celu z różnych azymutów.

Prawdopodobnie Bildermann powiedziałby, że będzie chciał "namierzyć całość".

Już z samego katalogu tej dużej biblioteki mógł wywnioskować, jak niewiele wie, a z niektórych dziedzin zna tylko hasła. Gdyby darowano mu jeszcze dziesięć albo dwadzieścia lat, mógłby niejedno nadrobić. Zdawało mu się, że ludzkość myślała zbyt szybko, a poszczególny człowiek mógł ogarnąć jedynie ułamek całości. Kiedyś, w nadchodzących epokach, człowiek zdoła przeczytać jedną jedyną kartę wielkiej księgi, każdy wyszukaną przez siebie. Całej wielkiej księgi nie zdoła przeczytać nikt. Faust przyszłości zwątpi już na samym początku.

W domu panowała śmiertelna cisza i zrazu zdawało mu się, że nie ma prawa tu przebywać. Wszystkie rzeczy nosiły jeszcze tchnienie zmarłego, echo jego głosu, odblask jego oczu; on nigdy nie odejdzie z tego domu.

Lecz taka była jego wola. Wiedział, że Thomas pójdzie swoją drogą, pójdzie drogą pracy, jako jedynego zbawienia ludzi. Chciał mu tę drogę uczynić lżejszą albo okazalszą lub choćby tylko barwniejszą. Dom był tak samo cichy jak wyspa, chyba jeszcze cichszy, i ów zmarły o tym wiedział, kto zaś miał zyskać radosne serce, mógłby zyskać je choćby w cysternie.

Odprawiając sługę, Thomas powiedział, że niczego więcej nie potrzebuje. Był samotny tak jak generał, który swój kielich wznosił za kochających ojczyznę. I do tamtego też przychodzili "cisi ludzie", jednak nie prowadził ich za rękę anioł. Żyli w jego wspomnieniach, a kiedy wspomnienia zgasły, zgaśli również owi "cisi ludzie". Nadal żyli w pamięci innych, lecz nie Joachima lub Bildermanna albo Marianne, zaś gdy pamięć przygasła, stali się jeszcze bardziej bezdomni. Jakby egzystowali na rozpadającej się tratwie. W końcu pozostała tylko jedna deska, ale i ona zatonęła w oceanie.

Ciszę domu przemierzało spieszne tykanie wahadła zegara stojącego na kominku, a co kwadrans młoteczek uderzał w dzwon wydający dźwięk, który bez echa wpadał w ciszę. Na stoliku, między oknami, Friedrich ustawił małą choinkę i przystroił ją srebrnymi pasemkami i świeczkami. Stała jak ofiara dla zmarłego, ale znajdowałaby się też tam, gdyby przed kominkiem zasiadał hrabia albo ów "szary człowiek". Thomas pomyślał, że ten dom mogłaby odczarować tylko jakaś kobieta.

Kobieta i dzieci biegające po dywanie, i jasny dźwięk śmiechu, który niósłby się nad maskami w szarym korytarzu. Perneinowie żenili się niechętnie. Dach domu stawał się coraz bardziej krzywy, a rozmyślania nie sprawiły, że ich serca stały się radosne, nie pracowali, nie oddawali się miłości. Nie wydawali owoców, a u kresu ich życia nie zjawiało się przed nimi nic poza "szarym człowiekiem", który medytował i niknął. Niby jakiś płyn na jastrychu.

Wstał i jeszcze raz przeszedł przez wszystkie pomieszczenia. Połyskiwały przyrządy i retorty, mikroskopy były pozakrywane, a ogromne szeregi książek stały, czuwając i wyczekując. Nie, również on nie odda się miłości, ale pracy. Miłość zawiera się również w pracy. Owa miłość do tajemnicy kryjącej klarowną drogę, a jeszcze większa miłość do klarownej drogi przeznaczonej tylko dla jego stóp. Nawet jeśli nie byłoby mu dane dokonanie czynu wielkiego i niepowtarzalnego, który obudziłby z otępienia ludzi i narody. Nie był jednak dlań niedostępny ogląd, rzut oka spośród chaosu epok, busola, która drżąc, wskazywała odwieczny biegun.

Wytężał się dłużej niż dwa miesiące, dłużej niż zamierzał. Nie mógł się wyzwolić, a to, co dostrzegł choćby przez soczewki mikroskopu, było większe niż wyobrażenie. Przed południem stał przy doświadczalnych stołach, po południu i wieczorem czytał. Przed zmierzchem jeździł przez lasy i rozległe równiny. Nie pisał listów, nie oddawał się marzeniom, najwyżej wówczas, gdy w bezchmurne noce kierował lunetę na gwiazdy.

Z wolna, z odległego krańca, zaczął rozpoznawać cud Stworzenia. Nazywał to tym imieniem, a owo imię zyskiwało dlań coraz wyższy ton. Nie łączył go jednak z nazwą, którą cudowi temu nadał człowiek. Do owego jasnego kręgu pod soczewką nie wciskały się żadne demony ani żadni bogowie. Nie komentował tego, co niepojęte, nawet tego nie nazywał, tylko adorował. Powoli uczył się postrzegania — jako czegoś, co bezcelowe — tego, co ukazywało mu się wielkie, a więc natury, a nawet makro-kosmosu. Celowość zaciemniała światło i skłócała linie. Za wszystkim wciąż jeszcze stało ostateczne oblicze, nie mające jednak ani ludzkich, ani też boskich rysów. Nie miało ani przestrzeni, ani czasu, ani choćby etycznego blasku. Było inne niż duch ziemski i nie można go było egzorcyzmować. Egzorcyzmowanie z pewnością ukarałoby zniszczeniem.

Z wolna zaczynało przepełniać go głębokie i nasycone spokojem szczęście. Jeśli zachowa zdrowie, będzie potrzebował tylko czasu. Krąg rozciągnięty był w nieskończoność, jeszcze bardziej nieskończony niż ekliptyka, a w drodze od punktu do

punktu był tylko trud i praca. Nie miał daru intuicji przeskakującej ponad punktami. Miał tylko pilność, cierpliwość i głęboki szacunek. Już wiedział, że nigdy nie ujrzy całości, ale być może jednak ją pojmie. Że w owym zrozumieniu sam będzie jak kamień leżący na dnie. Jeśli pozna Prawo, zadowoli się tym. Nigdy też nie poprosi, żeby jeszcze raz nakręcono jego zegar, choćby i na tamtym świecie. Wiedział, że i szlaki gwiazd nie są nakreślane powtórnie. Chciał się podporządkować, być posłusznym. Nie chciał się buntować, buntem zaś była wiara. To nie miało się kończyć, a Bóg istniał po to, żeby się nie skończyło. O niego wołał rozum, bo nie chciał nauczyć się pokory. On jednak chciał się jej nauczyć. Niejedno już wiedział, by móc tego dowieść.

Kilkakrotnie przychodziła do niego Marianne z panią von Sperber. Wiedział, że troszczy się o niego i zawsze najpierw z jakimś lękiem przygląda się maskom i bożkom. Ale wówczas prowadził ją do małego laboratorium i trochę opowiadał o swojej pracy. Nie, "szary człowiek" jemu się nie pokaże, powiedział przed kominkiem. Rodzina Orla nie jest na to dość stara, a poza tym w swoim życiu pracowali oni zbyt dużo.

— Nie zapomnij całkiem, że i my jeszcze żyjemy, Thomas — powiedziała na koniec.

Nie, nie chce zapomnieć, a zjawi się wraz z pierwszymi wiosennymi burzami, niby Faust, koło Wielkanocy, żeby znów przypomnieć sobie, że ma ręce oraz to, że ludzie potrzebują chleba.

Marianne powiedziała cicho, że chyba nie dosłyszy tu wielkanocnych dzwonów.

Odrzekł, że już je usłyszy, nawet jeśli nie tak jak Faust. Za to nie sięgnie też po ciemną fiolkę. Tam już zadbano o kompromis w każdym ludzkim życiu.

W pierwszych dniach marca popękał lód i Thomas wrócił na wyspę. Zrazu nie wiedział dokładnie, czy przebywa na urlopie, czy też znów na oceanie, ale już pierwszego wieczoru, gdy dokonali przeglądu łodzi i skopali kawałek ogrodu, gdy u ognia bolały go ręce i plecy, wiedział, że jest w domu, a szale wagi zaczęły poruszać się powoli, żeby znów się zrównoważyć.

Szkolny okręt znajdował się w drodze do ojczyzny; Joachim zapowiedział przyjazd na Wielkanoc i zapytał, czy mógłby wziąć ze sobą przyjaciela i z tego też względu zamieszkać w zamku. Dni będą oczywiście spędzali na wyspie.

— Minęła pora trzcinowych szałasów, Bildermann — powiedział Thomas — a nadchodzi czas pałaców.

— Z początku przed masztem, a potem na mostku, kapitanie — odrzekł Bildermann. — Tak to już jest. Tylko weterani łapią słońce tam, gdzie ich dosięga.

Pytanie generała nie wydało się zręczne, ale Marianne była zdania, że generał zawsze cieszy się z młodych ludzi, a już zwłaszcza takich, którzy stali blisko dowódcy eskadry.

— U ciebie młodzi ludzie nie mają wielkiego szczęścia — powiedział z uśmiechem.

Uśmiechnęła się również i odparła, że w tej dziedzinie posługuje się starą skalą.

Okazało się prawdą, że generał będzie się cieszył. Poza tym od czasu odjazdu kuzyna patrzył na przyszłe takie odwiedziny bez troski.

— Pomagać młodym ludziom — powiedział Thomasowi. — Tylko wśród jej rówieśników... Widzieć stare domy... Stopnie służbowe to nie ewangelia.

Thomas wiedział jednak, że młodzi ludzie w starych domach patrzyli na siebie z ukosa, a ewangelii nie zawsze chętnie uczyli się od siwowłosych generałów. Tak samo niechętnie od kapitanów noszących we włosach rybie łuski. Takimi odwiedzinami należało się cieszyć, nie obiecując sobie po nich zbyt wiele wzruszeń. Również będzie trudno, gdy rozmowa zejdzie na jego drugą książkę, bo wprawdzie negują oni to samo, ale z innych powodów.

Książka ukazała się przed Bożym Narodzeniem i podczas gdy ludzie morza tym razem określili ją jako "bardzo wybitną", teologowie zgłaszali swoje zastrzeżenia niemal wobec wszystkiego, tak że mogło się zdawać, iż przerzucił się na inny fakultet, przy czym żaden tak naprawdę go nie chciał.

Tym razem nie odpowiadał na żadne listy, ani na pochwały, ani na przygany. W ciągu zimowych miesięcy spędzonych nad mikroskopami i retortami nauczył się, że wiedza o tym kto zrobił kwiat dalii, jest nieważna. W dziele Stworzenia panowała bezimienność Stwórcy. Piszący dla współczesności chce zaś uzupełnić to swoim nazwiskiem. Jednak ten, kto podporządkowuje się bezimienności, nie postrzega siebie inaczej niż pod postacią fali na nurcie. Starożytni poeci nie umieszczali na pergaminach swoich nazwisk. Wiedzieli, że pozostanie dzieło, a nie pisarz. W kosmosie nie ma zarozumialstwa.

Któregoś dnia, gdy stajał lód, zjawił się pewien mężczyzna w łódce. Powiedział, że przybywa z redakcji jakiejś gazety o światowym rozgłosie, że szerokie kręgi odczuwają potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej o człowieku, który napisał bądź co bądź wybitne książki, a który poza tym zajmuje się osobliwym procederem.

Był to dość młody mężczyzna, o szybkich ruchach oraz ciekawskich oczach. W dłoni trzymał dziwny aparat, który podnosił do twarzy jak jakiś mały karabin maszynowy. Thomas poprosił go, żeby tego zaniechał. Na tę wyspę zasłużył sobie tak jak Robinson na swoją, a jeśli nawet pisuje książki, żaden człowiek nie uzyskuje przez to prawa, by dowiedzieć się, jak wygląda on sam albo jego dom. W przeciwnym wypadku wszyscy inni byliby upoważnieni do poznania jego rękopisów, jego horoskopu, jego marzeń i wyglądu jego źrenic. Dlatego niechaj w powrotnej drodze nacieszy się krajobrazem, a swojej wyprawy nie traktuje jako niepowodzenie.

Wysłany przez gazetę mężczyzna słuchał uważnie (Bildermannowi zdawało się, że zbyt uważnie), ale szybkimi jak u łasicy oczami nieustannie przebiegał po wyspie. Czy mógłby też rzucić okiem na wnętrze domu? Nie, tego by nie mógł. Dla prostych ludzi dom jest wciąż świętością i nie ma też zwyczaju, żeby unosić zasłonę tam, gdzie ktoś umarł.

Och, powiedział człowiek z gazety, ktoś umarł? Oczywiście jest mu bardzo przykro, ale prasa potrafi uszanować ludzkie uczucia, jest lepsza niż jej reputacja.

Bildermann, z małą strzelbą na ramieniu, towarzyszył mu przy zejściu na brzeg.

— Jeśli będzie pan pstrykał, młody człowieku, wyfrunie pan za burtę

— powiedział cicho, ale dobitnie i poklepał jasną kolbę. — Kapuje pan? Hurry up!

Mężczyzna uśmiechał się trochę nieswojo, ale nie wypuścił z dłoni wioseł, póki mógł go widzieć Bildermann.

Po kilku dniach wydawnictwo przysłało egzemplarz "gazety o światowym rozgłosie". W części zdjęciowej zobaczyli fotografię wody i chmur, a na całkiem dalekim planie jakiś szary cień, który mógł być wyspą albo jakąś morską miną lub płonącym balonem na uwięzi.

Nad tym napisano: "Wizyta w Thule. Człowiek, który pisze książki...

Tajemniczy nieboszczyk pod trzcinowym dachem... Dzikusy gardzące fotografią... Piętaszek ze strzelbą... Święci ostatnich dni...".

— Chłopcze, chłopcze... — powiedział Bildermann — gdybyś tak przyszedł jeszcze raz...

W zamku o "Dwuznacznej postawie Boga podczas morskich bitew" rozmawiano wiele, lecz właściwie bez żadnych większych emocji.

Najbardziej osobliwy pogląd wyraziła ciotka Mieze.

— Czy nie sądzi pan, że i ja mogłabym też napisać książkę? — po wiedziała pewnego wieczoru. — Gdybym była szczygłem w klatce i wisiałabym w holu, gdy świętowaliście Boże Narodzenie, mogłabym oczywiście napisać szczygła książkę o dwuznacznej postawie ludzi w czasie wieczornych imprez.

— I uważa pani, że nie wynikałoby z niej więcej niż z mojej książki?

— zapytał po chwili Thomas.

— Niewiele więcej — odpowiedziała skromnie ciotka Mieze.

Thomas czekał na wyspie na swoich gości. Zamkowy powóz pojechał na stację, a chorąży marynarki Siegfried von Marschall z niejakim zdumieniem popatrzył na chwytającego jego walizę olbrzyma w bermycy.

— Ostra sprawa! — powiedział. Po pierwszej zagranicznej wyprawie lubili używać wypowiedzi krótkich i z trudem rozumianych przez zwykłych obywateli.

Generał i wnuczka stali na schodach.

— Młode pokolenie... — rzekł groźnie. — Wiele dobrego do zrobienia... Cieszy widok młodych kamratów...

Na widok jego siwych włosów stali skromnie, podczas gdy Marianne uważnie przyglądała się im obu. Joachim był trochę zmieszany, bo przypomniał sobie ostatnią ich rozmowę. Marschallowi powiedział zaś, że w zasadzie jest z nią po słowie, więc ma nie wchodzić mu w drogę. Ponieważ jego zdanie wciąż jeszcze, tak jak w szkole, było dla jego stronników czymś niepodważalnym, Marschall skłonił się tylko, trochę zawiedziony, i zapewnił, że nieuczciwe zamysły nie są mu bliskie. Fairplay, Orla, powiedział przyjaźnie i otworzył srebrne toaletowe puzderko.

Żaglówka Joachima stała przy brzegu i Marianne popłynęła z nimi na wyspę. Zanim do niej dotarli, dowiedziała się sporo o zachodnioindyjskich wyspach, a nadto usłyszała, że młodzi ludzie czasami mieli inne zdanie niż dowódca. Świeciło słońce, od wszystkich brzegów dochodził śpiew drozdów, a ona patrzyła w stronę leśniczówki, gdzie na wodzie stały szare łodzie, a jeden z wysokich świerkowych wierzchołków musiał być tym, który już dwukrotnie zrzucał brunatne szyszki na obie mogiły.

Zastanawiała się, czy Thomas będzie się cieszył i ujrzała przed sobą jego twarz, taką jak wyglądała w domu hrabiego: skupioną i przenikniętą cichym smutkiem, właściwym tym, którzy uchylają zasłonę wszystkich tajemnic. No tak, oni naprawdę muszą być "starymi ludźmi".

Było widać, że Thomas się ucieszył. Wynieśli śniadanie na stół przed domem, a młody Marschall poważnie stwierdził, że wszystko uważa za "fantastyczne". Rozmowa skupiała się jednak głównie na Indiach Zachodnich i na "nieco przestarzałej" służbie na okręcie oraz na tym, że chyba już czas, żeby uprzątnąć co nieco, wraz z ludźmi, którzy rządzą niemieckim narodem. Thomas słuchał uważnie i dopiero na samym końcu powiedział z rozwagą, że taką pracę można by rozpocząć tylko wówczas, gdyby było się pewnym swojej siły.

Owo sprzątanie to zresztą chyba nie wszystko, bo zanim nie zamieszka się po nowemu i w czystości, dom należy umeblować. Trzeba więc pomału się uczyć, uczyć się wraz z całym narodem, że człowiecza dłoń nie jest najpośledniejszym narzędziem Stworzenia, nawet jeśli tylko nabywa odcisków, zamiast pisywać wiersze. Nie można nisko cenić kogoś, kto z tak zwanego "wykształconego" życia zstępuje na piach jakiegoś brzegu, żeby suszyć tam swoje sieci i kopać ziemniaki. Jeżeli nawet marnie jest z narodem bez wierszy, to kiepsko jest też z takim, gdy nie ma on nikogo, kto chciałby kopać ziemniaki.

Oni jednak orzekli, że nie powinien troszczyć się o to.

Szli wokół wyspy, a Marianne wsunęła rękę pod ramię Thomasa.

— Teraz musimy się bardzo miarkować — powiedział cicho. Ona tylko skinęła głową, jednak po chwili powiedziała:

— Ach, Thomas, jak strasznie starzy jesteśmy oboje.

— Dlatego też nasze dłonie powinny oddać ster, Marianne. Możliwe, że nowe żagle są lepsze niż stare.

Przeszli obok trzcinowego szałasu i zatrzymali się koło poczerniałego paleniska.

— Komiczne pomysły — rzekł Joachim i opowiedział Marschallowi o ostatnim lecie. — Myślałem, że kiedyś się rozbijemy i chciałem staremu pokazać, jak robi się coś takiego.

Reszta stała cicho i słuchała.

Tak, teraz chętnie pożeglowałby parę godzin, ale jak przedstawia się dalszy program? Thomas odrzekł, że byłoby najlepiej, gdyby poczekali na niego na zamku. Zjawi się wieczorem. Mają tu uporządkować kilka sieci, a generał na pewno będzie się cieszył, mogąc pokazać im swoją posiadłość.

— Ale czy nie masz, ojcze, własnego domu tam na brzegu? — zapytał Joachim. — Czy wciąż potrzebujesz tego tutaj?

— Bardziej niż kiedykolwiek, Joachimie.

Nie ukrywali rozczarowania, gdy Marianne oznajmiła, że chce zostać do pomocy na wyspie. Jednak zeszła z nimi do łodzi, a kiedy Marschall wsiadł, powiedziała cicho do Joachima:

— Cmentarz jest blisko leśniczówki.

— Oczywiście — odparł i zaczerwienił się. — To zrozumiałe samo przez się.

Wyszło na to, że na wyspie nie spędzali całych dni, tak jak zapowiadał Joachim. Co dzień zjawiali się na chwilę, strzelali do tarczy lub trochę kartkowali książki. Thomas nie okazywał, że jest zawiedziony. Poglądy "starych wojaków" cenili niezbyt wysoko, wyspa nie była też kabiną nawigacyjną, w której młodsi koledzy słuchali z respektem zdania starszych panów.

Po ośmiu dniach Marschall ostrożnie zapytał Joachima, czy z jego nawigacją odnoszącą się do młodej damy wszystko się zgadza, czy też w namiar pozycji wkradł się jakiś drobny błąd. Ona w każdym razie wydaje się nazbyt chłodna, a czasami nawet wyniosła.

Joachim odparł, że wolno i jemu samemu spróbować szczęścia, choć wątpi, by "księżniczka" uznała go za kogoś całkiem wspaniałego.

Za takiego rzeczywiście go nie uznała, a w czasie codziennych konnych rozjazdów po polach, gdy rozmawiała z rządcą i fornalami, zawsze opanowana, skromna i wyrozumiała, oni milcząco trzymali się w pobliżu i zauważali, iż z jej pewności siebie czasem coś się odkrusza, choć potem mówili, że tamtych ludzi trzeba by jednak mocniej trzymać za uzdę.

Młoda amazonka odpowiedziała z uśmiechem, że o używaniu uzdy ludzie ze stałego lądu wiedzą na ogół więcej niż ci z morza. Ponadto jeden z fornali sadzał ją jeszcze na kolanach i w tym celu nie potrzebował uzdy, a tylko swojej dużej, opalonej, spracowanej dłoni, za której paznokciami zawsze zostawało trochę ornej ziemi.

Zanim nie wyjechali, Marschall, mimo znacznej zarozumiałości musiał przyznać, że i w jego nawigacji nie wszystko się zgadzało, ale jednak w ciągu przyszłych lat znajdzie się czas na użycie do walki działowych wież. Do tamtej pory trzeba więc będzie niejedno wybaczyć temu nieco wyniosłemu typowi Orli, żeby kontakt się nie zerwał.

Dopiero ostatniego wieczoru Thomas zapytał mimochodem, czy Joachim przypomina sobie tamte słowa kaznodziei Salomona, które on zacytował kiedyś, na peronie. Niestety, Joachim zapomniał.

— Przecież ty ojcze wiesz, że mamy niezłą harówkę, a gdybym zechciał czytywać tam Biblię, uważaliby mnie przecież za śmiesznego. Poza tym, jak mi się zdaje na podstawie twojej drugiej książki, dawno wyszedłeś poza Biblię.

Thomas odrzekł, że gdyby jakiś człowiek pomijał w życiu Biblię, uznałby to za smutne. Tak samo smutne, jak gdyby ktoś zlekceważył swoją matkę.

— Nie powinieneś myśleć, drogi Joachimie — dodał — że przystąpiłem tymczasem do jakiejś sekty albo że sądzę, iż każdy ojciec musi dawać synowi na drogę walizę pełną dobrych nauk. Ale widzisz, my tutaj żyjemy bardzo spokojnie i mamy dość czasu, żeby się martwić. Gdy więc przebywa u nas ktoś tak młody i świeży, dobrze się przysłuchujemy. Jeszcze raz zastanawiamy się, co robiliśmy niewłaściwie i wolelibyśmy, żebyście wy popełnili mniej błędów niż my. Sam wiesz, że posiadasz dużo tego, czego ja nie miałem nigdy, co miałem tylko w swoich myślach, lecz nie w swojej krwi, a teraz z pewnością bym chciał, żebyś ową własnością gospodarował tak, jakbyś miał pięćdziesiąt lat. To oczywiście jest głupie i musisz jakoś przymknąć na to oczy.

— Kochany ojcze — powiedział Joachim — jesteś wobec mnie tak... umiarkowany...

Thomas uśmiechnął się.

— A jak miałoby być inaczej? — zapytał. — Ale to, co chciałem ci przypomnieć, brzmiało tak: "Więcej wart jest cierpliwy niż bohater".

Może mógłbyś o tym kiedyś pomyśleć.

— Przypominam sobie, ojcze. Na morzu są jednak problemy z cierpliwością. Do Skagerraku wszyscy byli u nas bardzo cierpliwi.

— Istnieje też inna cierpliwość, Joachimie, ale zostawmy to. Mało zostałoby nadziei, gdybyście byli tacy sami jak my.

— Świeży wiatr, Orla — powiedział generał, gdy patrzyli na odjeżdżający powóz. — Są twardzi jak szkło, ale żeby flaga powiewała nadal, jest to chyba dziś potrzebne.

— Oni przecież pływają po oceanie, dziecko, i jeszcze mogą mieć dość soli — powiedziała rozważnie ciotka Mieze.

Jednak Marianne nie zgodziła się. Na oceanie znajdują się tylko ci dwaj: Thomas i Bildermann. Inni znajdują się "na morzu".

Niedługo po wyjeździe młodych marynarzy rozeszła się wieść, że stuletni rybak wrócił do domu. Żaden z mieszkających nad jeziorami prostych ludzi nie używał innego określenia. Żaden nie powiedział, że tamten umarł albo się utopił, choć pewnego ranka znaleziono jego łódź i czapkę dryfującą na falach. Uważano, że w taki oto cichy i wcale nie gwałtowny sposób odszedł on do owej istoty, o której drogach i bycie wiedział tak dużo. Wkrótce wielu zaczęło twierdzić, że w ciche wieczory wokół miejsca jego powrotu do domu można było dostrzec, iż mroczna woda jest pełna dorosłych ryb. Tkwią zaraz pod jej powierzchnią, z grzbietami zwróconymi lekko ku dołowi i z ledwie poruszającymi się ogromnymi płetwami, tak jakby wpatrywały się w toń i dostrzegały tam tego, który wrócił do domu. Siedzi pewnie wyprostowany wśród lasu wodorostów, ma siwe gładkie włosy i bursztynowe kolczyki. W jego pokurczonych dłoniach czasem można było dostrzec złotą koronę, o której niekiedy opowiadał na ziemi.

Długo poszukiwano go, a i władze nie szczędziły trudu, ale woda go nie oddała. Nie odnaleziono go nigdy.

Rozdział 14

Wciąż jeszcze, dniem i nocą, w ciągu pór roku i lat bije zegar nad zamkowym dziedzińcem, miara i norma okolicy. W tych stronach ludzie myślą czasem, że wiele się zmieniło, ale bytowanie pozostało takie samo.

Generał trochę zmalał, nawet jeśli trzyma się prosto, panienka jeszcze trochę urosła. Ludzie "na oceanie" mają po kilka siwych nitek więcej w swoich włosach, ale ryby wciąż wpadają w ich sieci, raz więcej, a czasem mniej, jak nakazuje im wiatr, pogoda albo ich własna natura. Minęło lato i jesień, tak jak oraczowi mija dzień i Thomas znowu spędził więcej niż dwa miesiące w domu hrabiego. Pod retortami płonął niebieski płomień, inne niebieskawe światło, tajemnicze i migocące ukazywało się w próżniowych szklanych rurach. Kryształy lśniły wszystkimi barwami, pod mikroskopem rozświetlały się dziwne kształty i cienie. Między kartami wielkich ksiąg tkwią karteluszki z niemal nieczytelnymi słowami i liczbami. Król z Orientu wziął do swojego domu służącą i parobka, a dachówki na nowym dachu stodoły zaczęły się już barwić na szaro od nawietrznej strony. Joachim przygotowuje się do porucznikowskiego egzaminu, jak zawsze pilny, opanowany i skoncentrowany, a chorąży marynarki Siegfried von Marschall przestał pisywać listy do szlachetnie urodzonej panny Marianne von Platen po tym, gdy mu zakomunikowała, że praca nie pozwala jej na wymianę listów dotyczących duchowej dialektyki.

Wciąż jeszcze, trzy razy dziennie, ponad lasem przelatuje od wschodu rybołów, uderza na swoją zdobycz, wydaje w górze smutny krzyk opadający na lasy i jeziora, i znów przepada za wschodnim widnokręgiem. Na wyspie nie wiedzą czy wciąż jeszcze ten sam rybołów, czy też może jeden z młodych, wyrosłych przez długie lata, ale wystarczy im wiedzieć, że to "ten rybołów", bo żaden z nich nie ma osobnego imienia. Zwierzęta są bezimienne.

Po drogach Rzeszy wciąż wędrują niezliczone tysiące: studenci, włóczędzy, starzy żołnierze i apostołowie w sandałach na stopach i ze sznurem opasującym biodra. Bildermann spotyka ich czasami podczas swoich wędrówek, zatrzymuje ich i pyta, czy kruki wciąż jeszcze krążą nad górą. Potem kiwa głową, daje im tytoń i odłamuje kawałek chleba, zawsze noszonego w torbie. Przypatruje się przez chwilę,

jak na wschód czy na zachód z przygarbionymi barkami odchodzą na zmęczonych nogach wyklęci tej ziemi, ci, którzy cierpliwie dźwigają winę narodów.

Ludzie myślą, że zmieniło się wiele, ale to tylko powierzchnia marszczy się jak podczas przypływu, gdy w głębinie spoczywają, jak zawsze czekające na swój czas, ryby, rośliny i kamienie.

Marianne dostała mały, błyszczący samochód, podarek od starej damy dworu. Korzysta z niego rzadko, ale z radością, a gdy czasami jedzie do miasta, najchętniej zabiera z sobą Bildermanna, który potrafi dobrze przysłuchiwać się i odpowiadać, tak dużo wie o swoim panu i zna wszystkie tajemnice motoru. Wstążki jego czapki łopocą poziomo, ponad śpiewającym autem. Czasem myśli on sobie, że jednak w jakiś sposób wysforował się do przodu w swoim życiu.

Thomas dobrze widzi, że Marianne cierpi, ale chce przyglądać się temu nieco z boku. Jeszcze nie ma ostatecznej pewności. Z nim jest tak, jak z człowiekiem stojącym na dwóch koniach i galopującym po jeździeckim torze. Nie wolno mu patrzeć ani na prawo, ani na lewo. Wie, że od gwiazdkowego wieczoru postarzał się, co znaczy, że nagle nauczył się patrzeć daleko w swoje życie, omijać parkany i żywopłoty, ale to nie jego wina, że czasami, choć bardzo rzadko, przenika go dojmujący ból, tak nieokiełznany i nieobliczalny jak zygzakowate pęknięcie biegnące przez lód. Wie, że również ten, kto chciałby mieć wszystko, nie jest ślepy na składowe części, że i na samotne drogi czasem wkracza marzenie. Czeka, aż pewnego dnia zjawi się ktoś, kto ukoi cierpienie. Nie był nim Joachim, a w jeszcze mniejszym stopniu ów kuzyn czy chorąży von Marschall. Natura dysponuje jednak tysiącem dróg i sił. Ona też pokona "dawne miary".

Marianne nie jest nieszczęśliwa. Ma zajęcie i marzenia, nie może więc wpaść w otchłań. Ma też w holu stare portrety, przed którymi niekiedy zatrzymuje się. Usta kobiet milczą, ale i milczące usta mogą być wymowne. Zagubienie się nie grozi, gdy można przypatrywać się przodkom, ale wciąż można mieć nadzieję, wciąż można ją mieć. Jeśli Bóg zechce, można przejść nad przepaścią choćby i po złocistej nici.

Pani von Sperber nie zauważa niczego. Jej "Piękny" nie żyje, leży pochowany w polskiej ziemi, a przez jego śmierć opustoszał świat. Jakże mógłby zauroczyć jakiś mężczyzna, skoro zgasł i czar tamtego? Zresztą nie idzie o mężczyzn, ale o sól ziemi.

Jedynym, który to dostrzegł, jest generał. Prawdopodobnie bystrość jego oczu wyostrzyła się dzięki obecności tamtych młodych mężczyzn. Zrobiły się twarde jak

szkło. Można by myśleć, że to człowiek surowy, a Bergengrünowi niekiedy zdaje się, że pochodzi jeszcze z czasów wojny trzydziestoletniej. Jednak jego serce przepełnia litość, ale tak wielka jak owa litość jest też jego religijność. To nie było przewidziane żadnym regulaminem, nie zajmowała się tym żadna polowa instrukcja i w końcu nie pozostało nic innego, jak "rozpoznanie walką". Dziecko warte jest tego, żeby wyjść z okopu i popatrzeć, co dzieje się za skrajem lasu.

— Stary człowiek, Orla — rzekł koło szarego stołu na wyspie.

— Pomyśleć o przyszłości... Również generałowie nie są nieśmiertelni... Co z dzieckiem?

Thomas zrozumiał natychmiast.

— O tym nie było ani słowa, panie generale — powiedział — ale dziecko wie, że nie może tak być.

— Nie jest, czy nie może być?

— Jest, ale nie może być, panie generale.

Stare dłonie oparły się splecione na lasce, oczy patrzyły na wprost spod siwych brwi.

— Nigdy, Orla?

— Nigdy, panie generale. Kto zgrzeszy przeciw naturze, nie uzyska odpuszczenia.

— Ile ma lat, Orla?

— Pięćdziesiąt, panie generale.

Palce poruszyły się na lasce, tak jakby liczyły. Potem znów się splotły i znieruchomiały.

— Co robić, Orla?

— Pogodzić się i pomóc, panie generale. Za parę lat nikt już nie włoży nam wieńca na skronie.

— Nie odchodzić, Orla!

— Nie, panie generale.

Posiedzieli jeszcze chwilę. Pod przeciwległym brzegiem Bildermann wrzucał do wody raczniki. Widzieli, jak zamigotało jasne drewno, a dopiero po chwili dobiegł do nich plusk.

Generał podniósł się i podał mu rękę.

— Umierałbym spokojnie, Orla — powiedział. — U nikogo takiego spokoju jak u pana... Ale ma pan rację... Jest człowiekiem szlachetnym, Orla...

Potem zagwizdał na Johanna, a olbrzym odpowiedział spod dębów.

Tej jesieni zdarzyło się w okolicy coś szczególnego. Więcej niż dziesięć lat po krwawych zmaganiach, bezskutecznych bitwach tamtej wojny, między fortami a wzgórzem o niemal uświęconej nazwie znaleziono zasypaną ziemiankę, a w niej szczątki połowy jakiejś kompanii. Rok później, po wielu okrężnych drogach, do jednej z dużych gmin położonych nad jeziorami nadeszło urzędowe zawiadomienie, że wśród znalezionych znajduje się siedmiu zaginionych z tej właśnie parafii. Pastor, starszy człowiek, którego syn znajdował się wśród poległych, nie spoczął, dopóki po wielu zresztą podaniach i kwestach, przekonywaniach i prośbach nie osiągnął tego, że parafia będzie mogła tych swoich siedmiu poległych przenieść z obcej ziemi do własnej i pochować na wielkim cmentarzu bohaterów. Spoczywały tam ofiary pierwszych wojennych lat, a widoczne z daleka, nad brzegiem, trzy wysokie krzyże, znane były w całej prowincji.

Walka parafii o swoich zmarłych (gdyż nie można nazwać inaczej zaciekłego przezwyciężania przepisów, paragrafów i zwyczajów) wzbudziła szerokie zainteresowanie, a także poruszyła umysły niektórych żyjących daleko od owych wiosek. Gdy potem ogłoszono, że w czasie dorocznych dożynek wąskie trumny będą złożone u stóp trzech krzyży, ze wszystkich stron, pieszo i wozami, ruszyło wielu takich, którzy oddali synów za ojczyznę lub takich, którzy w owym działaniu dostrzegali coś ostrzegającego albo przykładnego.

Ponieważ cmentarz odległy był o wiele godzin jazdy, Marianne zapytała Thomasa, czy nie zechciałby pojechać z nią jej małym samochodem. Zgodził się. Rankiem przeprawił się do zamku, a ona oczekiwała go już na schodach. Pierwszy raz zobaczyła jego mundur i zrazu zdawało się jej, że oto on wysunął się przed nią, tak jakby tylko jemu przysługiwało uczestnictwo w owym przedsięwzięciu. Słońce właśnie wyszło nad las, lśniły zroszone pola, a z koron dębów wzlatywały wszędzie wielkie stada grzywaczy zbierających się do odlotu na południe. Stare brzozy przy szosie nosiły jeszcze złociste liście, wśród nich czerwieniały jarzębinowe jagody. Ze wzniesień dostrzegali, jak blade niebo barwi się z wolna coraz bardziej, by ciemnym błękitem zawisnąć nad polami, zagrodami i lasami.

Kapitan przypomniał sobie tamte dni, kiedy pierwszy raz przybył do tej krainy i chociaż wtedy była wiosna, znów rozpoznał owo wielkie jej oblicze, które go wtedy

zniewoliło. Opowiedział, jak to z Joachimem stawał nad tymi brzegami, żeby ten, patrząc na ich wyraziste i rozległe linie, dowiedział się, że w odniesieniu do tutejszego krajobrazu wola Stworzenia decydowała się na to, co najprostsze. I jak to z tym planem nie wszystko się udało, co też zdarza się często, gdy młodość chce się zapełnić własną miłością.

Marianne zauważyła, że wprawdzie często tak bywa, lecz nie zawsze.

No nie, tu nie istnieją żadne reguły, a jeśli ktoś jest uważny i cierpliwy, zawsze znajdzie jakąś rekompensatę za zawiedzione oczekiwania, bo życie zawodzi nas tylko tak często, jak często usiłujemy narzucić mu własne zdanie.

Marianne zapytała, czy nie chce już nigdy się zawieść.

Odrzekł, iż ma nadzieję, że już przeżył największe złudzenia. Jeśli idzie o rzeczy, robi niewiele więcej ponad to, że przygląda się im i nasłuchuje, gdyż teraz już wie, że prawda tkwi w rzeczach, a nie w poglądach. Jeśli zaś idzie o ludzi, to doznał wielkiego szczęścia, bowiem otaczające go grono choć z roku na rok stawało się szczuplejsze, z czasem zaczęło obejmować tylko tych, których wizerunek jest tak niezmienny jak wizerunek gwiazd. W młodości chce się wprawdzie zmieniać sposoby postępowania jakiejś całej warstwy społecznej czy nawet całych narodów, uszlachetniać je, podnosić na wyższy poziom, ale gdy lot się obniża, człowiek zadowala się czymś mniejszym i całą siłę kieruje na to, żeby to mniejsze przeobraziło się w coś trwałego. A ze strony tych niewielu, którzy go otaczają, nie oczekuje zawodu.

Gdy pewnego dnia umrze dziadek, a ona kiedyś wyjdzie za mąż, to czy on odejdzie z wyspy i przeniesie się na stałe do domu hrabiego, spytała go.

Oczywiście, że nie. Powinna przypomnieć sobie, jak — gdy zobaczył ją pierwszy raz — stała na zanikowych schodach, delikatna i krucha, w czarnej sukience i ze sznurkiem pereł na szyi. Jeśli nawet dożyje tego, że ona będzie siwowłosą babcią, to i wówczas będzie widział ją taką, jaką była wtenczas. On i Bildermann. Gdy ujrzeli ją po raz pierwszy, obaj znajdowali się na pierwszym stopniu nowego życia i w całym mroku i niepewności czasu przyszłego, ona stała tam niby

kwiatuszek. Tego się nie zapomina. O pomaganiu i uzdrawianiu napisane jest gdzieś w Biblii i dlatego też nie mogli odejść, dopóki mogli się spodziewać, że znajdą po temu okazję. A ona przecież nie kończy się wraz z dzieciństwem i młodością, ale pozostaje aż do śmierci. I tak musiała objawić się już w tym, że w swoim zasięgu

zatrzyma ludzi na oceanie tak długo, jak długo będą mogli utrzymać choćby jedno wiosło i rzucić choćby jedną sieć.

Patrzyła na jasną szosę przed kołami wozu, ale na chwilę zdjęła prawą dłoń z kierownicy i położyła na jego dłoni.

— Czy wiesz, Thomas, czego chcę? — zapytała. — Chcę przynajmniej tego... żeby pochowano mnie na wyspie.

Im wyżej wznosiło się słońce, tym bardziej zaczęła ożywiać się z wolna pusta droga. Gdy dotarli na cmentarz, zdawało się im, że napłynęli tu ludzie z całego kraju po to, żeby tak wiele lat po wojnie jeszcze raz spojrzeć w jej mityczne oblicze. Wszystkie twarze były poważne i jakby zwrócone ku nadchodzącej godzinie, ale ile by nie było zgromadzonych tu stowarzyszeń i związków, z chorągwiami i sztandarami, usiłujących uszeregować się już na drodze i na placykach, to wszystko jednak przebiegało w ciszy, łącznie ze zwoływaniem się i komendami, tak jakby wszędzie było obecnych tych siedem wąskich trumien, ustawionych przed całym narodem, a odblask wielkiego milczenia padał od nich na wszystkie twarze.

Samochód zostawili w dużym zajeździe przy rynku, poprosili też, żeby w porze obiadowej zarezerwowano dla nich stolik pod drzewami. Potem powoli poszli obok kościoła, poza miejscowość, tam, gdzie pod młodymi jeszcze drzewami droga biegła ku wzgórzu nad wodą. W kącie rynku Thomas dostrzegł pułkownika z orlim nosem, tym razem bez konia, ale o wciąż przenikliwym głosie i choć najwyraźniej go miarkował, Thomas odniósł wrażenie, że słyszy owo "tempo... tempo, moi panowie", którym tamten wganiał w porządkujący się tłum panów ze swojego sztabu. Thomas zasalutował, tamten zaś powściągliwie podziękował.

— To są ci ludzie — powiedział, uśmiechając się do Marianne — którzy wyszli z wojny światowej, zachowując "dawną świeżość". To oni twojego dziadka nazywają "starym chłopcem".

Potem umilkli, gdyż już od rogatek, na błękitnym horyzoncie, było widać wielkie krzyże, symbol całej tej okolicy. Stały na ogromnej grobowej krypcie z polnych kamieni, niemal rozdzierając niebo, a wąskimi i jakby całkiem ku górze wysuniętymi drzewcami ramion podtrzymując rozdarte sklepienie.

Kiedy dotarli na wzgórze, otworzył się przed nimi bezkresny widok. Po stronie lądu rozciągały się niekończące się pola i niebieskie smugi lasów, a z drugiej strony ponad błękitną, rozległą wodę i puste brzegi. Stanęli przed milczącą kryptą, u której

wejścia leżał żółty piach z wykopanych mogił. Stało tam siedem wąskich trumien, a każda była okryta płótnem flagi i jesiennymi wieńcami z ogrodów i lasów. Gdy zobaczyli żołnierzy o młodych twarzach pod groźnymi, szarymi hełmami, trzymających wartę przy poległych, a także ołtarz za wezgłowiami trumien, kiedy spojrzeli w twarz zgromadzonego tłumu, złożonego z ludzi w różnym wieku, od dzieci po siwowłosych, wówczas i Marianne po raz pierwszy dostrzegła z tak ostrą wyrazistością, to co nieśmiertelne w wielkiej, długo odbijającej się echem epoce, oblicze śmierci, a i przemiany, jak również to, że w pojęciu narodu zawiera się życie wszystkich, także życie na wyspie, ale i życie dawnych pokoleń, jak też i prochy bezimiennych. Zdawało się jej, niby pod wpływem jakiejś wizji, że te trzy krzyże nie są puste i jedynie rozświetlone łagodnym jesiennym słońcem oraz opływane błękitnym przestworem, ale że ich wysokie dębowe bale dźwigają cały ciężar Wzgórza Czaszki: ciało Ukrzyżowanego i obu łotrów, wiekuiste symbole ofiarnej śmierci zawinionej przez ludzką nikczemność.

Schwyciła dłoń Thomasa i tak już zostało przez cały czas, dopóki nie zostały opuszczone trumny z barwnymi płótnami i nie zakrył ich żółty piach.

Wiedzieli od pastora nie tylko to, że przed nim leżą w trumnie szczątki jego syna, ale że i on sam, wówczas, na początku wojny, został wywieziony daleko, do obcego kraju. Że pochował żonę i tym samym doświadczył wielu cierpień, które mogą przypaść człowiekowi. Gdy więc zobaczyli, jak łagodny wiatr wiejący od wody rozwiewa jego siwe włosy i gdy usłyszeli, że jego kazanie nie zawierało żadnych słów goryczy ani skargi; że więcej, bo dziękując za tegoroczne plony, całkiem dosłownie włączył do nich również owe trumny, będące spóźnionym, ale już opromienionym plonem czasu poświęcania się i ofiary, żniwa żniw; gdy następnie napominał ich wszystkich, żeby pamiętali o owych świadkach, zagubionych synach, którzy teraz znaleźli drogę do domu; kiedy wreszcie nakazał głębiej orać pola, pomyśleli, że tymi jego słowami zostali w niezapomniany sposób objęci Prawem rozciągającym się nad tą krainą. Odtąd nie przeszkadzało im, że nazywali je różnymi imionami, gdyż praca, trud i troska zawsze przecież podążały tą samą drogą, nieważne jak mogliby nazywać cel.

Pastor dopilnował, żeby nad grobem nie wygłoszono żadnych przemówień, tak więc niesnaski owego czasu nie umniejszyły powagi chwili. Tylko od wioski dobiegał głos dzwonów, a przez cichy przestwór również ze wszystkich dookolnych wsi. Gdy nad zmarłymi rozległy się salwy, gdy ciżba ruszyła w milczeniu i drogą

odmaszerowary stowarzyszenia oraz związki z chorągwiami oraz sztandarami, owo miejsce pozostało takie, jakie było, ciche i osamotnione. Tylko mewy krążyły teraz nad nim w błękitnym przestworze.

Jeszcze chwilę stali na wzniesieniu i patrzyli, jak nitki babiego lata coraz gęściej zwieszają się z ramion krzyży i niby cienkie białe welony powiewają nad kryptą.

Potem poszli za innymi. Marianne wzięła go pod ramię, a kiedy doszli do skraju wioski, powiedziała:

— My, młodzi, w porównaniu z wami zawsze będziemy niczym... Zawsze będą dłużnicy i nienaruszalni.

On jednak zaprzeczył.

— Nikt nie wie, jakie zamiary wobec was ma Prawo — odrzekł.

Jeszcze raz przeszli przez cmentarz, a potem zjedli przy stoliku to, co im podano. Pod jednym z najbliższych drzew siedział ze swoim sztabem pułkownik i perorował znowu nie przyciszonym głosem. Obok niego siedziała młoda kobieta, niemal jeszcze dziewczyna, i ze znudzeniem przyjmowała hołdy starego żołnierza, jak i młodszych panów zajmujących miejsce przy stole. Można było się domyśleć, że była żoną pułkownika.

Thomas opowiedział o manewrach, na które zabrał go kiedyś Bilder-mann i o tym, że spotkanie ze starym wojakiem nie przebiegło całkiem przyjaźnie. Nie wiedział, że w ten sposób uzupełnił swój wizerunek.

Marianne siedziała wyprostowana. Milczała, on jednak zauważył, że uwagę jej zajmowała owa grupa, a gdy na chwilę przysiadł się do nich stary kapitan landwehry i o jej dziadku wypowiedział się z szacunkiem, zapytała, czy to prawda, co twierdził pan von Orla, że, mianowicie, tamta młoda dama jest żoną pułkownika.

Tak, to prawda, nawet jeśli w rachubę wchodzi tylko urząd stanu cywilnego. Ona zresztą jest całkiem możliwa, ale na razie jest jak nie uprawiana rola. A w ogóle jest to jednak troszkę nieprzyjemne i chyba dla obojga byłoby lepiej, gdyby do tego nie doszło.

Wkrótce pożegnali się, z niejakim trudem wymanewrowali wóz spośród furmanek i ludzi, by wnet mieć znów przed sobą pustą drogę, która biała i prosta wiodła do najbliższych lasów.

Tutaj, w cieniu i ciszy, Marianne spowolniła jazdę i ciągle patrząc przed siebie, zapytała:

— Tak to jest, Thomas?

Przez cały czas czytał w jej myślach i bezzwłocznie odpowiedział:

— Tak. Tak to jest.

Niedaleko zamku zapytał, czy nie zechciałaby pojechać z nim jeszcze do domu hrabiego. Mieli dość czasu, żeby wypić na tarasie herbatę, on zaś byłby zadowolony, gdyby zechciała wziąć z ogrodu tyle kwiatów, ile zmieści się w aucie. To, że one tam więdną, jest smutne, a ponadto pomyślał, że dzisiaj powinni kilka dobrych myśli skierować i ku hrabiemu.

Mieli wrażenie, że i nad tym skrawkiem ziemi rozciąga się jakiś czar, choć inny niż nad wyspą. W padających skośnie promieniach słońca ogród objawił się im niby wielobarwny płomień, zaś stary ogrodnik jako czarodziej, poruszający się w nim bez obawy, z koszem i nożycami. Powietrze było tak ciche, że słyszeli sójki na dalekim kartoflisku i dochodzące z folwarku dziecięce głosy.

— Ze swojej przestrzeni nie odchodzi żadne ludzkie życie — powiedział Thomas. — Również jego. Wszystko jest nim jeszcze wypełnione, każdy kwiat, każdy krzew, a nawet horyzont w tamtej stronie, bo tak bardzo ukształtowany i przesycony jest jego spojrzeniami.

— Co więc nas różni, Thomas?

Uśmiechając się, poprowadził ją do stołu wystawionego przez Fried-richa.

— To, że znów chcecie go spotkać, a my nie. Że myślicie, iż Bóg zabił go jakimś kijem, my zaś uważamy, że on nie zajmuje się takimi sprawami. On nie wierzył, ten umarły, więc wy myślicie — a nawet więcej, wy musicie tak myśleć — że znalazł się w piekle. Śmierć nie dała mu czasu, żeby odwołał niewiarę, ale nawet gdyby dała mu czas, nie uczyniłby tego. Nie on. Wyszedł na jej spotkanie bez broni. Myślimy więc, że dziwne byłoby to piekło, zapełnione przez jemu podobnych.

— Przecież to tylko wyobrażenie, Thomas. Obrazy.

— Tak, ale po obrazach rozpoznaje się malarza.

Po wypiciu herbaty zeszli nad rzekę i usiedli na ławce, nad jasną wodą. Nad nimi w błękitny przestwór stromo wspinały się topole, z prądem płynęły obok nich zwiędłe liście. W świetle zdawały się być pozłocone.

— Myślę, że będzie dobrze być starym — powiedział Thomas.

Tam, na wyspie, albo i tutaj. Jednak raczej na wyspie. Tylko trzeba w porę odwiązać nić, żeby nożyce nie miały czego przeciąć. Wówczas będzie się czymś w

rodzaju liścia, który opuścił swoje drzewo. Myślę, że boją się i bronią tylko ci, którzy nie są gotowi. On jednak przepowie dział mi, tamten starzec, Petrus, że będę gotowy, prawda? Że nie otrzymam całości, co zresztą już sam zauważam, lecz gdy uznaję, że nie jest to nam dane, że nie jest przeznaczone przez Stworzenie, nie ma w tym bólu. Teraz mam tylko dojść do granicy i tego chcę spróbować.

— Dużo zrobiłeś nie tak jak trzeba, Thomas?

— Myślę, że tak. Dotyczy to mojego zawodu, wiele dotyczyło też Glorii, a może i Joachima. Było to jednak niewłaściwe z punktu widzenia doskonałości, a akurat tego nie powinno się robić. Wszystko było potrzebne, żeby stało się to, co jest; potrzebne zaś jest to, żeby mogło się stać to, co nadejdzie. Zawsze idziemy z zawiązanymi oczami, ale tylko głupcy zdzierają przepaskę.

Spoza zakrętu usłyszeli jasny, świergotliwy głos, a potem, nad wodą, u ich stóp, przemknął mały niebieski ptaszek. Był tak szybki, że nie odróżnili, co było jego wizerunkiem, a co odbiciem w wodzie.

— Ptaszek... — powiedziała cicho. — A czy wtenczas, kiedy byłam mała, Thomas, nie zrobiłeś już nic niewłaściwie?

— Mam nadzieję, że nie — odparł i przyjrzał się jej z powagą.

— Nie, niczego nie powinieneś żałować, Thomas. Z tamtego okresu niczego. Nie powinieneś też niczego z niego wykreślać, bo jest to tym, czym ja żyję i gdy tak zrobisz, wykreślisz to z mojego życia.

— Niczego nie chcę wykreślić, Marianne — powiedział cicho.

Słońce zaszło za las. Wstali. Ponad łąkami unosiła się już rzadka mgła, ale w dachowych oknach domu gorzała jeszcze wieczorna zorza.

Bagażnik samochodu wypełniony był kwiatami, a i na siedzeniu leżał bukiet dalii. Friedrich poprawił pled, którym okryli kolana. Oboje zauważyli, jak bardzo stare były jego dłonie.

— Natrudził się pan przy nas, Friedrich — powiedział Thomas — ale teraz nadchodzi cichy wieczór.

Sługa uśmiechnął się.

— Teraz wciąż słyszę jego kroki, panie von Orla. W bibliotece, tam i z powrotem. A w instrumencie czasem zadźwięczy struna.

— Za wiele przebywa pan w samotności, Friedrich. Tamten z respektem pokręcił głową.

— Zawsze byliśmy sami, panie von Orla, zmarły hrabia i ja. Wciąż myślę przy kominku, że przyśle mi wiadomość. Jesteśmy jednak zbyt niecierpliwi, nawet gdy posiwiejemy. Potem zamknął drzwiczki i cofnął się. Jeszcze raz zobaczyli go z zakrętu za bramą. Był mały i kruchy, gdy tak stał przed dużym domem o ciężkim dachu, a kiedy położył dłoń na klamce drzwi i otworzył je, mogło się zdawać, że wchodzi do grobowej krypty i zapadnie za nim głaz.

— Musisz częściej przyjeżdżać tu ze mną — odezwał się Thomas.

Nawet domy marnieją, jeśli nie patrzy się na nie. Skinęła głową, ale powiedziała, że tutaj zawsze będzie się bać. To dom bez Boga. Ale pełno w nim bożków, zauważył z uśmiechem. Generał czekał na nich, stojąc przy bramie.

— Długi dzień dla starego człowieka — powiedział. — Tej Sperber ciągle się zwidywało, że wjeżdżacie na drzewo. Powiedziałem, że tyle drzew, ile ich widzi, wcale u nas nie ma. Zanieśli kwiaty do holu, a Marianne odprowadziła samochód.

— Wyglądał jak ślubny powóz, Orla. Chciałbym, żeby dobry Bóg trochę inaczej rozdzielał lata. Dla niego to drobiazg. Thomas rzekł cicho, że nie należy mu partaczyć rzemiosła. Potem, przy kominku, gdy ustawiono wazony z kwiatami, Marianne zapytała, czy zna pułkownika, który nazywa go starym chłopakiem.

— Widziałem trzy razy — odparł generał. — Na Zachodzie nazywa no go Amoniakiem. Gdzie się zjawiał, żadne oko nie było suche. Młodzi ludzie powiedzieliby "chwacki".

No tak, powiedziała Marianne, a teraz się ożenił. Chyba z dwudziestolatką. Siedzieli przy stoliku, obok. Generał popatrzył na nią niespokojnie.

— Nie wyglądało to pięknie, prawda Thomas?

— Nie — odrzekł spokojnie — a za dziesięć lat będzie wyglądać jeszcze mniej pięknie.

— Był młodszy ode mnie o trzy lata — powiedziała niewinnie ciotka Mieze — i to też nie było dobre.

Generał popatrzył na nią z taką złością, że przestraszona zamilkła. Marianne przyjrzała się im kolejno.

— Dzisiaj zawarliśmy układ. My oboje, prawda Thomas? Przytaknął.

— O każdej porze wiernie stać przy swoich państwu, tak Thomas?

— Tak jest. Być szanowany oraz wspierany w potrzebach ciała i duszy.

— Ten układ jest nierozwiązywalny, słyszysz dziadku? Układ na całe życie!

Wstała i przeszła przed szeregiem portretów, założywszy za plecy ręce, tak jak robiła to, będąc dzieckiem. Potem wróciła i na dużej szachownicy ustawiła kamienie do gry w warcaby.

Na początku następnego tygodnia Thomas dostał list od Joachima. Był dłuższy niż zwykle, i zdawało mu się, że w jakiś szczególny sposób ciąży mu w dłoni. Joachim pisał, że przydarzyła się mu przykra historia. W dzielnicy portowej przez cały czas było niespokojnie. Już dawno nie mieli przepustki na miasto, a gdy w końcu pozwolono wyjść, otrzymali rozkaz trzymania się razem i unikania jakichkolwiek staro.

"Przed paroma tygodniami zostaliśmy zaproszeni przez jednego ze szkolących nas oficerów. Było nas dziesięciu. Oczywiście musieliśmy stawić się w mundurach. Piliśmy niewiele i w najlepszym porządku wracaliśmy na pokład; może troszkę zbyt głośno, ale w pełnym porządku. Czerwoni musieli o tym wiedzieć, bo przy portowej bramie napadli na nas. Stanęliśmy ramię w ramię, a że mieliśmy kordziki, załatwiliśmy ich na czysto. Pod koniec trochę nas wprawdzie rozproszono, ale tamci mieli już dość i wszystko ułożyłoby się pierwszorzędnie, gdyby jeden z nas nie zachował się głupio. Zaczął wygłaszać przemówienie, czy oni nie wstydzą się, napadając na Niemców jako Niemcy, czy klasowa nienawiść ciągnąć ma się wiecznie i tak dalej.

Jeden z tamtych wykorzystał okazję, zakradł się doń od tyłu i uniósł kij. Ja załatwiłem właśnie swojego ostatniego »kontrahenta« i spostrzegłem nadchodzące zagrożenie. Zawołałem innych, ale już się stało. Kolegę zanieśliśmy na pokład, no i wciąż jeszcze leży w szpitalu. Pęknięcie czaszki i tak dalej. Lekarze mówią jednak, że przetrzymał najgorsze".

Thomas opuścił list i nabił fajkę. Dobrze wiedział, co nastąpi i niemal bez zainteresowania patrzył, jak lekko drży dłoń trzymająca zapałkę.

Sprawa przedstawiała się tak, ciągnął Joachim, że ów napadnięty, Finckenstein, zawsze stawał mu na drodze. Z jakichś powodów do marynarki przyszedł późno, był więc o parę lat starszy od większości; zdolny i uporządkowany, trzymał się też na uboczu. Czyta dziwne książki, gra na skrzypcach i tak dalej. Nigdy go nie lubili, ale kiedy Joachim okazał się słabszy niż on, tamten nie ucieszył się, czego można było oczekiwać, ale swój laur przyjął z całkiem obojętną miną. Tak jakby mu się należał, a cała reszta była jakąś pomyłką. I tak, właściwie tego nie chcąc, stali się niemal konkurentami, a pozostali zawsze tworzyli dwa obozy.

Dlaczego on mi o tym pisze, zastanawiał się coraz bardziej zaniepokojony Thomas.

"Oczywiście odwiedziłem go — relacjonował Joachim. — Tak przecież trzeba. Jednak gdy inni wyszli, zatrzymał mnie na chwilę. Jeszcze był cały w bandażach, a jego oczy wyglądały fatalnie. »Chciałbym wiedzieć, Orla, dlaczego nie zapobiegł pan temu« zapytał. Oczywiście zwracaliśmy się do siebie per ty i już owo »pan« było zwyczajną impertynencją. »Na krótko przed tym zanim spadł na mnie ten cios, spojrzałem na pana i po pańskich oczach poznałem, że pan to widzi.

Również to, że padnie cios. Nie boleję nad tym, że zostałem powalony, ale dlatego że nie pomógł mi pan. Z chęcią poznałbym przyczynę tego. Interesuje mnie to ze względów psychologicznych, a jeśli pan woli, etycznych«. Tu masz przykład sposobu, w jaki on się wypowiada.

Wszystko mu wytłumaczył. Był zmęczony tak jak i pozostali, ostatni zaś atak zaskoczył go tak nagle, że zareagował o pół sekundy za późno.

"Zapewne — powiedział Finckenstein. — A już myślałem, że przyglądał się pan tylko, żebym zszedł panu z drogi. Chociażby w tej sesji egzaminacyjnej. To by mnie jednak, jeśli idzie o pana, bardzo zasmuciło".

A teraz, kochany ojcze, będzie sedno sprawy. Oczywiście osłupiałem i zrazu byłem zły, ale potem jednak nie chciałem sprawy zlekceważyć. Na własny użytek. Jeszcze raz wszystko przemyślałem i zrozumiałem, że mogłem tamtemu zapobiec. Przecież w stosunku do siebie trzeba być uczciwym. Nie potrzebowałbym tej pół sekundy, gdyby było inaczej. Rozumiesz? O to tu idzie. To oczywisty nonsens, że myślałem o egzaminie, daję ci słowo honoru; w ogóle nie myślałem

o niczym. Jednak miałem do pokonania ów fakt, że tamto dotyczyło właśnie jego. Rozumiesz mnie? Zależy mi na tym, żebyś właśnie ty zrozumiał. Nastąpiło zawahanie, nie w sferze myśli, ale uczuć. Trwało przez parę uderzeń serca, no i wystarczyło. Bardzo mi przykro, ale niczego nie mogę już zmienić.

Piszę do ciebie, żebyś mi poradził, co mam robić. Mogłoby zdarzyć się tak, że on złoży raport, i nawet jeśli z całym spokojem mógłbym powtórzyć to, co napisałem tutaj, stałoby się, przed egzaminami, coś fatalnego. Tak czy inaczej dość było smrodu z powodu całego zajścia. Do szpitala już nie poszedłem i nie chcę tam iść".

Thomas starannie złożył arkusz i wystukał fajkę. Tak więc to było. Mogło być gorzej, ale i to było już dostatecznie złe. Było nie tylko "fatalnie". Ale też jest dziwne,

jak los rozgrywa swoje warianty. Zabrał owe pół sekundy wahania, nawet jeśli też zmienił motywy. Nie wątpił, że Joachim powiedział prawdę o tym, że się nie zastanawiał, ale musiał przezwyciężyć uczucie. Tyle że zapomniał o obnażeniu korzeni tego uczucia, a on, Thomas, wie, dokąd sięgają. Wolałby, żeby to Joachim leżał spowity w białe bandaże i martwił się o "etyczność". On jednak martwi się o karierę (bardzo się martwi! Skąd by ta spowiedź!), a etyka znalazła się na uboczu. Dziecko może wisieć nad nami jak miecz, pomyślał na koniec. Potem odłożył wszystko na bok i z motyką oraz z koszem poszedł na ziemniaczany zagon.

Odpowiedział dopiero następnego ranka. Napisał, że jest przekonany, iż Joachim przedstawił prawdę. Nie chce rozstrzygać tego, czy postąpił właściwie jako oficer, tego jednak, że jako człowiek etyczny czegoś zaniedbał, też nie chce roztrząsać, ale stwierdza to wprost. Notabene stosując swoją staromodną miarę, pamięta, że Joachim jest młody, a ostateczne miary należy przykładać do starości, nie zaś do młodości.

Jeśli jednak myśli, że ów ranny złoży meldunek, to bardzo się myli. Jeśli więc to jest przedmiotem jego troski, może żyć wolny od niej. Gdy jednak martwi się o coś innego (on zaś, Thomas, życzy mu tego z całego serca), to powinien natychmiast po otrzymaniu listu pójść do szpitala i powtórzyć choremu to, co przekazał jemu, Thomasowi. Bez ograniczeń i upiększeń. W ten sposób będzie można nadrobić jakąś część tamtej utraconej sekundy. Nie całość, ale część. Nie wie, czy można w tym rozpoznać ostrzeżenie losu. On sam je widzi, ale musi też przyznać, że po to, by dostrzec rękę losu, potrzebował czterdziestu lat, nawet jeśli nikt mu jej nie pokazał. Prosi, żeby pozdrowił młodego hrabiego. Po chwili dopisał jeszcze post scriptum. "Cieszę się Joachimie, że napisałeś o tym do mnie. Ale jeszcze bardziej się cieszę, że nie skapitulowałeś przed samym sobą. Zniszczenie czyjegoś życia może się rozpocząć od mało istotnego punktu. Teraz nie bierz tego zbyt lekko ani nazbyt ciężko. Z takich spraw wszyscy wychodzimy poszkodowani, ale nic nie jest stracone, dopóki naprawdę z tego nie wyjdziemy. I dopóki będziesz pisał do mnie o takich sprawach, będę wiedział, że należymy do siebie".

Do hrabiego Finckensteina napisał jeszcze w tym samym dniu i poprosił go, żeby jeśli tylko znajdzie czas i ochotę, urlop zdrowotny spędził u niego na wyspie. Sądząc po tym, co Thomas o nim myśli, prawdopodobnie wytrzymają ze sobą.

Joachim podziękował. Napisał, że wykonał to, co mu polecono oraz sądzi, że cała afera dobiegła końca. Dwa tygodnie później przyjechał Finckenstein.

Przywiózł go żaglówką Bildermann, a gdy wysiadali, wesoło kiwnął głową w stronę Thomasa. Jego mina obwieszczała, że z tym gościem jest wszystko w porządku.

Już po kilku dniach nie było nikogo, kto by nie zgadzał się z tą opinią. Chory byt milkliwy i trochę niepewny, tak jakby jeszcze nie doszedł do siebie, wróciwszy od mrocznych brzegów, lecz kiedy tylko mówiło się do niego, jego twarz promieniowała w stronę mówiącego jakąś zadziwiającą ufnością i otwartością. Było więc całkiem naturalne, że po trzech dniach ciotka Mieze opowiedziała mu bolesne dzieje swojego "Pięknego".

Rodziców już nie miał, został wychowany przez krewnych i zrazu zmierzył się z wiedzą prawniczą. Jednak już po pierwszych semestrach bieg jego myśli zaczął z nią kolidować wszędzie tam, gdzie nie mógł uznać ani srogości dawnego orzecznictwa, ani też rozmytego humanizmu nowych czasów. Przyznał również, że tylko ze strachem potrafił wyobrazić sobie swoich komilitonów w roli przyszłych sędziów. I tak zaczął szukać jakiegoś zawodu, w którym to, co ludzkie, byłoby sprowadzone i ograniczone do najprostszych formuł, zaś zwykły obowiązek zdominowałby jako zasada człowiecze życie i działanie. Takim też zawodem wydał mu się zawód oficera, szczególnie oficera marynarki, który dzięki żywiołowi, jakiemu się oddaje, zachowuje także wymiar pierwotnego życia.

Thomas zauważył, że również w tym rachunku niejedno się nie zgadza.

Tamten z pewnym zakłopotaniem przyznał mu rację, ale powiedział, że jednak wierzy, iż zależy to bardziej od niego, nie zaś od problemów. Kto trzyma się na uboczu, nie powinien szukać winy u innych. Wie, że dzisiejsza młodzież jest jeszcze często jak wypuszczona bez celu strzała. Dawny jej dom został zburzony, nowego jeszcze nie ma. Są jak synowie bogatych rodziców, którzy nagle zbankrutowali; większość z nich uważa, że przyzwoitym rodzicom nie powinno się to było zdarzyć, jednak on sam sądzi, iż zarówno synowie, jak i rodzice powinni dźwigać swój ciężar, synowie zaś zobowiązani są do dźwigania większego, bo ich barki są młodsze.

Thomas odparł, że nie chciałby prorokować, lecz wydaje mu się, że i w tym zawodzie będzie on miał jeszcze sporo do nauczenia się. We wszystkich dużych wspólnotach lub związkach zawsze pozostawiona jest tylko niewielka swoboda ruchów. Gdyby ktoś zechciał iść własną drogą, choćby w kwestiach obyczajowości, to jakiekolwiek podporządkowanie wyda mu się niemożliwe, bo uważa się, że można się dostosować do jakiejś cudzej etyki, ale prawie nigdy do cudzej obyczajowości.

Tak, odpowiedział zakłopotany Finckenstein, ale musi dodać, że obie książki, które napisał pan von Orla, mają dla niego wielkie znaczenie, jednak... (tu długo szukał słów) nie potrafił pomieścić Joachima w tym świecie, który wynika z owych książek.

— Pan chce powiedzieć, że jawi się on panu mniej wartościowy niż te książki?

— Przecież nie mógłbym powiedzieć, że mniej wartościowy, panie von Orla, ale całkiem inny. On nie ma innych problemów poza własną karierą.

— Proszę, żeby pan, panie Finckenstein, nie zapominał o jednym: książka wyłania się z nas jako nasza osobista własność. Jesteśmy ojcem i matką tej książki, przepełnionej wyłącznie naszą własną krwią. Ale skąd przychodzą dzieci? Z ilu utajonych źródeł bierze się ich krew? Z jakich podziemnych zdrojów, i kto z nas wie, przez jakie płynęły one światy, zanim się nie wyłoniły? I my jesteśmy wiele winni każdemu człowiekowi naszych czasów, ja zaś, jeśli idzie o Joachima, wiele zaniedbałem. Gdy zorientowałem się, było już za późno i nawet nie wiem, czy w ogóle zawsze nie jest dla nas za późno. Tyle rzeczy zaczęło wzbudzać moje wątpliwości w tych latach...

— Ale tu, na tym obszarze, który pan zajmuje, nic nie wydaje się wątpliwe, panie von Orla. Myślę, że jest to pierwsze miejsce na ziemi, które znam, gdzie wszystko znajduje się na swoim miejscu, i nawet ktoś obcy, tak jak ja, nie może tu zrobić nic na opak. Thomas zaprzeczył ruchem głowy.

— Chyba nie wszystko znajduje się tu na swoim miejscu, ale to prawda, że zadajemy sobie wiele trudu.

Potem, gdy patrzył w ślad za nim, schodzącym do łódki, żeby trochę powiosłować, wysokim, smukłym, o opanowanych ruchach, przypomniały mu się gałęzie, wśród których przeciąga wiatr. Nie ukrywał przed samym sobą, że od tego młodego mężczyzny spływała na niego prawdziwa pociecha. Świadomość, że można by spokojnie umrzeć, a znów znajdzie się kilku ludzi, którzy ujmą pług w dłonie. Im nie trzeba nic mówić o polu, do którego mieli się zabrać, o ziarnie, które się zaoszczędziło; oni swoją bruzdę wyorzą do końca, a ziarno wysieją właśnie tam, gdzie chciało się je rzucić samemu. Istniało coś takiego jak wątek przebiegający przez tkaninę. Stworzenie samo przez się dbało o to, żeby nie zerwało się nic, co poszukiwało jego sedna.

Po zwiezieniu plonów Marianne często przebywała u nich. Uznała, że wizyta była taka, jaka należała się wyspie, ale czasem przypatrywała się Thomasowi z ukosa, jakby odkryła w nim jakąś nową zagadkę. Gdy skończył się urlop Finckensteina, a coraz krótsze dni biegły tak jak zawsze, zapytała pewnego razu, dlaczego właściwie zaprosił tego gościa. Spojrzał na nią zdziwiony, zobaczył jej skupioną twarz i domyślił się, co ją nurtuje. Wyjął z kieszeni list Joachima, gdyż wciąż go tam nosił, i podał jej. Jeszcze nigdy nie rozmawiali o tym. Czytała w milczeniu i tylko sznurek pereł poruszał się od czasu do czasu na jej szyi, tak jak w czasach dzieciństwa. Potem położyła list na stole i wpatrzyła się w wodę.

— Przebacz mi, Thomas — rzekła w końcu.

Później powiedział, że chyba czasami życzyłby sobie, żeby Joachim w niejednym był podobny do tamtego gościa, ale były to także życzenia z minionego czasu. Pewnych spraw już się nie nadrobi, gdy ma się pięćdziesiąt lat. Dzięki temu młodemu człowiekowi stał się pogodniejszy, prawdopodobnie tak jak astronom cieszący się przy swojej lunecie z nowej gwiazdy. Znowu ujawnia się to, co niewyczerpalne w Stworzeniu; gdy w swoim kubku dostrzegamy już dno, dobrze jest wiedzieć, że z niezliczonej liczby innych wino przelewa się przez brzeg. A jeśli nie z niezliczonych, to jednak z dwóch albo z trzech.

— Czy widzisz dno, Thomas?

— Tak, dziecko, ale chyba nie byłoby dobrze, gdyby mając pięćdziesiąt lat, dostrzegało się tylko swoje odbicie.

Rozdział 15

Na początku zimy generał polecił zrąbać połać studwudziestoletnich świerków. Idąc z Thomasem przez las, późną jesienią, niedaleko brzegu, dotknął laską jedno z olbrzymich drzew i powiedział:

— Na dół z wami... Macie sto dwadzieścia lat... Czas się dopełnił.

Thomas zauważył, że szkoda, bo kiedy sadzono te drzewa, żył jeszcze Goethe. Ale i słuszne jest, że słucha się natury, psalm zaś o życiu drzew jeszcze ktoś tam z pewnością napisze.

— Posadzie las mieszany — rzekł generał. — Pierwsza duża praca dla dziecka... Jeszcze da mu cień, gdy nas już nie będzie, Orla.

Potem się rozeszli. Thomas ruszył do swojej łodzi, ale jeszcze raz zawrócił od brzegu i przeszedł całą pagórkowatą połać wzdłuż i wszerz. Wieczorem przeprowadził rozmowę z Bildermannem, a następnego ranka zapukał do drzwi małego gabinetu Marianne.

Przychodzi z prośbą. To właściwie jej las, ten, który musi być zrąbany, a i ten inny, który posadzą. Omówił sprawę z Bildermannem i obaj chcą go zrąbać. Jeśli zachowają przy tym zdrowie i sprawność, powinni uporać się do końca stycznia, on sam będzie miał więc dość czasu, żeby na dwa miesiące przenieść się do domu hrabiego.

Najpierw uśmiechnęła się, a potem nagle spoważniała i postała przez chwilę przy oknie.

— Ty wiesz, Thomas — powiedziała w końcu — że możesz robić wszystko, co zechcesz. Dlaczego jednak chcesz to zrobić?

— Mamy mało pracy, Marianne. To znaczy, Bildermann przez cały dzień ma coś do roboty, ale ja wałęsam się w kółko; nic istotnego dla mnie nie pozostaje.

— To dlaczego już teraz nie przeniesiesz się do domu? Potrząsnął głową.

— Zanim się zakopię — rzekł — muszę być zmęczony. Tak zmęczony, żeby żwawy był tylko duch. A zmęczony jeszcze nie jestem. Tutaj lato jest zbyt krótkie. Nawet mnisi rąbali i karczowali.

Wciąż jeszcze stała przy oknie i patrzyła na niego, ale łzy zaćmiewały jego widok.

— Będziecie go rąbać, Thomas — powiedziała. — Powiem dziadkowi. Będę do was przychodziła każdego dnia i przynosiła jedzenie. Ale czy będziecie uważali, żeby nie runęło na was jakieś drzewo?

— Nie chcemy umierać, Marianne — odrzekł. — Chcemy przeżyć jeszcze i tę zimę. Potem będziemy już poza kręgiem polarnym.

No i rąbali ten las. Bildermann wiedział również i to, jak rąbie się lasy. Przyniósł nowe siekiery i długą piłę, a gdy już w pierwszej połowie listopada zrobiło się zimno, postarał się o sznurowane szmaciane buty, takie jakie nosiło się w leśnych wioskach. Przez dwa dni, gdy szli przez jezioro, lód uginał się, potem jednak stał się mocny i zaczął padać pierwszy śnieg.

Wstawali o świcie i pili kawę ugotowaną na piecyku. Rozmowę zaczynali dopiero wtedy, gdy zapalili fajki. Bolało ich całe ciało, ale śmiali się z tego, a po ośmiu dniach wychodzili radośni, tak jakby pod mrocznymi świerkami czekała na nich świąteczna choinka. Na ramionach nieśli narzędzia i w swoich miękkich butach bezgłośnie szli po lodzie. Nad lasem jaśniała zorza i oświetlała zajęczy trop biegnący przez jezioro na wyspę. Powietrze, zimne i czyste, spływało w ich ciała; było tak cicho, jakby żyli na północnym biegunie.

— Wspaniały pomysł — orzekł Bildermann.

Wydeptali dwie ścieżki biegnące obok siebie, a zaraz za brzegiem zanurzali się w las. Zawsze jeszcze raz oglądali się wstecz, na wyspę; ona jednak nie zatonęła. Również dom stał nieporuszony, a czerwonawy dym wznosił się pionowo nad niski dach.

Widzieli przecinające ścieżki zwierzęce tropy, czuli woń świeżego drewna. Potem byli już na miejscu. Jeden na drugim, tam gdzie upadły, leżały ciężkie, pozbawione gałęzi pnie. W bliznach po konarach zbierała się żywica, a gałęzie były porządnie poukładane. Jeszcze raz się rozglądali, przepełnieni jakąś dziecinną dumą. Potem Bildermann zaczynał rozpalać ognisko, a Thomas zastanawiał się, do którego z olbrzymów zabiorą się na początek. Po zdeptanym śniegu, tu i ówdzie, przebiegały ślady wąskiej dziecięcej stopy. Patrzył więc z uśmiechem na te ślady, które w porze obiadowej zawsze wiodły od zamku do nich.

— Wesoło, Bildermann?

— Tak jest, kapitanie! To był dobry pomysł z tym wygnaniem z raju.

Ognisko rozpalało się czerwonym, kojącym płomieniem, biały dym wznosił się wysoko ponad wierzchołki. Bildermann ustawiał w popiele menażkę napełnioną śniegiem i zaczynali.

Ustalali, gdzie powinno upaść drzewo i zaraz też las zaczynał rozbrzmiewać odgłosem uderzeń siekier. Rąbali do taktu, białe wióry czepiały się włosów. Unosiła się woń nacinanego życia, ale nie mieli czasu na zamyślanie się. Lśniące ostrza wymagały oka i ręki, a każde uderzenie musiało trafić na poprzednie nacięcie.

— Wystarczy, kapitanie — powiedział Bildermann.

Oparli się na toporzyskach i wytarli pot z czoła. Słońce rzucało spomiędzy drzew czerwony blask, śnieg się iskrzył, na uschniętej koronie, niedaleko nich, stukał dzięcioł. Podłożyli pod kolana płaskie poduszki i ujęli w dłonie piłę. Gęsty las odpowiadał spiesznym echem. Od czasu do czasu pobijali drewniany klin i odpoczywali.

— Zaraz je załatwimy, kapitanie — powiedział Bildermann. — Już dygoce.

Dygotała korona, w oczy sypał się śnieg, klęcząc, spoglądali w górę, żeby nie przeoczyć właściwego momentu.

— Uwaga, kapitanie!

Najwyższe gałęzie kołysały się na boki, silne drganie przebiegało nawet przez ostrze piły.

Zerwali się i wyszarpnęli piłę ze szpary.

— Hej... ooo! — zawołał Bildermann.

Korona pochyliła się, u stóp pnia zatrzeszczało, następnie zielona wieża zaczęła się kłaść, wpierw wolno, potem coraz szybciej, zerwał się szumiący powiew i w chmurze rozpylonego śniegu zrąbane drzewo łomotnęło na ziemię. Wrzaskliwy trzask obudził dalekie echo.

Bildermann wsypał do menażki herbaciane liście. Usiedli na zrąbanym pniu, zapalili fajki i małymi łykami popijali gorącą herbatę. Czy świeciło słońce, czy też padał śnieg, świat był nieskomplikowany, a gdy gwizdał wschodni wiatr, budowało się parawan z gęstych gałęzi i rozgrzewało nogi przy ogniu.

Weszli na leżący pień i okrzesywali gałęzie. Było to takie łatwe, że można było przy tym zapalić. Potem przyszła kolej na następne drzewo. Nie patrzyli na zegarek.

Nie dłużyło się im, a gdy zaszedł do nich Gruber, pomyśleli, że przybył z innego świata.

Thomas usłyszał najpierw dzwonki sań, ale nie dał poznać tego po sobie. Ona powinna usłyszeć uderzenia siekier albo pieśń piły. Wiedział, jaką otuchą brzmi to w wielkim, pustym lesie, gdy dobiegają one z daleka, ponad pagórami i zagajnikami i kiedy nad koronami unosi się biały dym, niby oznaka mielerza*.

Mościli dla niej siedzenie ze świerkowych gałązek, a także parawan chroniący od wiatru. Rzucała przed konia naręcze siana i z futrzanego przykrycia wyjmowała dwojaki. Thomas domagał się, żeby były to dwojaki, bo inaczej nie byłoby prawidłowo. Tylko mieszczuchy jedzą w lesie z talerzy. Uśmiechała się i z radością w oczach patrzyła, jak jedzą.

— Jesteście zadowoleni, ludzie oceanu?

Oczywiście byli zadowoleni i to nie tylko zjedzenia, ale i z godziny spokoju, z grzejącego ogniska, z pracy, którą już wykonali i z widoku patrzącej na nich szczerej twarzy. Liczyła pnie, ale pnie były dla niej czymś nieważnym, bo Thomas był zmęczony, a jego oczy spokojne i świadome swoich przekonań spoglądały w jej oczy.

Stanowczo obstawał przy tym, żeby jedzenie było proste.

— Nie możesz pomyśleć, że my się tu bawimy — powiedział.

Na koniec była herbata z kilkoma kroplami rumu, no i fajka. Potem rozmawiali o pracy i o niczym więcej. Czasami, gdy ogień stawał się większy, zdarzało się, że Thomasowi oczy zamykały się w środku zdania. Wówczas tamci dwoje siedzieli cicho i czuwali nad jego snem, a Bildermann przypatrywał się z boku spojrzeniu małej panienki, które zawisło na tamtej odprężonej twarzy.

Najczęściej budził się już po paru minutach. Budził go cichy trzask, z którym pękała żarząca się gałąź albo poruszenie się konia i dźwięk dzwonków. Oczy jego wracały z daleka i nie był zadowolony, że spał.

— Sąd wojenny, Bildermann! — mówił.

Potem Marianne musiała wracać, więc odprowadzał ją do sań, kieł-znał konia i otulał jej nogi futrzanym przykryciem. Dzwonki cichły coraz bardziej, a po chwili w lesie rozbrzmiewały tylko uderzenia siekier.

---

* Samuel Bogumił Linde w swoim słowniku tak definiuje to słowo: "stos z drzewa, na kształt stogu porządnie ułożony, z którego węgle kurą"; stos ten jest szczelnie okryty darnią — przyp. red.

Kończyli na godzinę przed zmierzchem. Bildermann ruszał pierwszy, żeby rozpalić ogień i ugotować kawę. Thomas robił porządki. Znosił gałęzie, układał je starannie i zastanawiał się nad pracą w następnym dniu. Las był całkiem cichy, o tej porze zaczynał padać śnieg. Czasami słyszał zamkowy dzwon. Wówczas nasłuchiwał, dopóki nie przestał bić. Dźwięki grzęzły w śniegu, który je przysypywał. Potem, w półmroku, pod wyniosłymi drzewami robiło się jeszcze ciszej.

W końcu zasypywał ognisko popiołem, brał siekierę na ramię i szedł do domu. Bolały go plecy, ale gdy dochodził do brzegu i dostrzegał jaśniejące okna, czuł zadowolenie ze wszystkiego. Im bardziej znużona ręka, tym czystsze życie.

Chciał przezwyciężyć czas, w którym zagrażały mu zwidy i chciał, żeby ich wizerunki wisiały już tylko na jakiejś ścianie, wysoko i w cieniu, tak jak w zamkowym holu, i żeby można było stanąć pod nimi i pytać: "Tak więc kiedyś wyglądałeś?".

W życiu nie zdołał przezwyciężyć niejednego, ale tamto na pewno nie będzie do tego należało.

Przebierał się, wypijał z Bildermannem kawę i spał przez godzinę. Było cudownie, obudziwszy się zobaczyć, jak czerwony blask ognia jaśnieje pod belkami. Obok cicho klekotały kuchenne kręgi, a na zewnątrz była chyba tajga albo Spitsbergen, albo Alaska. Nie przyjdzie nikt, może tylko Gruber, a od czasu do czasu dziecko. Słyszało się kroki na śniegu i zanim otwarły się drzwi, wiedziało się, kto to.

Na stole leżała książka o totemicznych obyczajach wymierających ludów, a gdy stawała się zbyt trudna, można było czytać baśnie, gdzie zdania sąsiadowały ze sobą tak zwyczajnie jak korony lasu, a wszystkie razem oddawały piękną niejasność cudu, dzięki któremu królewscy synowie mówili niewiele inaczej niż synowie świniarza, a młody książę zawsze był silniejszy niż Wodnik. Również wśród wszystkich cudów znajdowało się nieprzekupne Prawo.

Lampę gasili wcześniej niż zwykle i w rozpoczynającym się śnie widzieli wysokie szare pnie, z których po pierwszym uderzeniu siekiery uciekała wiewiórka.

W sobotę Marianne z całą powagą wypłaciła im do spracowanych dłoni pieniądze, i gdy już około południa szli do domu, słyszeli, jak pobrzękiwały o siebie srebrne monety.

— Muszę iść na tańce, kapitanie — powiedział z zakłopotaniem Bildermann.

— Never mind, Bildermann. Dla młodych ludzi muszą być i tańce.

Linie pagórków w ich lesie stawały się coraz wyraźniejsze, a w końcu stycznia, tak jak myśleli, upadło ostatnie drzewo. Stanęli oparci na siekierach, niby owi ostatni, którzy przeżyli bitwę. Niczego nie zrobili niewłaściwie, niczego nie zmarnowali. Pnie zostaną wyciągnięte na drogę, a na wiosnę Marianne będzie mogła zasadzić nowy las. Jeśli zechce, będzie mogła nadać mu jakąś szczególną nazwę, a za sto lat prawnuki, patrząc na wyniosłe korony, będą mogły powiedzieć: "to jest kapitański las... na niego też przyjdzie wnet pora". Wszelka praca sięgała daleko w przyszłość, i również ludzie oceanu mogli być nieśmiertelni, gdy nie szczędzili rąk. On sam zobaczy jeszcze młode zagajniki i w skrytości będzie nazywał je "lasem dobrej nadziei".

Trzy miesiące spędził w domu hrabiego. Trwało to dopóty, dopóki nie skończył prac z ubiegłej zimy, jeśli w ogóle można było mówić o jakimś zakończeniu. Zdawało mu się, że przemierzył pierwszy południk wokół kosmosu, a najbardziej pewnym przekonaniem, które to przyniosło, było to, że dla tych, którzy zadowalają się szybko, istnieje trzysta sześćdziesiąt takich południków, a dla innych — nieskończona ich liczba.

Nie był zawiedziony ani nie stracił nadziei. Zdołał pojąć ideę nieskończoności i stał się dla niej dostatecznie mądry. Dostrzegał tysiąc wiader, które wznosiły się i opadały, lecz ani Bóg, ani też człowiek nie trzymali w ręku ich pałąków. Z głębokości czerpani byli również bogowie. I oni wznosili się i opadali, to zaś, co dostrzegał człowiek, było "kroplą u wiadra". Ponad wszystkim znajdowało się coś większego i niepoznawalnego, mianowicie "całość". Jej to widok czynił patrzącego pobożnym, ale dla tej pobożności nie było kościoła ani ołtarza. Żadnego wizerunku, żadnej alegorii, nie było nawet imienia. Tym ostatecznym nie były nawet gwiazdy, nie były nawet mgławice rodzących się gwiazd, a więc tym mniej mógł być tym człowiek czy też Bóg, o którego wizerunek się wadził i którego nazywał takim, jakim chętnie chciałby sam być: wiedzącym, możnym i dobrym.

Rozmyślał, ile też trzeba było, żeby mógł osiągnąć ów próg milczenia: byli ojciec i matka, a przed nimi cały korowód pokoleń; dom wśród pól i droga przez wszystkie morza świata; wiedza tysiącleci i płomień wojny, którą nazywano "wielką"; pastor z drewnianym Chrystusem; dziecko imieniem Gloria i drugie, o imieniu Marianne; drogowskaz do leśniczówki, gdzie u bramy stał król z Orientu, wyspa i woda ze złotą koroną; błękitny sarong w złote ptaki i zielony las, który zrąbali: niekończąca się tkanina, spleciona ze wszystkich epok i kręgów, ze śladami dłoni zmarłych i żywych, mokra od łez, znękana gorączką, zmieszana odurzeniem i

poczuciem winy, a w końcu skromnie wygładzona przez posłuszeństwo i cicho podporządkowana wielkiemu Prawu.

Zrozumiał i to, że na obracającym się sklepieniu zawsze jedna z gwiazd zachodziła, gdy na wschodzie ukazywała się nowa, że mając czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, powinno się odejść w cień. Że wówczas też powinno się zacząć dawać, ale i musi się przestać brać. Na tej ziemi istniał tylko jeden określony wymiar przestrzeni, a połowa jego należała do młodego pokolenia. Dotyczyło to szczęścia i władzy, ale również i cierpienia. Miłość nie miała tam czego szukać, nie miała od samego początku, a jeszcze bardziej, gdy we włosach pojawiły się siwe pasma. Ten, kto pragnął więcej, niż pozwalał jego wiek, niszczył. Nie tylko samego siebie, ale i obiekt pożądania. Nie było też większej męskiej próby niźli wolna od goryczy rezygnacja.

Joachim napisał, że egzamin zakończy się w czerwcu. Potem, zanim nie rozpocznie służby we flocie, chętnie przyjechałby jeszcze raz, z dwoma lub trzema przyjaciółmi. Wszystko przebiega dobrze i rysują się najlepsze perspektywy.

Thomas napisał do Finckensteina, że na wyspie oczekuje również jego. Trochę boi się tylu młodych ludzi i bardzo by chciał mieć kogoś, kto byłby taki sam jak on, wcale nie doskonały i zawsze pełen obaw, czy nie skieruje okrętu na najbliższą mieliznę.

Bergengrün ukończył swoje teologiczne studia i teraz miał rozpocząć bożą służbę, a na Zielone Święta wygłosić z ambony, którą obiecał mu generał, swoje pierwsze kazanie.

— Jak to już dawno, dziecko — powiedział Thomas — kiedy stałem na schodach, a wy wyszliście naprzeciw. Obiecałem ci złotą koronę, ale ona wciąż jeszcze leży na dnie i tylko czasami zdaje mi się, że przebłyskuje przez wodę.

— Ty ją nosisz, Thomas — odrzekła — a tylko tego nie widzisz. Z uśmiechem pokiwał głową.

— Chcę zadowalać się tym, że mogę z honorem nosie swój hełm, a wieczorem na chwilę go zdejmować. Na świecie jest dobrze, gdy mężczyźni noszą hełm, a kobiety koronę.

Stali koło lasu dobrej nadziei i patrzyli na młode sadzonki, których długie rzędy wspinały się na pagórki i zbiegały z nich. Kukała kukułka, ale Mariannę już nie liczyła. Sądziła, że wie, iż będzie żyła długo. Wśród tych traw jej dzieci będą zbierały jagody, potem będą duże i ze strzelbą na kolanach będą czekały na przechodzącą zwierzynę,

gdy dom na wyspie będzie już pusty. Nikt nie powinien tam już mieszkać, poza nią, gdy będzie stara. Tam też chce być pochowana.

— Las będzie rósł, bez względu na to, ile przyszłoby nam znosić — powiedziała w drodze do domu.

Drzewo życia odbijało mu się teraz w jakiejś nieruchomej wodzie i tylko raz, przed przyjazdem gości, poruszyło się to odbicie tak, jakby dno uniosło się nieco, ale kręgi rozpłynęły się i znów mógł sięgać wzrokiem do kamieni, ponad którymi igrały młode rybki.

Siedzieli na brzegu, pod dębami, gdzie panował już cień i ustalali, w jaki też sposób powinni zająć owych młodych ludzi, którzy właśnie zamierzają zdobyć świat. Nad Zatoką Wydr stała burza, jeszcze całkiem daleka, a Marianne, próbując uderzyć niewielkiego bąka, zapytała, czy zanim chmura nie zasłoni słońca, nie powinni się wykąpać.

Nie było w tym nic szczególnego, ale Thomas powiedział, że nie chce, a gdy spojrzała na niego trochę zdziwiona, dodał, że jest już na to nazbyt dorosła.

Nie było to zręczne, a i nie było potrzebne, że uchylił się przed jej wzrokiem i patrzył na wodę, tam gdzie zielone ważki siedziały na błyszczących źdźbłach trzcin. Zarumieniła się aż po nasadę włosów i milczała, a gdy w końcu wstali i ruszyli w stronę łodzi, wydawało się jej, że kołysze się pod nią znajomy przecież grunt.

Dopiero wieczorem, gdy w swoim pokoju stanęła przy oknie i słuchała słowików, zrozumiała, że było to szczęście, iż ziemia poruszyła się pod nią. Ziemia zapewne wciąż jeszcze drży, gdy zrywa się jabłko z drzewa poznania.

W czerwcu przybyli młodzi goście, Joachim, Marschall i dwóch innych. Przyjechali w swoich nowych mundurach, zamieszkali w zamku i zapewnili generała, że zacznie się nowa era. Finckenstein przyjechał dzień później, nosił stary myśliwski strój, a sypiał w trzcinowym szałasie Joachima. O egzaminie opowiedział z dobrotliwą kpiną, tak jak i o tym, że wciąż jest przeświadczony, iż lepiej byłoby go zdawać w czasie jakiejś bitwy. Wszyscy oni, razem z niezbędnym strachem, który do tego należy, są bohaterami na papierze. Cieszy się, że pójdzie do floty, gdzie ma się do czynienia nie tylko z okrętami, ale i z ludźmi, i gdzie może się okazać, czy zasłużyło się na swoją ocenę.

Wieczorem przyjechała do nich Marianne, ale zanim odjechali, jeszcze przez chwilę zostali na wyspie. Tak, tam też nie była pewna, czy przeżyje ów potok zachwytów. Również dowódcy eskadr wydają się być śmiertelnikami.

Po długim liście napisanym jesienią Joachim unikał rozmowy. Jednak podziękował za ówczesną radę i całe wsparcie. Najtrudniejsze ma już teraz za sobą. Do Thomasa odnosił się niewiele inaczej niż do starszego kolegi, ten jednak był z tego zadowolony. Dorosło uczciwe i zdolne pokolenie, twardsze i bystrzejsze niż jego własne, a teraz należało przyglądać się, jak steruje swoim kursem. Miło było patrzeć na nich; wszyscy byli niby strzała drżąca z niecierpliwości na cięciwie. Dal przed nimi obwieszona była czekającymi na nich laurami.

Następnego ranka podszedł cicho przed szałas, w którym jeszcze spał jego gość, usiadł na ciemnych kamieniach obok paleniska; przyglądał się śpiącemu. Jego wciąż jeszcze blada twarz była wolna od napięcia, łagodnie naznaczona wewnętrznym spokojem, i patrzył na nią z przyjemnością. A więc chcemy odbicia samego siebie, najpierw odbicia, a dopiero potem następnego stopnia... pomyślał. Nie martwił się, że Joachim jest inny, lecz tylko był wdzięczny, że może oglądać tego tutaj, niby późno urodzonego młodszego brata. Posiadanie i poczucie własności nie należą do kategorii najserdeczniejszych stosunków na tym świecie.

Trzeciego wieczoru generał zaprosił ich na przyjęcie, ku uhonorowaniu młodej marynarki wojennej. Był to wieczór przesilenia dnia z nocą i postanowili, że po uczcie rozpalą na brzegu ognisko. Zaproszony był również pastor Bergengrün, który po południu przy-wiosłował na wyspę, żeby przywitać się z Thomasem. Kurs, którym płynął, wciąż jeszcze nie był prosty.

Siedzieli przy starym stole przed domem, a Thomasowi wydawało się, że przesuwa się przed nim miniony czas. Oszałamiająco szybko i z pominięciem szczegółów. Twarz Bergengrüna była niezmieniona; pod starymi okularami trwało wciąż jeszcze dziecinne oblicze. Również te same były gesty rąk, którymi przywoływał wizję przyszłości człowieczeństwa, bożego królestwa i bożego pokoju.

Czy od czasu, gdy ostatni raz piekli w ognisku ziemniaki, nie miał już żadnych wątpliwości, zapytał Thomas.

Nie, nie miał żadnych wątpliwości, chyba trochę obaw i różnych zmartwień, jak na przykład choćby z młodymi porucznikami, którzy dopytywali się o arkę Noego. Wątpliwości nie miał żadnych. Bóg otacza go ze wszystkich stron, jak owoc pestkę. W

którą stronę by się nie ruszył, nie wypadnie, tak jak centralny punkt koła nie mógłby zostać wyrzucony poza okrąg. To przecież byłby absurd. Sam nie wie, czym zasłużył na taką łaskę, bo niewątpliwie jest to łaska.

Thomas przyznał mu rację. Pozbawieni łaski wiedzą o tym najlepiej. Nikt nie jest pozbawiony łaski, odparł cicho Bergengrün. Nie, poza tymi, którzy chcą takimi być. A czy jest jeszcze książka z motylami?

Tak, wciąż jeszcze jest tu dla niego, tak jak i wyspa, która nie zapomni o tych niewielu wiernych i dobrych.

A dziecko?

Dziecko wyjdzie za mąż. Będzie chrzcić dzieci i konfirmować je i prowadzić do ślubu.

Nie poślubi żadnego z tamtych? Prawdopodobnie nie.

To dobrze, bo o Bogu wyrażali się jak o cywilu na pokładzie ich okrętów.

Thomas powiedział, że na morzu Boga najczęściej znajduje się później. Nie powinien martwić się tym. Tak czy inaczej z nicią łączącą Boga z wojennym rzemiosłem sprawa jest dość trudna.

Potem Bergengrün popłynął z Finckensteinem z powrotem.

Thomas poprosił ich, żeby powiedzieli, że przyjedzie dopiero wieczorem. Nad wszystkimi lasami stały burze, a on wraz z Bildermannem postawił wszystkie sieci. Po pracy jeszcze raz popłynął daleko, wypalił na brzegu fajkę, a potem powoli włożył mundur, który zrobił się za luźny. Zamyślony obejrzał swoje odznaczenia. To było dawno, gdy zdobywał owe wstążki i krzyże.

Płynął bardzo wolno. Już dawno ziemia nie wydawała mu się tak piękna. Usłyszał rozlegające się nad jeziorem bicie dzwonu. Spóźni się, jeśli się nie pospieszy; nie chciał jednak się spieszyć. Piękny był czerwony blask na pniach sosen, jak i odbicie czapli w nieruchomej wodzie. Tamto było świętem młodych i nie był tam już niezbędny. Już nie myślał o świętowaniu. Nie miał już zbyt wiele czasu, a weselić się mógł i bez świąt.

To cudowne, że Joachim osiągnął to, co było pierwszym stopniem do chwały i nie szkodzi, że nie stanowią już jedności. Jego syn był kolejnym ogniwem łańcucha i nawet nieco się opierając, był zespolony z poprzednimi. Nie oglądał się za siebie. Sądził, że wiele zrobiono niewłaściwie, ale teraz oni zechcą wszystko robić prawidłowo. Świat czekał na nich. Im potrzebny jest wyraźny tor wodny pod kilem, a

bitwy będą inne niż przed piętnastoma laty, to zaś, że wciąż jeszcze musiały być bitwy, było nieuniknione. Młodzi nie mogą odpowiadać za porządek świata; trzeba im pomagać i zaufać ich gwieździe.

Jak jednak mało wiedziało się o gwiazdach świecących nad ziemią.

Thomas powoli wysiadł i uwiązał łódź. Za krzywizną brzegu, tam gdzie ląd wznosił się pod górę, słychać było śmiech i gwar. Chyba znosili tam drewno na ognisko. Jasny głos Marschalla górował nad głosami wszystkich. Nazwisk tamtych dwóch przyjaciół nie zapamiętał.

Generał, ubrany w mundur, siedział na tarasie. Ręce zaplótł na lasce, włosy miał białe jak śnieg. Patrzył w dal, ponad parkiem, na wodę, tak jakby stali tam "cisi ludzie" i zdumiewali się nowym życiem.

— Dobrze, że pana widzę, Orla — odezwał się. — Siedzę tu jak jakieś stare drzewo... Nudzę tych młodych ludzi... Wolą ostry wiatr.

— Potem, na pokładzie, będą dostatecznie samotni, panie generale.

— Nie znają jeszcze żadnej samotności, Orla. Przychodzi wraz z siwymi włosami. Patrzę na pana i myślę, że kula ziemska kręci się prędko. Szybciej niż pana kolorowy globus.

Thomas przytaknął i zapytał o Marianne.

— Nieobecna... Postanowił jej poszukać.

W holu było już mroczno. Przemknął wzrokiem po brązowych wylotach armatnich luf i przypomniał sobie tamten wiosenny dzień, kiedy zobaczył je po raz pierwszy. Już nie wiedział, ile minęło lat. Szczęścia nie mierzy się latami. To jednak musiało być dawno, bardzo dawno temu. Rósł już młody las, a Bergengrün łączył dłonie tych, którzy klękali przed ołtarzem.

Marianne zeszła po schodach. Nosiła białą wieczorową suknię, a na ramiona narzuciła błękitny sarong ze złocistymi ptakami, ten, który ostatnio położył dla niej na stole podczas Bożego Narodzenia. Drogi Boże, pomyślał, czasem byłoby jednak wspaniale wierzyć w ciebie i twoją wszechmogącą, opiekuńczą dłoń...

Wziął ją pod rękę i zaprowadził na taras.

— W "Iliadzie" jest taki fragment — powiedział — kiedy Helena wkracza między starców.

Z tyłu Johann po raz pierwszy uderzył w gong.

W czasie uczty Thomas siedział naprzeciw generała, przy wąskim boku stołu. Światło świec nieruchomo jaśniało nad starymi kandelabrami, nad jeziorem kląskały słowiki. Dobrze było błądzić spojrzeniem wzdłuż stołu, widzieć opalone dłonie poruszające się ponad białym obrusem, granatowe mundury i jasne oczy, w których odbijały się wszystkie płomyki świec.

Generał wstał i wypił za pomyślność młodych kolegów. To, co zatonęło pod powiewającą flagą, znów zmartwychwstanie z powiewającą flagą. Bóg obdarował go tym, że na stare lata może oglądać nowe pokolenie, stojące przed masztem. Nie musi ono okazywać nadmiernego szacunku starcowi, ale państwu i swojej fladze powinno okazywać go zawsze. Dla starego żołnierza łatwiejsze będzie wówczas pożegnanie tych przy ognisku i tych na wyspie. Młodemu pokoleniu życzy również, by w czasie wojny, jak i w czasie pokoju, zdobywało się na taką radość serca, a miało choćby serce w połowie tak radosne, jak ów człowiek, którego z dumą i honorem gości przy swoim stole i w swoim sercu.

Odpowiedział Joachim. Nie był najstarszy, ale było oczywiste, że to on powinien stać na mostku. Thomas z niejakim zdziwieniem patrzył, jak jego syn podnosi się i zaczyna mówić. Niech mu będzie wolno, zaczął, podziękować w imieniu kolegów, a i w swoim własnym, za wszystko, co spotkało ich w tym domu. Podzięką mężczyzny jest jednak czyn i niechaj wszyscy będą cierpliwi dopóty, dopóki w ich dłonie nie zostanie złożony czyn. Młodość ich nie była łatwa. Płacili odsetki długu, za który właściwie nie byli odpowiedzialni. Nie poszło to jednak na marne, gdyż przez to znaleźli jakąś inną ocenę świata. Trudniejszą (a niektórym wydała się zbyt trudna), ale sądzi, że jakąś bardziej niezawodną. Ten dom jest dla nich wyspą, wyspie tej zawdzięczają pogodę ducha, odprężenie i wesołość. Jednak na świecie szumi już morze, które ich wzywa. Poświęcili się mu i chcą przy tym pozostać. Nawet gdyby nie miało być na nim żadnej wyspy, lecz tylko śmierć, postanowili trwać przy śmierci. Bowiem przed śmiercią stoi honor.

Podniósł kielich za tych, którzy w swoim czasie zachowali honor, oraz za weteranów wojny i wszystkich ich bliskich.

Thomas wstał dopiero pod koniec uczty. Nie zamierzał przemawiać, ale zdaje mu się, że od tej pory będzie milczał i jest to ostatnia godzina, w której został wywołany. Popatrzył na generała, on jednak właściwie rozmawiał tylko z samym sobą.

Do tego domu przychodzili liczni "cisi ludzie", powiedział, martwi i żywi, ale więcej umarłych niż żywych. Nie mówili już nic, tylko byli, a od czasu do czasu wznosi

się za nich kielich czerwonego wina. On sam pozostaje z nimi w zażyłości i pragnie wypowiedzieć się również w ich imieniu.

W tym domu wszyscy ucieszyli się z obecności nowego pokolenia, które poświęciło się morzu i śmierci, ale chcieliby bardzo, żeby również poświęcili się tej ziemi oraz życiu, tak wiecznym jak i tamto, choć wciąż się zmieniającym. Ale przemiana byłaby czymś ostatnim, co potrafili.

Nie muszą stać na barkach żyjących, ale też nigdy nie wolno im zapominać, że stoją na ramionach umarłych. Doszukiwanie się błędów i win wiedzie donikąd. Jasność wprowadza poczucie wdzięczności i obowiązku. Każdy naród musi strzec swoich zmarłych, a niedobrym znakiem ich czasów było to, że czasy te nie czyniły tego, a nawet z umarłych drwiły.

Zdali swój egzamin, przynoszący zaszczyt im i weteranom. Jednak nie sprawdzili się jeszcze w żadnej próbie. Niechaj więc zechcą zachowywać ostrożność w osądach i wartościowaniu, póki nie nadejdzie czas próby. Ona zaś nie zawsze dokonuje się w pancernych wieżach i nie zawsze dotyczy żołnierzy.

On sam porzucił morze i stał się człowiekiem wyspy. Nie chciał przez to niczego zganić ani oskarżać czy też protestować. Chciał tylko pracować, bo najprawdziwszym błogosławieństwem tej ziemi jest praca. Chciał też wydobyć z dna złotą koronę. Nie udało mu się, ale podczas niektórych nocy widzi jednak nad wodą jej blask. Ten, kto chciałby ją zdobyć, musiałby być człowiekiem o radosnym sercu, cichym jak leżące na dnie kamienie i nie pragnącym niczego dla siebie. Do tego jeszcze długa przed nim droga, ich droga również potrwa pewien czas. Wszyscy oni jawią mu się trochę tak, jakby wpierw chcieli zdobyć sławę i zaszczyty. Jest to całkiem normalne, ale on chce swój kielich wznieść nie za to, żeby coś zdobyli. Na to mają jeszcze dużo czasu i przyjdzie to samo przez się. Dzisiaj wzniesie za to, żeby zawsze panowali nad swoją odwagą, co, jeśli dobrze to przemyślą, jest o wiele trudniejsze. Żeby więc zawsze byli panami swojej odwagi... "Cisi ludzie", na ile ich zna, na pewno dołączyliby się do tego toastu. Stał mocno wyprostowany, nie gestykulując, i mówił cicho. Właściwie nie mówił do tych młodych ludzi, ale patrzył gdzieś ponad nimi i tylko od czasu do czasu spoglądał na generała i na Marianne. Nie był zadowolony z tego, co powiedział. To, co ostateczne, zawsze było niewypowiedziane Po końcowym słowie stał jeszcze przez chwilę i patrzył przed siebie poważnym wzrokiem. Od brzegu jeziora dochodził śpiew słowików i w dużym pomieszczeniu nie było poza tym słychać innego dźwięku. Potem bez słowa obszedł stół, zacząwszy od generała i Marianne.

Gdy trącił ostatni kielich, Marianne podniosła się, a wraz z nią wszyscy milczący goście.

Zaraz też wyszli przez taras do parku. Dworscy ludzie i służba stali już wokół stosu drewna. Nad jeziorem błyskało się i dalekie czerwone ognie igrały na ich twarzach. Pachniało deszczem, ale nad nimi jeszcze świeciły gwiazdy.

Pozwolono Bildermannowi podpalić stos, a gdy ponad wierzchołki drzew wzniosły się wysokim żarem płomienie, Thomas wycofał się w cień. Gdy generał wypowiadał kilka słów, on już powoli schodził na brzeg. Było tak, jakby wołała go wyspa i jakby w zupełnej samotności musiał przyjrzeć się burzom rozjaśniającym horyzont. Jego rola dobiegła końca i zapadła nad nią kurtyna. Teraz kolej na innych. Stał samotny w olbrzymim mrocznym teatrze.

Gdy zdejmował ze słupka łańcuch, usłyszał jej szybkie, lekkie kroki. Stanęła przed nim tak blisko, że dostrzegał padające na dno jej oczu dalekie rozbłyski. Nie powiedziała ani słowa. Obnażone ręce uniosła ponad błękitny sarong, splotła je na jego włosach i całowała długo jego usta. Wyczuł jej oddech. Ani jedna łza nie stała w jej rozwartych oczach.

Gdy już był na wodzie, dostrzegł jeszcze skraj jej białej sukni. Połyskiwał, nieruchomy, niby cokół jakiejś statuy, a jemu mogło się zdawać, że widzi, jak rozpalające się błyski wnikają w pory marmuru.

Wolno podszedł do domu. Niebo było zasnute ciężkimi chmurami i gdy nad lasami gasła błyskawica, nad lądem i wodą zapadała ciemność. Rzucały się ryby, a ponad wiciokrzewem słychać było cichy szum skrzydeł wielkich ciem.

W domu pachniało dymem i suchą trzciną. Thomas nie zapalił światła. Przebrał się, narzucił na ramiona lekki płaszcz i poszedł do ławki pod dębami. Gdy potarł zapałkę, żeby rozniecić fajkę, wrzasnął nad nim jeden z wielkich ptaków i z ciężkim łopotem skrzydeł okrążył korony drzew. Potem zapadła dawna cisza. Na południowym wschodzie, nad zatoką, widział czerwony odblask na ścianie lasu. Było to ognisko, przy którym zapewne jeszcze siedzieli. Nad wodą ostro i czerwonawo rozbłysnął dobiegający spoza chmur płomień. Nisko, po trzcinach, przeciągnął ciepły powiew, a gdy zamarł, Thomas usłyszał cichy spiżowy grzmot dochodzący zza ściany chmur. Nad wyspą i nad lasem od czasu do czasu przemykała blada poświata, niekiedy jednak błyskało już gniewnie i groźnie, niczym z długich luf nad osłoną

pancerza. W niebo wytryskiwała jaskrawa smuga, a potem długo dudnił lekki grzmot i poruszał ziemię, na której siedział Thomas.

Wpatrywał się w to światło szeroko otwartymi oczami. Widział idące do ataku szare kadłuby, a między nimi wzburzone morze. Słyszał dzwonki, sygnały i rozwiewający się krzyk. Siedział jak we śnie, a przed jego oczami i uszami przeciągała suma minionego życia, próba wielu lat, determinacja młodych, rozdygotanych serc: bitwa.

Wiedział, że przed wieloma laty raz już tak siedział, ale wówczas musiał być jeszcze młody. Już wiele było poza nim, ale przecież istniały jeszcze inne sprawdziany, niż tamte, które dokonują się pod szarymi działowymi wieżami, z których ponad lasy wzlatywała teraz jasność.

Tamto jednak było początkiem i podlegało Prawu, tak samo jak i to, że siedział teraz tutaj i dłonią wyczuwał suche kwiaty tymianku. Wszystko miało swoje miejsce i swój ład, wszystko było słuszne, jak było i jak mogłoby być.

Nie było ani dobre, ani złe. Miał syna, który przyniesie mu zaszczyt i nic nie znaczyło, że nie był jego odbiciem. Zyskał młodą siostrę imieniem Marianne i nieważne, że równie dobrze mogłaby być starsza o piętnaście czy dwadzieścia lat. Nie chciało tego Stworzenie i miało po temu wystarczające powody. Ono też nie chciało, żeby przy życiu pozostał młody hrabia albo dziecko imieniem Gloria. Stworzenie kroczyło własną drogą. Siało i znów zbierało. Miara jego żniwa była wciąż ta sama, gdyż taka sama była miara siewu. Człowiek nosił swój hełm, pracował, a od czasu do czasu można było ów hełm zdjąć i złożyć ręce na kolanach. Nieczęsto, ale przecież od czasu do czasu.

Niekiedy też, nocami, można było dostrzec nad wodą błyski, łagodny czerwonawy blask, i można było mniemać, że pochodzą od spoczywającej na dnie złotej korony.

A kiedyś, o wiele później, możliwe, że nawet będzie wolno mu twierdzić, iż ma radosne serce.

Spadło kilka kropli i uderzyło w młode liście dębów, on jednak siedział nadal. Głowę oparł o twardą, spękaną korę i patrzył na błyskawice, coraz to wyżej wznoszące się ponad lasy.